

skradzione dziecko

SANJIDA KAY



Siedem lat temu zabraliście mi dziecko.
Teraz muszę je odzyskać i nie cofnę się przed niczym...

Wydawnictwo
ab
two

SANJIDA
KAY

SKRADZONE DZIECKO

Przełożyła Hanna Pustuła-Lewicka



Tytuł oryginału: *The Stolen Child*

Copyright © 2017, Sanjida Kay

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX

Copyright © for the Polish translation by Hanna Pustuła-Lewicka, MMXIX

Wydanie I

Warszawa MMXIX

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Londyn](#)

[Maj](#)

[Siedem lat później. Ilkley](#)

[Sierpień, sobota](#)

[Wrzesień, poniedziałek](#)

-

[Wtorek](#)

[Piątek](#)

[Sobota](#)

[Poniedziałek](#)

[Wtorek](#)

[Środa](#)

[Dwa tygodnie później](#)

[Czwartek](#)

[Piątek](#)

[Z](#)

[Sobota](#)

[Październik, piątek](#)

Z

Sobota: nazajutrz

Z

Niedziela: dwa dni po zniknięciu Evie

Z

Poniedziałek: trzy dni po zniknięciu Evie

Wtorek: cztery dni po zniknięciu Evie

Środa: dzień piąty

Z

Pięć miesięcy później

Marzec

Podziękowania

Przypisy

Dla Jasmine

*O, pójdź tam, ludzkie dziecię, w kraje nieobjęte,
Gdzie lasy dzikie, wody niedomknięte,
Gdzie cię powiodą borów duchy święte.
Bo na tym świecie, miła, płaczu jest znacznie więcej,
Niż zdoła pojąć twe małe ludzkie serce.*

Skradzione dziecko, W.B. Yeats

Londyn

Maj

Zaraz się zjawi! Będzie przed czasem! Czułam podskórnie, że tak się stanie. Chwała Bogu, że Ollie uwierzył mi i pomógł przygotować pokój dziecięcy. Mamy całe niezbędne wyposażenie: łóżeczko, wózek, zapas pieluch, sudocrem, rozkosznego króliczka z uszami w łączkę. Śpioszki. Koszyk do spania. Kocyki. Butelki. Śpiewającą karuzełę rzucającą na sufit kaskady kolorowych światełek.

– Zoe! Przyjechała taksówka!

Mój mąż stoi przy oknie naszego mieszkania na pierwszym piętrze. Ma już na sobie płaszcz. Podaje mi kurtkę.

– Nie zdążyłam skończyć muralu! – mówię, gdy ostrożnie nasuwa mi rękawy na rozłożone ramiona.

Malowanie muralu na ścianie pokoju dziecięcego było moim sposobem na zachowanie spokoju ducha w czasie ciąży; chciałam, żeby był idealny i gotowy na przybycie dziecka. Przedstawiłam Wrzosowiska Ilkley, obok których się wychowałam: głązy Krowa i Cielę o wschodzie słońca, dobrego Olbrzyna Rombalda kroczącego przez morze fioletowych wrzosów. Ollie całuje mnie w policzek.

– Wygląda wspaniale. I tak się jej spodoba. Skończysz, kiedy przywieziemy ją do domu.

Wiedzieliśmy, że to będzie dziewczynka.

– Nie skończę! – mówię piskliwym, podniesionym głosem. – Noworodki w ogóle nie śpią. Po całych nocach płaczą. Będę zbyt zmęczona, żeby go skończyć!

– Noworodki głównie śpią. Zwłaszcza karmione butelką – uspokaja mnie Ollie.

Obejmuje mnie w tali i prowadzi do drzwi.

Jest najmłodszym dzieckiem w rodzinie, a ja nie mam rodzeństwa, więc skąd możemy to wiedzieć? Tyle że on przebrnął przez gigantyczny stos literatury na temat rodzicielstwa, więc może ma rację. Ja też próbowałam czytać jakieś książki, ale to tylko potęgowało mój stres. A jeśli będzie miała kolki lub zachoruje na

różyczkę? Albo dostanie gorączki i drgawek?

– Torba!

– Wzięta.

Spakował ją kilka tygodni temu, na wszelki wypadek.

– A co z...

– Twoją torebkę włożyłem do torby, mam pieniądze i telefon. Wezmę jeszcze fotelik samochodowy. Nic więcej nie będzie nam potrzebne.

Uśmiecha się do mnie łagodnie. Fotelik czeka przy drzwiach. Ollie powiedział, że powinniśmy mieć go ze sobą, na wypadek gdyby pozwolili nam od razu zabrać ją do domu. Wyszukał w internecie najlepszy model i zamówił go online. Zarejestrował się na forach dla rodziców i zaprenumerował czasopismo konsumenckie „Which?”. Kiedy kupiłam fotelik samochodowy w second-handzie, oburzył się i kazał mi go zwrócić. Podobno używane foteliki samochodowe nie gwarantują bezpieczeństwa.

– Poradzę sobie. – Bierze fotelik i torbę. – Uważaj na schodach.

Zauważył, że ledwie widzę przez łyży. W samochodzie trzyma mnie za rękę. Mówi kierowcy, że musimy jak najszybciej dojechać do szpitala. Taksówkarz zerka na mnie we wstecznym lusterku i przenosi wzrok na fotelik. Przez chwilę na jego twarzy maluje się zdziwienie, ale zaraz rozjaśnia ją uśmiech.

– Trzymajcie kapelusze, panie i panowie – mówi. Sam ma na głowie turban.

Mijamy kebab, polski spożywczy, kiosk z gazetami, przed którym w kolorowych plastikowych pojemnikach piętrzą się stosy czerwonej papryki i pomarańcz, i gwałtownie skręcamy w boczną uliczkę. Samochód podskakuje na progach zwalniających. Bloki z czerwonej cegły ustępują biało-brązowym wiktoriańskim szeregowcom z palmami i krzewami jaśminowców w ogródkach. Wpadamy na Chatsworth Road na wysokości wystaw zastawionych roślinami doniczkowymi i słoikami przetworów oraz hiszpańskich delikatesów z wielką szynką w oknie. Tuż przed światłami, obok pizzerii, która wygląda jak ekskluzywny pub, taksówkarz skręca ostro w prawo. Fotelik samochodowy przechyla się do przodu. Kątem oka dostrzegam

w witrynie sklepu z zabawkami różowy drewniany zamek ozdobiony bajkowymi wieżyczkami i mnóstwem złotych chorągiewek.

Przestaję się orientować, gdzie jestem.

– Za chwilę będziemy na miejscu – mówi Ollie, ściskając mi dłoń.

W szpitalu młoda kobieta wyjaśnia nam, że przeprowadzą nieplanowane cesarskie cięcie.

– Dziecko jest zagrożone, musimy operować.

– Urodzi się przed terminem – mówię. – Cztery tygodnie. Za wcześnie...

– Zapewnią jej tu dobrą opiekę. Trafi prosto do inkubatora.

Ujmuję w dłonie moje ręce. Staram się przypomnieć sobie, jak ma na imię. Sara. Powinnam była pamiętać.

– Uprzedzaliśmy was, że może się tak zdarzyć, Zoe.

Kiwam głową, przełykając gorące łzy. Ollie podaje mi chusteczkę. Wycieram nos. Nie chcę, żeby moja córeczka została wycięta jak jakiś guz. Włożona do pudełka. Chcę wziąć ją na ręce, śliską od krwi i śluzu.

– Jesteśmy na to przygotowani – mówi mój mąż, biorąc mnie za rękę i splatając z moimi swoje palce.

Czekanie ciągnie się bez końca. Ze stołówki dochodzi zapach jajek na twardo i lekko przypalonego mielonego mięsa. Zbiera mi się na mdłości. Ściskam Olliego za rękę tak mocno, że wbijam mu paznokcie w skórę. Krzywi się z bólu i delikatnie uwalnia dłoń. Obejmuje mnie ramieniem.

– Wszystko będzie dobrze – szepcze w moje włosy.

Zaciskam powieki i przepędzam wspomnienie bolesnych lat wypełnionych tęsknotą i poronieniami; chcę zapomnieć krew, piosenkę Scissors Sisters, którą puszczała w radiu, kiedy pochylał się nade mną chirurg, spływające do uszu łzy. To już przeszłość. Nareszcie się stanie. Zawsze tego chcieliśmy. Jesteśmy ze sobą od ośmiu lat, odkąd ja skończyłam dziewiętnaście, a Ollie dwadzieścia, i w końcu będziemy mieli dziecko. Będziemy rodziną.

– A co, jeśli... – mówię. Nie mogę się powstrzymać, to silniejsze

ode mnie.

Rozmawialiśmy o tym milion razy, we dwoje, z urzędnikami i lekarzami. Zostaliśmy poinformowani o istniejącym ryzyku. Wyjaśniono nam w brutalnych słowach, co może się zdarzyć. Jest wcześniakiem i może umrzeć. Może mieć uszkodzenie mózgu. Poradzili nam, żebyśmy poczekali z nadaniem jej imienia. Że jeśli się z tym pospieszymy, potem będzie nam jeszcze trudniej. Ale zignorowaliśmy tę radę. Postanowiliśmy nazwać ją Evelyn Catherine Morley. Catherine po mojej mamie; zdrobniale Evie.

Odsuwam rękę Olliego, żeby mu się dobrze przyjrzeć. Ma niebieskie oczy i opadające na czoło włosy w odcieniu brudny blond. Miałabym takie same, gdyby nie to, że od czasów studiów je rozjaśniam. Na pudełku jest napisane „Naturalny blond”. Niedawno ufarbowałam odrosty, bo wiem, że kiedy urodzi się Evie, nie będę miała na to czasu. W oczach Olliego maluje się życzliwość. Przez wiele miesięcy cierpliwie mnie wysłuchiwał i pocieszał.

– Nie martw się – mówi teraz. – Wszystko będzie dobrze.

Skąd może to wiedzieć? W przeszłości wcale nie było dobrze.

Pomieszczenie, w którym się znajdujemy, ma podłogę wyłożoną szarym linoleum i białe ściany ozdobione koszmarnymi obrazkami w pastelowych barwach. Wyobrażam sobie, że opowiem o tych bohomazach mojej córeczce, kiedy będzie już dostatecznie duża, by zrozumieć, z jaką nadzieją i miłością oczekiwaliśmy jej przyjścia na świat: „Malowane techniką puentylizmu, stosowaną przez francuskich impresjonistów – powiem jej – ale sztuczne, współczesne, puste. Wiesz, o co mi chodzi? Kiedy czekasz na tak ważne wydarzenie jak narodziny twojego dziecka, chcesz, by każdy szczegół coś znaczył”. A ona otworzy szeroko oczy i spyta: „Wiedziałaś, mamusiu, że niektórzy artyści stosują bazgranie jako technikę?”.

– Kocham cię – mówi Ollie.

– Ja też cię kocham.

– Będzie dobrze. – Całuje mnie w czoło. – Już niedługo zabierzemy naszą córeczkę do domu.

Nie mogę uwierzyć, że jest taka maleńka. Jej całe ciało zmieściłoby

się w dłoni Olliego. Przyciskamy twarze do ścianki inkubatora.

Ollie ma łzy w oczach.

– Evie Cathy Morley – mówi. – Nasza córeczka. – Przytula mnie mocno. – Udało się – szepcze mi do ucha.

Nie pozwolili nam jej jeszcze dotknąć. Jest oplątana rurkami. Monitory ustawione obok wózka z inkubatorem popiskują i mrugają światełkami. Włożyli jej kremową czapkę, żeby nie zmarzła jej główka, tak małą, że pasowałaby na lalkę. Leży na boku, tyłem do nas, więc nie widzę jej twarzy. Jej ciało jest wychudzone, cienkie rączki i nóżki wyglądają jak patyczki, zebra wybrzuszą się z każdym mozolnym oddechem. Skórę pokrywa meszek. Obchodzę dookoła inkubator, żeby przyjrzeć jej się z drugiej strony. Coś gorącego wybucha mi w piersi; nie wiem, czy to miłość, czy strach.

Pochylam się, zrównując twarz z maleństwem w inkubatorze, i patrzę. W pomieszczeniu jest bardzo gorąco, ledwie mogę oddychać. Spod czapki wystaje gęsta czarna czupryna. Coś jest nie tak z rysami jej twarzy. Oddycham z trudem. Coś jest nie w porządku, i to bardzo. Evie otwiera oczy, po raz pierwszy, odkąd zobaczyliśmy ją po urodzeniu. Są duże i nie skupiają jeszcze spojrzenia. Wydają się ogromne w drobniutkiej twarzyczce. Są zbyt szeroko rozstawione i trudnego do określenia koloru; na pewno nie są niebieskie. Ma jasnobrązową skórę. Nie wygląda na nasze dziecko. W ogóle nie wygląda jak dziecko. W każdym razie nie ludzkie. Sara kładzie mi dłoń na ramieniu. Oddycham zbyt szybko i zbyt głęboko.

– Może mieć płodowy zespół alkoholowy – mówi. Sara opiekowała się nami przez cały okres ciąży. – To normalne w takiej sytuacji. Kiedy jej stan się ustabilizuje, lekarze przeprowadzą odpowiednie badania. Na razie leczą z uzależnienia narkotykami.

Ollie otwarcie płacze. Wiedzieliśmy, że może się tak stać, ale mieliśmy nadzieję, że urodzi się zdrowa. Ollie przygarnia mnie do siebie.

– Wyjdzie z tego? – pyta.

Sara waha się z odpowiedzią.

– Jeszcze nie wiemy. Ale personel szpitala zrobi wszystko, co tylko możliwe, żeby ją uratować. Wyleczyć. Dlatego wybraliśmy ten szpital

– przypomina nam. – Specjalizuje się w leczeniu dzieci narkomanek.
Prostuję się gwałtownie. Potrzebuję powietrza. Muszę się stąd
wydostać. Trzęsę się z wściekłości.
Mogłabym zabić matkę Evie.

Siedem lat później. Ilkley

Sierpień, sobota

Ben pomaga mi w kuchni; czuję, jak moje zdenerwowanie narasta. Ręce, od nadgarstków do łokci, ma utyłane polewą i uśmiecha się czekoladowymi ustami szeroko jak Joker. Zerkam na kuchenny zegar. Za czterdzieści dwie minuty zjawią się pierwsi goście. Nie skończyliśmy jeszcze smarować urodzinowego tortu Bena. Próbuje równomiernie rozprowadzić po biszkopcie lepiący się do noża krem i nie zniszczyć ciasta; Ben oblizuje końcówkę miksera. Nie zdążyłam się przebrać z powypychanych na kolanach džinsów i starej koszuli taty, ale najpierw muszę nadmuchać balony, spakować torebki z upominkami dla zaproszonych dzieciaków i ponadziewać na wykałaczki pokrojone w kostkę kielbasę, ananasa i ser. Posypuję wierzch tortu cukrowymi gwiazdkami i wtykam dwie świece. Ben wygląda na uszczęśliwionego.

Zupełnie nie przypomina to drugich urodzin Evie, która w tym wieku mówiła już pełnymi zdaniami i zażądała tortu z księżniczką. Ollie zamówił go w cukierni Bettys. Kosztował majątek i był piękny: polewa z jasnoróżowego lukru układała się w fałdy jak tkanina, pośrodku stała maleńka cukrowa księżniczka w wiktoriańskiej sukni balowej z biszkoptu. Tort był tak słodki, że bolały od niego zęby. Rozglądam się za Evie. Kuchnia znajduje się na końcu domu. Kiedy się tu wprowadziliśmy, Ollie kazał zburzyć ścianę działową i teraz cały parter stanowi otwartą przestrzeń, zalaną światłem spływającym z Wrzosowiska Rombalda za naszym domem i odbitym od wzgórz po drugiej stronie doliny. Liczyłam na jej pomoc; myślałam, że spodoba jej się rola starszej siostry – będzie z zapalem odcinać skórki z kanapek z serem, pakować jojo i bańki mydlane do zabawy w „podaj dalej” – ale gdzieś przepadła.

– Evie! Evie? – wołam.

Uwielbia piec ciasta. I to nie w jej stylu, by przepuścić okazję do wylizania miski. Nigdzie jej nie widać i zaczynam się niepokoić. Od pewnego czasu dziwnie się zachowuje w stosunku do Bena.

Bella skończyła zlizywać lukier z krzesła, na którym stoi Ben, i teraz zmierza w stronę drzwi do ogrodu, stukając pazurami o wypolerowaną drewnianą podłogę. W mojej rodzinie zawsze był springer spaniel angielski; kupiłam wątrobiano-białego szczeniaka po śmierci mamy, żeby mi ją przypominał. Moczę ścierkę do naczyń i wycieram nią Bena. Nie jest to higieniczne, ale kończy mi się czas.

– Czekolada – mówi radośnie, pokazując na usta.

Zaprosiłam za dużo maluchów. Co radził portal BabyCentre? Powinno się zapraszać tyle dzieci, ile lat kończy mały jubilat? Wydało mi się niesprawiedliwe, by Ben miał na swoim przyjęciu tylko dwoje gości, zresztą nie mogłam zaprosić niektórych, a innych nie. Ostatecznie zaprosiłam cały żłobek i prawie wszyscy przyjdą. Czy ma sens przebierać Bena? Odwijam mu rękawy i przyglądam jasne włoski. Niesforny kosmyk opada z powrotem na czoło. Przytulam go i całuję w tłusciutki policzek, ale on wyslizguje się z moich objęć, żeby pobiec za Bellą.

W odróżnieniu od niego Evie była spokojnym dzieckiem. Nienaturalnie spokojnym. Znow zerkam na zegar. Gdzie jest, do diabła, Ollie? Powiedział, że musi pojechać do pracy. W sobotę. W dniu przyjęcia urodzinowego swojego syna. Zaprotestowałam, szarpiąc się z taśmą klejącą i papierem w kwiatki – to wszystko, co znalazłam w domu o wpół do jedenastej w nocy. Skrzywił się z niezadowoleniem i oznajmił, że nic na to nie poradzi.

– Pojadę pierwszym porannym pociągiem. Zdążę wrócić, nie przejmuj się – powiedział.

Nie wyjaśnił tylko, czy zdąży pomóc mi w przygotowaniach, czy wróci na przyjęcie. Kiedy wyszedł, jeszcze spałam. Za głośno zatrzaskał za sobą drzwi, budząc Bena i prowokując ożywione szczekanie Belli. Ścieram z blatu resztki polewy czekoladowej i smugi masła. Całe wyposażenie kuchni jest ze stali nierdzewnej – blaty, zmywarka, lodówka. Ollie się uparł i rzeczywiście wyglądało to genialnie, dopóki dzieci nie upačkały sprzętów swoimi łapkami.

Teraz wszystkie powierzchnie znaczą rozmazane odciski palców. Wrzucam miskę i końcówki miksera do zmywarki i zaczynam kroić ser, gdy rozlega się dzwonek przy drzwiach. Klnąc, wycieram dłonie o

spodnie. Zamierzałam powitać pierwszych gości z czepiającym się mojej nogi Benem wystrojonym w koszulkę w traktory i Evie ubraną w moją ulubioną sukienkę w groszki, szykowna i elegancka, ze lśnjącymi włosami, w czółenkach na szpilkach, obcisłych dżinsach i nowej koszulce w marynarskie paski. Nic z tego.

– To tylko my! – Andy wpada do kuchni z dwójką swoich dzieci: Sophie, która jest najlepszą przyjaciółką Evie, i ośmiomiesięczną Ellen.

– Cudownie cię widzieć. – Obejmuję na powitanie Gill, jego żonę.

– Pomyśleliśmy, że przyda ci się pomoc – mówi. – Sophie, idź poszukać Evie.

Gill rozpakowuje torbę. Przyniosła ciasteczka czekoladowe i batoniki z płatków owsianych – domowej roboty, pokrojone na kwadraciki w sam raz na jeden kęs – gigantyczne opakowanie ziemniaczanych prażynek oraz posypane migdałami ciasto owocowe z cukierni Bettys.

– Dla dorosłych – wyjaśnia.

Mam wrażenie, jakbym znała Gill i Andy'ego od zawsze. Poznaliśmy się na uniwersytecie w Leeds. Kiedyś Gill była moją najlepszą przyjaciółką, ale teraz prawie się nie widzimy. Jest prawniczką.

– Jak znalazłaś na to czas? – pytam, biorąc sobie owsiany batonik. Gill pracuje więcej nawet od Olliego.

– Ollie w pracy? – pyta, szukając wzrokiem mojego męża.

Robię niezadowoloną minę. Wysłałam mu kilka esemesów z pytaniem, kiedy wróci do domu, ale na żaden nie odpowiedział.

– Zajmę się tym, a ty idź się przebrać – dodaje, patrząc wymownie na mój strój. Wyjmuje z szafki kubki, kawiarke i kawę. – Andy, kochanie, puść swoją składankę.

Nie mogę znaleźć koszulki w paski, więc wkładam ulubiony, poprzecierany miejscami T-shirt i baleriny. Włosy, ostrzyżone króciutko po urodzeniu Bena, odrosły w postrzępionego pazia. Jasny kolor jeszcze się trzyma, ale przy głowie widać mysie odrosty. Z całą pewnością moich włosów nie można nazwać lśnjącymi. Szybko przeciągam po nich szczotką i wsuwam niesforne kosmyki za uszy.

Gill ma idealną fryzurę: świeżo zrobione pasemka połyskują jak olejowane drewno tekowe.

Na dole są już pierwsi goście. Andy, otoczony gromadką berbeci, nadmuchuje balony. Z odtwarzacza lecą piosenki z *Księgi dżungli*. Gill wyłożyła resztę jedzenia na papierowe talerze i rozstawiła je na jednym z blatów w kuchni. Ben piszczy z zachwytu i wije się w tańcu do dźwięków *Być jak ty*. Ollie jeszcze nie wrócił; nigdzie nie widać Evie, ale zakładam, że jest w swoim pokoju z Sophie.

– Pobawmy się w posągi! – wołam, podkrecając dźwięk, żeby dzieciaki zaczęły tańczyć.

Zaczynam się obracać i przytupywać. Przyłączają się po kolei do zabawy. Oddaję pilota Andy'emu i zanoszę na górę kosz na pranie wypełniony po brzegi prezentami Bena, żeby nie kusił maluchów. Kątem oka dostrzegam zwiniętą w fotelu Sophie, która ogląda coś na swoim iPadzie.

– Sophie? Gdzie jest Evie?

Wzrusza ramionami, nie odrywając wzroku od iPada.

– Nie chciała się ze mną bawić – mówi.

– Evie? – wołam.

Nie odpowiada. Kiedy ją ostatni raz widziałam? Zostawiam prezenty na podeście schodów i wchodzę wyżej, do pokoju Evie, ale tam też jej nie ma. Sprawdzam w pracowni, łazience i naszej sypialni. Nigdzie ani śladu mojej córki.

– Evie! – krzyczę głośniej, na wypadek gdyby gdzieś się schowała i nie słyszała mnie przez ryk *Marszu słoni*.

Zaglądam do pokoju Bena i wydaję z siebie cichy okrzyk. To, co widzę, dosłownie wbija mnie w podłogę. Dopiero po chwili udaje mi się dojrzeć Evie balansującą niebezpiecznie na brzegu łóżeczka Bena. Posyła mi skruszone spojrzenie, ale po sekundzie przybiera wyzywającą minę.

– Evie? Coś ty narobiła?

Potrzebuję trochę czasu, żeby się zorientować, na co właściwie patrzę. Pokój wypełnia płatanina wstążek przeciągniętych od łóżeczka Bena do ściany i z powrotem, przypominająca zwariowany wytwór naćpanego pająka. Zwisają z niej rozmaite przedmioty. Schylam

głowę i przechodzę na drugą stronę. Evie rozwinęła kłębki włóczki w różnych kolorach i przywiązała końce nici do mebli. Zużywając kilometry taśmy klejącej, poprzyklejała do nich pocztówki, do których z kolei przypięła zszywaczem skarpetki. Z każdej kartki zwisa skarpetka Bena! W głowie kłębi mi się od poplątanych myśli: boję się, że od natłoku barw i kształtów dostanę migreny; rozplatanie tego wszystkiego zajmie mnóstwo czasu; skarpetki Bena nadają się do wyrzucenia do śmieci. Mniej logiczna część mojej osobowości podziwia nieokiełzaną inwencję twórczą, która podsunęła Evie pomysł ze skarpetkami. Jednocześnie mam ochotę nią potrząsnąć. Mocno.

Zeskakuje z łóżka na ziemię.

– To niespodzianka dla Bena – oznajmia.

– Evie. Na dole jest przyjęcie urodzinowe twojego brata. – Staram się nie krzyczeć. – Co tu robisz, zamiast być na dole i bawić się ze wszystkimi? – Naprawdę myśli, że Benowi to się spodoba (pewnie się spodoba), czy zrobiła to na złość, żeby zwrócić na siebie uwagę?

Wzdycham. – Co się z tobą dzieje?

Odrzuca do tyłu długie brązowe włosy i patrzy na mnie złym wzrokiem.

– Zawsze wszystko zepsujesz – mamrocze pod nosem.

– Chodź ze mną. W tej chwili.

Biorę Evie za rękę i sprowadzam na dół. W salonie popycham ją w stronę Sophie. Będę musiała z nią porozmawiać, jak się skończy przyjęcie. Dzwonię do Olliego, ale odzywa się poczta głosowa. Zostawiam mu gniewną wiadomość.

Mniej więcej godzinę później wszystkie maluchy siedzą rzędkiem przy chwiejnych stolikach na kozłach i pożyczonych od kilkorga rodziców krzesłach. Są wykończone zabawą w „przekaż dalej” i „muzyczne krzesła”, zdążyły spalić cały spożyty cukier i właśnie kończą lunch. Nagle zapada cisza. Nawet rodzice przestali rozmawiać. Zapalam świece i wnoszę tort.

Promienie późnoletniego słońca odbijają się pod kątem od stromych zboczy wrzosowiska i wpadają do salonu przez przeszklone drzwi do ogrodu. Na widok tortu dzieciaki zaczynają śpiewać.

– Tort! Tort! – krzyczy Ben.

Mój wytęskniony synek, na którego czekałam całe życie. Kocham go tak mocno, że miłość rozsadza mi serce. Śpiewam i uśmiecham się, choć do oczu napływają mi łzy. W pewnej chwili podnoszę wzrok i kątem oka dostrzegam Evie. Kryje się w cieniu w miejscu, gdzie kiedyś stała ściana oddzielająca jadalnię. Ma na sobie sukienkę, której nigdy nie widziałam. Obserwuje mnie z nachmurzoną miną.

Stawiam tort na stole. Ben nadyma różowe policzki i dmucha. Wygląda jak jasnowłosy, tłuściutki cherubinek z fresku Michała Anioła. Jedna świeczka nie zgasła, płomyk zachwiał się i migocze, więc Ben robi drugie podejście, opryskując śliną cały tort. Goście wiwatują. Evie krzyżuje ramiona na drobnej piersi. Jest chudą dziewczynką o kościstych kolanach. Ma ciemne włosy, skórę koloru bawarki i oczy w zielonobrazowe plamki. Nie jest podobna do nikogo z mojej rodziny. Zwykle agencje adopcyjne starają się znaleźć dzieciom takich rodziców, którzy mogliby uchodzić za biologicznych, ale mnie – pomijając początkowy szok – wcale to nie przeszkadza. Evie jest moją córką i kocham ją. Później, kiedy już zupełnie straciliśmy nadzieję na własne dziecko, urodził się Ben, który ma oczy swojego taty i mój dołeczek w brodzie. Może zaczęła się tym martwić. Chcę ją mocno przytulić, ale Ben wrzeszczy: „Czekolada! Moja!” i nagle otacza mnie gromada maluchów, które wtykają pulchne palce w polewę i wyjadają cukrowe gwiazdki.

Niedługo potem wszyscy wychodzą, niosąc zawinięte w serwetki kawałki tortu i torebki z upominkami. Opici kawą rodzice tryskają sztuczną energią.

– Myślałam, że to się nigdy nie skończy – mówię ze śmiechem do Gill i Andy’ego. – Zostaniecie na lampkę wina?

Gill się waha. Każda chwila wolnego czasu jest dla niej bezcenna, ale Andy już się rozgląda za kieliszkami. Odkorkowuje wyjętą z lodówki butelkę chardonnay. Pierwszy łyk uderza mi do głowy. Nie zdążyłam zjeść porządnego śniadania, dojadłam tylko tosty Bena i Evie, a potem posilałam się zdrowym połączeniem ciasta owocowego Gill i ziemniaczanych chrupek.

– Zostaw. Później to zrobię – powstrzymuję Gill, która zaczyna

zbierać talerzyki z resztkami humusu.

Otwieram na oścież przeszklone drzwi do ogrodu i wychodzimy na dwór. Jest taki piękny dzień. Nasz dom, wysoki i wąski, zbudowany z tego samego szarego piaskowca co wszystkie okoliczne fabryki, stoi na samym końcu Rombald Lane. Za ogrodem, też wąskim i długim, ciągnie się ścieżka jeździecka, która mija pole golfowe i biegnie dalej. Za nią zaczyna się Wrzosowisko Rombalda. Na linii horyzontu trwają w niepewnej równowadze słynne głazy Krowa i Ciele, które wyglądają tak, jakby miały zaraz runąć w dół zbocza.

Andy trzyma na biodrze Ellen, w drugiej dłoni ma kieliszek. Wykończona zabawą Sophie siada obok Gill przy prostym ogrodowym stole. Zwija się w kłębek na krześle i kładzie głowę na kolanach mamy. Ogon Belli uderza rytmicznie o moją łydkę. Ben jeździ po ogrodzie na jaskrawożółtej plastikowej koparce. Czuję ulgę, że już po wszystkim, i cieszę się, że przyjęcie się udało. Staram się nie dopuścić, by gniew na Olliego zepsuł mi ten idealny moment, tę małą oazę spokoju. Kończy się popołudnie, ale wydaje się, że jest dużo później. Jakby już nadeszła jesień, chociaż to jeszcze sierpień. Ostatni dzień sierpnia. Moje dziecko z końca lata, myślę, patrząc na Bena. Aureola jego jasnych włosów lśni złociście w promieniach słońca.

– Chyba jest trochę nie w sosie – mówi Andy.

W pierwszej chwili myślę, że chodzi mu o Sophie, ale on ruchem głowy wskazuje Evie, która bawi się w drugim końcu wąskiego ogrodu.

– To pewnie po prostu zazdrość. Dziś cała uwaga skupia się na Benie – stwierdza Gill.

– Może masz rację. Wszystko było dobrze, póki był mały i słodki, ale teraz zabiera jej zabawki i domaga się, żeby się z nim bawiła...

– Skąd ja to znam! Uważa się za zbyt dorosłą, żeby się bawić z maluchem – mówi Gill, z czułością ściskając Sophie.

Zerkam na Andy'ego. Zna Evie lepiej niż Gill. Marszczy czoło. Nie sądzi, żeby to był prawdziwy powód zachowania mojej córki.

– Zaczęła pytać o swoich rodziców. Biologicznych rodziców – dodaję ściszym głosem w nadziei, że Sophie nie rozumie, o czym rozmawiamy.

– Tak, jest już w tym wieku, że może się zastanawiać nad swoim miejscem w rodzinie i dlaczego wygląda inaczej – wyjaśnia mi Andy.

Sprawia wrażenie zakłopotanego, jakby się bał, że mnie uraził.

– Mam nadzieję, że nie poświęcam za dużo czasu Benowi. – Przygryzam wargę.

– Możesz spędzać z nimi dwadzieścia cztery godziny na dobę, a dla nich i tak to będzie za mało – prychna Gill.

– Jak ty, kochanie? – pyta od niechcienia Andy.

Biorę kieliszek i podchodzę do Evie. W kącie ogrodu rośnie drzewo. Nie jestem pewna, jaki to gatunek, ale ma niskie konary i gruby, guzowaty pień. Evie uwielbia urządzać sobie jaskinię w jego rozszczepionym wnętrzu; teraz zwisa z gałęzi i rozmawia sama ze sobą. Nie przypominam sobie, żeby coś jadła na przyjęciu.

– Evie, słoneczko – mówię.

Zeskakuje na ziemię i staje twarzą do mnie. Szeroko rozstawione oczy nadają jej podobieństwo do spłoszonego zwierzątka, może kota. Ma ubrudzone trawą kolana. Jest ubrana w srebrnoniebieską sukienkę, zdaje się, że kopię sukni Elsy z *Krainy lodu*. To nie ja ją kupiłam.

Mam ochotę zapytać, skąd ją wzięła, ale nie chcę jej drażnić. Twarz mojej córki wykrzywia grymas niezadowolenia. Może pożyczyła od koleżanki? Wyciągam ramiona, starając się nie rozlać wina, ale Evie robi krok do tyłu.

– O co chodzi?

– O nic. Bawię się. To tajemnica. Nie chcę, żebyś tu była.

– Mogę się z tobą pobawić?

– Wtedy to już nie będzie tajemnica, prawda?

Zmieniam taktykę.

– Podobało ci się przyjęcie?

– Nie bardzo.

– Szkoda. Przecież uwielbiasz pieczenie tortów i przyjęcia! Źle się czujesz?

– Tak! Nie możesz mnie na pięć minut zostawić w spokoju?

Zaskakuje mnie tekst Olliego w ustach siedmiolatki i mam ochotę się roześmiać, ale powstrzymuję się, żeby jej nie urazić. Ostrożnie

odstawiam kieliszek na ziemię, gdzie się natychmiast przewraca i chardonnay wylewa się na trawę. Rzucam się na Evie, łapię ją i zaczynam łaskotać, próbując odegnać zły nastrój. Krzyczy i kopie, bynajmniej nie dla zabawy. A potem mnie gryzie. Wyrywa mi się jęk bólu, puszczam ją. Patrzę na mokry ślad na koszulce, czując na skórze ślady jej zębów. Chcę ją złapać, gdy do ogrodu wchodzi Ollie.

– Cześć wszystkim! – woła. – Chryste, wygląda, jakby tu przeszło tornado! Jakim cudem kilkoro maluchów może narobić takiego bałaganu?

Wędruję wzrokiem za jego spojrzeniem: cała podłoga, od ściany do ściany, zasłana jest pogniecionym papierem do pakowania prezentów i strzępami popękanych balonów. Wszędzie leżą poprzewracane krzesła. Na wszystkich płaskich powierzchniach piętrzą się stosy brudnych talerzy, na ziemi walają się niedojedzone kawałki ananasa, kiełbaski i pokruszone chipsy. Ollie marszczy brwi, wyraźnie niezadowolony, że zamiast sprzątać, siedzimy w ogrodzie i popijamy wino. Rzucam mu gniewne spojrzenie – nie może wracać do domu po wszystkim i narzekać na stan salonu. Chcę go zapytać, dlaczego, u diabła, nie przyszedł na czas, ale najpierw muszę załatwić sprawę z naszą córką.

– Evie... – zaczynam.

Ucieka; próbuję ją złapać, lecz śliska, błyszcząca tkanina sukienki wysuwa mi się z palców. Kiedy coś ją wytrąci z równowagi, zwykle idzie do Olliego, tym razem jednak go mija i wbiega do domu. Słyszę stukot bucików na schodach. Te srebrne sandały na obcasach też nie są jej.

– Przepraszam, że się spóźniłem – mówi Ollie. – W pracy był dom wariatów. Dopinamy umowę i naprawdę nie mogłem się wyrwać. – Unosi brwi. – Co się stało Evie?

– Jest...

– Jest sobą?

Zabiera z ziemi mój kieliszek i dolewa wina Andy'emu. Unika mego wzroku. Nie chce, żebym mu robiła wyrzuty przy przyjaciółach.

– Zdrówko! – mówi, trącając się z Andym butelką piwa. Całuje Gill w policzek.

Ma rację. Powinnam odpuścić. Przecież powiedział, że nie mógł się wyrwać. A Evie jest po prostu odrobinę zazdrosna. Przejdzie jej, kiedy zje kawałek tortu i da się dopieścić Oliemu.

Za to Ben świetnie się bawił. Mój mąż podaje mi kieliszek pełen po brzegi zielonozłotego wina, a ja uśmiecham się do niego, tłumiąc poczucie krzywdy. Nie mogę zapominać, jak wiele mamy: dwoje zachwycających dzieci, wspaniały dom, choć nie sądziłam, że kiedykolwiek będzie nas na taki stać, Gill i Andy'ego, najlepszych przyjaciół – i ten cudowny dzień. Biorę głęboki wdech i czuję, jak moje ramiona się rozluźniają. Wiatr przynosi ledwie wyczuwalny zapach wrzosów.

Jest już prawie wpół do dziewiątej, kiedy w końcu udaje mi się zapakować Bena do łóżka. Po uprzednim sprzątnięciu pobjowiska po imprezie, zlikwidowaniu kipiszu, jaki Evie urządziła w jego pokoju, usypianiu go przez dwie godziny, natknięciu się na niego na podeście schodów, ponownym utuleniu i okryciu kołderką. W końcu przestałam zwracać na niego uwagę; zasnął przytulony do traktora u podnóża schodów, które prowadzą do sypialni Evie. Odnoszę go ostrożnie do jego pokoju. Klękam przy jego łóżku i kładę głowę na kołderce. Wmawiam sobie, że to po to, by sprawdzić, czy na pewno śpi. Chrapie głośno, sapie i pochrząkuje jak jeź. Jestem tak zmęczona, że chętnie bym tam została. Od niedawna Ben zrezygnował z poobiedniej drzemki. Po południu jest zmęczony i marudny, więc ja też nie mam chwili wytchnienia; nie mogę podpisywać na maile ani nawet wypić filiżanki herbaty, zamknąć się w toalecie czy wziąć prysznic bez jego towarzystwa. Wieczorem też ociąga się z zaśnięciem. To nie ma sensu, przecież potrzebuje odpoczynku. W najgorsze dni łapię się na tym, że błagam go, żeby zasnął.

Ollie nie wstaje do niego w nocy, bo twierdzi, że nie może iść do pracy nieprzytomny. Ja jestem artystką, więc uważa, że mogę malować nawet wtedy, kiedy znajduję się na krawędzi obłądu.

Zmuszam się, żeby wstać, i cichutko opuszczam pokój Bena. Schodzę na dół. Nalewam sobie i Oliemu po kieliszku merlota. Mój mąż po raz pierwszy w tym roku rozpałił w kominku – po zachodzie słońca zrobiło się chłodno. Zerka na zegarek i zrywa się na równe

nogi, co byłoby zabawne, gdyby się przy tym uśmiechał.

– Jezu! Powinienem być teraz w barze.

– Wychodzisz?

– Praca. – Klepie się po kieszeniach, sprawdzając, czy ma telefon i portfel. – Jestem pewien, że ci wspominałem. Chwała Bogu, że udało mi się ich namówić na spotkanie w Ilkley, a nie w Leeds. Przepraszam, kochanie. Wiem, że przeze mnie musiałaś sama ogarnąć to całe przyjęcie.

Ton jego głosu sugeruje, że uważa urodzinową imprezę własnego dziecka za koszmarny obowiązek, a nie radosną zabawę, w której miałby ochotę uczestniczyć.

– Musisz iść?

– Tak. Wybacz.

– Nie było cię przez cały dzień. Opuściłeś drugie urodziny swojego syna!

– Powiedziałem, że przepraszam. Finalizujemy ważną umowę, już ci to mówiłem. Wierz mi, że wolałbym poleżeć z tobą na kanapie.

Cmoka mnie w policzek.

Przygryzam wargę. Nie chcę stać się jedną z tych kobiet, które nieustannie zrzedzą i narzekają. Przelewam jego wino sobie do kieliszka i nastawiam swój ulubiony film, *Przeminęło z wiatrem*. Chcę odciąć się od zalewającego mnie uczucia wściekłości. Zrzucam kapcie i zwijam się w kłębek w rogu kanapy, obok Belli. Psica sapie z zadowolenia, gdy wsuwam palce w jej miękkie futro. Sączę wino, gratulując sobie, że przeżyłam urodzinowe przyjęcie dwulatka bez najmniejszej pomocy męża.

Wrzesień, poniedziałek

Ukośny snop światła wpada do kuchni, rozświetlając jasnozielone oczy Evie, która siedzi przy stole i je płatki śniadaniowe. Jest taka piękna i eteryczna. Jak to się stało, że jest *moją* córką? Czym sobie na nią zasłużyłam? Na nią i na Bena? Nachyliłam się i daję jej całusa.

– Mamusiu! – mówi. – Umazałaś mi twarz jogurtem.

Poranki zawsze są nerwowe. Ollie wychodzi, zanim się obudzimy, nie mogę więc liczyć na jego pomoc. Dziś stresuję się jeszcze bardziej niż zwykle – jestem umówiona ze swoją agentką w galerii w Ilkley. Wczesną wiosną będę miała indywidualną wystawę. Jestem do tyłu z robotą; brakuje mi tyłu obrazów, że kiedy o tym myślę, dostaję palpitanie.

Zaczęłam wreszcie zdobywać uznanie – nie tylko innych artystów, lecz także właścicieli galerii – kiedy niespodziewanie zaszłam w ciążę. Zawsze marzyłam o urodzeniu dziecka, ale nie chcę teraz stracić pozycji, którą zdążyłam sobie wyrobić. Trudno pogodzić malowanie z opieką nad dwójką dzieciaków. Ben chodzi do żłobka przy szkole Evie, zanim jednak wrócę do domu, sprzątnę pobożowisko po śniadaniu i wyprowadzę Bellę, mija tyle czasu, że na pracę zostaje mi zaledwie godzina albo dwie. Niekiedy mam wrażenie, że dopiero wzięłam pędzel do ręki, a już muszę znowu szykować się do wyjścia.

Karmię Bena pełnoziarnistymi płatkami zbożowymi, które są wszędzie – na śliniaku i na czystym ubranku. Bella skomle i skrobie w drzwi. Evie kończy wreszcie swoje płatki i miesza łyżką w resztkę mleka, uważnie obserwując koncentryczne fale, które w ten sposób tworzy.

– Evie – mówię ostrzej, niż zamierzałam. – Idź przygotować się do wyjścia. Nie zapomnij umyć buzi i wyczyścić zębów.

Zsuwa się z krzesła i odchodzi. Ścieram beżową papkę z policzków Bena, niejasno uświadamiając sobie, że słyszę rytmiczne walenie ogona Belli o podłogę. A to znaczy, że Evie jest z psem, zamiast szykować się do szkoły. Podnoszę wzrok i widzę ją w korytarzu.

Włożyła płaszczyk, owinęła szyję szalikiem i siedzi na podłodze, mocując się z butami. Obok niej leży czapka.

– Evie! – wołam.

– Co?

– Nawet nie umyłaś... – Urywam.

– Przecież powiedziałaś, że mam się przygotować do wyjścia!

Ciska czapką w drzwi, wykrzywia buzię i wybucha zawodzącym łkaniem, które tak dobrze znam. Biorę głęboki oddech. To moja wina. Dokładnie wykonuje moje polecenie – najpierw szykuje się do wyjścia, a potem pójdzie na górę, żeby umyć zęby. A teraz płacze, bo zrobiła coś źle i nie wie co, i dlaczego się na nią gniewam. Wyjmuję Bena z krzeselka przy stole i idę ją przytulić. Ben też otacza ją ramionami, ale Evie go odpycha. Ocieram jej łzy, odwijam szalik i pomagam zdjąć płaszczyk.

– Pójdź do łazienki, umyj buzię mydłem i wyczyść zęby. Szczotkuj je z minutnikiem do jajek. A potem zjedź na dół i razem ubierzemy się do wyjścia.

Spazmatycznie wciąga powietrze i kiwa głową. Zaczynam ubierać Bena w kombinezon. Problem Evie nie ma konkretnej nazwy. Składa się z elementów różnych zaburzeń. Wydaje mi się, że ten akurat – wykonywanie poleceń w ścisłej kolejności i nieumiejętność przetwarzania informacji – wynika z lekkiej dyspraksji. Możliwe, że ma również dysleksję. Lekarze nie potrafią postawić diagnozy i, wstyd powiedzieć, gdyby Evie była moim biologicznym dzieckiem, pewnie tak jak Ollie śmiałabym się z tego, uważając, że taka już jest jej szczególna natura. Ale ponieważ nim nie jest, winię za to jej prawdziwą matkę. To przez nią Evie ma bliżej nieokreślone dysfunkcje.

To niesamowite, jak dzieci są całkowicie zanurzone w bieżącej chwili. Pcham spacerówkę z Benem po Rombald Lane, Bella drepcze na smyczy przywiązana do rączki wózka, a Evie tańczy obok, śpiewając i paplając na przemian. Nie ma już żalu do Bena o jego przyjęcie urodzinowe, zapomniała o niedawnych łzach i znów jest moją pełną życia, uroczą, pogodną córeczką, która obsypuje brata czarodziejskimi całusami.

– Buziak dla Evie – śmieje się Ben, odwzajemniając się jej głośnym cmoknięciem.

Prawie całą drogę do szkoły biegnie w podskokach. Przy furtce mocno przytula mnie na pożegnanie, niemal miażdży Bena w czułym uścisku i odbiega, wymachując rękami. Jej nauczyciel Jack Mitchell czeka na uczniów w drzwiach klasy.

– Cześć, Evie! – woła. – Co stworzyłaś w ten weekend?

Kuca przy niej i słyszę, jak Evie opowiada mi szczegółowo o kosmicznym chaosie, który wyprodukowała w pokoju Bena. Evie uwielbia Jacka. Jest jednym z tych łagodnych, dobrotliwych i zabawnych mężczyzn, do których dzieciaki po prostu lgną. Jest dorosłym dzieckiem. Myślę, że jego rozwój w pewnym momencie się zatrzymał i dlatego Jack nadaje na tej samej fali co maluchy do dziewiątego roku życia. Zna Evie od maleńkości, bo wcześniej pracował w żłobku, a w wolnym czasie chętnie babysituje. Wiem, że to wbrew zasadom, ale w takim małym mieście jak Ilkley jego pomoc jest bardzo cenna.

– Z tego, co mówisz, to mi wygląda na instalację artystyczną – stwierdza Jack, a Evie z powagą kiwa głową.

Jack nie zwraca na mnie uwagi, jest całkowicie skupiony na Evie, do czego zdążyłam się już przyzwyczaić i jestem mu za to wdzięczna. Kto inny słuchałby z takim zainteresowaniem jej niekończących się opowieści o klockach Lego i czarach? W tym roku Jackowi przydzielono nową nauczycielkę wspomagającą, Hannę White. W tej chwili rozmawia z dziećmi, które są już w klasie. Nie znam jej zbyt dobrze, ale Evie chyba nieźle się z nią dogaduje. Hanna podnosi wzrok i dostrzega moją obecność.

– Pani Morley? Ma pani chwilkę? Możemy zamienić słówko? – pyta.

Myślę o Jennifer Lockwood, mojej agentce, która czeka na mnie w galerii, i niechętnie kiwam głową. Na pewno chodzi o ortografię Evie. Albo o matematykę.

– Zapraszam do klasy. Nie mogę zostawić dzieci, a pan Mitchell zgodził się zająć Evie – dodaje z uśmiechem. Ma proste, idealnie równe zęby.

Odwraca się i kieruje w głąb pomieszczenia. Skoro zorganizowała to w porozumieniu z Jackiem, widocznie chodzi o coś bardziej niepokojącego, niż sądziłam. Wyjmuję Bena z wózka. Zachwycony niecodzienną okazją, wbiega do środka, kierując się prosto do stosu kartonowych pudełek przygotowanych na zajęcia plastyczne. Hanna podaje mi zeszyt Evie.

Krągłe kształty i wążutka talia nauczycielki upodabniają ją do klepsydry. Jest ubrana w skromną granatową sukienkę z krótkimi rękawami, uszytą z materiału w wytłaczane wzory. Mimo lekkiego chłodu ma gołe nogi, a na nich jasnobrązowe sandały. Idealny strój, praktyczny, lecz jednocześnie nadający jej profesjonalny wygląd. Tłumię przyływ zazdrości. Mówię sobie, że też bym się lepiej postarała, gdyby mi naprawdę zależało.

Zeszyt jest otwarty na stronie z rysunkiem przedstawiającym księżniczkę w wysokim zamku z mnóstwem spiczastych wieżyczek. Na następnej kartce uśmiechnięta księżniczka stoi między mężczyzną i kobietą. Trzymają się za ręce. Staram się nie okazać przerażenia koszmarną pisownią Evie.

„DaFno daFno temu rzyła sobie KsieNrzniczka...”.

Czyżby Hanna zamierzała robić mi wyrzuty, że za mało czasu poświęcam na ćwiczenie ortografii z Evie? Czytam dalej. Księżniczka mieszka z przybranymi rodzicami, którzy są okropni i niegodziwi. Zamiast zostać wyratowana przez księcia, wyrusza na wrzosowisko, by odnaleźć prawdziwych rodziców. Spotyka olbrzyma i czarownicę, ale pokonuje ich swoją magiczną różdżką, która zamienia się w miecz. Odnajduje mamę i tatę, a potem wszyscy żyją długo i szczęśliwie.

– Niesamowita wyobraźnia, prawda? – mówi Hanna, zakładając za ucho kosmyk długich jasnych włosów. Ma zielone oczy. Okrągłe, młodzieńczo pulchne policzki. Wygląda, jakby dopiero skończyła college, ale musi mieć co najmniej dwadzieścia pięć lat. – Nawet jej ortografia trochę się poprawiła.

– Hm – bąkam.

– Co pani myśli o treści? – pyta poważnym tonem.

Rumienię się. Mam wrażenie, że to jakiś tajemniczy egzamin, który

za chwilę obleję.

– Przyszło mi do głowy – mówi wolno Hanna – że Evie próbuje w ten sposób rozwiązać jakieś swoje problemy.

– Problemy?

– Tak. Związane z tym, że jest dzieckiem adoptowanym.

– Och.

Jeszcze raz oglądam rysunki w zeszycie. Księżniczka ma ciemne włosy i zielone oczy. Macocha i ojczym są niebieskookimi blondynami. Nawet czarownica i zły olbrzym mają jasne włosy. Kiedy bohaterka opowiadania odnajduje w końcu prawdziwych rodziców, na obrazku Evie wszyscy troje są narysowani w równym rzędzie, jak ziarenka groszku w strąku, zielonoocy i z długimi czarnymi włosami.

– Adoptowaliśmy ją zaraz po urodzeniu. Od samego początku zna tylko nas – mówię obronnym tonem.

Zerkam nad ramieniem Hanny, co się dzieje w tylnej części klasy. Ben porozrzucił kartonowe pudełka i kawałki styropianu po całym dywanie.

– Badania pokazują, że dzieci adoptowane zaraz po urodzeniu też zmagają się z poczuciem straty – mówi Hanna. – W końcu znały swoją matkę od poczęcia. Poród cementuje więź, którą nawiązały z nią jeszcze w macicy.

– Czuje się trochę zagrożona i zazdrosna z powodu Bena, to wszystko – ucinam. – W weekend miał urodziny.

Jak Evie mogła „nawiązać więź” z kobietą, która próbowała zabić ją, kiedy była płodem? Do klasy wchodzi mała dziewczynka. Przytula się do nogi Hanny, która schyla się i gładzi ją po głowie.

– Rozmawiam z mamusią Evie, skarbie – mówi miękko. – Za chwilę do ciebie przyjdę.

W jej uśmiechu jest tyle empatii i troski, że natychmiast załuję swojego szorstkiego tonu.

– Jeśli pani chce, możemy spróbować terapii przez sztukę i zabawę – proponuje.

– Terapii przez sztukę i zabawę?

– Zanim tu przyjechałam, pracowałam z dziećmi w krajach Trzeciego Świata. Wie pani, one mają naprawdę ciężkie życie w

porównaniu... Chcę powiedzieć, że wiele z nich straciło rodziców albo rodzeństwo w wyniku wojen i chorób. Do tego dochodzi wykorzystywanie seksualne, zwłaszcza dziewczynek... Taka terapia pozwala im bezpiecznie odreagować to, co ich spotkało, i wyrazić tłumione emocje.

– Och. Musiało być pani bardzo trudno. Słuchanie, co spotkało te dzieci...

Nie wiedziałam, że Hanna pracowała za granicą. To, co mówi, wydaje się niezmiernie odległe od niepokojów i lęków klasy średniej w Ilkley.

– Rzeczywiście. Czasem myślałam, że pęknie mi serce. – Wzdycha cicho i wzrusza ramionami, jakby chciała strząsnąć z siebie przerażające wspomnienia. – Może warto spróbować z Evie. Mogłybyśmy odegrać jakąś scenkę z udziałem lalek albo poprosić, żeby napisała kolejne opowiadanie.

Waham się. Nie chcę, żeby Evie czuła, że istnieją uzasadnione powody do obaw. Wolałabym, by nauczyciele nie robili tyle zamieszania z powodu tego, że jest adoptowana.

– Kochamy Evie tak samo, jakby była naszym biologicznym dzieckiem – mówię.

Hanna przechyliła głowę.

– Nie wątpię, pani Morley.

– Proszę mi mówić Zoe. I dziękuję, że pokazała mi pani jej zeszyt – dodaję z zakłopotaniem, choć przecież ona próbuje nam tylko pomóc.

– Wystarczy, jeśli będzie pani miała ją na oku. Proszę mnie zawiadomić, jeśli znów coś takiego się pojawi.

– Zawiadomię – obiecuje. Jej słowa toną we wrzasku Bena, który właśnie się przewrócił.

Hanna odprowadza mnie do drzwi.

– Pan Mitchell prosił, by pani przekazać, że następna sobota mu pasuje. A ja chciałam powiedzieć, że gdyby kiedyś nie mógł i gdyby pani kogoś potrzebowała, też chętnie zaopiekuję się dziećmi.

Jack zgodził się w sobotnie popołudnia zabierać Bena i Evie, żebym mogła trochę pomalować, bo Ollie w weekendy coraz dłużej siedzi w pracy, a dodatkowa pomoc zawsze się przyda.

– Dziękuję. Evie będzie zachwycona – mówię.

Twarz Hanny rozpromienia się w uśmiechu.

Zostawiam Bena w żłobku i idę na Brook Street. Chcę zapewnić Jennifer Lockwood, że malowanie dobrze mi idzie. W drodze do galerii ogarnia mnie niepokój. Skoro nie tylko ja zauważyłam, że Evie się dziwnie zachowuje, może naprawdę dzieje się coś niedobrego? Poza tym denerwuję się, bo prawdę powiedziawszy, Jenny trochę mnie przeraża. Jest ciepłą osobą, lecz przy tym kompetentną i skuteczną bizneswoman. Ollie nazywa ją żelazną pięścią w aksamitnej rękawiczce. Tak bardzo bym chciała, żeby moja wystawa odniosła sukces.

Przywiązuję Bellę na zewnątrz i wchodzę do środka. Galeria jest piękna: biała otwarta przestrzeń wypełniona chłodnym, czystym światłem znad wrzosowiska. W swojej impregnowanej kurtce i poplamionych farbą džinsach czuję się w obecności Jenny straszliwie zaniedbana. Jak zwykle jest ubrana na granatowo, a usta ma pociągnięte czerwoną szminką, która stanowi jej znak rozpoznawczy. Jest zajęta rozmową, rozglądam się więc po sali. Obecnie trwa wystawa artysty, który maluje ptaki z drobiazgową dbałością o szczegóły; można wyraźnie rozróżnić najmniejsze lśniące piórko. Tło obrazów tworzą impresjonistyczne plamy kolorów, farba wydaje się spływać i przesiąkać przez płótno. Błękit kobaltowy nektarnika czy cytrynowa żółć pajęcznika długodziobego sprawiają w sercu Yorkshire nieprawdopodobnie egzotyczne wrażenie.

Mężczyzna, z którym rozmawia Jenny, patrzy prosto na mnie. Jest wysoki, barczysty, zbudowany jak żołnierz, a nie artysta czy marszand. Ma ciemne zmierzwione kędziory i nieogoloną twarz. Jest w nim coś z lwa. Gniewnie marszczy czoło. Może niechcący przerwałam mu rozmowę z Jenny albo rozzłościła go Bella, która skrobie w drzwi. Jenny wynurza się zza ogromnego wazonu pełnego srebrników i kangurzych łap.

– Pozwólcie, że was sobie przedstawię. Harris, jeden z moich artystów, a to...

– Zoe Butterworth – dopowiada za nią nieznajomy. Mówi z akcentem z Bradford.

Podchodzi do mnie z wyciągniętą ręką i mocno ściska moją dłoń. Jego dłoń jest ciepła, a palce są pokryte odciskami.

– Och – mówię oszołomiona. – Skąd pan mnie zna?

– Podobają mi się pani prace.

– Jak się masz, Zoe? – Jenny całuje mnie w policzek.

– Dobrze, dziękuję. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Już skończyliśmy – stwierdza Harris.

– Przyszłam pokazać ci zdjęcia swoich najnowszych obrazów. Mam je w telefonie.

Przepraszam, że nie odpowiadałam na twoje maile...

– Wiem, jaka jesteś zajęta, Zoe – przerywa mi z uśmiechem Jenny.

– Nie musisz mnie uspokajać. Twoje obrazy są świetne i jestem pewna, że zdążysz przygotować je na wystawę.

Mimo to wyciąga rękę po urządzenie. Ku mojemu zdziwieniu Harris podchodzi do Jenny i pochyla się nad ekranem smartfona.

– Dobrze – oznajmia lakonicznie, a ja z zaskoczeniem stwierdzam, że to jedno słowo sprawia mi większą przyjemność niż wylewne zachwyty.

Jenny kiwa potakująco głową.

– Odezwij się, jak będziesz gotowa je przywieźć – mówi. – Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę je wszystkie w komplecie.

Harris wychodzi z galerii razem ze mną.

– Chcesz pójść na kawę? – pyta, nie czekając, aż zamkną się za nami drzwi.

Rzucam mu pełne zdziwienia spojrzenie. Przygląda mi się spokojnie; jeszcze ani razu się nie uśmiechnął. Nie tłumaczy się ani nie próbuje mnie namówić, żebym przyjęła jego zaproszenie. Głaszcząc po łbie Belle, zdejmuję z haka w murze smycz i podaje mi ją. Czekam na odpowiedź.

– Okej – mówię. – Z przyjemnością. – Uśmiecham się jak idiotka.

Odwraca się i rusza przed siebie; muszę niemal biec, by dotrzymać mu kroku. Wymijam przechodniów, starając się nie zaplątać w smycz Belli. Nie pyta, dokąd chcę pójść. Mija obojętnie Costa Coffee, Bettys – pewnie są dla niego zbyt pretensjonalne – i The Bar, gdzie ja bym poszła, gdybym chciała napić się porządnej kawy, i raptownie skręca

w boczną uliczkę.

Budzi się we mnie ciekawość; nie mam pojęcia, dokąd mnie prowadzi. Daje nura w ostatnie drzwi przed miniaturowym pasażem handlowym na Back Grove Road. Jakoś nigdy nie zauważyłam tej kafejki. Mieszczą się w niej tylko trzy nieduże boksy z drewnianymi ławkami i krótki bar, na którym stoją dwa talerze: cytrynowożółty z brownie i niebieski z kokosowymi makaronikami. W słoju z wodą powoli obraca się spirala z ogórka. I to wszystko. Za to zapach przyprawia o zawrót głowy: worki z grubego płótna zawierają co najmniej osiem gatunków kawy. Na przywieszkach widnieją nazwy *fazendas*, z których pochodzą.

– Jaką kawę pijesz? – pyta.

– Poproszę latte.

Obrzuca mnie zniesmaczonym spojrzeniem i z nieskrywanym obrzydzeniem pyta, czy chcę ciastko. Kręcę głową, chociaż chętnie zjadłabym makaronik. Siadam w jednym z boksów. Bella wsuwa się pod ławkę i układa łeb na moich stopach. Harris wciska się za stół naprzeciwko mnie i bez skrępowania mierzy mnie wzrokiem. Zaczynam czuć się niezręcznie. Co ja tu robię z tym obcym facetem? Powinnam być w domu i malować. Obliczam, ile zostało mi czasu do odebrania Bena. Kawa Harrisa jest czarna, powleczone cienką warstewką pianki; wygląda na zabójczo mocną.

– Jakie obrazy malujesz? – pytam.

Kręcę głową, potrząsając lokami.

– Jestem rzeźbiarzem. Tworzę ze złomu. Kształty, jakie mogłabyś spotkać na wrzosowisku. Albo nie spotkać. – Chyba muszę mieć zdziwioną minę, bo wyjaśnia: – Kiedy patrzysz na jedną z moich rzeźb, odnosisz wrażenie, że mogłabyś ją znaleźć na wrzosowisku.

Pasowałaby tam. Jakby to było jej miejsce. Jakby tam wyrosła. Albo wypluła ją ziemia. – Wzrusza ramionami. – Trudno to wytłumaczyć słowami, prawda? Swoją sztukę. – Wyjmuje z kieszeni kurtki ulotkę. – Niedługo będę miał wystawę. Przyjdiesz na wernisaż?

Przesuwa ulotkę w moją stronę. Jest na niej jego czarno-białe zdjęcie i fotografia jednej z rzeźb, surowej, pokrytej rdzą i w jakimś

sensie udreżonej. Jego wyciągnięta przez stół dłoń, koniuszkami palców przytrzymująca brzeg ulotki, także ma w sobie coś z rzeźby: długie mocne palce pokrywa siateczka blizn i odcisków. Mam ochotę jej dotknąć. Patrzę na zaproszenie, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Czy jego śmiałość bierze się stąd, że również jestem artystką, która wystawia w tej samej galerii? Ja też chcę, żeby ludzie przychodzili na moje wystawy, ale mam za mało tupetu, by zapraszać przypadkowych nieznanomych czy choćby rodziców, których znam ze szkoły. A kiedy już się na nich pojawiają, jestem zbyt zdenerwowana, by odpowiednio zareklamować swoją sztukę.

Ni stąd, ni zowąd wybucha śmiechem. Podnoszę na niego wzrok. Ma bardzo białe zęby kontrastujące z oliwkową cerą. Jest stąd? Może długo przebywał za granicą i dlatego jest taki ogorzały i wysmagany wiatrem?

– Za wcześniej? – pyta, cofając rękę do kubka z kawą. – Przed chwilą cię poznałem, a czuję, jakbym cię znał całe życie. Śledziłem twoją twórczość. Jenny dopiero od niedawna jest moją agentką, podwędziła mnie innej galerii, ale zauważyłem, że ciebie też reprezentuje.

Pomyślałem, że prędzej czy później na siebie wpadniemy.

– Śledziłeś moją twórczość? – powtarzam jak echo.

– Tak. Zauważyłem, że oboje jesteście związani z wrzosowiskiem. To widać we wszystkim, co robisz. W twoich pracach jest jakaś brutalność. Są posępne, nawet kiedy używasz najładniejszych kolorów. *Zachód słońca nad Dwunastoma Apostołami. Świt nad Czarnym Ruczajem.*

Obrazy, których tytuły wymienił, namalowałam cztery lata temu. Apostołowie to krąg dwunastu głazów z epoki neolitu na szczycie Wrzosowiska Rombalda, być może związany z kultem słońca. Na moim obrazie sylwetki granitowych bloków odcinają się ostro od łososiowego różu i bladych żółci nieba. Jenny powiedziała mi, że muszę trochę rozjaśnić prace, stosować szerszą paletę barw. Będą się lepiej sprzedawać.

– To nic, że niebo jest jasne, twoje obrazy i tak pokazują, jak przytłaczająco puste jest nasze życie w zderzeniu z ogromem otwartej

przeestrzeni. – Jakby czytał mi w myślach. Pochyliła się ku mnie. – Czuję to, kiedy patrzę na twoje prace. Zagrożenie. Na wrzosowisku łatwo się zgubić. Zapaść się w bagno. Zostało nam tak niewiele obszarów dzikiej przyrody, ale jeden z nich, dziewiczy i nieokiełznany, mamy pod nosem.

Kiwam głową. To jest dokładnie to, co myślę, co staram się sportretować w obrazach. Bezmyślne okrucieństwo natury współistniejące z naszą tak zwaną cywilizacją.

– Ludzie zwracają uwagę głównie na kolory. Kupują moje obrazy, bo przypominają im hrabstwo York albo niebo pasuje im do obicia kanapy – mówię. – Nie dostrzegają brutalności.

Często słyszę: „Pani musi naprawdę lubić te wrzosowiska”. Nie wiem. To nie jest tak, że kocham je albo nienawidzę.

– To nie ma nic wspólnego z *lubieniem*. Po prostu są tam, stanowią część ciebie, tak samo jak twoje kości albo krew w twoich żyłach.

Patrzę na niego z zaskoczeniem. Mam wrażenie, że dokończył za mnie zdanie. Nagle czuję, że muszę się uśmiechnąć; to silniejsze ode mnie. Bella wyczuwa tę zmianę nastroju i zaczyna walić nas ogonem po nogach.

– Śledziłem twój rozwój jako artystki – ciągnie Harris, głaszcząc ją po łbie. – To wszystko było widoczne już na samym początku: idee, koncepcje. Ale teraz udaje ci się połączyć je ze sobą, wlać w nie życie.

– Tak! – potwierdzam. – Jakbym osiągnęła nie łatwość, bo to nigdy nie jest łatwe, ale harmonię. Nie mam na myśli kolorów...

– Nie – zgadza się ze mną. – To się dzieje na poziomie koncepcji. Wszystko się spięło razem. Nie ma rozdźwięku między tym, co chcesz wyrazić, a kompozycją twoich obrazów.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam okazję rozmawiać w ten sposób o swojej sztuce – może na studiach? Albo tuż po ich ukończeniu, kiedy wynajmowałam pracownię razem z innymi artystami? Ollie zawsze mnie wspierał, ale to nie jest jego świat. Nie widzi żadnej różnicy między mną i swoją klientką, która fotografuje zamrożone kwiaty, poza tą, że ja zarabiam mniej.

Jenny sprzedaje moje obrazy za duże pieniądze, ale nie maluje wystarczająco szybko, by zbić majątek. Pieniądze nie są zresztą

najważniejsze, nawet jeśli dla Olliego nic innego się nie liczy.

– Tak, masz wyjątkowy talent, Zoe Butterworth – stwierdza Harris.
Rozsadza mnie duma.

Przy całej swojej szorstkości jest zaskakująco sympatycznym rozmówcą. Poza tym to miłe, muszę przyznać, że inny artysta poświęca swój czas na oglądanie moich obrazów. Dopijam latte i zaczynam myśleć o tym, że muszę się zbierać. Natychmiast to wyczuwa.

– Zamówić ci jeszcze jedną? – pyta.

Powinam już iść. Ale tak cudownie jest rozmawiać o sztuce, że nie potrafię się zmusić do wyjścia.

– Teraz moja kolej – mówię, wstając.

– Nie.

Zamawia następną latte i wraca z dwoma kokosowymi makaronikami.

– Na pewno nie jest ci łatwo pracować, kiedy masz w domu dwoje małych dzieci.

Znów mnie zaskoczył. Skąd on to wie?

– Artykuł w „The Telegraph”.

Pamiętam tamten tekst. Ilustrowało go moje zdjęcie z Evie i Benem, który miał wtedy pół roku. Chciałam jak najszybciej wrócić do malowania, ale nie miałam co z nim zrobić; wydawał mi się o wiele za mały, by oddać go pod opiekę obcym ludziom. Jenny wpadła na pomysł, żeby wzbudzić zainteresowanie moimi pracami właśnie wtedy, kiedy nie byłam w stanie go zaspokoić.

Zadziałało. Klienci ciągle pytają o nowy obraz Zoe Butterworth, jak twierdzi Jenny. Po ślubie przyjąłam nazwisko Olliego, Morley, ale dla celów zawodowych zachowałam własne. Podoba mi się to rozróżnienie. Zdjęcie zrobił miejscowy fotograf. Ustawił nas na Well's Walk; stoję, trzymając na biodrze Bena, oparta o jeden z mostków nad strugą; Evie wyziera jak leśny duszek pomiędzy liści ogromnego agapantu.

– To okropne, że możesz pracować tylko rano, kiedy córka jest w szkole, a synek w żłobku.

Przytakuję, wgryzając się w makaronik.

– A mąż? Pomaga ci?

Kręcę przecząco głową.

– Ollie jest księgowym. Prowadzi księgowość artystom ze świata mody, muzyki i sztuki.

Mają ciekawą pracę, ale nieregularne dochody. Prawdziwy koszmar z punktu widzenia podatków. Sam wiesz, jak to jest. Ciągłe nie ma go w domu – dodaje. Makaronik jest pyszny: chrupiący z wierzchu, z rozpływającym się nadzieniem. Bella wyczuwa jego zapach i skomle. Oddaje jej ostatni kęs.

– Dawniej często wychodziliśmy razem, bywaliśmy na pokazach mody i promocjach książek. Ale teraz Ollie ma wielu sławnych klientów, którzy patrzą na mnie z góry, jakbym była nikiem. Żoną ich księgowego... – Urywam. Nie wierzę, że rozmawiam o tym z zupełnie obcym człowiekiem. W Harrisie jest jednak coś, co skłania mnie do mówienia – może uwaga, z jaką mnie słucha.

– Ma pieniądze, ale ci nie pomaga – podsumowuje. Brutalność tego sformułowania zapiera mi dech. – Nie chodzi tylko o brak czasu, prawda? Także o wolną głowę. Artysta potrzebuje swobody, żeby myśleć i czuć. Przeistaczanie się z matki w malarzkę na dwie godziny dziennie... nie może być łatwe.

Przytakuję. Harris pochyla się w moją stronę i wpatruje się we mnie tak intensywnie, że chcę odwrócić wzrok, lecz nie jestem w stanie.

– Musisz pracować. Jesteś utalentowaną artystką. Nigdy o tym nie zapominaj. – Odchyła się z powrotem na oparcie ławki, wyjmuje z kieszeni kilka monet i zostawia napiwek obok swojego kubka. – Nie będę cię dłużej zatrzymywał. Wiem, że masz robotę.

I już go nie ma. Szarpię się z kurtką, po omacku szukam smyczy. Nagle czuję się bardzo samotna. Nie zdążyłam nawet wziąć od niego numeru telefonu ani adresu mailowego. Zostawił za to ulotkę. Chowam ją do kieszeni i ruszam do domu. Nigdzie nie widzę Harrisa. Idę krętą Well's Walk, mijam miejsce, gdzie fotograf zrobił mi zdjęcie z dziećmi do gazety, docieram do skraju wrzosowiska i przechodzę obok jeziora The Tarn. Trzy kaczki krzyżówki na widok Belli wskakują z pluskiem do wody, na co ona wydaje z siebie ciche

szczeknięcie, prawie warknięcie.

Ledwie sobie zdaję sprawę, gdzie jestem. Myślę o Harrisie. O jego intensywności. O tym, że świetnie rozumie i mnie, i moje malarstwo. Mam wrażenie, że ktoś zdjął mi z ramion ciężki płaszcz, i przez kilka minut czuję się tak lekko, jakbym unosiła się w powietrzu. Znowu jestem do szaleństwa, namiętnie zakochana w malowaniu, pełna pewności siebie i wiary we własne siły. Wyobrażam sobie wernisaż: moje obrazy na czystych, białych ścianach, gości sączących wino, podniecający szmer rozmów.

Czy dam radę? Czy zdążę? Termin zbliża się nieubłaganie. Ogarnia mnie niepokój: skąd wziąć czas, jak oczyścić umysł, by się otworzył na inspiracje? Nawet proste praktyczne zadania w rodzaju zamówienia nowej puszkii oleju lnianego czy wykonania większej liczby zdjęć, które są mi potrzebne jako materiał bazowy, urastają do rangi nierozwiązywalnych problemów. Biorę głęboki oddech. Jakoś to zorganizuję. Poradzę sobie. Gdy formułuję to postanowienie, widzę w wyobraźni Harrisa, który wpatruje się we mnie swoimi dziwnymi piwnymi oczami o tęczęwkach przetykanych pasmami zieleni. Ma takie niecodzienne imię – Jenny nie wymieniła jego nazwiska, ale imię brzmi jak nazwisko. Na ulotce też widnieje tylko Harris. Harris. Jak Madonna. Chichoczę rozbawiona, bo jest ostatnią osobą, która może się kojarzyć z gwiazdą popu.

Zwykle schodzę ze ścieżki na Cowpasture Road i docieram do domu ulicą, ale dziś przechodzę przez strumień i zawracam na wrzosowisko. Powietrze wypełnia niskie, prawie niesłyszalne brzęczenie pszczoł krążących nad krzaczkami jagód. Przy Hangingstone Road wchodzę na ścieżkę jeździecką, która biegnie wzdłuż surrealistycznie zielonej murawy pola golfowego. Na dobrą sprawę nie mam po co wracać do domu: kiedy do niego dotrę, będę musiała zrobić w tył zwrot i wyruszyć z powrotem. Postanawiam pojechać po Bena samochodem.

Przynajmniej Bella porządnie się wybiega.

Kiedy idę ścieżką jeździecką, nagle przechodzą mnie ciarki i wzdrygam się jak koń. Bella wydaje to swoje dziwne powarkujące szczeknięcie. Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

W zasięgu wzroku nie widać żywej duszy. Nawet na Krowie ani Cieleciu nikt nie stoi, chociaż zwykle są tam jacyś ludzie. Domy naszych sąsiadów są dyskretnie zasłonięte gęstymi żywopłotami, nikt nie może nas zza nich śledzić, chyba że stałby w oknie na piętrze. Zatrzymuję się na wysokości naszej posesji. Mamy w planach postawienie drewnianego ogrodzenia i posadzenie żywopłotu. Zamierzamy też umieścić w nim furtkę, żeby można było wyjść na drogę bezpośrednio z naszego trawnika. Na razie ze ścieżki na tyłach domu mogę przez siatkę zajrzeć do naszej kuchni. Widzę swoją pracownię, sąsiadujący z nią pokój Bena i mansardowe okno pokoiku Evie. Są widoczne dla każdego, kto tu stanie.

– Pamiętasz to opowiadanie, które napisałaś dla panny White? – pytam wieczorem Evie, siedząc na jej łóżeczku. – Było bardzo dobre. Naprawdę wyobrażasz sobie, że jesteś księżniczką, która szuka swoich prawdziwych rodziców?

Sama wybrała sypialnię na poddaszu, mimo że jest najbardziej oddalona od pokoiów pozostałych domowników. Chociaż jest bardzo duża, skosy są tak ostre, że nawet dziecko nie zdoła się pod nimi wyprostować. Niepokoję się, że Evie może spróbować dostać się na strych, gdzie trzymamy różne graty. Ułożona na starych belkach podłoga jest trochę niestabilna. Patrzy na mnie jak na idiotkę. Zdmuchuje włosy, które opadły jej na oczy, i pada do tyłu na łóżko.

– To tylko opowiadanie, mamusiu. Olbrzymy i czarownice nie istnieją. Czytamy *Pajęczynę Charlotty* czy nie?

Rezygnuję z dalszego wypytywania. Kiedy w końcu ona i Ben zasypiają, siadam na kanapie i czekam na Olliego. Nalałam sobie duży kieliszek wina i jeszcze raz przeglądam opowiadanie Evie. Nie jestem pewna, czy Hanna ma rację: ortografia wydaje się równie koszmarna jak wcześniej.

Ollie całuje mnie w policzek. Jego twarz jest zimna. Obserwuję ukradkiem, jak odwiesza płaszcz i zakłada marynarkę na wieszak. Idzie do kuchni, po drodze zbiera z ziemi zabawki i wrzuca je do drewnianych skrzynek na kółkach, które ustawił w szeregu pod ścianą jadalni.

– Dobrze ci minął dzień? Jest coś na kolację?

– Jeszcze nie. – Ziewam.

Zagląda do zamrażarki w poszukiwaniu czegoś, co da się rozmrozić i zjeść.

– Hanna White poprosiła mnie dziś o rozmowę. Nauczycielka wspomagająca z klasy Evie.

– Tak?

Włącza piekarnik. To urządzenie marki Smeg z frontem ze szcztokowanej stali nierdzewnej. Jest tak skomplikowane w obsłudze, że potrafię w nim upiec co najwyżej tosty z serem.

– Uważa, że Evie nie radzi sobie z tym, że została adoptowana.

Ollie ogranicza się do prychnięcia.

– Rzuć okiem na jej opowiadanie.

Nalewa sobie kieliszek czerwonego wina i siada obok mnie na kanapie, spychając z niej Belle.

– Potworne błędy ortograficzne – stwierdza.

Oddaje mi zeszyt. Gdy odzywa się czujnik temperatury, Ollie wstawia do piekarnika aluminiową tackę z mrożonką. Nie mogę powstrzymać się od myśli, że gdyby Harris odgrzewał gotowy posiłek dla dwóch osób, nie zawracałby sobie głowy czekaniem, aż urządzenie odpowiednio się nagrzej. Natychmiast dochodzę do wniosku, że to trochę wredne z mojej strony. Ollie późno wrócił z pracy i na pewno jest głodny jak wilk. Ja przez cały dzień dojadłam resztki po dzieciach.

– Sądysz, że mamy powody do niepokoju?

– Nie, oczywiście, że nie. Przecież nie jesteśmy okrutnymi przybranymi rodzicami. To tylko wyraz jej inwencji twórczej. Spójrz na księżniczkę z mieczem. Współczesny motyw wpleciony w klasyczną bajkę. Evie ma obsesję na punkcie olbrzyma z wrzosowiska. Jak mu tam?

Rombalda. Boże, dlaczego ci cholerni ludzie koniecznie muszą wtrącać się w nieswoje sprawy?

Jeszcze raz zerkam na portret przybranego ojca księżniczki. Kolorując go, Evie tak mocno przyciskała kredkę, że rozdarła papier. Mężczyzna na obrazku nosi szary garnitur i granatowy krawat. W dłoni trzyma aktówkę. Zerkam na grafitową marynarkę od garnituru

na wieszaku przy drzwiach. Musiała sporo kosztować. Kiedyś Ollie nie stroił się tak do pracy.

Podszewka jest z perłowego jedwabiu. Wszystkie moje ubrania mają plamy od jogurtu albo od keczupu. Może Evie nie uważa Olliego za swojego prawdziwego ojca, bo nigdy nie ma go w domu?

Próbuję przypomnieć sobie, w którym momencie się zmienił: zaczął być ciągle zajęty, późno wracać do domu, pracować w sobotę, sprawdzać maile na telefonie w trakcie zabawy z dziećmi. Czyżby się zrobił ambitny? A może jest inne wyjaśnienie? Wydaje się, że jeszcze nie tak dawno wracał z pracy, zanim Evie położyła się spać, podrzucał ją pod sufit i kręcił nią młynka nad głową albo ganiał z nią po ogrodzie. Nie traktował pracy szczególnie poważnie. Zmiana następowała stopniowo i przyzwyczaiłam się do tego, że żyję trochę jak samotna matka. Tak jest od urodzenia Bena. Dlatego Evie ma prawo łączyć zniknięcie Olliego z jej życia z pojawieniem się brata. No i jest zazdrosna o uwagę, którą mu poświęcam.

– Może zaczyna zdawać sobie sprawę, co to znaczy, że jest adoptowana.

– Na miłość boską, Zoe – mówi Ollie. – Ona ma siedem lat.

Całuje mnie w czubek głowy, zabiera marynarkę i idzie na górę się przebrać.

Odszukanie ciebie zajęło mi siedem lat. Siedem długich lat wypełnionych tęsknotą. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby się poddać – mam nadzieję, że to zrozumiesz, kiedy będziesz starsza i dowiesz się, jak wyglądało moje życie. Czasem dopadał mnie lęk, że nigdy cię nie odnajdę, ale w takich chwilach zawsze pomagała mi świadomość, że Bóg jest po mojej stronie. On pomoże naprawić krzywdę, którą ci wyrządzono.

Jak mówi Księża: „Moja nadzieja na pomyślność jest tylko u Boga. Jemu zaufałem i do Niego się nawracam!”. Poddanie się nie wchodziło w grę, czasem jednak ogarniały mnie smutek i zniechęcenie. Któregoś razu atak przygnębienia dopadł mnie w czasie odwiedzin u moich rodziców w Yorkshire. To nasze rodowe gniazdo. Rodzice, twoi dziadkowie, nie zapewnili mi szczęśliwego dzieciństwa, ale ostatnio zaczęło nam się trochę lepiej układać. Matka zdradziła mi kilka szczegółów na temat twojej fałszywej matki, o których nigdy wcześniej nie wspominała. Dzięki temu udało mi się ją wytropić. A potem znaleźć ciebie. Od tamtej pory minęły dwa lata.

Kiedy jestem w mieście, często wracam do domu przez park nad brzegiem rzeki. Tamtego dnia dławił mnie przygniatający ciężar. To było już po odkryciu, że tu mieszkasz, ale zanim udało mi się znaleźć twój prawdziwy adres.

Na szczycie zjeżdżalni stała mała dziewczynka z twarzą przesłoniętą chmurą rozświetlonych słońcem włosów. Serce gwałtownie zabiło mi w piersi. Zjechałaś na dół, podwinęła ci się spódniczka. Pamiętam, że miałaś ozdobione przezroczystymi cekinami pantofelki i sukienkę wyszywaną w truskawki. Byłaś mniej więcej w tym samym wieku co moja córeczka. Wezbrała we mnie fala znajomego smutku, dojmująca świadomość utraty.

Odwróciłaś się i spojrzałaś na mnie. Nie mogłaś wiedzieć, że coś nas łączy. Może twoją uwagę przyciągnęła nieruchoma postać obserwująca cię z pewnego dystansu. Ale dla mnie to było jak cios;

lewy sierpowy w żołądek. Uśmiechnęłaś się. Rozbłysły twoje zielone oczy. Miałaś jeszcze mleczne ząbki. Byłaś – jesteś – piękna. Ogarnęło mnie poczucie absolutnej pewności, przekonanie, że znam cię jak własny oddech, jak rytm swojego serca. Miałaś pięć lat. Wreszcie udało mi się cię odnaleźć.

Siedzę więc na ławce i obserwuję cię zza płachty gazety. Syce tobą wzrok niczym spragniony wędrowiec, który po długiej wędrówce dotarł do oazy na pustyni. Masz oczy w tym samym kolorze co ja. Zupełnie nie przypominasz swojej adopcyjnej matki, ojca ani braciszka. Co za ulga, że jesteś zdrowa i szczęśliwa, chociaż rozpaczliwie drobna jak na swój wiek. Przez wszystkie te lata dręczył mnie niepokój, czy twoi fałszywi rodzice dobrze się tobą opiekują, czy darzą cię miłością. Niepotrzebnie, jak się okazało. Kochają cię, to widać. I są zamożni. Stać ich na kupowanie ci ładnych rzeczy.

Idę za tobą do domu. Nie mogę znów stracić cię z oczu. Cały następny rok pracuję nad tym, by się do ciebie zbliżyć. Nie jest to łatwe, ale przepelnia mnie energia i wola działania. Znów mam przed sobą wyraźny cel. Wiem, że teraz już nic nie zdoła rozdzielić mnie z moją córeczką.

Opowiedziałaś mi później, że przeprowadziłaś się tu z Londynu, kiedy byłaś mała. Co za ironia losu, że mieszkałaś tutaj przez cały czas, podczas gdy mnie przeznaczenie rzuciło na drugi koniec świata. Teraz, gdy już lepiej cię znam, widzę, że wcale nie jesteś taka szczęśliwa, jak to się mogło wydawać tamtego beztróskiego dnia w parku. Coś cię dręczy. To smutne w przypadku małego dziecka, ale jakże mogłoby być inaczej? Od urodzenia nosisz żałobę po swoich prawdziwych rodzicach. W pierwszym dniu życia poniosłaś fundamentalną stratę, po której nigdy nie udało ci się podźwignąć.

Obserwuję cię: na placu zabaw, w drodze ze szkoły do domu, kiedy śpisz w nocy w swoim łóżeczku. Jesteś jak piękna, ale pęknięta misa. Brakuje jakiegoś fragmentu. Uleczę cię.

Jestem twoim ciałem i twoją krwią. Brakującym kawałkiem twojego życia. Nikt nie potrafi cię kochać tak jak ja. Nikt lepiej ode mnie nie wie, co czujesz; nikt nie dostrzega, co straciłaś.

Każdy dzień jest pełen słodko-gorzkiej radości. Obserwuję cię przy

każdej okazji, ale muszę zachować dystans. Twoi fałszywi rodzice dotykają cię, przytulają, całują. Nawet kiedy jesteśmy razem, nie mogę pozwolić sobie na taką bliskość. Początkową ulgę, że nie muszę cię dłużej szukać, zatrąły gorycz i gniew.

Skradli mi ciebie. Odebrali mi cię na siedem lat. To całe twoje życie. Całe życie w więzieniu. Siedem lat dłużącego się niemiłosiernie czekania. Obserwowania. Planowania. Ale teraz przygotowania zbliżają się do końca. Muszę jeszcze tylko załatwić kilka spraw i znowu będziemy razem.

Odzyskam cię, kochanie. Bądź tego pewna.

Zabiorę cię z powrotem.

Wtorek

Zostawiam na stole pobojuwisko po śniadaniu, upačkane masłem skórki od tostów i kałuże rozlanego mleka – i przechodzę do pracowni, która pełni także funkcję pokoju gościnnego. Rozkładaną kanapę nakryłam folią, dywan zwinęłam, bo inaczej zachlapałabym wszystko farbą. Pracownia znajduje się w tylnej części domu, okna wychodzą na ogród. W oddali można dostrzec Krowę i Ciele. Widzę, że porośnięte paprociami stoki zaczęły już przybierać nasycony odcień umbry palonej.

Przygotowuję na wystawę serię zainspirowanych wrzosowiskiem abstrakcji zestawionych z cytatami z *Wichrowych Wzgórz* Emily Brontë. Obraz, nad którym ostatnio pracowałam, *chyba* jest już skończony: to ten, który pokazałam Jenny na telefonie. Doszłam do cienkiej granicy między „w sam raz” i „za dużo”. Odstawiam płótno na bok. Rozkładając pędzle i farby, po raz tysięczny myślę, że przydałoby mi się więcej czasu, a przede wszystkim przydałby mi się ktoś, z kim mogłabym porozmawiać o mojej pracy, kto by ją rozumiał, rozumiał *mnie* i co próbuję osiągnąć. Jakiś głos w mojej głowie szepcze cichutko, że być może Harris jest taką osobą.

Biorę głęboki oddech i staram się skupić. Wyjmuję zdjęcia i szkice, które mogą mi posłużyć jako źródło inspiracji. Wychowałam się w sąsiedniej wiosce Burley i wrzosowisko od zawsze odgrywało ważną rolę w moim życiu. Jest dla mnie jak muza: barwy wrzosów i nieba; brutalność wiatru widoczna w przygiętych do ziemi pniach karłowatych sosen; posępne linie pejzażu w zimie, kiedy wszystko prócz mchów i trawy jest martwe; kamienie przebijające się jak kości przez cienką skórę krzaczków czarnych jagód; odbite w czarnej torfowiskowej wodzie trzciny.

Rozkładałam materiały. Maluję tanimi pędzlami, bo bardzo szybko je zużywam. Większość jest już solidnie zniszczona. Wyrzucam je do kosza. Muszę wybrać się po nowe do sklepu dla plastyków na Hawksmoor Street. Nalewam do słoików rozcieńczalnik, medium i

olej lniany – kupuję je w dużych pojemnikach – i sprawdzam, czy nie potrzebuję więcej farb olejnych. Krążę po pracowni, wędrując wzrokiem po zdjęciach i szkicach; świeże wielkie białe płótno czeka spokojnie na sztalugach. Nie jestem w stanie się skoncentrować.

Podskakuję na dźwięk komórki. Nieznajomy numer.

– Halo? – mówię.

– Tu Harris – po chwili ciszy odzywa się głęboki głos.

– Harris? – bąkam niepewnie. I nie mogę powstrzymać się od uśmiechu.

– Dostałem twój numer od Jenny. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Doszedłem do wniosku, że skoro skończyłaś obraz, ten, który pokazałaś Jenny, to pewnie chcesz zacząć następny. Kiedy zabieram się do nowej rzeźby, zawsze najtrudniej jest mi zacząć. Pomyślałem, że może dobrze ci zrobi spacer. Na wrzosowisku jest tak pięknie.

Skąd wiedział? Sama nie zdawałam sobie sprawy, że tak właśnie pracuję. Gdy mówię Olliemu, że byłam na spacerze, patrzy na mnie, jakbym się obijała, nie rozumiejąc, że to część procesu, że w ten sposób tworzę. Zerkam na zegarek. Mam akurat dość czasu na spacer. Wiem z doświadczenia, że stanie przed pustym płótnem to strata energii.

– Tak – mówię. Kiedy odpowiada, w jego głosie brzmi ciepła nuta.

Umawiamy się na spacer. Rozłącza się bez pożegnania.

To rzeczywiście piękny dzień, choć już czuć początek jesieni: jaskrawego błękitu nieba nie plami ani jedna chmurka, jarzębiny na skraju wrzosowiska gną się pod ciężarem pomarańczowych koralików, ale wrzosa wciąż kwitną. Gdy idziemy, nasze stopy wzbijają obłoczki pyłku. Od zapachu kręci mi się w głowie. Bella kicha i sady susami przed siebie. Na wrzosowisku w Harrisa wstępuje nowe życie, nie jest już taki posępny. Śmieje się, jego oczy błyszczą zielono w blasku słońca. Rozmawiamy o pracy; schlebia mi, że tak dobrze orientuje się w tym, co robię.

Przy nim mogę się zatrzymywać tak często, jak chcę. W towarzystwie Olliego staram się hamować, bo za każdym razem, kiedy przystaję, by zrobić zdjęcie, wzdycha albo zniecierpliwiony

pędzi dalej. Harris nie jest bynajmniej cierpliwy, wyczuwam w nim jakiś niepokój. Dostraja się jednak do pejzażu; myśli o własnej pracy, chłonie, obserwuje. Nie mogę spuścić Belli, ponieważ na wrzosowisku są owce, ale Harris bierze ode mnie smycz, żebym mogła skupić się na fotografowaniu bez obawy, że pies mnie pociągnie i przewróci. Mówię mu, że martwię się, czy zdążę skończyć wszystkie obrazy na wystawę. Kręci głową, potrząsając grzywą włosów.

– Nie martw się. Zdasz. Ale musisz postawić siebie i swoją pracę na pierwszym miejscu. Zadbaj o swoje potrzeby. Znajdź kogoś do opieki nad dziećmi. Zorganizuj wszystko tak, żebyś mogła spokojnie pracować. To będzie twoja najlepsza wystawa, najlepsze obrazy w twojej dotychczasowej karierze.

Patrzę na niego ze zdumieniem. Skąd może to wiedzieć? Jak może być tak pewien?

– Po przerwie praca zawsze rusza z kopyta – wyjaśnia, jakby czytał mi w myślach. – Wydaje ci się, że marnowałeś czas, ale tak nie jest. Twój umysł pracował. I kiedy weźmiesz do ręki pędzel, uwolnisz całą swoją twórczą energię. Zobaczysz.

Mówi o mnie, o przerwie od połowy ciąży, kiedy tak mnie mdliło, że nie mogłam pracować, aż do niedawna, do momentu gdy Ben zaczął chodzić do żłobka. Lecz brzmi to tak, jakby mówił również o sobie.

– Też miałeś przerwę w pracy? – pytam.

– Tak. Długą. Spędziłem kilka lat za granicą.

Idziemy ścieżką Millennium Way. Pod nami biegnie Panorama Drive prowadząca do zbiornika wodnego i Heber's Ghyll. Stoją tam okazałe domy z ogrodami, które graniczą bezpośrednio z wrzosowiskiem. Próbuję sobie wyobrazić, jak by to było, wyjść z domu i już po chwili znaleźć się wśród wrzośców i rosiczek, krążących nad głową kulików i czajek.

– Gdzie?

– W Dolinie Hunza w Pakistanie.

Widocznie odczytał z mojej twarzy, że nigdy nie słyszałam o tym miejscu, bo od razu zaczyna wyjaśniać. Mówi, że to magiczne miejsce, urodzajna dolina w górach Karakorum, gdzie rosną

morelowe sady, a mieszkańcy, jak głosi legenda, dożywają w zdrowiu późnego wieku. To właśnie Dolina Hunza stała się pierwowzorem mitycznej krainy Shangri-La, himalajskiej utopii ukrytej przed wzrokiem świata. Harris pracował na farmie ekologicznej. Sielankowy obraz, który wyłania się z jego opowieści, powoduje, że ogarnia mnie zazdrość. Moje życie matki z dwojgiem dzieci w Ilkley jest takie prozaiczne.

– Jak długo tam byłeś?

– Siedem lat. Niedawno wróciłem.

To wyjaśnia jego spaloną słońcem, wysmaganą wiatrem skórę i dlaczego, mimo akcentu z Yorkshire, sprawia wrażenie cudzoziemca.

– Trochę tam rzeźbiłem, ale wszystkie moje prace były nieduże. Brakowało mi odpowiednich narzędzi i złomu, żeby tworzyć to, co chciałem. Dopiero tutaj moje dzieła zyskały skalę i moc. Sama zobaczysz – dodaje z uśmiechem i odwraca się do mnie plecami.

Zakłada, że przyjdę na jego wernisaż. Ma rację. *Przyjdę*. Nic mnie przed tym nie powstrzyma. Dziwię się, że jego rzeźby nie są zainspirowane Doliną Hunza, ale kiedy o to pytam, odpowiada krótko:

– Nie. Są stąd. Opowiadają o tym, za czym tęskniłem. – Zatacza ręką krąg i nie czekając na mnie, rusza przed siebie. Na jego miejscu czułabym dokładnie to samo.

Zatrzymujemy się przy Kamieniu ze Swastyką, płaskiej bryle chropowatego granitu na skraju niewysokiego urwiska. Otacza go żelazna barierka, żeby nikt nie mógł na niego wejść. W jego centralnej części wyryty jest zawijasowaty kształt, z grubsza przypominający swastykę.

Liczy sobie tysiące lat.

– To starożytny symbol pokoju – mówi Harris, kiedy siadamy na kamieniach. – Często spotykany także w Indiach.

Jego obecność do tego stopnia mnie nie krępuje, że wyciągam szkicownik. Harris zabrał termos z kawą. Dolewa mi mleka ze słoika po dzemie, który wyjął z plecaka. Siedzi na kamieniu, obejmując ramieniem Bellę, jakby była jego psem. W pogodny dzień wyraźnie widać wrzosowisko po drugiej stronie doliny, długie podejście pod

Simon's Seat nad Bolton Abbey, rząd białych turbin wiatrowych na grani. W towarzystwie obcego w gruncie rzeczy mężczyzny czuję spokój, jakiego nie zaznałam od lat.

Podchodzi do mnie i zagląda mi przez ramię. O dziwo, nie przeszkadza mi, że ktoś patrzy na mój niedokończony rysunek. Rzuca okiem na rzeczywisty krajobraz i z aprobatą kiwa głową.

– Doskonale uchwyciłaś kształt wzgórza. Atmosferę tego miejsca. Prawie słyszę śpiew wiatru między łopatami wirników.

Jest tak blisko, że czuję ciepło jego przedramion wystających z podwiniętych rękawów koszuli.

– Ogromnie się cieszę, że cię znalazłem – mówi miękko. – Długo czekałem, żeby cię poznać.

Oblewam się rumieńcem i pochylam głowę. Ale w środku rozkwitam, otwieram się jak kwiat w ciepłe jego zainteresowania. Wiem, że obraz, który namaluję, będzie dobry: wyczuwam już jego nastrój, przydymione róże i przypalone oranże wykrwawiającego się w jesień lata.

Wieczorem podgrzewam tartę ze szpinakiem i kozim serem, wrzucam do miski gotowy mix sałat. Po drodze do domu wstąpiłam do Tesco; kupiłam oliwki i suszone na słońcu pomidory.

Nie jest to prawdziwe gotowanie – zwłaszcza w porównaniu z ociekającą masłem zapiekanką pasterską czy tłustą potrawką z kurczaka mamy Olliego, których ku wielkiemu żalowi mojego męża nie umiem przyrządzać – ale sałata nabiera trochę ciekawszego wyglądu. Kupiłam też pizzę, ulubione danie Evie.

– Dziękuję za pyszną kolację.

Przytula się przelotnie do mojej nogi i ucieka do swojego pokoju. Kiedy nakrywam do stołu i zapalam świecę, zauważam smugę keczupu na moim biodrze, którą pozostawiła jej buzia. Wraca Ollie. Wchodzi do domu, wpuszczając powiew chłodnego powietrza i kłęb jesiennych liści.

– Ładnie pachnie – mówi. Powinien się cieszyć, że nie musi gotować, ale zajrzawszy do piekarnika, marszczy brwi. – Ustawiłaś zbyt wysoką temperaturę.

– Tu jest więcej wskaźników niż w kabinie pilota. Trzeba mieć

doktorat z inżynierii, żeby się w tym połapać! – siłę się na niefrasobliwy ton.

Zmniejsza temperaturę i ustawia minutnik. Rozluźnia krawat w kolorze wrzosu.

– Nowy krawat? – pytam, przesuwając dłonią po jego piersi.

– Tak. – Odwraca się do mnie tyłem, żeby sięgnąć po wino. – Przez cały dzień miałem spotkania. Jestem wykończony.

Upija łyczek wina i krzywi się z niezadowoleniem.

– Co z nim nie tak? Za długo stało otwarte?

W naszym domu to się raczej nie zdarza.

Kręci przecząco głową.

– Po prostu kiepskie wino. Nie kupiłeś go przypadkiem w promocji? Wiesz, że nie robią ich bez powodu.

Rozlewa wino do dwóch dużych kieliszków i wyrzuca butelkę do pojemnika na szkło.

– Od kiedy kupowanie wina za cztery funty dziewięćdziesiąt dziewięć jest zbrodnią?

– Trudno się wyzbyć starych przyzwyczajęń – stwierdza sentencjonalnie. – Stać nas już na przyzwoitego sikacza, Zoe.

Idzie na górę, żeby się przebrać. Wzdycham. Odzywa się brzęczyk telefonu. To esemes od Harrisa. Serce zamiera mi w piersi. Pospiesznie odblokowuję komórkę i czytam wiadomość.

Uśmiecham się mimo woli, bo jest dokładnie taka jak on: szorstka, lecz równocześnie pełna życzliwości. Brzmi: *Szybciej będzie, jeśli kupisz zagruntowane płótna. Wyjdzie drożej, ale warto. Zadzwoń do tego gościa. Powołaj się na mnie. Da Ci zniżkę.* Harris Opieram się o nasz wypasiony piekarnik, ciepło przenika do mojego ciała. Wiadomość zawiera numer telefonu i adres strony. Przygotowanie płótna trwa tak długo, że kupienie gotowych ram z płótnem zagruntowanym farbą akrylową pozwoliłoby mi zaoszczędzić mnóstwo czasu. Wchodzę na stronę internetową. Można zamówić on-line. Tylko że to jest bardzo drogie. Czy powinnam wydawać tyle pieniędzy na coś, co mogę zrobić sama?

Przypominam sobie, jak na wrzosowisku Harris, obejmując ramieniem Bellę, przekonywał mnie z żarem: „...musisz postawić siebie i swoją pracę na pierwszym miejscu.

Zadbaj o swoje potrzeby”. Powiedział to z takim przekonaniem. Wierzy we mnie. Zerkam w stronę tonących w mroku schodów. Ollie ciągle nie schodzi. Jeszcze raz czytam wiadomość od Harrisa. Mój mąż nawet nie zapytał, jak minął mi dzień. Ciekawe, ile zapłacił za swój nowy krawat. Albo garnitur, jeśli już o tym mowa. Postanawiam zrobić tak, jak radzi Harris. Jeszcze dzisiaj zamówię płótna. Ogarnia mnie fala podniecenia.

Piątek

Myślę o nim codziennie. Obsesyjnie sprawdzam w telefonie, czy nie mam esemesów albo nieodebranych połączeń. Mam już jego numer, więc mogłabym sama zadzwonić. Ale co miałabym mu powiedzieć? Znam go dopiero od czterech dni. Cztery dni. A odnoszę wrażenie, jakbym go znała od zawsze. Nie mogę jednak napisać do niego „Kawa?”, tak po prostu, bez żadnego pretekstu, bo przecież Jenny przedstawiła nas sobie zaledwie cztery dni temu.

Zachowuję się jak nastolatka. Odprowadzam dzieci do żłobka i do szkoły. Tym razem Jack ani Hanna nie proszą mnie o rozmowę. Oby to oznaczało, że Evie przestała rysować złych przybranych rodziców i mściwe księżniczki z wielkimi mieczami w ręku. Wychodząc z placu zabaw, znów czuję mrowienie na karku, jakby ktoś mnie obserwował.

Zatrzymuję się na chodniku i rozglądam dookoła. Mijają mnie rodzice z małymi dziećmi. Jakiś rozpedzony maluch nadeptuje mi na stopę. Ktoś mi się rzeczywiście przygląda. Stoi nieruchomo jak posąg po przeciwnej stronie ulicy. W zamglonym blasku jesiennego słońca nie widzę jego rysów, tylko sylwetkę, wysoką i barczystą. Podnosi rękę w geście powitania. To Harris. Przez sekundę wydaje mi się, że jest wytworem wyobraźni, że wyczarowała go moja tęsknota. Odpowiadam mu tym samym gestem i nie patrząc, wchodzę na jezdnię, jakby przyciągała mnie do niego niewidoczna nić. Czuję, że coś we mnie topnieje. Kiedy staję obok niego, odwraca się i rusza przed siebie. Idziemy noga w nogę. Nawet nie powiedział mi „dzień dobry”.

– Dzięki za esemesa o gotowych płótnach. Zamówiłam parę sztuk – wyrzucam z siebie.

Mówię za szybko, trajkoczę jak głupia.

– Mam nadzieję, że dał ci zniżkę – odpowiada, otwierając przede mną drzwi kafejki.

Otula mnie zapach świeżo zmielonej kawy i ciepłych bułeczek z cynamonem. Wślizguję się na ławę przy tym samym stoliku, przy

którym siedzieliśmy poprzednio. Harris przynosi latte i americano dla siebie.

– Myślałem o tobie – mówi. Serce zamiera mi w piersi. – Jak ci idzie z nowym obrazem?

– pyta, drapiąc Bellę za uszami.

Czyli myślał o mojej pracy. Nie jestem pewna, czy czuję się rozczarowana, czy nie.

– Jeszcze nie zaczęłam – stwierdzam, krzywiąc się. – Spacer pomógł – dodaję pospiesznie, żeby nie pomyślał, że wyprawa na wrzosowisko nie sprawiła mi przyjemności albo że na nic się nie przydała.

Upijam łyczek kawy i staram się spowolnić oddech. Z Harrisem nie da się prowadzić zdawkowej rozmowy. Kelner przynosi talerz parujących bułeczek cynamonowych. Pochylam się i wciągam w nozdrza zapach przypraw i gorącego ciasta. Harris przełamuje bułeczkę i wyciąga do mnie rękę z jedną połówką. Jego pokryte drobkami cukru palce muskają przelotnie moją dłoń. Odgryzam kęs; gorące ciasto i karmelizowane w syropie klonowym migdały rozpływają się w ustach. Odczuwam smak tak intensywnie, jakbym nigdy w życiu nic nie jadła. Harris nie spuszcza ze mnie wzroku. Oblizuję wargi z cukru i pochylam głowę, speszona natężeniem jego spojrzenia. I natychmiast podnoszę ją z powrotem, zafascynowana dziwną skazą w jego prawym oku, plamką nasyconej zieleni na brązowej tęczę. Ma długi, zgrabny nos i jednodniowy zarost. I znów uderza mnie emanująca z niego siła, stanowcza linia podbródka.

– Przyniosłem ci coś. Z wrzosowiska. Pomyślałem, że może się przyda.

Kiedy schyla się, by podnieść coś z podłogi, wreszcie odważam się na niego spojrzeć. Nie jest ubrany na czarno, jak mi się wydawało, kiedy dostrzegłam jego sylwetkę po drugiej stronie ulicy. Ma spodnie z brązowego, kusząco aksamitnego moleskinu, ciepłą koszulę i sweter w kolorze mchu. Ciemne włoski na szyi. Wyobrażam go sobie bez koszuli i natychmiast myślę o Olliem, o jego bladej skórze i brzuchu miękkim niczym surowe ciasto z powodu braku ruchu i z nadmiaru

alkoholu. Ogarnia mnie wstyd, że jestem wobec niego niełojalna. Staram się nie gapić na tors Harrisa. Wyjmuje ze skórzanej torby listonoszki dwa opakowane w białą bibułę przedmioty.

Kładzie je przede mną na stoliku. Ostrożnie odwija pierwszy z nich. Wpatruję się w jego dłonie jak zahipnotyzowana. Są duże i silne. Czy te blizny mają związek z pracą w metalu? Z papieru wynurza się poskręcana, wygładzona wiatrem gałązka, nasuwająca na myśl kawałek drewna wyrzucony przez morze. Jest szara i wypolerowana, jakby odlano ją ze srebra, z obwódka z porostów, która również ma w sobie coś z rzeźby. Przysuwam do siebie drugą paczuszkę i rozrywam sztywny papier, odsłaniając wąską czaszkę z zadartym nosem. Harris bierze mnie za rękę i odwraca moją dłoń grzbietem do dołu. Jego palce są ciepłe i mocne. Kładzie mi na dłoni czaszkę. Z dziąseł sterczą cztery kły; dwa górne są tak długie i zakrzywione, że czuję ukłucie. Wokół jednego oczodołu biegnie zielonkawa obwódka, w sklepieniu czaszki widać wąskie pęknięcie. Nie umiem zgadnąć, co to za zwierzę.

– Gronostaj – mówi, jakbym wypowiedziała to pytanie na głos. – Poluje na kuropatwy.

Znalazłem ścierwo za domem, zakopałem je w krzakach i poczekałem, aż się rozłoży.

Podtrzymuje palcami moją dłoń. Wyobrażam sobie, jak znajduje martwe stworzenie i kopie mu grób tylko po to, żeby za kilka miesięcy obejrzeć szkielet. A może odciął głowę i pochował ją bez reszty ciała?

– Czekala na ciebie. Tak jak ja.

Wzdrygam się i Harris puszcza moją dłoń. Odkładam czaszkę na pomięty biały papier, który zupełnie nie pasuje do zwierzęcych kości, sprawiających wrażenie czegoś pierwotnego, rodem z zamierzchłej przeszłości. Co miał na myśli, mówiąc, że na mnie czekał? Na przyjaciółkę, z którą może rozmawiać? Czy chodzi mu o coś więcej? Staram się opanować emocje. Nagle to wszystko wydaje mi się niebezpieczne. Harris wydaje się niebezpieczny.

Przecież jestem mężatką. Mam dwoje dzieci. Oblizuję usta. Czuję na języku smak soli, cukru i cynamonu. Harris odchyła się na oparcie ławki i wpatruje się we mnie z uśmiechem. Ja też się w niego

wpatruję, nie jestem w stanie odwrócić wzroku. Może tak właśnie czuje się ofiara gronostaja.

Dopija kawę i kładzie na stole kilka monet.

– Widzę, że ci się spieszy – mówi. – Masz robotę.

Kiwam głową. Boję się odezwać – nie ufam sobie. Nie zdążyłam mu podziękować ani zapytać o jego pracę, o przygotowania do zbliżającej się wystawy. Wychodzi, zanim zdążę włożyć kurtkę i przypiąć Belli smycz. Ciekawe, gdzie mieszka. Przesuwam palcem wzdłuż spiralnego krenelażu wokół sęka, muskam ostrą krawędź kła. Zawijam podarki od Harrisa w papier i chowam je do torby. Skąd dokładnie wiedział, czego mi trzeba? Scena, która już od pewnego czasu lęgnie się w mojej głowie, nabiera ciemniejszych, bardziej posępnych barw. Będę musiała dokupić surowej umbry.

Ollie informuje mnie esemesem, że umówił się na drinka i żebym na niego nie czekała. Zaciskam zęby i klnę pod nosem. Dlaczego nigdy nie ma go w domu? Koniecznie musimy porozmawiać o tym, że za mało czasu poświęca dzieciom i mnie; nasz związek praktycznie nie istnieje. Kładę Bena i Evie do łóżek. Jestem tak wykończona, że sama też idę spać. Musiałam od razu zasnąć, bo kiedy coś wyrywa mnie ze snu, jest już po północy. Przez chwilę myślę, że Ollie jest w domu, ale jego strona łóżka jest zimna, a prześcieradło gładkie. Coś mnie musiało obudzić.

Wstaję i wkładam szlafrok. Zaglądam do Bena. Dotykam jego czoła, wydaje mi się, że jest spocony. Odchylam mu kołderkę i odsuwam pluszowego lwa, z którym śpi. Otwiera oczy i zaciska piąstkę; tłuste paluszki zwijają się jak rozgwiazda. Przez chwilę stoję, nasłuchując, na podeście schodów prowadzących do pokoju Evie, ale z góry nie dochodzi żaden dźwięk. Na ścianie tańczą cienie, gałęzie za oknem rozcinają światło księżyca na trzy części. Srebrzysty blask sączy się przez uchylone drzwi mojej pracowni. Wchodzę do środka.

Zostawiłam prezenty od Harrisa na parapecie okna; promienie księżyca podkreślają kontur pustego oczodołu, złocą powierzchnię sękatego konaru. Wyglądam na dwór. Noc jest tak jasna, że w ogrodzie widoczny jest każdy szczegół: przewrócona na bok ciężarówka Bena, ścielące się na trawie wydłużone cienie stołu i

krzesel. Krowa i Ciele na skraju pograżonego w mroku wrzosowiska wyraźnie odcinają się od granatowego nieba. Nikogo nie widzę. Wracam do środka, zamykam za sobą drzwi i wtedy słyszę hałas. Dobiega z przedpokoju. Przechodzą mnie ciarki. Gdyby to był ktoś obcy, Bella chyba nas ostrzegła? Odgłos się powtarza: cichy pomruk, jakby ktoś mówił szeptem.

Ostrożnie skradam się na dół. Zatrzymuję się w połowie schodów. Następny stopień trzeszczy. Bella skowycze cichutko i zaczyna rytmicznie uderzać ogonem o podłogę, wyczuwając moją obecność. Przy poświacie z telewizora dostrzegam na kanapie jakiś kształt. To Ollie. Zapalam światło i mrużę oczy. Odwraca się w moją stronę i patrzy na mnie spod przymkniętych powiek.

– Co tutaj robisz? – pytam.

Pokazuje gestem ekran. Ogląda bez fonii swój ulubiony amerykański serial *W garniturach*. Główny bohater, wzięty prawnik, zatrudnił w swojej kancelarii bystrzaka z fotograficzną pamięcią, który nawet się nie otarł o wydział prawa.

– Próbuję się odprężyć – mówi Ollie.

Kiedyś myślałam, że lubi ten serial ze względu na jego wydźwięk moralny: młody inteligentny prawnik Mike Ross prowadzi sprawy klientów, których nikt inny nie chce reprezentować. Ale kiedy teraz patrzę, jak Ross i Harvey naskakują na siebie, myślę, że zafascynowało go co innego: naga ambicja, nieskrywana chciwość i styl życia, na jaki mogą sobie pozwolić tylko najbogatsi.

– Dlaczego to robisz? – pytam ostrym tonem.

– Co dlaczego robię?

Przeciera oczy i siada prosto. Wciąż ma na sobie wymięty garnitur i rozluźniony krawat. Następny, którego nigdy wcześniej nie widziałam: w kolorze żółci chromowej, z delikatnym połyskiem. Ollie nie może się powstrzymać od zerkania na ekran.

Kręcę głową, czując narastającą złość.

– Nigdy nie ma cię w domu! – Brzmie jak Evie, ale jest już za późno. To tyle, jeśli chodzi o oczekiwanie na odpowiedni moment. – Ciągle gdzieś latasz. Pracujesz nawet w cholerną sobotę.

Czuję się, jakbym była samotną matką. Mam na głowie malowanie,

dwójkę dzieci i psa.

– Robię to dla nas! – podnosi głos. – Jest nas już teraz czworo. – Stara się mówić ciszej. – Muszę was wszystkich utrzymać. Jeśli zostanę partnerem w firmie, będziemy ustawieni do końca życia. Zasuвам po godzinach dla was. Dla nas.

Więc o to chodzi. Partner w firmie. Za plecami Olliego Jessica Pearson, szefowa Harveya i Mike’a, przechadza się z gracją pantery po biurze w dziesięciocentymetrowych szpilkach i naszyjniku, który kosztował więcej niż średnia miesięczna pensja.

– Nigdy cię o to nie prosiłam.

– Nie musiałaś. To oczywiste. Cudownie malujesz, Zoe, ale nie ma z tego dużych pieniędzy. Twoje dochody są nieregularne. Nie da się przewidzieć, kiedy sprzedasz następny obraz ani za ile. Nie masz biznesowego podejścia. Kocham cię za to, naprawdę cię kocham, ale chyba sama rozumiesz? Ponieważ robisz to, co lubisz, i nie martwisz się o dochody, cała odpowiedzialność spada na mnie.

Nie wierzę własnym uszom. Ciśniej owijam się szlafrokiem.

– Zapomniałaś, że wychowuję dwoje dzieci, w czym mi zupełnie nie pomagasz, i maluję z doskoku? Może mogłabym zarabiać więcej, podchodzić do tego bardziej „biznesowo”, ale kiedy człowiek ma na stworzenie arcydzieła dwie godziny dziennie, jest to cholernie trudne.

Z westchnieniem splata dłonie za głową i się przeciąga. Słysząc, jak trzaskają mu stawy.

– Nie jesteśmy biedni – ciągnę swój wywód. – Dorastałam w biedzie. Wiem, jak to jest.

Bieda nam nie grozi. Nie musisz tego robić, Ollie. Nie musisz tak ciężko pracować. Wolałabym mieć mniej pieniędzy i ciebie w domu.

Zatrzymuje DVD. Na ekranie zastyga drżący wizerunek kobiety z perfekcyjnym dekoltem i ustami w kolorze fuksji.

– Wiem, że jest ci ciężko. – Ostrożnie dobiera słowa. – Nie rozumiesz, że właśnie tego nie chcę dla naszych dzieci? Nie masz pojęcia, ile to wszystko kosztuje. – Pokazuje wypačkane fronty z nierdzewnej stali. Zapewne chodzi mu o całokształt, nie tylko o kuchnię. Myślę, ile zapłaciłam za zagruntowane płótno z dostawą do domu, i czuję ukłucie wyrzutów sumienia.

– Skoro brakuje nam pieniędzy, powinniśmy ograniczyć wydatki.

– Nie – mówi. – Nie brakuje nam pieniędzy. Nasza sytuacja finansowa jest dobra. Masz rację, jesteśmy zamożnymi ludźmi. Zawsze o tym marzyłem. O dużym domu przy wrzosowisku.

Masz własną pracownię. Zarobiłem na to. Ale to mi nie wystarcza; nie rozumiesz, Zoe? Chcę, żeby nasze dzieci miały wszystko, co najlepsze. Nie musiały sobie ciągle czegoś odmawiać i żywić się tostami z fasolką z puszki tak jak ty. Żeby chodziły do prywatnych szkół. Nie musiały brać kredytów studenckich. Żebyśmy mieli dostatnią starość. Może nawet spędzać urlop za granicą, kiedy już wreszcie zostanę partnerem. Dla ciebie to nie są ważne rzeczy. Nigdy nie były. Jesteś jak twój ojciec. Żyjesz chwilą. To ja muszę zadbać o zabezpieczenie naszej przyszłości.

Przyszłości naszych dzieci.

Nie wiem, czy mam się czuć dotknięta, czy cieszyć, że Ollie porównał mnie do mojego zmarłego ojca alkoholika, którego nigdy nie poznał. Po namyśle wybieram to pierwsze.

– Co się z nami stało? – pytam.

Gdzie się podział mężczyzna, którego poślubiłam? Mam wrażenie, że odkąd pracuje dla drugorzędnych celebrytów, próbuje im dorównać poziomem życia. Chcąc nie chcąc, myślę o Harrisie. Nie umiem wyobrazić go sobie wyskakującego w przerwie na lunch do drogiego butiku, żeby kupić jedwabny krawat, a tym bardziej w nim na szyi. Ollie wciska „play” i oboje patrzymy na Harveya Spectera, który w sterylnym apartamencie z najlepszym widokiem w Nowym Jorku oświadcza swojemu współnikowi z narkotykową przeszłością, że tym, co go kręci, nie jest pomaganie ludziom, lecz wygrywanie.

Sobota

Uwielbiam swoją pracę. Co ciekawe, uświadomiłam sobie, jak wiele dla mnie znaczy, dopiero kiedy pojawiła się Evie i przestałam być panią swojego czasu; nie mogłam już całymi dniami rozmyślać o malowaniu, zamiast po prostu malować. Rozmowa z Harrisem przypomniła mi, ile było we mnie kiedyś twórczej pasji. Pod jego wpływem staram się nie czuć winna, kiedy proszę Jacka, by po południu zabrał dzieci do siebie, żebym mogła spokojnie popracować. Ben jest już gotowy do wyjścia, torba z pieluchami i wózek leżą w bagażniku, tylko Evie nie reaguje na moje coraz bardziej poirytowane wołanie.

Bawi się na dworze. Idę po nią przez trawnik. Ochłodziło się. Jaskrawy błękit nieba nad wrzosowiskiem przecinają białe kreski pozostawione przez samoloty. Trawnik jest upstrzony plackami wilgotnej łysej ziemi; brzegi, wzdłuż których powinny się ciągnąć kwiatowe rabatki, zarosły perzem i paskudnymi, zdrewniałymi chaszczami. Ollie chce wynająć profesjonalną firmę specjalizującą się w aranżacji ogrodów, ale uważam, że powinniśmy zrobić to sami. Płacenie komuś za posadzenie kilku roślin uważam za rozrzutność. Może zajmę się tym latem, po wystawie. Evie jest pod swoim drzewem. To kasztanowiec, przypominam sobie w końcu; toczy go jakaś choroba. Powinniśmy go ściąć – połowa liści uschła, jakby z jednej strony jesień zaczęła się wcześniej. Evie nuci fałszywie jakąś melodię i wtyka patyczki w coś, co wisi na najniższej gałęzi.

Wygląda jak ptasie gniazdo, ale jest bardziej nastroszone, nie ma miękkich konturów gniazdka na przykład rudzika. Gałązki są połączone kawałkami wstążek, sznurkiem do balonów i jaskrawozłotym szpagatem, którym był obwiązany jeden z prezentów Bena. W środku, na poduszeczce z porostów, leży goła lalka z rozczochranymi jasnymi włosami. Wiem, że powinnam się zachwycać kreatywnością Evie, ale niektóre jej dzieła trochę mnie przerażają.

Podchodzę bliżej. Nie chcę tego dotykać. Wiem, że to głupie, ale z

jakiegoś powodu porzucona lalka budzi we mnie grozę, może przez smugę błota na jej policzku. Chyba porządnie wytrąciło mnie to z równowagi, bo czuję się tak, jakby coś pełzło mi po kręgosłupie. Znowu wydaje mi się, że ktoś nas obserwuje. Bella podnosi pysk i węszy. Wiatr porusza sierścią na jej karku.

Rozglądam się, lecz nikogo nie widzę. Podchodzę do siatki, żeby wyrzeć na ścieżkę jeździecką, ale jest pusta. Zerkam na sąsiedni dom; w ciemnych oknach na górze odbijają się niewyraźne kształty wędnących na zboczu paproci.

Wracam do Evie i jej upiornego gniazda.

– Chodź, słoneczko. Musimy już jechać. Nie słyszałaś, jak cię wołałam?

Patrzy na mnie spod przymrużonych powiek, jakby dopiero teraz zauważyła, że się tu czaję.

– Dokąd jedziemy? – pyta.

– Zawiozę was do Jacka, żebyśmy mogła trochę pomalować. Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym rano?

– Nie chcę nigdzie jechać – oświadcza, chowając za siebie rękę.

– Będziecie dobrze się bawić.

Robię krok w jej stronę.

W drzwiach do ogrodu pojawia się Ben.

– Samolot – mówi, pokazując białą smugę na niebie.

Złazi na czworakach po schodkach, plamiąc spodnie mchem i deszczówką. Evie odskakuje ode mnie. Trzyma coś w dłoni, próbuje to ukryć w fałdach spódniczki. Widzę białą ostrą krawędź; na pewno nie jest to wstążka ani kawałek sznurka.

– Jack czeka na was. Proszę cię, idź do domu i włóż kurtkę.

Robi półobrót, jakby zamierzała posłuchać; spinam się do biegu, by złapać Bena, który szykuje się do wskoczenia w kałużę, kiedy to coś wysuwa się z ręki Evie i wirując, opada na ziemię. Leży na trawie, kłując w oczy jaskrawymi kolorami. Zanim Evie zdąży to podnieść, dostrzegam błyszczący wyraz *Córeczka* napisany ozdobnymi różowymi literami. Od jej urodzin minęły trzy miesiące. Nie dostała tej kartki ani ode mnie, ani od Olliego.

– Daj mi to, proszę – mówię.

Evie kręci głową.

– Od kogo to dostałaś? – pytam.

Milczy.

– Evie, daj mi tę kartkę. Natychmiast.

Jej usta zaczynają drżeć, oczy napęcznieją się łzami. Podaje mi tandetną kartkę urodzinową, jaką można nabyć w kiosku z gazetami czy osiedlowym sklepiku. W środku ktoś napisał niebieskim długopisem:

Cześć, kochanie, jestem Twoim prawdziwym ojcem.

Szukałem Cię od dnia, kiedy mi Ciebie ukradli.

Bardzo Cię kocham.

Tata

Robi mi się zimno. Czytam znowu i znowu. Coś dławi mnie w piersi, nie mogę oddychać. „Ukradli. Twoim prawdziwym ojcem”. Słowa brzęczą w mojej głowie, jakby szumiało mi w uszach.

– Evie? Kto ci to dał?

Wzrusza ramionami.

– Mój tata. Ten prawdziwy.

– Ale kto? Kto to jest? – krzyczę.

Wybucham płaczem, wpadam do domu i biegnę po schodach na górę. Kątem oka widzę swoje odbicie w szybie. Jestem blada jak prześcieradło. Matka Evie nie tylko zerwała z nami wszelkie kontakty, ale nawet nie zdradziła, kto jest ojcem dziecka. Odwracam się gwałtownie, jakby ten mężczyzna, ojciec Evie, stał na konnej ścieżce za domem. Nie ma tam żywej duszy.

Wiatr świszcząc w pustym sercu pnia i obraca w kółko dzieło Evie. Ktoś się śmieje. Gwałtownie podnoszę głowę, ale to tylko dwóch graczy w golfa. W szarym świetle ich jasne swetry wydają się krzykliwie jaskrawe. Ben, który pluska się w kałuży na patio, krzyczy, kiedy zimna woda dostaje mu się w końcu do butów.

Wyciągam rzeczy z bagażnika i dzwonię do Jacka, żeby odwołać popołudnie. Montuję bramkę na schodach, odsyłam Bena do jego pokoju i idę do Evie. Siadam na jej łóżku. Nie zwraca uwagi na moją

obecność. Jest pochłonięta konstruowaniem kolejnej rzeźby, tym razem z klocków. To jedna z tych dziwnych pajęczonogich istot, które buduje, kiedy jest wzburzona.

Chyba pomaga jej to odzyskać spokój. Ze względu na swoje problemy często bywa trochę wzburzona. Przychodzi mi do głowy, że może to właśnie robiła w pokoju Bena w dniu jego przyjęcia urodzinowego: próbowała się wyciszyć. I że list od „taty” miał prawo wytrącić ją z równowagi.

– Opowiedzieć ci swoją historię? – pytam, obejmując ramionami kolana, choć wolałabym objąć moją córkę.

Prawie niedostrzegalnie kiwa głową.

– Dawno temu, kiedy nie byłaś jeszcze nawet maleńkim okruszkiem, twój tata i ja bardzo, bardzo chcieliśmy mieć córeczkę. Próbowaliśmy, ale nam się nie udawało.

Opowiadam jej tę historię zamiast bajek braci Grimm i za każdym kolejnym razem przychodzi mi to łatwiej.

– Pewnego dnia poznaliśmy miłą młodą kobietę, która była w ciąży i miała urodzić dziewczynkę. Powiedziała, że jeśli nie mamy własnego dziecka, możemy wziąć jej. Więc czekaliśmy i czekaliśmy, a ty rosłaś i rosłaś w jej brzuchu, aż w końcu zadzwonił telefon i dowiedzieliśmy się, że za chwilę się urodzisz. Popędziliśmy do szpitala.

– W Londynie? – pyta Evie.

Nie patrzy na mnie, ale przestała łączyć ze sobą plastikowe klocki.

– Tak, kochanie, mieszkaliśmy wtedy w Londynie. Postanowiłaś urodzić się przed czasem!

Mówię to lekkim tonem, chociaż w tym momencie zawsze mi się robi niedobrze. Kiedy dziś ludzie patrzą na Evie, widzą pięknego elfa, niezmierną istotę. Ale ja widzę ślady po tych pierwszych tygodniach, które spędziła w narkotycznym śnie. Czy szeroko rozstawione oczy, skrzacie rysy, drobna budowa ciała – nadal kupuję jej ubranka na pięć lat – są pozostałościami po zatruciu narkotykami w okresie płodowym? Lekarze nigdy nie umieli odpowiedzieć nam na to pytanie.

– Byłaś taka malutka, że musiałaś mieszkać w pudełku. Wyglądałaś jak mały elf! Tatuś i ja spędzaliśmy każdą wolną chwilę w szpitalu.

Patrzyliśmy na twoją piękną buzię i przyglądaliśmy się, jak rośniesz. Aż pewnego dnia pan doktor otworzył pudełko i pozwolił mi cię wziąć na ręce. – Evie przysunęła się do mnie i siedzi teraz lekko oparta o moją nogę. Zsuwam się na podłogę i przytulam ją do siebie. – Kocham cię od momentu, kiedy znalazłaś się w moich ramionach – mówię.

Nigdy się nie dowie o moich pierwotnych wątpliwościach i niepewności. Było w niej coś nienaturalnego, jakby nie była do końca człowiekiem. Zdaję sobie sprawę, jak to okropnie brzmi; nienawidziłam siebie za to, że się tak czułam. Na szczęście Ollie kochał ją od samego początku; po kilku miesiącach ja też odnalazłam w sobie miłość. A jeśli o tym wiedziała? Podobno pierwsze pół roku ma decydujące znaczenie. Może wyczuła we mnie niedostatek miłości?

Czasem mówię jej, że ją wybraliśmy, kiedy indziej, że dostaliśmy ją w prezencie, ale zawsze kończę zapewnieniem, że jest naszym bezcennym skarbem, *naszą* córką. Zwykle poprawia jej to humor.

Tym razem przerywa, zanim dojdę do tego momentu.

– A co z moim tatą? Tym prawdziwym?

– Nie wiem, kto nim jest, Evie. Młoda kobieta, która nam cię podarowała, nie powiedziała nam, kto był twoim ojcem. To Ollie jest twoim tatą. Opiekuje się tobą i kocha cię od pierwszych chwil twojego życia.

Głaszczę ją po włosach. Benowi znudziło się siedzenie w swoim pokoju i zaczął nas szukać. Otwiera drzwi i pędzi prosto do rzeźby.

– Lego! – woła z zachwytem.

Zanim zdążę mu przeszkodzić, łapie konstrukcję, która rozpada się na kilka kawałków.

Ewie rzuca się z płaczem na podłogę.

– Jezu.

Ollie trzyma kartkę w dwóch palcach, jakby była skażona. Drugą ręką przeciąga po twarzy. Powiedziałam mu dopiero, kiedy Evie i Ben byli już w łóżkach.

– Jaki powód może mieć ktoś, żeby zrobić to dziecku? – pyta.

Obraca kartkę w dłoni, błyszcząca powierzchnia odbija światło.

Jeszcze raz czyta zatrute słowa.

– „Szukałem cię od dnia, kiedy mi ciebie ukradli...”.

Znam je na pamięć. Kto mógł przysłać coś takiego naszej córce?

– Myślisz, że to jakiś żart? Może ktoś ze szkoły słyszał, że jest adoptowana? – mówi Ollie.

Któryś dzieciak dojrzał w niej przeciwieństwo kukułczego jaja z Midwich, ciemnowłosego podrzutka w rodzinie blondynów.

– To chore, jeśli zrobiło to dziecko.

Mówię mu, że Evie znalazła kartkę w ogrodzie.

– Możliwe, że to przypadek. Może w ogóle nie była dla niej.

– Nie – ucinam krótko.

– Jeśli nawaliła agencja adopcyjna, jeśli podali nasze zamiary jakiemuś idiotcie, który nie przyznawał się do niej, zanim się urodziła... – urywa, nie kończąc.

Zaciska szczęki. Pochyla się i wrzuca kartkę w ogień.

– Nie! – Wyciągam ją z kominka i otrzepuję z płomieni. Jest osmalona, ale cała. – W poniedziałek zadzwonię do agencji. Może być potrzebna jako dowód.

Czy uważa, że przesadnie dramatyzuję? Do tej pory to zawsze on mnie uspokajał, zapewniał, że Evie wyzdrowieje, że niepotrzebnie się martwię. Jak dotąd miał rację, tomografie mózgu nie wykazują odstępstw od normy. Mimo to nadal boję się, że może mieć jakiś defekt, którego lekarze nie potrafili właściwie zdiagnozować.

– W jaki sposób jej ojciec mógł ją znaleźć? – pytam.

Straciłam poczucie, że jesteśmy – Evie, Ben i ja – bezpieczni. Czy powinnam opowiedzieć Olliemu, że czasem wydaje mi się, że ktoś nas śledzi? Czy potraktowałby moje obawy poważnie?

Wzrusza ramionami.

– Zobaczymy, co powie agencja adopcyjna – mówi i puszcza sobie kolejny odcinek *W garniturach*.

Chciałabym usłyszeć od niego, co sądzi o tej kartce. Co jego zdaniem oznacza. Jestem przerażona. Wiem, że Ollie nie widzi sensu w „wałkowaniu sprawy”, skoro nie wiemy, kto wysłał kartkę ani w jaki sposób odnalazł Evie. Kiedyś miał więcej cierpliwości do takich rozmów, ale to dawne dzieje. Ja jednak muszę o tym pogadać, to by

mi pomogło opanować nerwy. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, gdy Ollie nagle wybucha śmiechem. Sama nie wiem, co jest gorsze: rechot mojego męża kilka minut po tym, jak pokazałam mu kartkę od faceta, który uważa naszą córkę za swoje ukradzione nieślubne dziecko i siedem lat po urodzeniu wytropił jej miejsce pobytu, czy zadowolona z siebie gęba pieprzonego Harveya Spectera.

Poniedziałek

Kołuje mi się w żołądku. W głowie wirują słowa z kartki, którą znaleźliśmy w sobotę.

„...kiedy mi ciebie ukradli...”. Jestem zdruzgotana. Przez ostatnie dwie noce nie mogłam spać.

Jak się dowiedział, gdzie mieszkamy? Jak mu się udało odnaleźć Evie? Czy naprawdę jest jej ojcem, czy może to podstęp, żeby zwabić małe dziecko – pierwsze lepsze ładne małe dziecko?

Evie jest prześliczna i strasznie bezbronna. Na miłość boską, ma dopiero siedem lat. Co może wiedzieć o nieodpowiedzialnych ojcach, którzy zmieniają zdanie na temat swoich nieślubnych dzieci? To takie niesprawiedliwe. Z oburzenia płoną mi policzki. Próbowałam odbyć z nią wczoraj poważną rozmowę, wytłumaczyć, że jest naszą ukochaną córeczką, ale Ben był okropnie marudny i nie dał nam na to szansy. A teraz to nie jest dobry moment – idziemy do szkoły.

Kiedy jesteśmy już niedaleko, Evie puszcza się biegiem w kierunku szkoły. Wolałabym, żeby trzymała się Bena, Belli i mnie. Rozglądam się dookoła. Przejeżdżające samochody zwalniają przed skrzyżowaniem. Może być w każdym z nich, śledzić nas. Spodziewam się, że Evie poczeka na nas na rogu, ale nie robi tego – znika za zakrętem.

– Evie! – wołam.

Zaczynam biec. Bella myśli, że to zabawa, i ciągnie smycz. Nie jestem w stanie kontrolować jednocześnie psa i wózka, który zaczyna się niebezpiecznie przechylać.

– Evie! – krzyczę.

Szarpię smycz i prostuję wózek. Dochodzimy do rogu. Serce wali mi młotem. Evie stoi kilka metrów dalej i czeka na nas. Na jej twarzy maluje się zdziwienie.

– Proszę cię, żebyś więcej tak nie uciekała.

– Evie ucieka – mówi Ben.

– Wcale nie uciekałam!

– Zniknęłaś mi z oczu! Po prostu bądź tam, gdzie mogę cię zobaczyć, dobrze?

Pochmurnieje i przez resztę drogi szura nogami. Wchodzi do szkoły nadąsana, nie mówiąc mi „do widzenia”. Zaciskam zęby i zdecydowanym krokiem wymaszerowuję z placu zabaw, gdy nagle dostrzegam Harrisa. Czeka na mnie po drugiej stronie ulicy. Zatrzymuję się.

Serce zamiera mi w piersi, usta mimo woli rozciągają się w uśmiechu. Moje ciało zalewa fala ciepła, jakbym po orzeźwiającym spacerze w chłodny dzień stanęła przed kominkiem. Muszę mu powiedzieć, że dziś nie mogę pójść na kawę. Muszę wrócić do domu, wyciągnąć papiery Evie i zadzwonić do agencji adopcyjnej.

Podchodzę do niego.

– Chcesz pójść przez Heber’s Ghyll? – pyta. – To trochę naokoło, ale nie zajmie ci dużo więcej czasu.

Przyglądam mu się. Ciemne loki są potargane wiatrem, podbródek pokrywa cień jednodniowego zarostu. W zielonobrązowych oczach na ogorzalej, pobrużdżonej twarzy maluje się dobroć.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebowała oczyścić umysł.

Milcząc, kiwam głową. Bierze ode mnie smycz i ruszamy. Idziemy przez Ilkley, klucząc bocznymi uliczkami; szerokimi, wysadzanymi drzewami ulicami, wąziutkimi zaułkami pokrytymi dywanem modrzewiowych igieł. Mijamy wysokie mury i ogrody, w których kwitną ostatnie jesienne róże. Docieramy do lasu oddzielającego miasteczko od wrzosowiska. Kręta ścieżka wzdłuż krawędzi wąwozu doprowadzi nas do Panorama Drive na wysokości zbiornika wodnego, powyżej Kamienia ze Swastyką. Pnie się stromo, od czasu do czasu przechodząc w porośnięte mchem kamienne schodki. Harris idzie przede mną. Widzę, jak napinają się mięśnie jego łydek. Głęboka woda jest brązowa od torfu, przy brzegach porośniętych paprociami zbiera się pienisty osad. Podoba mi się, że Harris nie czuje potrzeby rozmawiania.

Jeszcze przed wrzosowiskiem robimy postój. Na szczycie stoi półkolista granitowy murek, w który wstawiono drewnianą ławkę. Kiedy tam docieram, Harris już nalewa do kubków kawę ze swojego

termosy.

– Nie namalowałaś dużo w czasie weekendu – mówi.

To bardziej stwierdzenie niż pytanie. Opieram się plecami o zimny kamień i odprężam. Nie muszę się przed nim tłumaczyć ani usprawiedliwiać. Harris mnie nie ocenia, więc nie muszę się czuć winna. Przez chwilę zastanawiam się, czy opowiedzieć mu, co się stało, ale przecież nie wie, że Evie jest adoptowana. Musiałabym za dużo wyjaśniać. Nie chcę stać się jedną z tych matek, które bez przerwy mówią o dzieciach. Chcę mieć Harrisa dla siebie. Chcę, żeby był mój.

Tylko nim nie dzielę się z Evie, Benem i Olliem. Jestem zaskoczona żarem swoich uczuć, swoją zaborczością. Harris podaje mi kubek z kawą. Jest tak mały, że kiedy chcę go wziąć, nasze ręce się zderzają. Przytrzymuje moją dłoń, żeby kawa się nie rozlała, a kiedy w końcu ją wypuszcza, jeszcze długo czuję na skórze dotyk jego palców.

– A ty? – pytam.

– Pracuję jak wariat, żeby zdążyć na wystawę. Też muszę oczyścić umysł. – Uśmiecha się.

Bella kładzie mu się u stóp i opiera pysk na jego butach. On głaszcze ją delikatnie.

– Mnie jest łatwiej niż tobie; mniej rzeczy mnie rozprasza. Kiedy mam wene, mogę pracować przez całą noc.

Wzdycham, wspominając dawne czasy, kiedy żyłam alkoholem i kofeiną, odurzającymi oparami benzyny lakierniczej i czystą euforią, w którą wprowadzało mnie malowanie. Nie wiadomo skąd w mojej głowie pojawia się obraz ubrudzonej ziemią lalki Evie, dziwnie powykrecanych nagich rąk i nóg, jakby rozpaczliwie próbowała wydostać się z klatki z gałązek. Zamykam oczy.

– Opowiedz mi o Dolinie Hunza – proszę.

I Harris opowiada.

Opisuje kobaltowe niebo, kwiaty wiśni; liście, które jesienią przybierają barwy złota i cynobru, kobiety w szafranowych szalwar kamizach, noszące wodę z lodowców, osły z koszami pełnymi papryczek chili i moreli. Jego słowa spływają na mnie jak balsam, oczyszczają mój umysł z natłoku myśli.

– Kiedy stoisz w środku doliny, otacza cię pięć gór o ośnieżonych szczytach. Masz wrażenie, że znajdujesz się w sercu ziemi i że nikt oprócz ciebie nie istnieje.

Baśniowe obrazy, które maluje słowami, przesłaniają ciemne zielenie wilgotnego pierwotnego lasu.

– Dziękuję – mówię, a on nie pyta za co, jakby rozumiał moją rozpacz i wiedział, jak mnie od niej wybawić, choćby na krótką chwilę.

Wstaje, podaje mi rękę, podrywa mnie z ławki i zamyka w ramionach. Wdycham jego zapach. Pachnie świeżo oheblowanym drewnem i olejem.

– Cieszę się, że cię poznałem, Zoe Morley – szepcze mi we włosy. – Wiedziałem, że będziesz bratnią duszą. Moją bratnią duszą.

Uwalnia mnie z objęć. Wynurzamy się z lasu w przestwór szarego jak kamień nieba. Powinnam wracać do domu, ale jestem rozdarta, oszołomiona tym, co się przed chwilą wydarzyło. Moją bratnią duszą. Powiedział to z taką samą zachłanną zaborczością, jaką odczuwam w stosunku do niego. Zamierza odprowadzić mnie do domu? Chciałabym zostać z nim dłużej, ale nie mogę. Muszę załatwić ten telefon. Jak zwykle jakimś szóstym zmysłem wyczuwa, o czym myślę, bo oddaje mi smycz i mówi:

– Idę w tamtą stronę. – Ruchem głowy wskazuje wrzosowisko.

Pochyla się i całuje mnie w policzek, drapiąc mnie swoim zarostem. Ujmuje moją twarz w obie dłonie – i już go nie ma. Patrząc, jak maszeruje wielkimi krokami w stronę Kamienia ze Swastyką i przygiętych do ziemi sosen.

Dotykam palcami policzka tam, gdzie przed chwilą były jego usta. Nic na to nie poradzę: cieszę się, że uważa, że jesteśmy podobni. Bez niego czuję się osamotniona. Próbuję wyrzucić go z myśli i zastanowić się, co mam powiedzieć agencji adopcyjnej. Kiedy dochodzę do naszego ogrodu, zatrzymuję się naprzeciwko kasztana. Ogrodzenie jest w tym miejscu przekrzywione, jakby Evie wypchnęła je stopami, opierając się plecami o pień. Schylam się i wtedy to zauważam. W płocie jest dziura. Ktoś przeciął siatkę. Zrobił to bardzo starannie; poodgiął druty, żeby nie poranić ręki przy przesuwaniu jej

do środka – albo na zewnątrz. Dokładnie naprzeciwko szczeliny w drzewie. Z otworu przy korzeniach coś wystaje. Ziemia w dziupli jest gładko udeptana przez Evie. W środku znajduję filiżankę, spodeczek i talerzyk, na którym leży błyszczący listek, jakby moja córka urządziła podwieczorek dla lalek. Obok paczuszka owinięta w błyszczący różowy papier. Może to jeden z prezentów Bena, który jakimś cudem tu zawędrował? Wsuwam rękę i wyciągam pakunek. Bella trąca mnie nosem, ale nie zwracam na nią uwagi. Czy to możliwe, że Evie złośliwie schowała Benowi prezent z zazdrości, że w poprzednią sobotę skupił na sobie całą uwagę? Ale ilu znanych mi rodziców, nawet najbardziej politycznie poprawnych, zawinęłoby prezent dla Bena w błyszczący różowy papier? Obracam zawiniątko w dłoniach. Jest lekkie i guzowate. Zamiast przywieszki z imieniem jest na nim zwykła biała nalepka, jakich używa się do preadresowywania listów albo podpisywania słoików z konfiturami. Tym samym niebieskim długopisem i charakterem pisma co na kartce urodzinowej ktoś napisał:

Dla kochanej córeczki od taty

Oddech zamiera mi w piersi, ciałem wstrząsa dreszcz. Prostuję się i rozdieram papier. W środku jest różowy kucyk My Little Pony, z grzywą i ogonem ze lśniącego sztucznego włosa. Nie zna jej, w ogóle jej nie zna, myślę ze złością. Evie lubi klocki Lego – ale nie w zestawach – ostre nowe ołówki, wypolerowane kamyki... Idę ścieżką jeździecką do naszej ulicy, ale zanim w nią skręcam, odwracam się i patrzę na ogród. Jej ojciec był w naszym ogrodzie. Obserwował nas. Czekał, aż wyjdziemy albo położymy się spać i pogasimy światła. Choć idę szybko, nagle jest mi bardzo zimno.

Wkładam kucyka do tej samej kuchennej szafki, do której schowałam kartkę. Przynoszę sobie dokumentację adopcji i dzwonię do agencji. Gdyby udało się odszukać biologiczną matkę Evie, może dowiedzielibyśmy się od niej czegoś o ojcu. Kiedy wreszcie się dodzwaniam, przełączają mnie kolejno do trzech różnych osób. Zaczynam się denerwować, bo jeśli to dalej będzie szło w tym tempie,

nie zdążę odebrać Bena. W głosie urzędniczki, z którą mnie w końcu połączono, brzmi współczucie.

– Wie pani, że biologiczna matka nie zapisała się do programu „skrzynka pocztowa” – mówi.

Jeśli obie strony wyrażą zgodę, prawdziwi i adopcyjni rodzice – albo samo dziecko – mogą raz albo dwa razy w roku wysłać list na adres agencji, która przekaże go dalej. Od niedawna obowiązuje zakaz dołączania zdjęć, ponieważ z ich pomocą bardzo łatwo można wytropić dziecko przez media społecznościowe.

– Ale jeśli napiszemy list, będziecie mogli go jej przekazać?

– Nie mamy jej danych. Nie zostawiła swojego adresu. Nawet gdyby się z nami skontaktowała, nie bylibyśmy w stanie powiązać jej z Evie. Oryginalne świadectwo urodzenia waszej córki jest utajnione do momentu osiągnięcia przez nią pełnoletności. Nikt nie ma do niego dostępu.

Wiem o tym. Miałam nadzieję, że może o czymś zapomniałam albo przeoczyłam jakiś szczegół. Moja rozmówczyni przypomina mi, że na świadectwie urodzenia Evie nie figuruje nazwisko jej ojca.

– Biologiczny ojciec nie mógł trafić do niej za naszym pośrednictwem, bo my nie potrafimy nawet powiązać Evie z jej biologiczną matką. W każdym razie dopóki nie skończy osiemnastu lat – powtarza. – Trzeba się koniecznie dowiedzieć, skąd ten człowiek ma wasz adres.

– Muszę zadzwonić na policję – mówię bardziej do siebie niż do niej. Mój oddech gwałtownie przyspiesza.

– Musisz, kochana – przytakuje kobieta.

Sprawdzam, która godzina. Będę musiała zadzwonić w drodze do żłobka. Ja i Ben stoimy obok Andy’ego na szkolnym placu zabaw. Evie widzi nas, ale przebiega obok, nie zatrzymując się.

Wołam ją.

– Idziemy dzisiaj do Sophie. Zapomniałaś?

Kiwa głową, lecz nie wygląda na szczególnie zachwyconą. Sophie to jej najlepsza przyjaciółka. Evie ma niewiele koleżanek i zwykle niecierpliwie czeka na poniedziałkowe popołudnie, kiedy może mieć Sophie tylko dla siebie. Andy i Gill mieszkają niedaleko, przy Queen’s

Road. Cicha, pełna zieleni uliczka wygląda, jakby leżała gdzieś na przedmieściach, chociaż w rzeczywistości znajduje się kilka minut spacerem od barów i sklepów The Grove.

Evie całkowicie ignoruje Sophie w drodze do jej domu; drepcze obok Andy'ego i coś mu zapamiętała opowiada. Oddycham z ulgą, bo nie chcę nawet na chwilę stracić jej z oczu, ale równocześnie martwię się, czy dziewczynki przypadkiem się nie pokłóciły. Rozglądam się. Kilka ulic od szkoły jest cicho i spokojnie. Prawie nie ma przechodniów. Mimo to wciąż czuję ciarki między łopatkami. Czy ktoś nas obserwuje? Za nami idzie para starszków. On podpira się laską, ona trzyma go pod ramię. Starsza pani uśmiecha się do mnie. Po przeciwnej stronie ulicy stoi jakiś mężczyzna; wygląda na trzydzieści kilka lat. Wyczuwa moje spojrzenie i patrzy w moją stronę. Ojcem Evie może być każdy. Może być wszędzie. Przyspieszam kroku, żeby być bliżej niej. Opowiada Andy'emu, co robiła w szkole. Mnie nigdy tego nie mówi.

– Wierzysz w czary? – pyta go niespodziewanie.

Andy zatrzymuje się, żeby zastanowić się nad odpowiedzią.

– O jaki rodzaj czarów ci chodzi?

– O każdy. Na przykład, kiedy machasz różdżką, wypowiadasz zaklęcie i twoje marzenie się spełnia.

– A ty co o tym myślisz? – pyta ją Andy.

Sophie czeka na nas, kręcąc się w kółko wokół latarni. Wygląda na zniecierpliwioną.

– Pewnie czary nie istnieją – mówi. – Nikt nie może spełnić mojego marzenia.

– Nie wiesz tego na pewno! – Andy odwraca się do mnie i wymownie unosi brwi. – Może powiesz mi, co to za marzenie?

Evie wzrusza ramionami i odbiega. Kiedy zrównuje się z Sophie, rozkłada ramiona, odrzuca do tyłu głowę i zaczyna obracać się wokół własnej osi. Wiruje i wiruje, dopóki nie zakreśli jej się w głowie, a wtedy pada na chodnik i piszczy z radości. Jej śmiech jest tak ostry i przenikliwy, że mam ochotę zatkać uszy. Moja córka sprawia wrażenie, jakby coś ją wytrąciło z równowagi. Zastanawiam się, czy kartka i prezent, które znaleźliśmy, były pierwsze, czy może już

wcześniej dostawała od niego podarki, a my nie zauważyliśmy, że coś się z nią dzieje. Ta myśl powoduje, że zbiera mi się na mdłości.

Docieramy do domu Andy'ego i Gill, nowoczesnego, otoczonego bujnym ogrodem i wytwornego jak pałac, chociaż Gill narzeka, że Andy, Ellen i Sophie często wywracają go do góry nogami. Andy smaruje masłem babeczki i parzy herbatę. Dzieciaki pałaszują podwieczorek.

Potem wycieramy im buzie i dziewczynki pędzą na górę do pokoju Sophie. Bena i Ellen barykadujemy w kącie salonu za zsuniętymi razem kanapami. Nakładam na babeczki po kleksie dżemu i dolewam herbaty do kubków.

– Znalazłam dziś prezent – oznajmiam.

Evie i Sophie nie mogą nas usłyszeć, mimo to staram się mówić cicho.

– Prezent? – powtarza z uśmiechem Andy.

– Tak. – Z trudem przełykam ślinę. – Od biologicznego ojca Evie. W dziupli naszego kasztana. A w sobotę kartkę z życzeniami. Wyciął dziurę w siatce, żeby móc je podrzucać.

– O Boże. To podpada pod prześladowanie! Jakim cudem ten świr zdobył wasz adres?

Rozmawiałaś z agencją adopcyjną?

Kiwam głową.

– Twierdzą stanowczo, że nie znalazł nas przez nich. Ben! – Wyciągam syna zza kanapy.

Przewrócił Ellen na ziemię i teraz leży jej na głowie. Na szczęście jej to się bardzo podoba.

– A świadectwo urodzenia? Nic tam nie ma?

– Nie. Zresztą nie mamy do niego dostępu, dopóki Evie nie skończy osiemnastu lat. Ta dziewczyna, biologiczna matka Evie, ćpała, więc pewnie sypiała, z kim popadło. Może nawet nie wiedzieć, z kim zaszła w ciążę. Niewykluczone, że była prostytutką. Kiedy się uzależnisz od narkotyków, dla prochów i pieniędzy zrobisz wszystko, prawda?

Nie odpowiada. Przypuszczam, że razi go mój konserwatyzm.

– Chcę powiedzieć, że nie mam pojęcia, kto może być ojcem Evie ani w ogóle co to za człowiek. Na pewno nikt, kogo znamy. Co za

facet uprawia seks z naćpaną prostytutką? Nie sądzę, żeby ktoś taki mieszkał dziś w Ilkley. – Pocieram dłońmi oczy. – Nie wiem, z kim mamy do czynienia. Ani jak bardzo ten ktoś jest niebezpieczny. I jaki to będzie miało wpływ na Evie.

Andy nadal milczy. Zastanawiam się, czy nie poczuł się dotknięty. Kiedy studiowaliśmy, chciał zostać gwiazdą rocka i śpiewać teksty poetów, a Gill robiła specjalizację z praw człowieka. Teraz Andy jest mężem przy żonie i mieszka w wielkim domu kupionym za pieniądze, które Gill zarobiła na obsłudze prawnej korporacji. Po kilku drinkach lubi wygłaszać liberalne poglądy, choć w jego ustach brzmią niezbyt szczerze. Ale może nie powinnam się czepiać. Jako studentka marzyłam o zdobyciu Nagrody Turnera; karierę artystki „komercyjnej”, malującej obrazy pod kolor poduszek, uznałabym wówczas za totalną zdradę ideałów.

– Przespałem się kiedyś z prostytutką – mówi Andy. Zaciska dłonie na kubku z herbatą i wpatruje się w jego zawartość.

– Co?

Oblałam sobie dzinsy.

Ściągam Bena z oparcia kanapy, ratując go od wyrżnięcia nosem w parkiet.

– Traktor – stwierdza z zachwytem i zaczyna walić zabawką o listwę przypodłogową.

– Nie jestem z tego dumny – dodaje Andy, kiedy wracam na swoje miejsce. – Nie byłem wtedy z Gill.

– Przecież poznaliście się na studiach...

– Tak, zgadza się, ale o ile sobie przypominasz, mieliśmy przerwę. Kiedy Gill była na ostatnim roku aplikacji. Zszedłem trochę na złą drogę. Eksperymentowałem z narkotykami i robiłem różne rzeczy, których nigdy wcześniej nie próbowałem.

Jestem zbyt oszołomiona, by się odezwać.

– Mówię ci o tym, bo to oznacza, że ojcem Evie może być każdy. Niewykluczone, że to jakiś alfons z Leeds, lecz równie dobrze może to być ktoś taki jak...

– Ty? – dopowiadam.

– Chciałem powiedzieć: jak nasi sąsiedzi. Facet z naprzeciwka.

Który przypadkiem mieszka w Ilkley. Mężczyźni z klasy średniej sypiają z prostytutkami częściej, niż ci się wydaje, Zoe.

Zapadam się w sobie. Nie potrafię sobie wyobrazić, że ojcem Evie mógłby być ktoś taki jak Andy. Próbuję odpędzić jego obraz – mojego przyjaciela Andy’ego z falującymi ciemnymi włosami i brzuszkiem, z fantastycznymi nogami do cotygodniowych meczów piłki nożnej pięciu na pięciu i ze skłonnością do cytowania po pijanemu Oscara Wilde’a, co koliduje komicznie z jego kampowym stylem atakującego rugby – tego Andy’ego uprawiającego seks z prostytutką.

Zaciskam powieki i przed oczyma staje mi Ollie. Mój Ollie, zafascynowany celebrytami i stylem życia gwiazd, niepotrafiący odmówić kolejnego kieliszka czerwonego wina, kiedy stawia ktoś znany; mój Ollie, z którym pod koniec studiów też się na pewien czas rozstałam. Zeszliśmy się dopiero rok po dyplomie.

– Zadzwoiłam na policję.

Andy kładzie mi dłoń na ramieniu i otwiera usta, gdy nagle rozlega się głośny lament; Evie zbiega po schodach, zarzuca mi ręce na szyję i szlocha dramatycznie prosto do ucha, mocząc łzami moją bluzkę.

– Evie płacze – stwierdza Ben, ruszając niepewnym krokiem w naszą stronę.

– Chcę już wracać do domu – mówi Evie.

Wymieniamy z Andym spojrzenia. Po szkole dziewczynki są zawsze zmęczone; Sophie odreagowuje to, wpadając w niemal katatoniczny stan przed telewizorem, za to Evie urządza melodramaty.

– O co chodzi, kochanie?

– O Sophie – jęczy. – Nie będę się z nią więcej przyjaźnić.

To też się zdarza, średnio co półtora miesiąca, ale potem szybko przycicha i znów stają się nierozłączne. Zaczynam szykować się do wyjścia; zbieram siły, żeby odebrać Benowi wagonik kolejki, którym tłucze o podłogę, i odbyć po drodze długą rozmowę z Evie o tym, kto, co i komu powiedział.

– Ona mówi, że nie należę do rodziny. Że tylko Ben jest waszym prawdziwym dzieckiem.

Tylko Ben jest Morleyem.

Zapada cisza, którą po chwili przerywa czkawka Evie. Andy, tak

wściekły, jakim go jeszcze nigdy nie widziałam, wstaje i wrzeszczy: – Sophie! Sophie! W tej chwili chcę cię tu widzieć!

Po powrocie do domu robię dla Bena i Evie tosty z serem. Potem sprzątam kuchnię, zaganiam dzieci do kąpieli, pakuję Bena do łóżka, powtarzam tę czynność kilka razy i w końcu idę do pokoju Evie. Czytamy po raz kolejny *Pajęczynę Charlotty*, ale dzisiaj nie otwieram książki, tylko kładę ją sobie na kolanach.

– Jak się czujesz z tym, co ci powiedziała Sophie? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Chyba w porządku.

– Zrobiła ci przykrość, ale jestem pewna, że nie myślała tego poważnie.

– Już mnie przeprosiła. Znowu jest moją przyjaciółką. Czytasz tę książkę czy nie?

– Za chwilę, kochanie. Nie chcę, żebyś martwiła się tym, co powiedziała Sophie. *Jesteś Morleyówną*. Należysz do rodziny tak samo jak Ben. Faktycznie rzecz biorąc, jesteś Morleyem dużo dłużej od niego.

– O sześć lat! – stwierdza triumfalnie.

– Hm, ile to będzie: siedem minus dwa?

Znów wzrusza ramionami.

– Czytamy rozdział piąty.

Kiedy dzieci już śpią, stoję w oknie pogrążonego w ciemności salonu i patrzę na pustą ulicę; jestem za bardzo zdenerwowana, żeby znaleźć sobie jakieś zajęcie. To zupełnie zwyczajna ślepa uliczka na przedmieściu, z domami, które oddzielają od chodnika schludne ogródki, ale teraz patrzę na nią innym okiem. Czy czai się w mroku, schowany za wypielegnowanymi krzewami? A może przykucnął w cieniu zaparkowanych samochodów? Czy nas obserwuje? Po ścieżce, która prowadzi do naszego domu, idzie ze zwieszoną głową Ollie. Nie widzi mnie w oknie ciemnego salonu. Wygląda na zmęczonego. Wszystkim nam przydałby się wypoczynek, jakieś porządne wakacje. Może po wystawie pojedziemy gdzieś, gdzie jest ciepło. Spróbujemy ożywić trochę nasze małżeństwo. Kiedy mnie wreszcie zauważyła, przesyła mi całusa.

– Znalazłam dziś w drzewie prezent – mówię.

– Co?

Marszczy czoło.

Ollie zachował młodzieńczy wygląd, jakby utknął w wieku dwudziestu kilku–trzydziestu lat. Teraz widzę, że się jednak postarzał. Nadal ma gęste, opadające na oczy włosy bez śladu łysiny, ale jego czoło przecinają pionowe bruzdy, wokół oczu pojawiła się siateczka drobnych zmarszczek, a od nosa do ust biegną dwie wyraźne fałdki. Kiedy to się stało? Dlaczego tego nie zauważyłam?

– Od ojca Evie. Ten sam charakter pisma co na kartce.

Przeciera sobie oczy.

– Dałaś go jej? – pyta.

– Oczywiście, że nie!

– Co to jest?

– Różowy kucyk.

Prycha z obrzydzeniem.

– Rozmawiałaś z nią o tym?

Kręcę głową.

– Jeszcze nie. Nie chciałam denerwować jej przed snem.

– To dobrze. Nic jej nie mów. To tylko wytrąciłoby ją z równowagi.

Gdzie to było?

Mówię mu o przeciętej siatce w naszym płocie. Klnie ze złością.

– Musimy zadzwonić na policję. A jeśli on spróbuje z nią porozmawiać?

– Już dzwoniłam. I do agencji adopcyjnej. W piekarniku jest jedzenie.

Staram się nie brać pod uwagę przerażającej możliwości, że biologiczny ojciec Evie już z nią rozmawiał. Kiedy zapytałam ją o to w sobotę, odparła, że nigdy go nie widziała.

Kilka minut później Ollie wraca do salonu i siada obok mnie na kanapie. Rozkłada na kolanach kuchenną ścierkę i stawia na niej talerz z zapiekanką pasterską. Podnosi do ust pełen widelec i zaczyna gwałtownie sapać, bo jedzenie jest za gorące. Kupiłam gotowe danie. Czuję się winna, że tak dużo czasu spędzam z Harrisem; że tak dużo o nim myślę.

– Co ci powiedziała policja?

– Przyjadą tu, żeby z nami porozmawiać. Dzwoniłam dziś po południu, więc pewnie zjawią się jutro.

– A agencja adopcyjna?

Wyjaśniam, dlaczego nie mogą udzielić nam żadnych informacji i że na pewno nie podali nikomu naszych danych. Ollie nie oczekiwał, że będą potrafili nam pomóc, więc tylko kiwa głową.

– Tak właśnie myślałem. Biologiczna matka oświadczyła, że nie chce utrzymywać kontaktu z dzieckiem. Nie mogła tego wyrazić jaśniej. Tylko jak, do cholery, jej ojciec zdobył nasz adres?

Nie umiem mu odpowiedzieć na to pytanie. Chwyta pilota i włącza wiadomości o dwudziestej drugiej. Chciałabym z nim porozmawiać, zastanowić się wspólnie, co to wszystko oznacza, co powinniśmy zrobić, jak przekonać Evie, że ją kochamy, ale Ollie jest zmęczony i głodny i już się od tego odciął. Przecież tak właśnie się relaksuje: oglądając w nocy telewizję.

Myślę o dzisiejszym wyznaniu Andy'ego, że uprawiał seks z prostytutką, kiedy on i Gill nie byli razem. W zasadzie nigdy nie rozmawialiśmy z Olliem o tym, co robiliśmy po zerwaniu.

Rozstaliśmy się w trzecim roku naszego związku; presja egzaminów końcowych i mojej wystawy dyplomowej tak nas wykończyła, że nie mieliśmy siły tego ciągnąć. Przez jakiś czas spotykałam się z innym mężczyzną i założyłam, że Ollie też wdał się w jakiś romans. Wiem, że przez pierwsze miesiące w Londynie, gdzie dostał się na staż, ostro imprezował. Przyznał mi się, że eksperymentował z kokainą i ecstazy. Rzucam mu ukradkowe spojrzenie. Czy mógł się przespać z prostytutką? Czy rzeczywiście, jak twierdzi Andy, wielu mężczyzn to robi? Staram się odsunąć od siebie tę myśl. Nawet jeśli tak było, nie wierzę, żeby mnie zdradził po tym, jak do siebie wróciliśmy. To po prostu nie w jego stylu. A może się mylę? Andy'ego też nigdy nie posądziłabym o seks z prostytutką. Czy to przypadek, że Ollie ma w sobie tę samą niezdarność co Evie? Jest niezwykle precyzyjny w takich sprawach jak cyfry, liczby, ustawianie piekarnika, instrukcje klocków Lego, ale pod względem fizycznym jest raczej niedojdą. Zdarzają mu się nagłe zachwiania równowagi, a to wytrąci komuś

kieliszek z ręki, a to zrzuci na podłogę talerz, jakby nie wiedział, gdzie kończy się jego ciało i zaczyna reszta świata. To zawsze zbliżało go z Evie, która wygląda jak leśny duszek i ma równie nieskoordynowane ruchy jak on.

Odnoszę do kuchni jego talerz i swój kieliszek. Cały parter tonie w mroku, tylko Ollie tkwi w bańce niebieskawej poświaty leżącej się z ekranu telewizora. Chyba mnie nie widzi, bo dzieli nas cała szerokość domu. Nie mogę się powstrzymać: wchodzę na krzesło i otwieram szafkę na samej górze, w której ukryłam kucyka. Wyjmuję krzykliwie różową paczuszkę i odwijam pomięty papier. Dokładnie rzecz biorąc, to jednoróżec, a nie kucyk. Wierzchowiec dla księżniczki z bajki, z grzywą do kopyt i z kwiatkami i gwiazdkami na zadzie. Jest ohydny i w pierwszej chwili uznałam, że Evie odrzuciłaby go z odrazą. Ale teraz nie jestem już tego taka pewna. Przypominam sobie jej opowiadanie o księżniczce, a także serduszka i czarodziejskie różdżki, którymi otacza swoje ilustracje. Gdybym go jej dała, byłaby zachwycona. Możliwe, że wcale nie znamy jej tak dobrze, jak się nam wydawało.

Wtorek

– Trzymaj się tego, dobrze?

Podaję Evie pasek umocowany do rączki spacerówki. Teoretycznie powinnam owinąć go sobie wokół nadgarstka, na wypadek gdybym puściła rączkę i wózek zaczął odjeżdżać wraz ze swoją bezcenną zawartością.

Evie patrzy na mnie, jakbym zwariowała.

– Mamusiu! Nie mam pięciu lat!

– Dobrze, ale nie odbiegaj za daleko. Chcę cię przez cały czas widzieć.

Podskakuje, rozkopując stopami pierwsze opadłe liście. Wbiega w kałużę i ochlapuje sobie łydki błotem. Ben chichocze. Żeby go jeszcze bardziej rozśmieszyć, Evie podrzuca całe garście liści kasztana i wskakuje w następną kałużę. Cała składa się z kątów i ostrych krawędzi: chude jak patyki nogi i ręce, kościste stawy. Nic nie mówię. Chcę ją mieć na oku, a jeśli będę bez przerwy zwracała jej uwagę, to jedno najważniejsze polecenie utonie w morzu wymówek.

Na przedmieściu panują spokój i cisza. Zrobiło się za chłodno na siedzenie w ogrodzie; nie jest to główna ulica, więc samochodów jeździ niewiele. Patrzą na ciemne okna domów za krzakami więdnących róż i płomiennie purpurowymi rabatkami wczesnych michałków. Kto tu mieszka? Czy nas obserwują? Może jeden z naszych sąsiadów siedem lat temu zrobił coś, czego teraz żałuje? Jak mało wiemy o ludziach, którzy żyją wokół nas.

Na Cowpasture Road ruch jest większy. Wykorzystuję to jako pretekst, by kazać Evie trzymać się wózka. Nie protestuje, bo chce pomachać brudnym liściem nad głową Bena podczas wypowiedzianego zaklęcia. Wchodzi mi pod kółka i wpada na Bellę, mimo to gryzę się w język.

Szkoda, że nie chce mnie trzymać za rękę. Przed szkołą macha mi na pożegnanie, uchyla się od pocałunku i wbiega do budynku.

– Pa, pa – woła za nią Ben, ale Evie nie zwraca na niego uwagi.

Hanna White stoi w drzwiach klasy i uśmiecha się ciepło do Evie.

– Czy to magiczna różdżka? – pyta.

– Tak! Zamieniłam swojego brata w ropuchę!

Hanna nadaje na tej samej fali co Evie. Gdybym to ja była na jej miejscu, nie pozwoliłabym dziecku wnieść do klasy zabłoconego liścia.

– Dzień dobry, pani Morley – wita mnie.

– Dzień dobry, panno White. Czy mogłabym porozmawiać z Jackiem? Przepraszam, z panem Mitchellem.

– Obawiam się, że nie. Do jedenastej jest na spotkaniu. A może ja mogłabym w czymś pomóc?

– Właściwie tak – odpowiadam po chwili wahania. – To dotyczy Evie, więc pani chyba też powinna o tym wiedzieć. Proszę przekazać to później Jackowi.

– Oczywiście. – Robi kilka kroków w bok, żebyśmy mogły porozmawiać poza zasięgiem niepowołanych uszu. – O co chodzi?

Na jej twarzy maluje się niepokój. Sprawia wrażenie osoby posiadającej naturalny dar empatii, chociaż praca wśród takiej gromady dzieciaków i ich problemów, nie mówiąc już o rodzicach, musi być czasem trudna. Odrzuca do tyłu włosy i patrzy na mnie z uwagą swoimi wielkimi zielonymi oczami. Jest ubrana w sukienkę z materiału w wytłaczane wzory, taką samą jak poprzednio, tylko w innym kolorze; tym razem włożyła przezroczyście rajstopy. Staram się nie myśleć o tym, że czuję się przy niej zaniedbaną mamuszką.

– Znaleźliśmy kartkę od jej ojca. To znaczy, od jej biologicznego ojca. I prezent.

– Och, to musiało być straszne. Jak się czuje Evie?

– Bardzo się o nią martwię. Zadzwoiłam do agencji adopcyjnej.

– Potrafili jakoś pomóc? Co powiedzieli?

Kręcę przecząco głową.

– Nie wiedzą, kto jest ojcem ani jak mu się udało nawiązać z nią kontakt. Nie możemy nawet sprawdzić, kim jest jej matka, więc...

Hanna kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Tak mi przykro. – Milknie. – Czy...? – dodaje po chwili wahania.

– Tak, zawiadomiłam policję, ale jeszcze się ze mną nie

skontaktowali. Dam pani znać, co powiedzieli.

– Koniecznie. Będę miała Evie na oku.

Dziękuję jej skinieniem głowy. Hanna ściska moje ramię, uśmiecha się i schyla, żeby porozmawiać z Benem. Kiedy wracamy po południu ze szkoły, przed domem czekają dwaj policjanci. Przedstawiają się jako posterunkowy Ian Carr i posterunkowy Harry Priestley. Wyglądają, jakby ledwie skończyli dwadzieścia lat. Ogarnia mnie rozczarowanie.

– Nie jest poinformowana o ostatnich wydarzeniach – mówię, wskazując głową na Evie.

Mam nadzieję, że zrozumieją aluzję.

Posterunkowy Ian Carr ma gęste ciemne włosy. Marszczy czarne brwi, które niemal stykają się ze sobą nad nosem.

Priestley kiwa głową.

– Nie ma problemu, pani Morley. Zaczekamy, aż będzie pani mogła odpowiedzieć na nasze pytania.

Sadzam Bena w wysokim krzeselku dla dzieci i wręczam mu paczuszkę suszonych jabłek oraz pudełeczko rodzynek w nadziei, że na jakiś czas zajmą jego uwagę. Zaczyna liczyć rodzynki, ale ponieważ nie zna jeszcze liczb, mamrocze pod nosem jak mały kapral „raz, dwa, raz, dwa”. Daję Evie szklanekę mleka i kromkę chleba z miodem i mówię, żeby poszła do swojego pokoju. Nie protestuje, bo normalnie nie pozwalam jej wynosić jedzenia z kuchni.

– Napijcie się panowie herbaty?

– Pod warunkiem że parzy pani dla siebie – odpowiada Priestley.

– Poproszę z mlekiem i dwiema łyżeczkami cukru – wpada mu w słowo Carr.

Priestley nie jest tak oszłamiająco przystojny jak jego kolega, ma okrągłą, pucołowatą twarz i jasnoniebieskie oczy, ale wydaje się bystrzejszy. Robiąc herbatę, opowiadam o adopcji Evie i o prezencji od jej „prawdziwego” ojca.

– Możemy zobaczyć, gdzie to pani znalazła? – Priestley zrywa się z krzesła.

Otwieram przeszkłone drzwi i wychodzimy do ogrodu.

– To tutaj córka bawiła się pierwszą kartką, a wczoraj znalazłam tu

prezent dla niej, ale jej o nim nie powiedziałam. – Pokazuję im chore drzewo. – Wsunął go przez dziurę w płocie – wyjaśniam.

Ogrodzenie jest już naprawione. Ktoś odgiął z powrotem druty i załatał siatkę. Czuję przypływ ulgi i miłości do Olliego: musiał to zrobić, kiedy już spałam. Widzę oczyma wyobraźni, jak schyla się w nocy z latarką i nożycami do metalu, a z jego ust wydobywa się obłoczek pary.

– To wszystko? Nie było innych prezentów albo kartek?

Kręcę głową.

– Czy ktoś mógł widzieć intruza? – pyta Carr. – Oprócz pani.

Znów kręcę głową.

– Nie z tego miejsca. Możliwe, że sąsiedzi zauważyli kogoś obcego na ścieżce jezdzieckiej, ale i tak nie wzbudziłoby to ich podejrzeń. To droga publiczna. Prowadzi na pole golfowe, a potem dalej, do Krowy i Cielecia.

Podnoszą wzrok na linię horyzontu. Na granitowej skale stoi mężczyzna; jego sylwetka wyraźnie rysuje się na tle zachodzącego słońca. Po chwili odwraca się i rusza z powrotem w kierunku wrzosowiska.

– Nie mają państwo monitoringu? – pyta Carr.

Znów zaprzeczam ruchem głowy.

Wracamy do kuchni. Pijemy herbatę, a ja odpowiadam na ich pytania. Kiedy już powiedziałam przy herbacie wszystko, co chcieli wiedzieć, Priestley pyta, czy mogą porozmawiać z Evie.

– Nie chcę, żeby dowiedziała się o prezencie – odpowiadam po chwili wahania, starając się zachować spokojny ton.

– Nie wspomnimy o tym, pani Morley – uspokaja mnie Priestley.

Przyprowadzam Evie. Siada obok mnie na kanapie i bierze mnie za rękę. Priestley kuca przy niej, Carr zajmuje fotel naprzeciwko. Ben, zachwycony obecnością aż dwóch panów, znosi Carremu stos samochodów, koparek i wagoników kolejowych. Priestley trzyma w dłoni kartkę urodzinową, którą znaleźliśmy w sobotę.

– Podziwiałem twoją śliczną kartkę – mówi. – Od kogo ją dostałaś?

– Od mojego prawdziwego taty – odpowiada, twardo patrząc mu w oczy. – Jest napisane w środku – dodaje, na wypadek gdyby był nie

tylko głupkiem, ale też analfabetą.

– Wiesz, kto jest twoim prawdziwym tatą?

Evie wzrusza ramionami.

– Mój tata nazywa się Ollie, ale nie wiem, kto jest moim prawdziwym tatą. Tym, który mnie oddał.

W historii, którą jej zawsze opowiadam, dała nam ją pewna dobra pani. Evie pewnie tak samo wyobraża sobie swojego ojca – jako dobrego pana, który dał nam ją w prezencie. Tylko że teraz chce ją odzyskać.

– Potrafisz nam wyjaśnić, jak ta kartka tutaj trafiła? – pyta Priestley.

Evie kręci głową.

– Czy znalazłaś w swojej specjalnej kryjówce inne kartki albo coś innego?

– Mogę pooglądać teraz telewizję? Mówiłaś, że będę mogła.

– Gdyby ktoś, kogo nie znasz, chciał dać ci kartkę albo prezent, proszę cię, żebyś nic od niego nie brała. Będiesz umiała zachować się jak bardzo duża dziewczynka i powiedzieć o tym od razu komuś dorosłemu? Na przykład mamie? Nikt się na ciebie nie pogniewa.

Evie kiwa głową i ściska mi rękę. Patrzy na mnie błagalnym wzrokiem. Włączam telewizor. Lecą *Pipiplisie*, kreskówka z wielkookimi bohaterami, którzy uprawiają jogę i unoszą się w powietrzu. Przypominają mi się nienaturalnie szeroko rozstawione oczy Evie i znów zaczynam się zastanawiać, dlaczego ona wygląda tak, jak wygląda.

Przed wyjściem Priestley mówi: – Poprosimy dzielnicowego, żeby skierował tu patrol. Porozmawiamy z sąsiadami, może widzieli w pobliżu waszego domu kogoś, kto się dziwnie zachowywał. Proszę, aby pani też była czujna i natychmiast się z nami skontaktowała, jeśli zauważy pani coś nietypowego. Albo jeśli pojawi się następna paczka. – Zerka ukradkiem na Evie, lecz moja córka jest zbyt pochłonięta oglądaniem telewizji, by się interesować, co się wokół niej dzieje. – Może powinna pani pomyśleć o ochronie: założyć alarm i monitoring. I... – dodaje po chwili wahania – z pewnością nie muszę pani tego mówić, ale na pani miejscu pilnowałbym, żeby zawsze wiedzieć,

gdzie i z kim jest córka.

Kiwam głową.

– Czy istnieje jakiś sposób, żeby go odnaleźć? – pytam. – Jej biologicznego ojca?

– Sądząc z tego, co nam pani powiedziała, raczej bym na to nie liczył – mówi Carr. – Może uda nam się go złapać, jeśli znów się tutaj pojawi. Będzie tu krążył radiowóz, jeśli więc spróbuje się do was zbliżyć, najpewniej zostanie zatrzymany.

Priestley wręcza mi wizytówkę z telefonem i adresem komendy policji w Ilkley. To dwa kroki od szkoły. Zamykam za nimi drzwi. Ta rozmowa mną wstrząsnęła. Policjanci potwierdzili, że sprawa jest poważna i że nie histeryzuję niepotrzebnie, po ich wizycie jednak wcale nie poczułam się bezpieczniejsza ani przekonana, że znajdą człowieka, który nas prześladuje.

Środa

Właśnie wychodzę ze szkoły po odprowadzeniu dzieci, kiedy dostaję esemesa: *Kawa? Jestem w barku na Back Grove Rd. H.* Spieszę się, jak mogę. Chcę zobaczyć Harrisa, odnaleźć spokój w jego kojącej obecności.

Emanuje siłą, która sprawia, że przy nim czuję się bezpieczna, choćby przez krótki czas. Na mój widok uśmiecha się szeroko, a potem całuje mnie w policzek. Po naszym spacerze w Heber's Ghyll coś w nim się otworzyło: stał się cieplejszy, bardziej swobodny.

– Zoe – mówi. Sposób, w jaki wypowiada moje imię, sprawia, że czuję się wyjątkowa.

Pierwszy raz, odkąd go znam, wygląda na zmęczonego.

– Dostałem zamówienie na rzeźbę, która ma stanąć na wrzosowisku – wyjaśnia, kiedy pytam, czy nadal jest zajęty przygotowaniem prac na wystawę. – Na miejscu kopca nad Valley of Death.

Zaczyna opowiadać o związku między sztuką a wędrowaniem. Cytuje Richarda Longa i jakiegoś Rudiego Fuchsa. Mówi, że chce stworzyć dzieło, które nie będzie oddzielne od krajobrazu, lecz stanie się jego częścią, będzie się zmieniać i przeobrażać w czasie razem z otaczającym światem. A przynajmniej wydaje mi się, że to właśnie mówi, bo kręci mi się w głowie od kawy i żaru jego przemowy. Pochyla się w moją stronę, rysuje palcami wzory na zasypanym ziarenkami cukru blacie stołu i jest tak blisko, że gdybym się trochę przesunęła, mogłabym go dotknąć. Przerywa w pół zdania i wbija we mnie wzrok. Oblewam się rumieńcem. Bierze mnie za rękę.

– Coś jest nie tak, prawda? – mówi powoli. – Coś nadal nie pozwala ci malować.

Kiwam głową. I nagle wszystko się ze mnie wylewa. Opowiadam mu o Evie. O adopcji. Że znalazł ją jej prawdziwy ojciec, że przysyła jej upiorne kartki z życzeniami i że podrzucił prezent. Że nas obserwuje, włamał się do naszego ogrodu i zbudował z Evie jakiś rodzaj więzi. Że może mieć coś wspólnego z narkotykami. Być

alfonsem. Kimkolwiek. Miłym mężczyzną z klasy średniej z ohydnyim nałogiem. Że wczoraj odwiedziła nas policja.

– Dwóch harcerzyków. Co oni mogą wiedzieć – rzucam.

Słucha z uwagą, nie przerywa. Wciąż trzyma moje dłonie i ściska je tak mocno, że niemal sprawia mi ból. Mówi: – Zdajesz sobie sprawę, że facet, który przynosi te wszystkie rzeczy twojej córce, może wcale nie być jej ojcem?

Tego właśnie najbardziej się boję. Staralam się o tym nie myśleć. Ściska mi ręce jeszcze mocniej, zmuszając mnie, żebym jednak zmierzyła się z tą ewentualnością.

– Sama powiedziałaś, że odnalezienie Evie byłoby bardzo trudne. Nawet jej własna matka nie wie, gdzie ona jest. Bardzo możliwe, że tego człowieka nie łączy z nią żadne pokrewieństwo.

Z czego jasno wynika, że naszą córkę być może prześladowuje pedofil. Ma rację. Nie jesteśmy w stanie sprawdzić, czy ten człowiek naprawdę jest jej ojcem. Czy policja rozważyła taką możliwość? Próbuję się uspokoić. Może wyglądają jak harcerzyki, ale na pewno zostali przeszkoleni również na taką okoliczność.

– Nie spuszcza z niej oka – mówi Harris. – Przykro mi, że jakiś parszywy drań wybrał sobie na ofiarę twoją córkę. Ale musisz wlać to, co przeżywasz, w swoją pracę.

Splata swoje palce z moimi.

– Jesteś piękna, Zoe – szepcze.

Jego oczy płoną gwałtownym pożądaniem; przez chwilę myślę, że wyszarpnie mnie zza stolika, przyciągnie do siebie i zacznie całować. Do oczu napływają mi łzy. Nie pamiętam, kiedy Ollie ostatni raz mi powiedział, że jestem piękna. Ale chociaż pragnę Harrisa, muszę myśleć o Evie. Odchylam się na oparcie ławy i wysuwam palce z jego dłoni.

Muszę wynieść z pracowni podobrazia, które kupiłam za radą Harrisa, żeby nie powalać ich farbą. Odebrałam już Bena ze żłobka. Dałam mu obiad, a potem obłożyłam zabawkami, aby przez jakiś czas miał się czym zająć. Zanoszę ramy z naciągniętym płótnem na górę, do pokoju Evie. Zamierzam schować je na strychu, z dala od lepkich łapek. Poczekają tam, aż będą mi potrzebne. Trzy razy obracam po

schodach, układając podobrazia obok łóżka Evie. Ben wreszcie zauważa moją nieobecność i zaczyna płakać, więc jego też taszcę na górę. Rozbita rzeźba z klocków Lego leży na podłodze tam, gdzie ją przewrócił. Ben bawi się teraz jej kawałkami.

Muszę pamiętać, żeby pomóc Evie ją naprawić. Otwieram drzwiczki pod skosem, za którymi mieści się nasza przestrzeń magazynowa, i zapalam światło.

Muszę ukucnąć, żeby dostać się do środka. Na belkach stropowych za drzwiczkami Ollie ułożył kilka płyt ze sklejki. To prowizorka, płyty chybczą się pod stopami. Nie chcę stracić równowagi i wylądować na izolacji strychu. Leżą już tam inne materiały malarskie: drewniane listwy na ramy, rolka płótna bawełnianego o gramaturze 280 gramów, puszka farby akrylowej do gruntowania. Wnoszę pojedynczo podobrazia i układam jedno na drugim jak talię gigantycznych kart. Na płytach ze sklejki brakuje miejsca, trzeba przesunąć na bok rolkę płótna. Wyglądam przez otwarte drzwiczki, by sprawdzić, czy z Benem wszystko w porządku, a potem przekładam podobrazia, żeby dostać się do rolki. Kiedy odsuwam ją od ściany, coś zza niej wypada. To lalka Elsy z *Krainy lodu* w błyszczącej niebieskiej sukni. Jest tam coś jeszcze. Wsuwam dłoń w szparę między rolką a ścianą i wyciągam zabawki. Pierwszy raz je widzę. Płaskie metalowe pudełko z kolorowymi kredkami. Pluszowy miś w krawacie z chustki do nosa. Pomarańczowa torebka z naszym z przodu filcowym kwiatkiem. Mój oddech przyspiesza gwałtownie. Zostawiam wszystko tam, gdzie leży, i wycofuję się, uderzając się przy tym w głowę. Jak długo to trwa? Nie dość, że Evie dostaje prezenty, to jeszcze umyślnie je przed nami chowa.

Chwytam Bena i zbiegam na dół. Na ostatnim schodku tracę równowagę. Chwytam się barierki, żeby nie upaść, i wykręcam sobie rękę w nadgarstku. Czuję palącą potrzebę, żeby przytulić Evie, przycisnąć ją z całej siły do siebie. Zamiast tego tulę i całuję Bena. Wije się w moich ramionach i chichocze, próbując się wyrwać.

– Evie, słoneczko – mówię, zamykając w swoich dłoniach jej drobne rączki. – Znalazłam na strychu jakieś zabawki. Powiedz mi, proszę, skąd je masz. Nie pogniewam się na ciebie.

Oswobadza ręce i krzyżuje je na chudej piersi. Przed chwilą wróciłyśmy ze szkoły i jesteśmy teraz w jej sypialni. Naprawiamy rzeźbę z klocków. Ben biega dookoła po pokoju i po podeście schodów, sapiąc jak lokomotywa.

– To moje zabawki. Nie powinnaś ich oglądać.

– Zobaczyłam je, kiedy wyносиłam na strych swoje płótna. Gdzie je znalazłaś? Ktoś ci je dał? – Nie odpowiada. – Były w drzewie?

Kiwa głową.

– Dostałam je od taty. Tego prawdziwego.

– Och, kochanie. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Ani panu policjantowi, który cię o to pytał?

– Nie skłamałam – stwierdza stanowczo.

Mam ochotę ją zbesztać, ale uświadamiam sobie, że ma rację. Nikt z nas nie zauważył, że nie odpowiedziała na pytanie posterunkowego Priestleya. Wybuch płaczem i zarzuca mi ramiona na szyję. Wyobrażam sobie, jak śpi z tym stosem prezentów w swoim łóżeczku. Chcę je wyrzucić. Wydają mi się zatrute.

– Nic się nie stało – próbuję ją uspokoić. – Twoim tatą, twoim prawdziwym, rzeczywistym tatą jest Ollie. Kocha cię najmocniej na świecie. Widziałas pana, który przyniósł te rzeczy?

Kręci głową, rozmazując mi po szyi gorące łzy.

– Schowałam je przed Benem – szlocha. – Chciałam, żeby były tylko moje. Każesz mi dzielić się z nim zabawkami, a on wszystko psuje.

Podnoszę oczy i widzę, że Ben właśnie przestał ganiać w kółko i w skupieniu próbuje oderwać rękę jednej z lalek. Puszczam Evie i odbieram mu zabawkę, zanim zdąży ją zniszczyć.

Wybuch głośnym płaczem, niemal zagłuszając słowa Evie.

– Wcale nie jest, i dobrze o tym wiesz.

– Kto nie jest czym? – pytam, usiłując zapanować nad Benem i jednocześnie trzymać lalkę poza jego zasięgiem.

– Ollie nie jest moim *prawdziwym* tatą. A ty nie jesteś moją prawdziwą mamusią – odpowiada cichym, zdławionym głosem.

Czuję się tak, jakby ktoś kopnął mnie w mostek. Chcę ją przytulić, ale ciągle szarpie się z Benem. Nie zdążyłam wymyślić, co jej

powiedzieć, kiedy zadziera wyzywająco podbródek i oznajmia: – Chcę moją drugą mamusię.

Nakręciłam się, doprowadzając samą siebie do stanu furii. Sytuacji nie poprawił kieliszek wina, który wypłam podczas zaganiania Evie i Bena do łóżek, chociaż myślałam, że pomoże mi się uspokoić. Spowodował tylko, że nie chciało mi się przygotować kolacji, i teraz dopijam drugi duży kieliszek na pusty żołądek. Mam ochotę nawrzeszczyć na Olliego za to, że nigdy nie ma go w domu, że nie chroni Evie, że nie jest prawdziwym ojcem. Zdaję sobie sprawę, że chcę odreagować na nim swoją wściekłość i poczucie krzywdy, tylko dlaczego nie ma go tutaj, kiedy go potrzebuję, żeby ukoł moje rozżalenie, gdy moja córka tak łatwo odtrąciła mnie i moją miłość? Myślę o tych wszystkich nocach, które przesiedziałam w szpitalu przy inkubatorze, przyglądając się, jak śpi. Zbieram zabawki Bena i wycieram resztki jedzenia ze stołu w kuchni, gdy nagle przychodzi mi do głowy, że może Ollie ma jednak romans. To by tłumaczyło jego późne powroty do domu. Zajęte weekendy. Ciągłe roztargnienie. Może nawet nowe garnitury.

Zastygam, przyciskając do piersi plastikowy telefon na kółkach. W mojej pamięci ożywa scena, jak tańczę z Olliem. Znajdujemy się w domu naszego kumpla, w salonie. Z głośników płynie utwór Eurythmics. Mamy po dwadzieścia kilka lat. Jesteśmy rok, może dwa lata po studiach. Ollie uwielbia tańczyć, ale zwykle tego nie robi, ze względu na swoją niezgułowatość. Teraz jest tak pijany albo szczęśliwy – niedawno zeszliśmy się z powrotem – że ma to gdzieś.

Przyciąga mnie do siebie i odpycha na długość ramienia, okręca w tańcu, roztrącając inne pary, nadeptuje na nogę swojemu najlepszemu przyjacielowi. Zaskakująco głośnym barytonem wtóruje zespołowi. Muzyka zmienia się, teraz leci wolny kawałek. Myślę, że się zatrzyma, padnie na kanapę, ale nie robi tego. Przytula mnie mocno i zagląda mi głęboko w oczy. Ma intensywnie niebieskie tęczęwki. Widzę, że nie jest pijany, najwyżej trochę wstawiony; patrzy na mnie takim wzrokiem, że kurczy mi się żołądek. Kiedyś Ollie często patrzył na mnie w ten sposób. Kiedyś zrobiłabym dla niego wszystko. Oczywiście Ollie, jak to Ollie, pochylając się, żeby mnie pocałować,

potyka się o dywan i jak długi łąduje na ziemi, ciągnąc mnie za sobą i podcinając dziewczynę, która niesie dwa wielkie kieliszki czerwonego wina. Wrzucam telefon do jednej ze skrzynek, gdzie przez chwilę pobrzękuje żałośnie. Kiedy nalewam sobie kolejny kieliszek chardonnay, rozlega się zgrzyt klucza w zamku.

Przechodzę do salonu.

– Przyszło ci do głowy, że to wcale nie musi być jej ojciec? Że to może być jakiś pedofil?

Nie odpowiada. Odstawia aktówkę. Strząsa z siebie płaszcz, wieszając go na haku.

Rozsznurowuje i zdejmuje półbuty. Przeczesuje palcami włosy.

– Tak – odpowiada krótko.

– Tak? – powtarzam po nim. – To dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Nie wiemy, czy jest jej prawdziwym ojcem, czy nie. Nie chciałem cię bardziej martwić.

Podchodzi i zamyka mnie w ramionach. Nie wyczuwam w jego zapachu żadnej obcej nuty. Pachnie tak jak zawsze po całym dniu: pociągami i gazetą. Całując go, czuję smak piwa. Czyżby pił w drodze do domu? Nie żebym miała prawo się czepiać.

– Wydarzyło się coś nowego? – pyta.

Mówię mu o prezentach, które znalazłam na strychu.

– Powinnaś jeszcze raz zadzwonić na policję – mówi.

– *Ja* powinnam zadzwonić na policję? Jest także twoją córką!

– Przepraszam, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Miałem ciężki dzień w pracy.

Chodziło mi o to, że w biurze nie bardzo mogę załatwiać prywatne telefony, a tobie jest łatwiej, bo jesteś na miejscu i najlepiej wiesz, kiedy ci pasuje, żeby przyjechali. Ale jeśli chcesz, mogę urwać się z pracy i pojechać na policję.

Uchodzi ze mnie cała złość i zaczynam płakać.

Przytula mnie i mówi:

– Wszystko będzie dobrze. Zamówmy jakieś żarcie. Powinniśmy coś zjeść. Co powiesz na curry?

Dwa tygodnie później

Czwartek

Dziś wieczorem jest wernisaż Harrisa. W nerwowym podnieceniu szykuję się do wyjścia. Od dwóch tygodni nie było żadnych nowych kartek ani prezentów. Może facet, kimkolwiek jest, wystraszył się policji. Evie też nie wspominała więcej o swoich prawdziwych rodzicach. Ilekroć o tym myślę, robi mi się gula w żołądku. Po lekcjach staram się ani na chwilę nie spuszczać Evie z oka i dwa razy dziennie sprawdzam chore drzewo. Przypatruję się wszystkim mężczyznom napotkanym w drodze do i ze szkoły. Za każdym razem, kiedy robiąc zakupy albo wyprowadzając Belle, mijam jakiegoś faceta, zadaję sobie pytanie: czy to może być on?

Za to praca idzie mi nieźle. Kończę malować obraz, który zaczęłam po tamtej rozmowie z Harrisem, kiedy opowiedziałam mu o wszystkim, co się wydarzyło. Jakby rzeczywiście coś we mnie uwolnił, pozwolił mi być artystką, być sobą, oderwać się choć na chwilę od bieżących zmartwień. Brzmi to fałszywie, ale to prawda. Kiedy proszę Jacka, żeby w sobotę po południu zajął się Evie i Benem, nie dręczy mnie już poczucie winy; zresztą w zeszłym tygodniu doskonale się u niego bawili. Dziś skorzystałam z propozycji Hanny; jest teraz u nas i właśnie przygotowuje dzieciaki do spania.

Zapytałam Olliego, czy ma ochotę mi towarzyszyć. Wyobraziłam sobie, że znów będzie tak jak dawniej, kiedy elegancko wystrojeni bredziliśmy dyrdymały o sztuce przez duże S, udając napuszonych krytyków z „The Sunday Telegraph”, wypijaliśmy za dużo taniego wina i zataczając się, wracaliśmy na piechotę do domu Cowpasture Road. Nic się jednak nie zmieniło. Prawie się nie widujemy. Dlatego nie byłam zdziwiona, kiedy poinformował mnie, że musi zostać dłużej w pracy.

– Idź sama, to ci się przyda – powiedział. – Może poznasz potencjalnych klientów.

Niedługo będziesz miała własną wystawę. Musisz nawiązywać kontakty.

Skrzywiłam się. Doskonale wie, że tego nie cierpię.

– Przydałoby ci się szkolenie z mediów społecznościowych albo jakiś kurs biznesowy.

Nie masz nawet konta na Twitterze. Powinnaś pomyśleć o tym *teraz*, przed swoją wystawą.

– Właśnie od tego mam Jenny – stwierdzam. – Żeby nie musiała zajmować się takimi rzeczami.

Po południu przysłał mi esemesa: *Baw się dobrze. Nie zapomnij ponawiać kontaktów.* x Przynajmniej pamiętał. Co się tyczy Harrisa, w ciągu ostatnich kilku dni sporo się widywaliśmy. Po odprowadzeniu dzieci do szkoły spotykałam się z nim na kawie w kafejce na tyłach The Grove; to już się stało naszym codziennym zwyczajem. Chociaż mam dużo pracy i chcę jak najszybciej wrócić do malowania, to właśnie ja zawsze marudzę z wyjściem. Harris szybko wypija swoje americano, rzuca mi uśmiech i przypomina, że powinnam wracać do domu.

Zastanawiam się, czy się uśmiecha, bo wie, że jestem rozdarta między chęcią, by zostać, a pragnieniem malowania. Chyba mu się podoba, że ma nade mną taką władzę.

Odbieram esemesa z informacją, że taksówka już czeka. Zafundowałam sobie taryfę, zamiast iść na piechotę, bo nie chcę taszczyć szpilek w torebce. Jest wcześnie, jeszcze nie jestem gotowa. Skaczę na jednej nodze po sypialni, usiłując zapiąć paseczki sandałków i założyć nowe, długie kolczyki. Wybrałam styl dyskretnie luksusowy, taką mam przynajmniej nadzieję: obcisłe eleganckie dżinsy i jedwabną bluzkę bez rękawów, z dekoltem obszytym koralikami.

– Wszystko w porządku? – pytam Hannę, zaglądając do łazienki.

Evie i Ben pluszczą się w wannie napełnionej wodą niemal po krawędź i piszczą z radości. Cała podłoga jest zachlapana, dywanik przed wanną kompletnie mokry. Hanna uśmiecha się, jej twarz jest różowa od gorąca, kosmyki włosów barwy miodu zwijają się od wilgoci.

– Wszystko dobrze – odpowiada, przekrzykując hałas. – Niech się pani nie martwi.

W razie czego mam numer pani komórki.

Z powątpiewaniem kiwam głową. W ten sposób nie zapędzi ich do łóżek, oboje są zbyt nakręcenii.

– Dobrej zabawy! – woła i odwraca się z powrotem do dzieci.

Kiedy taksówka zatrzymuje się przy krawężniku na Brook Street, czuję suchość w ustach. Przez chwilę się waham. Galeria jest białym pudełkiem oślepiającego światła, które wylewa się aż na ulicę: okna odbijają zachodzące słońce i obłoki w kolorze rozkrojonego arbuza. W środku kłębi się tłum. Ogarnia mnie panika. Na pewno nie znam tam nikogo oprócz Harrisa i Jenny, którzy będą zbyt zajęci, żeby ze mną rozmawiać. Takie sytuacje zawsze mnie onieśmielają, nie wiem, jak się zachować. Żałuję, że nie ma ze mną Olliego. I wtedy dostrzegam Harrisa. Stoi z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni i z kimś rozmawia. Jakby poczuł na sobie mój wzrok, odwraca się, patrzy prosto na mnie i się uśmiecha. Wchodzę do środka i teraz już jestem zadowolona, że przyszedłam sama.

Jenny cmoka powietrze obok mojego policzka, wciska mi do rąk wysoki kieliszek prosecco i katalog, po czym odchodzi, żeby przywitać następnego gościa. U mego boku wyrasta Harris.

– Co to za ludzie?

Z głośników ryczy muzyka zespołu Coldplay; Harris musi się pochylić, żeby usłyszeć, o co pytam. Wzrusza ramionami, jakby to nie miało z nim nic wspólnego.

– Cieszę się, że jesteś – mówi, muskając mi ucho ciepłym oddechem. – Tęskniłem za tobą. Oprowadzić cię po wystawie?

Bierze mnie za łokieć, ocierając knykciami o moją talię. Chciałabym, żeby mnie oprowadził, mimo to przecząco kręcę głową.

– Musisz rozmawiać z gośćmi.

Jakaś para kręci się niepewnie w pobliżu. Wyobrażam sobie, że mieszkają w wielkim domu, pewnie w Middleton, najbogatszej części Ilkley. Ona włożyła złote szpilki i dopasowaną kremową sukienkę; on jest siwy, spod mankieta idealnie wyprasowanej koszuli wystaje zegarek, który kosztował więcej niż mój samochód.

– Porozglądałam się trochę i do ciebie wrócę.

Niechętnie kiwa głową. Podchodzę do pierwszej rzeźby, która

trzyma straż przy wejściu. Jest duża, ma ponad dwa metry wysokości i jest wykonana z zardzewiałych kawałków złomu, starannie wypolerowanych i w niektórych miejscach pociągniętych lakierem. Niejasno rozpoznaję niektóre elementy: kółka zębate i bloczki, zawory i śruby, sprężyny i ostrza piły. Gdy cofam się o krok, wstępując w falujący tłum, rzeźba zaczyna przypominać przygięte wiatrem drzewo. Może przedstawiać jedną z samotnych, okaleczonych przez wichry sosen za Kamieniem ze Swastyką. Lakier daje efekt wilgoci, jakby przed chwilą przeszła nawałnica albo na powkręcanych konarach osiadła gęsta mgła. Wiem, że Harris mnie obserwuje. Kończy rozmowę z parą ważniaków i płynnie przechodzi do znanego mi z twarzy marszanda z Harrogate, przez cały czas jednak śledzi mnie wzrokiem. Zbliżam się do stwora z połamanymi zębami i wytrzeszczonymi ślepiami, zbudowanego, jak mi się wydaje, z bebeczków traktora. Wygląda jak Gollum, który wylazł z torfowego bagniska. Zaglądam do katalogu. Jest w nim zdjęcie Harrisa – to, na którym wygląda posępnie i mrocznie. Uśmiecham się, czytając pochlebną notkę o artyście.

Odnajduję rzeźbę drzewa na liście wystawianych prac i ze zdumieniem patrzę na zawrotnie wysoką cenę. Stoję tyłem do Harrisa, czuję na plecach jego wzrok. Oblewam się rumieńcem. Przechodzę do drugiej sali, połączonej z pierwszą łukowatym przejściem. Udało mi się uciec na kilka chwil przed jego spojrzeniem. Instynktownie rozumiem jego sztukę. Jakby kroczył po moich śladach w czasie niezliczonych wędrówek po wrzosowisku, widział to, co ja widziałam, i czuł to, co ja czułam. Jestem w bocznej salce, oglądam ostatnią rzeźbę, gdy nagle słyszę jego głos.

– I co o tym sądzisz? – pyta.

Stoi obok mnie, kontemplując swoje dzieło z mojej perspektywy. Podaje mi kolejny kieliszek prosecco, a sam upija łyk czerwonego wina. Nie rusza się, czeka na odpowiedź. Jeśli powiem, że jego prace są dobre, skrzywi się z niesmakiem. Ale cokolwiek innego zabrzmi jak wymądrzanie się studentki historii sztuki. Przypominam sobie pierwsze skojarzenie, które przyszło mi do głowy, kiedy zobaczyłam jego pracę na ulotce o wystawie.

– Sprawiają wrażenie udęczonych – mówię.

Odrzuca do tyłu głowę i wybucha śmiechem. Kilka osób przerywa rozmowy i patrzy w naszą stronę. Uświadamiam sobie, że moja odpowiedź była dla niego bardzo ważna, bo odwraca się gwałtownie do mnie i mówi: – O tak, to prawda. Są udęczone.

Mam ochotę zażartować, że wszystkie te lata spędzone w Shangri-La zdały się psu na budę, skoro sztuka, którą tworzy po powrocie z himalajskiego raję, wyraża tyle bólu, ale on patrzy na mnie w takim napięciu, że nie potrafię wydusić słowa.

– Wyjdźmy na dwór. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

– Nie powinieneś jeszcze z kimś porozmawiać? – pytam. Potencjalni klienci niemal ustawiają się do niego w kolejce, on jednak kręci głową i rusza przed siebie.

Tłum się rozstępuje, żeby zrobić mu przejście. Goście za dużo wypili i są zbyt pochłonięci rozmowami, by zauważyć, że wychodzi. Przecina środkową salę, kierując się do białych drzwi, które całkiem stapiają się ze ścianą. Jakoś nigdy dotąd nie zwróciłam na nie uwagi. Otwiera je i przepuszcza mnie przodem. Jenny zaczęła sprzedawać moje prace siedem lat temu, kiedy adoptowaliśmy Evie i ciągle jeszcze mieszkaliśmy w Londynie, chociaż myśleliśmy już o przeprowadzce do Ilkley, ale po raz pierwszy jestem w tej części galerii. Znajdujemy się w krótkim korytarzu prowadzącym do przechodniej kuchni, za którą mieści się biuro. Zajęty przygotowaniem kanapek kelner odsuwa się, żeby nas przepuścić. Na kołku w ścianie wisi skórzana kurtka Jenny. Przypomina skórę zrzuconą przez węża. Pod drążkiem z kolekcją strojów pyszną się w przezroczystrych plastikowych pudłach pary przepięknych szpilek. Oglądam je z zaciekawieniem. A więc to dlatego Jenny zawsze tak nienagannie wygląda. Zniecierpliwiony Harris bierze mnie za rękę i wyciąga na dwór.

Chłód przyprawia mnie o szok. Noc jest bezchmurna, niebo usiane gwiazdami, które błyszczą jak stal. Chyba jesteśmy od strony Back Grove Road, ale ulicę zasłania płot. Na miniaturowym podwórku stoją kontenery na śmieci i kilka białych plastikowych krzeseł.

Jesteśmy dobrze ukryci przed ludzkim wzrokiem. Sączę prosecco.

Wypiłam za dużo alkoholu i nic nie jadłam; kręci mi się w głowie, mam wrażenie, że moje stopy odrywają się od ziemi.

Harris pochyla się i całuje mnie w usta. Tracę równowagę. Wyjmuje mi kieliszek z ręki, ujmując w dłonie moją twarz i zaczyna mnie wolno całować. Tym razem pocałunek jest długi. Harris ma miękkie usta i szorstkie dłonie. Mam wrażenie, że się z nim zlewam. Całuje mnie nie do wytrzymania czule, lecz jednocześnie z jakąś natarczywą niecierpliwością. Siada na krześle i przyciąga mnie na kolana. Podtrzymuje mi głowę wielką dłonią, drugą ręką obejmując mnie w talii.

Myślę przelotnie o Olliem, ale po chwili jest mi już wszystko jedno. To, co robimy, wydaje się takie słuszne. Od lat nikt mnie w ten sposób nie całował.

– Marzyłem o tym, odkąd zobaczyłem cię po raz pierwszy – mówi, łaskocząc mi ucho oddechem i wtulając twarz w moją szyję.

Wiem; myślę, że wiedziałam od samego początku. Nigdy nie sądziłam, że kiedyś zdradzę Olliego, ale muszę się przyznać, że od samego początku też tego chciałam. Tracę poczucie czasu, nie mam pojęcia, jak długo tam jesteśmy, jak długo się całujemy. Rozlega się hałas, na asfalt pada smuga światła: jeden z kelnerów otworzył tylne drzwi i stanął w nich, żeby zapalić papierosa. Odrywam się od Harrisa. Po ciepłe jego ust powietrze jest tak chłodne, że mrozi mi gardło.

– Muszę już iść – bąkam – dzieci... wzięłam babysitterkę.

Nie widzę jego oczu, ale wiem, że na mnie patrzy. Trzyma mnie mocno w objęciach.

Przez chwilę myślę, że mnie nie puści, i wcale nie chcę, żeby to zrobił. Ale puszcza, sam też wstaje. Bierze mnie za rękę i przeprowadza przez furtkę w płocie na jasno oświetlony parking.

– Pójdę z tobą na postój taksówek.

Na Brook Street zatrzymuje się pod markizą sklepu i wciąga mnie w cień. Całuje mnie po raz ostatni, z całej siły przyciskając do siebie. Słyszę rytm jego serca odbijający się echem od moich żeber.

Przechodzę przez ulicę i wsiadam do taksówki. Kiedy odjeżdżam, on wciąż tam stoi z rękami w kieszeniach i z opuszczoną głową.

Odprowadza mnie wzrokiem. Nie macha na pożegnanie.

Piątek

Evie jest na dworze, ubrana w sukienkę księżniczki, mimo że robi się coraz chłodniej. Nie wiem, czy bawi się przy starym drzewie, bo to jej ulubione miejsce, czy dlatego, że oczekuje kolejnego prezentu. Szkoda, że nie mogę porozmawiać o tym z moją mamą. Umarła trzy lata temu i wciąż za nią tęsknię. Siedzam Bena przed telewizorem. Mam najwyżej dziesięć minut. Stawiam laptop na blacie w kuchni, żeby jednocześnie mieć oko na Evie, i otwieram Google'a.

Musi być jakiś sposób, by odnaleźć prawdziwą matkę Evie. Miała na imię Jane. Kiedy była w ciąży, mieszkała w Londynie. Zawieszam palce nad klawiaturą. I już? To wszystko, czym dysponuję? Nie podali nam jej nazwiska. Jane. To nie jest imię, które kojarzy się z narkomanką. Ale przecież ona też kiedyś była czyjąś ukochaną córeczką. Albo mogła je sobie wymyślić.

„Jane” zrzekła się praw rodzicielskich od razu po porodzie; założyła się, że zrobiła to pod presją opieki społecznej. Agencja adopcyjna nie ma jej adresu. Jak mam odnaleźć po siedmiu latach Jane z Londynu? Może szpital zachował jej dane? Tylko że na pewno mi ich nie poda.

Opieram czubki palców na klawiaturze laptopa. Dotykam litery J. I zaczynam myśleć o Harrisie; to silniejsze ode mnie. Dotyk jego skóry. Nacisk kciuka na moich wargach. Jego zapach: dym drzewny i niewyprawiona skóra, czerwone wino i cynamon. Zapominam, że miałam szukać biologicznej matki swojej adoptowanej córki, żeby przez nią dotrzeć do jej ojca, i odpływam myślami do poprzedniego wieczoru. Ogarnia mnie fala pożądania. Mam ochotę zadzwonić do Andy'ego i opowiedzieć mu o tym, jak zawsze, kiedy przytrafia mi się coś ekscytującego. Lecz nie mogę. Uznałby to za zdradę Olliego i miałby rację. Przywołuję się do porządku. Jestem mężatką. Mam dwoje dzieci. Nic nie wiem o Harrisie poza tym, że mnie rozumie i że ja go rozumiem na jakimś głębokim, intuicyjnym poziomie. Wszystko się strasznie pogmatwało, tęsknię za poczuciem, które daje mi Harris: że życie jest proste, a sztuka najważniejsza. Czy to mogłoby się udać?

Czy mogłabym mieć romans? Czy odeszłabym dla Harrisa od męża? Czy zaopiekowałby się moimi dziećmi? Wzdrygam się na myśl, ile spowodowałyby to cierpienia i komplikacji; jak mogłabym odebrać Olliemu Bena i Evie?

Kiedy późno w nocy, lekko wstawiona i szcękając kluczem w zamku, otworzyłam drzwi i weszłam do domu, Hanny już nie było, a Ollie spał. Poruszył się, gdy wsunęłam się pod prześcieradła, ale nie otworzył oczu. Dziś rano wstał, zanim się obudziłam, i wyszedł o szóstej.

Nieustannie myślę o Harrisie, obracam w głowie jego imię, odtwarzam wieczór w galerii jak jakiś nadrealistyczny sen. Ollie jest moim mężem, upominam siebie surowo. Nie zasługuje na to.

Lecz moje serce jest głuche na argumenty.

Ben pędzi w moją stronę niczym kula armatnia, ściskając w ręce lalkę siostry. Mój czas się skończył. Wyglądam na dwór, ale nie widzę Evie. Jeszcze przed chwilą bawiła się pod drzewem. Ben zawadza o nogę krzesła, przewraca się i uderza głową o ostry kant kuchennej szafki. Wyje. Podnoszę go i przytulam. Nie rozciął sobie głowy, ale od razu urósł mu wielki guz: duży jak jajko strzyżyka, odcina się sinozieloną barwą od bladej skóry. Moczę ściereczkę w zimnej wodzie i przykładam ją do bolącego miejsca. Ben próbuje odepchnąć moją rękę, wrywa się i kopie. Szarpię się z nim. Nadal nigdzie nie widzę Evie.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Siedzam sobie Bena na biodrze, oddaję mu lalkę, którą się bawił, żeby przez chwilę się nie awanturował, i idę otworzyć. Denerwuję się, bo nie wiem, gdzie jest Evie. Na ścieżce przed domem stoi Andy. Jego czoło lśni od potu. Robi wrażenie zakłopotanego.

– Andy! Wejdiesz na herbatę?

– Nie mogę. Zostawiłem dziewczynki w samochodzie. – Wskazuje głową w stronę volvo zaparkowanego ukośnie na chodniku. Sophie macha ręką do mnie i do Bena. – Przyjechałem, jak tylko to znalazłem.

– Co znalazłeś? Coś się stało?

Oglądam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nie pojawiła się Evie,

a kiedy odwracam się do niego z powrotem, Andy trzyma w ręku jakąś paczuszkę: niewielką, cienką i prostokątną, zawiniętą w tani papier w motylki. Opakowanie jest rozdarte, ale dostrzegam naklejkę i litery napisane niebieskim długopisem. Spod kciuka Andy'ego wyziera zamaszyste duże C. Wzdrygam się, jakbym w zimny dzień wypila szklanke lodowatej wody.

– Prezent – oświadcza Ben, wyciągając zachłannie ręce.

– Był w pokoju Sophie – mówi Andy przepraszającym tonem. – Powiedziała, że Evie miała to w tornistrze i że pewnie musiała zostawić, kiedy byliście u nas w poniedziałek.

– O Boże. – Biorę od niego paczuszkę i staram się trzymać ją poza zasięgiem Bena. – Zaglądałeś do środka?

Kiwa ze skrucną głową.

– Była już otwarta. Przykro mi, Zoe. Muszę lecieć, przerwałem szykowanie kolacji.

Zadzwoń do mnie później, jeśli będziesz chciała pogadać. Przykro mi – powtarza i biegnie z powrotem do samochodu.

Czy jest mu przykro, bo Evie dostała kolejny prezent od ojca, czy chciał przeprosić za to, że zajrzał do środka? A może jest mu przykro z powodu tego, co tam jest? Mam nadzieję, że to coś nieszkodliwego, na przykład kolorowanka. Nareszcie widzę Evie. Co za ulga. Siedzi na schodku przy piaskownicy, zbyt blisko przeszkłonych drzwi, by ją było widać z salonu.

Wychodzę do ogrodu. Nasycone światło koloru marmolady z pomarańczy uwydatnia miedziane pasemka w jej ciemnych włosach. Patrzy gniewnie na Bena.

– To *moja* lalka!

– Chciał się nią tylko pobawić.

O dziwo, Ben oddaje lalkę siostrze. Evie bierze ją od niego i z uśmiechem całuje go w pulchny, wilgotny od łez policzek. Stawiam Bena na ziemi i siadam obok niej, z paczuszką w dłoni.

– Skąd to masz? – rzuca.

– Właśnie miałam zapytać cię o to samo. Andy ją przywiózł. Powiedział, że zostawiłaś ją u nich w domu.

Evie wyrywa mi paczuszkę.

- Skąd to masz, Evie?
 - Znalazłam. – Wzrusza ramionami.
 - Gdzie?
 - Tam – pokazuje drewnianą ławkę. Znajduje się jeszcze bliżej domu niż poprzednia kryjówka.
 - Od kogo to dostałaś? – pytam, chociaż znam już odpowiedź.
 - Od mojego prawdziwego taty. Patrz.
- Odwraca pakunek i pokazuje mi nalepkę z rozmazanym napisem.
- Evie, kochanie, prosiłam cię, żebyś mi powiedziała, jeśli dostaniesz następny prezent.
 - Wiedziałam, że mi go zabierzesz – mamrocze pod nosem.
 - Mogę zobaczyć?
- Przyciska paczuszkę do piersi, ale po chwili ustępuje. Wyjmuje z papieru małą czerwoną książeczkę i podaje mi ją. Okładkę z miękkiej skóry zdobi przepiękny wzór; tłoczony złotymi literami tytuł połyskuje w słońcu. Książeczka ma kartki z kremowego papieru, przepiękne ilustracje i prosty, napisany łatwym językiem tekst. Evie pochyla się nad otwartym frontysem, owiewając gorącym oddechem moje nadgarstki. Jej długie włosy spływają mi na przedramię.
- Napisał coś dla mnie w środku – mówi, odwracając kartkę. Zamaszyste litery, zupełnie nieprzypominające charakteru pisma na kartkach i wcześniejszych prezentach, składają się na dedykację.

Dla mojej najukochańszej córeczki.

*Niech ta książka będzie światłem przewodnim naszej wspólnej podróży,
Twój kochający Tata*

Serce w mojej piersi gubi rytm. Zatrząskuję czerwoną książeczkę. Jest mała i lekka, w sam raz dla dziecięcych rączek, ale mnie się wydaje nieznośnie ciężka.

To muzułmański modlitewnik.

Z

Obserwuję cię. Przez ten rok urosłaś i rozwinęłaś się. Odkąd jestem w twoim życiu, rozwijasz się w błyskawicznym tempie. Wiem, że kiedy wreszcie zamieszkamy razem, rozkwitniesz jak kwiat. To już niedługo, kochanie.

Nic nam nie wynagrodzi straconych lat. Jesteś małą dziewczynką: osobą. Nie dane mi było cię ukształtować; kołysać cię w ramionach, kiedy byłaś maleńka, słuchać, jak wypowiadasz pierwsze słowa. Nie było mnie przy tobie, gdy świętowałaś kolejne urodziny.

Kto inny zapalał świece na twoim torcie, kto inny pomagał ci je policzyć i patrzył, z jakim zachwytem odpakowujesz prezenty.

Mogę tylko kupować ci podarki i zostawiać je dla ciebie w naszej kryjówce. Czasem przyglądam się z ukrycia, jak je znajdujesz. Cieszysz się, że masz coś tylko dla siebie i nie musisz się dzielić nimi z tym drugim dzieckiem, Benem. Bez względu na to, co ci próbują wmówić i jak cię nazywają, nie jesteś ich córką, a on nie jest twoim bratem. Nic cię z nimi nie łączy, jesteś moim dzieckiem.

Kiedy rozdierasz papier, twoja twarz rozjarza się cudownym blaskiem. Wiem, że musisz chować przed nimi upominki, żeby ci ich nie zabrali. Na razie to nasza tajemnica.

Pewnego dnia, już niedługo, zamieszkasz ze mną i wtedy będziesz mogła się nimi bawić otwarcie, bez wstydu. Tym razem dostaniesz ode mnie coś specjalnego. Mam nadzieję, że będziesz strzegła tego jak skarbu. Wiem, że obrazki cię urzekną. Z początku niewiele zrozumiesz, bo nikt nie nauczył cię, co jest złe, a co dobre i ważne; to przyjdzie później.

Dowiesz się tego ode mnie.

„To jest Księga – nie ma co do tego żadnej wątpliwości...”.

Ta książka będzie naszym planem, mapą, światłem przewodnim naszej wspólnej podróży, moja najdroższa, mój

skarbie.

Sobota

Skończyłam obraz, który zaczęłam malować po poznaniu Harrisa, i muszę zabrać się za następny. Powinnam poszukać inspiracji na wrzosowisku. Mam ochotę zadzwonić do niego.

Chcę usłyszeć jego głos. Chcę, żeby był przy mnie. Nie dzwonię jednak. Zawiozłam Evie na całe popołudnie do Jacka. Mogłam podrzucić mu też Bena, ale Evie potrzebuje głębokiego kontaktu z osobą dorosłą, z kimś, kto ją lubi i nie jest mną ani Olliem. Gdyby chciała porozmawiać z kimś o tym, co się dzieje, to w grę wchodzi tylko Andy i Jack. Zresztą ja też potrzebuję trochę czasu dla siebie i Bena. Wybieramy się na wycieczkę; zamierzam zrobić parę zdjęć, a może nawet kilka szkiców. Ponieważ nie poradziłabym sobie jednocześnie z nim i z psem, Bella zostaje w domu; odprowadza nas smutnym wzrokiem.

Niosę torbę z ołówkami, szkicownikiem, aparatem fotograficznym, prowiantem, wilgotnymi chusteczkami, pieluszkami, wodą, kluczami i komórką – pieniądze nie będą mi potrzebne – a w nosidełku na plecach dźwigam Bena. Jest taki ciężki, że z trudem łapię oddech.

Mijam pole golfowe i zaczynam iść pod górę, do Krowy i Cielecia. Rozglądam się, ale nie widzę żywej duszy – nie licząc golfistów – i wyjątkowo nie mam wrażenia, że ktoś mnie obserwuje.

Ben fałszuje mi radośnie do ucha jakąś melodię. Przyłączam się i razem śpiewamy *Wesoły autobus*. Wczoraj po południu, gdy tylko wzięłam do ręki małą czerwoną książeczkę, od razu zrozumiałam, że muszę skończyć z Harrisem. Nie mogę pozwolić sobie na romans. Mojej córce może grozić niebezpieczeństwo. Nie wiem, co myśleć o tej książce. Czyżby jej ojciec był muzułmaninem? Zbyt mało wiem o islamie, by rozumieć wszystkie implikacje; wiem tylko, że ten człowiek naruszył naszą prywatność i że próbuje zniszczyć naszą rodzinę.

Wczoraj Ollie był na premierze filmu i wrócił do domu, kiedy już spałam; dziś rano wyszedł, zanim zdążyłam się obudzić. Nie miałam

okazji z nim porozmawiać. Ale wiem jedno: w tej chwili nie mogę zaangażować się w nic, co odciągnęłoby moją uwagę od rodziny. Moim priorytetem musi być Evie. Zbiera mi się na mdłości na myśl, co mogłam zrobić – co wciąż chcę zrobić – to znaczy: spotkać się z Harrisem. Być z nim. Uprawiać z nim seks. Kto wie, co mogłoby się stać mojej córce, kiedy ja byłabym z nim w łóżku? Kto mógłby ją śledzić? Dzięki Bogu, Jacka znamy od pięciu lat, inaczej nie miałabym z kim jej zostawić.

Myślę także o Olliem. Wiem, że go kocham. Tyle że w tej chwili to nie wygląda jak miłość. Nie czuję płomiennego pożądania, jakie budzi we mnie Harris, ani nawet ciepła i bliskości, które nas dawniej łączyły. Kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić, miałam dziewiętnaście lat, a Ollie dwadzieścia. Po zerwaniu postanowiłam bawić się i korzystać z wolności; w rzeczywistości przez cały ten czas, kiedy ze sobą nie byliśmy, żyłam w stresie i niepokoju. Po dyplomie związałam się przelotnie z facetem przed trzydziestką, ale nie potrafiłam się zorientować, co właściwie między nami jest. Olliego znałam na wylot. W każdym razie dawniej.

Już jako dwudziestokilkulatka wiedziałam, że chcę mieć z nim dzieci. Myślałam, że zawsze będzie się troszczył o mnie i naszą rodzinę. Będzie opiekował się moją mamą. Wyprowadzał psa. Zabierał dzieci do parku. Ollie jest solidny i niezawodny. Tylko nigdy nie uważałam go za bratnią duszę.

– Ben jedzie autobusem, podskakuje na wybojach, hop, hop, hop – śpiewam.

A teraz czuję, że odnalazłam bratnią duszę. Rozumiem, jak działa umysł Harrisa, jeśli chodzi o sztukę; nie mam pojęcia, czy zmieniłby Evie prześcieradło, kiedy zmoczy się w środku nocy, czy nauczyłby Bena czytać albo czy zrobiłby mi kubek słodkiej herbaty, jeżeli powali mnie migrena. Życie dzielone z drugim artystą byłoby nieregularne, chaotyczne, nieustabilizowane.

Dzieci potrzebują bezpieczeństwa. Nie mogę dłużej spotykać się z Harrisem, powtarzam w kółko w rytm swoich kroków. Chociaż myślę, że go już nigdy nie zobaczę, nigdy nie dotknę, sprawia, że się czuję, jakbym straciła lewą rękę.

Jest piękny wrześnieowy dzień. To już z całą pewnością jesień. Niebo jest bladobłękitne i chociaż świeci słońce, w powietrzu wyczuwa się chłód. Porośnięte paprociami dolne partie wrzosowiska przybrały brązową barwę. Zatrzymujemy się na postój przy Krowie i Cieleciu; wyjmuję coś do jedzenia i pstrykam kilka zdjęć, chociaż fotografowałam już ten ikoniczny pejzaż o każdej porze dnia i przy każdej możliwej pogodzie. Daję Benowi paczuszkę owocowych yo yo, które nazywa glistami; rozwija je i ssie, wycierając lepkie łapki o moje ramię. Ruszamy na skos przez wrzosowisko w kierunku stanowiska archeologicznego i Dwunastu Apostołów, zostawiając Ilkley za plecami.

Nie wiem, co mam ze sobą zrobić, co począć z uczuciami do Harrisa. Staram się wybić go sobie z głowy, ale nie mogę zaprzeczyć, że mnie pociąga. Cichy głos w mojej głowie szepcze: „A jeśli to on jest tym jedynym?”.

Odrzucam szansę, jaka trafia się tylko raz w życiu; wyrzekam się burzliwego szczęścia – bo coś mi mówi, że stabilność nie jest mocną stroną Harrisa – w imię monotonnej egzystencji żony księgowego. Przesadam. Przecież wiem, jak mi się poszczęściło, jak wiele mam do stracenia. Myślę o tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy: o latach starania się o dziecko, dwóch poronieniach, jednym martwym porodzie, o trwającym trzy lata procesie kwalifikacyjnym na rodziców adopcyjnych, o rocznym szukaniu idealnego dziecka, które moglibyśmy wziąć od razu po urodzeniu, i wreszcie o znalezieniu Evie. O traumie zastanawiania się, czy nie ma uszkodzonego mózgu; o niepewności pierwszych tygodni, kiedy jej biologiczna matka mogła się jeszcze rozmyślić; o tym, jakie mieliśmy szczęście, że otrzymaliśmy w darze tę cudowną dziewczynkę, a później jeszcze urodziło nam się własne dziecko. Mieliśmy tyle cholernego szczęścia, że aż zapiera mi dech w piersi. Nie mogę wystawić na szwank tego, co mamy, o co tak wytrwale walczyliśmy. Muszę powiedzieć Harrisowi, że to koniec i że więcej się z nim nie zobaczę.

Przecinamy trzęsawisko; uważam, żeby nie zejść z drewnianej kładki. Tupię, udając trolla, żeby rozśmieszyć Bena. Może w końcu zaśnie – odkąd zrezygnował ze spania po południu, jest ciągle

zmęczony. Na szczycie wzgórza, obok Dwunastu Apostołów, wyjmuję go z nosidełka i przeciągam się, by rozprostować kości. Mój syn biega między głazami, a ja robię zdjęcia, z nim i bez niego. Coś się zmieniło w powietrzu, jest teraz naładowane elektrycznością.

Płachta nieba przybrała barwę stali. Zwykle nie zapuszczam się poza kamienny krąg, ale dziś chcę dotrzeć w głąb wrzosowiska. Za neolitycznym miejscem kultu krajobraz jest płaski, posepny i surowy. Na ścieżce, która biegnie wśród ogryzionej do żywego roślinności, połyskują okruchy miki. Chcę dojść do płaskowzgórza. Na moich zdjęciach będzie tylko niebo i nagie pustkowia. Dziwna barwa chmur zachwyca mnie, lecz jednocześnie niepokoi. Pogoda potrafi się bardzo szybko zmienić, a ja nie wzięłam nieprzemakalnych kurtek.

Ben wyciąga do mnie łapkę. Biorę go za rękę i idziemy dalej. Pstrykam jeszcze kilka zdjęć, ale on po chwili zaczyna płakać. Zmarzł, a ja nie spakowałam zapasowych ubrań. Z nieba spadają pierwsze krople deszczu. W pośpiechu chowam aparat fotograficzny do torby, wycieram Benowi nos i wsadzam go do nosidełka. Wzięłam to szmaciane, bo drugie ma ciężki stelaż i nie dałabym rady nieść w nim Bena. Napinam mięśnie, żeby podnieść się z kucek. Nie zdążyłam się jeszcze wyprostować, gdy rozlega się dźwięk rozrywanej tkaniny i Ben wypada z nosidełka.

Prawie udaje mi się go złapać, ale wywija się i wyslizguje, zaczepiony jedną stopą o materiał. Uderza głową o ziemię. Wrzeszczy. Odpinam pasek, zdejmuję nosidełko i tulę Bena do siebie.

– Nic ci nie będzie, słoneczko, nic ci nie będzie. Jesteś dużym, dzielnym chłopcem.

Sprawdzam, czy nie ma guza, rozciętej skóry albo siniaków, ale głównie się przestraszył. Próbując zamortyzować jego upadek, obtarłam sobie dłoń. Pasek na ramię rozpruł się przy sprzączce. Pluję sobie w brodę, że kupiłam używane nosidełko na eBayu. Ollie chciał, żebym kupiła nowe, lecz mnie szkoda było pieniędzy na coś, czego będziemy używać tylko przez kilka miesięcy. Próbuję przywiązać pasek, ale jest za krótki; zresztą i tak nie utrzymałby wagi Bena.

Daję mu ostatni owsiany batonik. Leje jak z cebra, wielkie krople żądła nasze twarze. Ben znów zaczyna płakać i upuszcza ciastko na

ziemię.

Czuję pierwsze ukąszenie strachu. Jesteśmy pośrodku wrzosowiska. Nikt nie wie, gdzie się znajdujemy. Pada ulewny deszcz. Zrobiło się zimno. Nie mam przy sobie pieniędzy ani nic do jedzenia. Ben nie ujdzie daleko o własnych siłach, a ja nie dam rady go nieść. Nie możemy wrócić tą samą drogą, bo to za daleko. Benowi grozi wyziębienie organizmu. Odgarniam z oczu mokre włosy i próbuję zebrać myśli. Jeśli pójdziemy na przełaj przez wrzosowisko, kierując się na północny wschód, może uda nam się trafić na ścieżkę. Przypominam sobie mgliście Dales Way, która biegnie pomiędzy Black Beck i Coldstone. Doprowadziłaby nas do Moor Road, gdzie moglibyśmy złapać stopa albo autobus, znaleźć jakąś pomoc.

– Chodź, młody człowieku – mówię i biorę Bena za rękę.

Idzie za mną, pochlipując. Wciskam zepsute nosidełko do torby i sprawdzam telefon, nie spodziewając się, że będzie tu zasięg. I rzeczywiście nie ma. Spróbuję jeszcze raz bliżej drogi.

Po kilku krokach Ben zatrzymuje się i siada na ziemi. Udaje mi się go namówić, żeby wstał i przeszedł jeszcze kawałeczek. Znowu przystaje i teraz ryczy już na całego. Wrzosa są tutaj niższe niż gdzie indziej, ale jemu i tak trudno jest się przedzierać przez stare krzaczki o twardych, zdrewniałych gałązkach. Podnoszę go i sadzam sobie na biodrze. Jest za mały, żeby go nieść na barana, nie umie jeszcze sam się trzymać. Nic nie widzę, oczy pieką mnie od rozmazanego tuszu. Potykam się, wrzosa drapią mnie w nogi. Boję się, że rozpęta się prawdziwa burza z piorunami. Idziemy granią, jestem najwyższym obiektem w promieniu kilku kilometrów.

Czuję rozdzierający ból w ramionach. Stawiam Bena na ziemi i rozluźniam mięśnie. Wrzeszczy i wyciąga do góry rączki; chce, żebym go wzięła z powrotem. Stoi z zamkniętymi oczami, osłaniając je powiekami przed deszczem.

– Nie, nie, nie, nie – krzyczy. A potem: – Mamusiu!

Włosy lepią się nam do czaszek, przemokliśmy już do suchej nitki. Ben jest suchy z przodu, tam, gdzie był przyciśnięty do mojego ciała, ale teraz i to miejsce błyskawicznie ciemnieje od wody. Biorę go za rękę i ciągnę.

Wdeptuję w mokradło i gwałtownie odskakuję do tyłu. W trampkach mam pełno zimnej błotnistej wody. Biorę Bena na ręce i przyciskam go mocno do siebie, żeby go trochę ogrzać.

Próbuję iść szybciej, ale jest za ślisko.

– Do domu – mówi. – Chcę do domu.

Nie mogę ryzykować, że wpadnę w bagno albo potknę się na kamieniu. Pod dywanem wrzosów kryją się małe urwiska i strome żleby. Powinnam była trzymać się ścieżki. Może spotkałabym tam kogoś, kto pomógłby mi nieść Bena. Czuję się tak, jakbym brnęła przez melasę.

Zbiera mi się na płacz. Przeklinam własną głupotę i pychę: wychowałam się na skraju wrzosowiska i uwierzyłam, że nie jestem w stanie się na nim zgubić. To dzikie pustkowie, a nie miejsce na spacer z małym dzieckiem. Natrafiamy na strumień. Nie wiem, czy zbyttno zboczyliśmy z kursu i doszliśmy do Black Beck, czy to Carr albo Coldstone, albo może zupełnie inny potok, jeden z wielu bezimiennych cieków wodnych, które przecinają wrzosowisko. Nie jest głęboki, ale na tym odcinku oba brzegi toną w błocie. Nie dam rady przeskoczyć na drugi brzeg.

Schodzę kawałek z biegiem strumienia i w końcu pokonuję go w bród. Sapiąc z wysiłku, w błocie po kolana, docieram do przeciwległego brzegu. Przekładam Bena na drugie biodro i brnę dalej. W butach chlupie mi woda, ramiona pali mi ból, zaciskam jednak zęby.

I wtedy dostrzegam ścieżkę: na wprost przed nami, po drugiej stronie niewielkiego wzgórka. Jest kamienista i niewygodna, ale i tak będzie się nią szło łatwiej niż na przełaj przez wrzosa. Kiedy wreszcie do niej docieramy, stawiam Bena na ziemi i z ulgą rozluźniam ramiona.

– Musisz kawałek przejść sam, kochanie – mówię błagalnie i podaję mu dłoń.

Ben wybuchając płaczem i wyciąga do mnie ręce. Łapię jego piąstkę i ciągnę go za sobą, nie zważając na wycie. Jesteśmy wreszcie na Dales Way, do drogi jest jednak jeszcze daleko.

Sprawdzam telefon. Wciąż nie ma zasięgu. Trzęsę się z zimna, po

plecach spływają mi strugi lodowatej wody. Ben przewraca się do tyłu, prosto w kałużę. Jego wrzaski przechodzą w crescendo. Mam ochotę zatkać sobie uszy. Podnoszę go i całuję. Zaczyna ogarniać mnie rozpacz. Muszę dotrzeć do drogi. Znaleźć kogoś, kto nam pomoże. Przypominam sobie, że nawet gdybyśmy złapali autobus, nie mam pieniędzy na bilet.

Widoczność znacznie się pogorszyła. Zrobiło się ciemniej, przez płachty deszczu prawie nie widać ścieżki. Puszczam się truchtem. Torba obija mi się o biodro, aparat fotograficzny uderza mnie w udo. Patrzę pod nogi, bo nie chcę się potknąć. Kiedy na chwilę podnoszę wzrok w nadziei, że dojrzę wreszcie drogę, widzę, że ścieżką w naszą stronę idzie jakiś mężczyzna.

Jego postać drży i pulsuje za kurtyną deszczu, jakby był złudzeniem. Moją pierwszą myślą jest, że to Harris, ale to dlatego, że myślę o nim bez przerwy. To przecież nie może być on. Skąd miałby się tu wziąć? Tak czy inaczej, zawsze to jakiś człowiek. Przerzucam Bena na drugie biodro i przyspieszam kroku. Sylwetka mężczyzny wydaje mi się znajoma: szczupła, wysoka, barczysta; kwadratowy podbródek, ciemne włosy. To *jest* Harris. Biegnie do mnie pod górę.

Mam ochotę krzyczeć z ulgi.

Bierze Bena na rękę, jakby ten nic nie ważył, i zarzuca sobie na ramię moją torbę. Chwyta moją dłoń i pomaga mi iść.

– Co tu robisz? – przekrzykuje szum deszczu.

– Wybrałem się na spacer i zauważyłem kobietę z dzieckiem. Uznałem, że trzeba im pomóc. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że to ty.

– W taką pogodę?

– To tylko deszcz. Nic nie jest w stanie odgrodzić mnie od wrzosowiska. Powinnaś to wiedzieć.

Uśmiecha się do mnie; woda kapie mu z brwi, spływa po policzkach. Zatrzymuje się i oddaje mi Bena. Zdejmuje kurtkę przeciwdeszczową i zawija w nią mojego syna. Zakłada mu na jasną główkę swoją wełnianą czapkę. Mnie wręcza swój sweter. Kręce głową, ale jestem tak zmarznięta i przemoczona, że w końcu go biorę. Przejmuje ode mnie Bena. Boję się, że mój syn nie będzie chciał, by

niósł go obcy mężczyzna, ale on ochoczo wtula się w pierś Harrisa. Też chciałabym się do niego przytulić. Ben przestaje wreszcie płakać.

– Całe szczęście, że wziąłem fiata. Stoi przy drodze. Zwykle jeżdżę półfurgonetką. Lepiej się nadaje do wożenia złomu niż zbłąkanych wędrowców.

– Autko! – wrzeszczy Ben.

Stoi na drodze pod nami, wiśniowe, małe i kanciaste. Zdumienie tym zbiegiem okoliczności – że to właśnie Harris nas uratował – miesza się we mnie z ulgą, błyskawicznie jednak odzywa się poczucie winy. Czy przypomni sobie o naszym pijackim pocałunku? Czy ma nadzieję na więcej? Czy będzie chciał o tym rozmawiać? Muszę powiedzieć mu, że cokolwiek się między nami zaczęło, nie może trwać dalej. Moja rodzina jest dla mnie wszystkim. Jak w ogóle mogłam myśleć o jej rozbiciu, odebraniu Evie i Benowi poczucia bezpieczeństwa? Nie ma znaczenia, co czuję do Harrisa; nie ma na świecie takiej rzeczy, dla której warto by zaryzykować szczęście moich dzieci. Ale nie mogę oznajmić mu tego teraz, kiedy niesie Bena.

Wsiadamy do samochodu. Harris otula nas kocem i włącza ogrzewanie.

– Mogę odwieźć was do domu. Albo możecie pojechać do mnie. Mieszkam w pobliżu. Na wrzosowisku. Ogrzejecie się. Napijecie herbaty. Zrobię małemu gorącej czekolady.

Trzyma dłonie na kierownicy, zgina i prostuje palce, patrząc prosto przed siebie. Wstrzymuję oddech. Znowu jest tak jak w galerii. Czeka na moją odpowiedź, jakby wszystko od niej zależało. Chcę wrócić do domu i wziąć gorącą kąpiel. Chcę przebrać Bena w suche, ciepłe, czyste ubranie. Chcę zobaczyć, gdzie Harris mieszka, dowiedzieć się czegoś o jego życiu.

I muszę powiedzieć mu, że to koniec.

– Tak – mówię, a on wie, co mam na myśli.

Jedzie drogą; nie mam pojęcia, jak daleko, przez zaparowane szyby prawie nic nie widać. Z wstecznego lusterka zwisa czarny krążek, na którym złotymi arabskimi literami napisane jest jakieś słowo.

– Co to znaczy? – pytam.

– „Pokój” – odpowiada. – Pamiątka z Doliny Hunza.

Tulę w ramionach Bena, całuję go i mam nadzieję, że nie będziemy mieli wypadku, bo nie jest zapięty w foteliku. Co Ollie powiedziała by o naszej dzisiejszej eskapadzie? Sprawdzam telefon: nie ma zasięgu. W pewnym momencie Harris zjeżdża z drogi na kamienisty trakt, który wiedzie w głąb wrzosowiska. Samochód szarpie i podskakuje na wybojach, czarny krążek kołysze się jak szalony, złota kaligrafia rzuca matowe błyski. Zerkam na niego ze zdziwieniem.

Nie wiedziałam, że tędy wolno jeździć.

– To stara Keighley Road – mówi. – W dawnych czasach służyła do przepędzania bydła i owiec.

Zgarbiony nad kierownicą – wysoki mężczyzna w małym samochodzie – obserwuje drogę przez wąskie okienko, które wytarł w zaparowanej szybie. Jazda przez wrzosowisko zdaje się nie mieć końca.

Kiedy się wreszcie zatrzymujemy, wysiada, obchodzi samochód i otwiera mi drzwi. Bierze ode mnie Bena i torbę, zarzuca mi na ramiona koc i biegnie z nami do swojego domu. Nic nie widzę, nie wiem, gdzie jesteśmy, jak tu jest; leje jak z cebra. Odnoszę mgliste wrażenie, że znajdujemy się pośrodku otwartej przestrzeni, na jakimś odludnym pustkowiu, ale Harris już wpycha mnie do środka. Stoimy we troje w sieni, ociekając wodą.

– Ściągnijcie mokre ciuchy, jeśli nie chcecie się przeziębic na śmierć. Przygotuję wam kąpiel. I przyniosę coś suchego do ubrania.

O nic nie pytam. Zdrętwiałymi z zimna palcami z trudem rozbieram Bena. Ma sine usta i cały się trzęsie. Harris prowadzi nas do łazienki ze staroświecką wanną na lwich łapach, w której jest już kilka centymetrów mydlanej piany. Obok leżą suche ręczniki. Po chwili przynosi naręczce ubrań i zostawia nas samych. Zanurzam Bena w wodzie, potem wycieram go do sucha i ubieram w czyste rzeczy. Pieluszki w mojej torbie są trochę mokre, ale będą musiały wystarczyć. Harris ma nawet gumowe zabawki do kąpieli. Rozkładam je na dywaniku, żeby Ben miał się czym bawić, dolewam gorącej wody i wchodzę do wanny. Co robią w domu Harrisa zabawki albo komplet damskiej i dziecięcej odzieży? Czyżby był żonaty? Miał

partnerkę?

Zaangażowałam się w relację z mężczyzną, o którym kompletnie nic nie wiem. Muszę się z niej wywikłać. Zrobię to, jak tylko będę sucha.

Wycierając włosy, kątem oka chwytam swoje odbicie w lustrze. Mało prawdopodobne, żeby Harris nadal uważał mnie za atrakcyjną kobietę. Widział mnie z rozmazanym makijażem i lepiącymi się do czaszki włosami, a teraz jestem czerwona jak burak. Zgarniam przemoczone ciuchy w węzełek. Wkładam rzeczy, które przyniósł mi Harris: spłowiałe dzinsy, koszulkę w paski z długim rękawem i rozpinany sweter. Są w tym samym rozmiarze i podobnym stylu co moje mokre ubranie. Czy mogą należeć do jego żony?

Wychodzę z Benem z łazienki. Znajdujemy się w dawnej chłopskiej chacie albo nawet w niedużym budynku gospodarczym o grubych ścianach i nierównej podłodze z kamiennych płyt zarzuconej indyjskimi chodnikami. A raczej pakistańskimi. Ktoś wyburzył wewnętrzne ściany, tworząc jedną otwartą przestrzeń. Z boku jest aneks kuchenny, środkową część pomieszczenia zajmują duże fotele i kanapa przykryte ciemnopomarańczowymi narzutami; z belek powały zwisają bukiety suchych nagietków. W otwartym kominku płonie ogień. Spiralne schody prowadzą na górę, gdzie pod skosami dachu pewnie urządzono sypialnię. Harris zrzucił na ziemię stosy papierów i czasopism o sztuce, żeby zrobić miejsce na niskim stoliku do kawy, i postawił na nim imbryk z herbatą, talerz rogalików, dżem, masło i plastikowy kubek z gorącą czekoladą dla Bena. Podnosi na mnie wzrok i się uśmiecha; czuję mrowienie w żołądku.

– Moja siostra ma synka w mniej więcej tym samym wieku. Zostawiła tu trochę ubrań, swoich i jego, żeby mniej wozić, kiedy przyjeżdża do mnie w odwiedziny – wyjaśnia.

Rozluźniam się, dotyk tkaniny na skórze nie drażni mnie już tak bardzo. Harris nalewa do kubków herbaty, smaruje rogaliki masłem i dżemem. Ben podbiega do niego i kilka minut później siedzi mu już na kolanach, upačkany czekoladą i masłem. Nie wiem, co powiedzieć, od czego zacząć. Jestem zdenerwowana, bo nie mam pojęcia, gdzie się właściwie znajdujemy.

Obchodzę dookoła pokój, rozgrzewając się powoli w ciepłe bijącym od kominka. Podzielone szprosami okna wychodzą na wrzosowisko, które zmieniło się w rozmazane plamy brązu, zieleni i szarości. Na bielonych ścianach wiszą fotografie. To oryginały, podpisane przez artystkę o niemożliwie egzotycznym nazwisku: Hajar Abyadh. W domu pośrodku pustkowia rażą ekstrawaganckim bogactwem kolorów: lazuruwe niebo, ośnieżone szczyty gór, dojrzewające w słońcu papryczki chili, drzewa uginające się pod ciężarem złocistych moreli, ciemnowłosa dziewczyna o migdałowych oczach, z maleńkim szmaragdowym kolczykiem w nosie. W jakiś niesamowity sposób przypomina Evie.

– To Dolina Hunza.

– Harris – mówię, odwracając się w jego stronę.

Chyba wie, co zamierzam powiedzieć. Wciąż trzyma Bena na kolanach. Wyciąga do mnie rękę. Jestem rozdarta. Pragnę przyjąć jego dłoń, poczuć jej szorstki dotyk. Mam miękkie nogi.

Ogarnia mnie pożądanie. A może jednak to mogłoby się udać? Byłby dobrym ojcem. Ale wtedy Ben wyciera brudną buzię o jego rękaw i ześlizguje się na podłogę. Nabuzowany cukrem, zaczyna ganiać z wrzaskiem od ściany do ściany i czar pryska. Przypominam sobie, kim jestem i co mam do stracenia.

– Przepraszam cię – zaczynam – za tamten wieczór. To znaczy, było cudownie.

Chciałabym... ale nie mogę... Mam męża, Harrisie. I dwoje dzieci. Kręci głową. Jego kędzierzawe włosy zdążyły już prawie wyschnąć. Wstaje i zbliża się do mnie. Cofam się. Wiem, że jeśli mnie dotknie, moja siła woli osłabnie.

– Dziękuję ci. Za to, że nam pomogłeś. I że pomogłeś mi uwierzyć w siebie i moją sztukę.

Ale nie możemy się więcej spotykać. Nawet na kawę.

Jestem bliska płaczu. Będzie mi brakowało naszych rozmów o sztuce. Będę tęskniła za Harrisem. Za nim i za życiem, jakie mogłabym mieć. Mam nadzieję, że zacznie mnie przekonywać. Mam nadzieję, że tego nie robi. Wpycham mokre ubrania do torby. Wołam Bena; wyciągam do niego rękę, ale mnie ignoruje. Harris stoi pół

kroku przede mną. Jest za blisko, góruje nade mną wzrostem. Jego twarz wykrzywia grymas wściekłości.

– Nie możesz mi tego zrobić – mówi.

Cofam się, ale za plecami mam kuchenne szafki. Nie tak to sobie wyobrażałam. Spodziewałam się, że będzie niezadowolony i smutny, że spróbuje mnie przekonać, bym zmieniła zdanie, albo powie, że to był błąd, że żałuje, że mnie pocałował. Jego agresywna reakcja przeraża mnie. Pożądanie zmienia się w strach.

– Pragnę cię – mówi cicho.

Jego źrenice skurczyły się do rozmiaru łebków szpilek. Serce tłucze mi się w piersi jak szalone. Harris zaciska szczęki. Nie mogę oddychać. Nie jestem w stanie przełknąć śliny. Jego spojrzenie zrobiło się szkliste – jakby przestał mnie widzieć, stracił z oczu to, co dla niego znaczyła. Patrzy na mnie twardym wzrokiem. Boję się.

– Harrisie? – odzywam się schrypniętym głosem. Niepewnie wyciągam do niego rękę.

Trzęsę się. Siła, którą tak w nim podziwiałam, teraz wydaje się groźna.

– Mamusiu – mówi Ben, obejmując zazdrośnie moją nogę i wpychając się między nas.

Muszę go stąd zabrać.

– Miałem o tobie lepsze zdanie. Myślałem, że jesteś wyjątkowa.

Patrzy w dół, na Bena. Boże, nie pozwól, żeby skrzywdził moje dziecko. Opuszczam rękę i przyciskam główkę Bena do swojego uda.

– Myślałem, że jesteś inna.

Oddycha ciężko. W plecy wbija mi się uchwyt szuflady.

– Ty dziwko.

Jego głos jest cichy, ale pełen wściekłości. Przeszuję z nogi na nogę. Zgarniam Bena, podnoszę z ziemi torbę i aparat fotograficzny, który wypadł mi z rąk.

– Odwiozę was do domu.

– Nie trzeba – mówię zbyt głośno, zbyt ostro.

– Nie bądź głupia. To kilkanaście kilometrów – stwierdza szyderczym tonem.

– Wezwę taksówkę.

Ze śmiechem wskazuje ręką na okno. Jesteśmy na środku wrzosowiska. Zastanawiam się, czy zaproponuje, żebym skorzystała z jego telefonu, ale może nie ma stacjonarnego.

– Rób, jak uważasz. Wynoś się z mojego domu. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

Otwiera drzwi; z wahaniem wychodzę na zewnątrz. Czuję nawrót rozpaczki. Jestem w tym samym punkcie co wcześniej: w ulewnym deszczu, pośrodku wrzosowiska, z małym dzieckiem.

Harris zatrzaskuje za nami drzwi. Biorę głęboki oddech. Najważniejsze, że jesteśmy cali i zdrowi. Zaczynam zbiegać ścieżką w dół, Ben podskakuje na moim biodrze i się zaśmiewa.

Myśli, że to zabawa.

– Pada deszcz, leje deszcz – śpiewam, żeby utrzymać go w dobrym nastroju, a on podchwytuje melodię.

Co chwila sprawdzam telefon. Zatrzymuję się w miejscu, gdzie ścieżka przechodzi przez niewielki garb. U moich stóp rozciąga się Ilkley. Wśród wyjedzonej trawy i krzaczków czarnych jagód wije się Keighley Road. Już wiem, gdzie jestem. Mam zasięg! Ogarnia mnie fala ulgi.

Dzwonię do Jacka Mitchella.

– Jack? – krzyczę do słuchawki, nieprzytomna ze szczęścia. – Możesz wziąć Evie i po nas przyjechać? Jesteśmy na wrzosowisku. Zawieziesz nas do domu?

A Jack, jak to Jack, uprzejmie przypomina, że według umowy to ja miałam odebrać od niego Evie.

– Jasne – mówi. – Skończyłaś już robić zdjęcia – stwierdza. – Gdzie dokładnie jesteście?

Jakby to była zupełnie normalna sytuacja.

Tłumaczę mu, gdzie się spotkamy.

– Przy White Wells. Jedź drogą przez wrzosowisko.

Taki kawałek Ben i ja zdołamy jakoś przejść.

Październik, piątek

Przez cały tydzień czuję się beznadziejnie. Warczę na Olliego i dzieci. Dzisiejszy poranek nie różni się od poprzednich. Jestem zmęczona, skronie świdruje mi piekielny ból. Ciągłe myślę o Harrisie i o tym, jak niewiele brakowało; to silniejsze ode mnie. Może to była moja wina. Czy dałam mu powody do myślenia, że mamy przed sobą wspólną przyszłość? Co by się stało, gdybym nic wtedy nie powiedziała? Gdybym, zamiast próbować wyjaśniać, puściła wszystko na żywioł? Zakochałabym się w nim po uszy. Racjonalna część mojej osobowości myśli, że to by doprowadziło do katastrofy: Harris jest nie zrównoważony i agresywny, a ja bym rozbiła swoją rodzinę. Teraz to widzę.

Bena rozpira energia, gania jak wariat po domu, ciągnąc za sobą drewnianą gąsienicę na kółkach i wyśpiewując na cały głos: „Pada deszcz, leje deszcz”. Popędzam Evie, żeby zaczęła się szykować do szkoły. W końcu pojawia się w kuchni.

- Chcę tosta – mówi, siadając przy stole.
- Proszę.
- Uch, tylko nie z ciemnego! Wiesz, że nie znoszę ciemnego chleba!
- W zeszłym tygodniu jadłaś. Nie mamy białego pieczywa.
- Ale mi nie smakowały. Były obrzydliwe.
- To znaczy, że nie chcesz tosta?
- Chcę, z kremem czekoladowym, żebym nie czuła, że jest z ciemnego chleba.
- Nie jemy kremu czekoladowego na śniadanie – oświadczam.

Zastanawiam się, czy nie wymyśliłam tego na poczekaniu; może sama jadłam nutellę na oczach dzieci, dając im zły przykład? I czy dżem rzeczywiście jest lepszy? Także zawiera mnóstwo cukru; w kremie czekoladowym przynajmniej są orzechy.

- To poproszę cheerios.
- Mamy tylko shreddie's albo weetabixy.
- Nuda. Dlaczego nie możemy jeść jakichś ciekawych płatków, jak

u Sophie? Albo kiedy jesteśmy na wakacjach i jemy frosties?

– Evie! Shreddies, weetabixy albo tost!

Wzdycha teatralnie i prosi o płatki Weetabix, ale z ciepłym mlekiem. Podgrzewam je, jednocześnie smarując masłem nasze tosty. Evie zaczyna dokuczać Benowi. Szczypie go w kolana i łokcie. Nie sądzę, żeby chciała umyślnie sprawić bratu ból, ale i tak doprowadza go do płaczu.

– Evie! Przestań! Jeśli jeszcze raz to zrobisz, przesadzę cię na drugi koniec stołu.

Łapie miseczkę z płatkami i wybiega do ogrodu. Wzdrygam się, kiedy uderza mnie powiew zimnego powietrza. Komórka obwieszcza bipnięciem nadejście esemesa. Od Harrisa. Na początku tygodnia kilka razy przysyłał wiadomości z przeprosinami i prośbą, żebym do niego zadzwoniła. Pisał, że za mną tęskni. Nie odpowiedziałam. Otwieram esemesa. Brzmi: „Ty pieprzona suko”.

Kasuję go i wyłączam dźwięk. Jeszcze jeden dowód, co to za człowiek. Zaczynam się denerwować. Co zrobię, jeśli spróbuje się ze mną rozmówić twarzą w twarz? Zerkam na zegarek: grozi nam, że się spóźnimy. Wychodzę do ogrodu. Evie siedzi przy piaskownicy i gapiąc się w przestrzeń, nuci coś pod nosem.

– Evie! Idź na górę, umyj twarz i wyczyść zęby. Co tu jeszcze robisz? Przestań bujać w obłokach!

– NIE bujam w obłokach! Musisz powiedzieć: „Wyczyść zęby, a potem umyj twarz”, bo znów wszystko pokręcę. I na mnie nakrzyczysz. Jak zwykle!

– Masz już siedem lat! – mówię podniesionym głosem. – Jesteś wystarczająco duża, żebym nie musiała ci co rano przypominać, że trzeba się umyć!

Wracam do środka, wycieram Benowi buzię, sprzątam po śniadaniu i ubieram siebie i jego do wyjścia. Udaje mi się nawet bez wpadania w panikę znaleźć torebkę i smartfona. Evie ciągle nie wraca. Wsadzam Bena do wózka, zapinam szelki i zakładam Belli smycz. Ponieważ Evie do tej pory nie zeszła na dół, idę na górę. Nie ma jej w łazience i z całą pewnością jeszcze się nie umyła, bo myjka do twarzy i szczoteczka do zębów są suche. Otwieram drzwi do jej pokoju, ale

jest pusty. Zaczynam się niepokoić.

Na dole zapięty w wózku Ben kopie ścianę i wrzeszczy: „Na dwór!”. Jestem już w takim stanie, że sama mam ochotę walić głową w mur i krzyczeć. Pocę się w zimowej kurtce; robi mi się słabo. Sprawdzam w naszej sypialni i w pracowni. W końcu znajduję Evie w pokoju Bena. Siedzi w kucki za łóżkiem. Kiedy wchodzę, odwraca się w moją stronę i obdarza mnie cudownym uśmiechem.

– Popatrz, mamusiu, to statek kosmiczny. Nazywa się Noe. Zabierze z Ziemi wszystkie zwierzęta, zanim kosmici zniszczą planetę. Założymy nowy świat. Rakieta nazywa się Rajska Pupa.

Chichocze, rozbawiona tą głupią nazwą. Zbudowała z klocków Bena wysoką, cienką raketę przypominającą drapacz chmur. Są w niej nawet zwierzątka z zestawu Playmobil: trzymają się występów konstrukcji, wyglądają z okien.

– Evie! Ben siedzi w wózku i płacze! Czekaemy tylko na ciebie! Znowu! Dlaczego nie możesz zrobić po prostu tego, co ci kazałam? Chociaż raz w życiu!

Jej twarz pochmurnieje, z oczu znika blask. Wstaje i kopie swoją rzeźbę. Trafia ją w połowie wysokości. Kawałki konstrukcji rozsypują się po całym pokoju.

– Evie! Na miłość boską! – wrzeszczę.

Na dole rozlega się wycie, a po nim łoskot; odwracam się na pięcie i zbiegam po schodach. Ben z taką siłą odepchnął się od ściany, że udało mu się przewrócić wózek. Wisi teraz w szelkach głową do dołu i wrzeszczy. Grzmotnął o podłogę i kiedy z powrotem podnoszę wózek, widzę czerwony ślad dokładnie w tym samym miejscu, gdzie tydzień temu rąbnął o szafkę w kuchni. Tuż obok guza, którego nabił sobie, wypadając z nosidełka.

– Zobacz, co zrobił sobie przez ciebie twój brat!

Evie powoli wkłada płaszczyk.

– On nie jest moim bratem – stwierdza cicho pedantycznym tonem.

– Oczywiście, że Ben jest twoim bratem! – Całuję go, ale to nie ucisza jego płaczu. – Dlaczego tak mówisz? – pytam, wyprowadzając wózek na zewnątrz.

– Bo nim nie jest. Żadne z was nie jest moją prawdziwą rodziną.

– Evie, jesteście! *Jesteście* twoją rodziną!
– Nienawidzę was. Wszystkich – oświadcza. – Ucieknę z domu i będę mieszkać na wrzosowisku.

– Wygadujesz głupoty. – Tracę cierpliwość.

W drodze do szkoły nie odzywamy się do siebie; tylko Ben wciąż pochlipuje, powtarzając co chwila „auć” i wskazując tłustym paluszkiem swoją głowę.

Porozmawiam z nią później, najpierw muszę się uspokoić i zastanowić, co mam jej powiedzieć. Kiedy zbliżamy się do placu zabaw, zaczynam czuć się z powrotem jak człowiek, a nie tykająca bomba. Serce znów bije mi w normalnym rytmie i już się nie boję, że stracę panowanie nad sobą i uderzę własną córkę.

– Evie. – Pochyłam się nad nią.

Chcę jej powiedzieć, że musi być dużą dziewczynką i wziąć na siebie odpowiedzialność za szykowanie się do szkoły i że przepraszam, że na nią nakrzyczałam, że ją kocham najbardziej na świecie, lecz zanim udaje mi się otworzyć usta, ona oznajmia: – Jesteś niemą. – I biegnie do klasy.

Czuję się okropnie. Rozglądam się, kuląc ze strachu, że ktoś mógł to usłyszeć. Pozostałe mamy nie zwracają na nas uwagi, ale Hanna stoi w drzwiach klasy i patrzy prosto na mnie.

Policzki oblewa mi rumieniec wstydu.

Po powrocie do domu idę od razu do pracowni. Cały tydzień maluję jak opętana. Mieszam surową umbrę z sienną paloną. To najbardziej abstrakcyjna z moich dotychczasowych prac. Przedstawia płaskowzgórza za Dwunastoma Apostołami. Wlałam w ten obraz całą swoją rozpacz i strach ostatniej soboty, kiedy nie wiedziałam, czy uda nam się wydostać z wrzosowiska. Pejzaż jest zdominowany przez niebo; góry sprawiają wrażenie wysokich jak drapacze chmur, chociaż w rzeczywistości są dużo mniejsze. Wyrastają z ziemi pod dziwnymi kątami niczym wyszczerbione zęby. Niebo, ziemia, kamienie mieszają się ze sobą.

Zatytułowałam tę pracę *Moja miłość do Heathcliffa przypomina wieczne skały w głębi ziemi...*

Obraz jest również przesycony Harrisem. Na przekór wszystkiemu,

co się wydarzyło, kiedy o nim myślę, z tęsknoty boli mnie całe ciało. Wiem, że jest niebezpieczny i agresywny i że powinnam się cieszyć, że do niczego więcej nie doszło. Lecz jednocześnie brakuje mi naszych rozmów o sztuce, jakaś część mnie pragnie znowu znaleźć się w jego ramionach. Natchnął mnie entuzjazmem dla pracy; dzięki niemu poczułam się prawdziwą artystką, która zasługuje na uznanie odbiorców sztuki. Chociaż wiem, że zrywając z nim kontakt, podjęłam słuszną decyzję, bez niego czuję się samotna. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz naprawdę rozmawiałam z Olliem albo dobrze bawiłam się w jego towarzystwie. Musiałam spotkać Harrisa, by sobie uświadomić, co się stało z naszym małżeństwem. Tyle że to żadna pociecha.

Jeszcze kilka pociągnięć pędzlem i mogę odstawić płótno na bok; jest prawie skończone. Gdy zerkam na zegarek, przeszywa mnie lodowaty chłód. Za pięć minut dwunasta. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno. Ben kończy zajęcia w żłobku w południe. Nie ma szansy, żebym po niego zdążyła. Szybko wycieram w szmatkę umazane farbą ręce i zbiegam na dół. Wkładam baleriny – najwyższa pora wyjąć zimowe buty, bo zrobiło się już chłodno – i przez kilka minut miotam się w poszukiwaniu telefonu, portmonetki i kluczyków. Kiedyś przyjdzie w końcu taki dzień, że wszystko będzie w torebce, a ja ją tylko zgramę i wyjdę.

Bella próbuje zabrać się ze mną, ale wpycham ją z powrotem do środka i biegnę do samochodu. Zapomniałam telefonu, więc wracam, otwieram drzwi i biorę ze schodów komórkę; Bella ucieka w tym czasie do ogródka przed domem, więc łapię ją i klnąc pod nosem, znowu zamykam. Nie martwię się o Bena: uwielbia swoich opiekunów i będzie zachwycony, że może spędzić z nimi więcej czasu – odwrotnie niż Evie, która w jego wieku płakała, gdy ją zostawiałam w żłobku, a kiedy po nią przychodziłam, chciała go jak najszybciej opuścić. Ale personel będzie niezadowolony i pewnie wlepią mi karę. Jadę Cowpasture Road, gdy dzwoni telefon. Zerkam na numer. Szkoła. Odbieram.

– Jestem w drodze. Zaraz będę. Przepraszam najmocniej! Jeszcze tylko kilka minut.

– Pani Morley, mówi Kate Stevenson.

Kate jest dyrektorką szkoły. Teraz naprawdę będę miała kłopoty. Rzucam okiem na zegar na desce rozdzielczej. Kwadrans po dwunastej. Chyba nie jest najgorzej. Tylko muszę jeszcze znaleźć miejsce parkingowe i dojść do szkoły.

– Najwyżej pięć minut. Naprawdę.

– Zoe – wpada mi w słowo. – Chodzi o Bena. Coś mu się stało. Wezwaliśmy pogotowie, właśnie przyjechała karetka. Zabierają go do szpitala Airedale. Jeśli zdąży tu pani dojechać w ciągu kilku minut, będzie mogła się pani z nimi zabrać.

– O Boże! Co się stało?

– Nie wiem. Jest nieprzytomny. Zdąży pani?

– Tak.

Wypuszczam z ręki telefon i wciskam pedał gazu. Skręcam ostro w lewo i wciskam się przed samochód jadący Bolling Road; jego kierowca gwałtownie obraca kierownicę i jednocześnie trąbi. Na The Grove jest pełno samochodów i pieszych. Prowadzę agresywnie wąską uliczką, która z powodu zaparkowanych przy krawężniku aut zrobiła się praktycznie jednokierunkowa. Mam spocone dłonie, serce wali mi jak oszalałe.

Dzięki Bogu, karetka jeszcze nie odjechała. Parkuję za nią na zygzakowatej linii i podbiegam do zamkniętych drzwi. Kątem oka dostrzegam panią Stevenson, która stoi na chodniku z opiekunką grupy Bena. Walę w pokrytą białym lakierem blachę. Sanitariuszka otwiera drzwi ambulansu.

– Pani jest mamą Bena? – pyta. – Wskakuj, kochana. Zaraz odjeżdżamy.

Ben leży przypięty pasami do noszy, z maską tlenową na buzi. Bładą, sinawą skórę pokrywa lepki pot. Jego bezruch wydaje mi się nienaturalny. Wyciągam rękę, żeby go dotknąć.

– O Boże, o Boże – powtarza ktoś w kółko i po chwili dociera do mnie, że to ja.

– Niech pani usiądzie tutaj, obok Bena. Proszę zapiąć pas. Możemy jechać – woła do kolegi z przodu.

Trzymam Bena za zimną, bezwładną rączkę.

– Mam na imię Julie – informuje mnie ratowniczką medyczna. – Ben miał w żłobku biegunkę i wymiotował. Wezwali nas, kiedy stracił przytomność. Od tamtej pory jej nie odzyskał. Podajemy mu tlen. To wszystko, co w tej chwili wiadomo. Wieziemy go na oddział ratunkowy.

– Co mu jest?

– Na razie nie wiemy, skarbie.

Nie mogę oderwać od niego wzroku. Niejasno zdaję sobie sprawę, że jedziemy na sygnale, pędzimy na złamanie karku. Od czasu do czasu Ben porusza paluszkami albo drgają mu powieki, ale nie otwiera oczu. Wyczuwam palcami trzepocący w nadgarstku puls, słaby i szybki jak u wróbelka. To mnie przerasta: różnica między dzisiejszym porankiem i chwilą obecną jest zbyt ogromna, żebym potrafiła ją pojąć rozumem. Odgarniam mu lepiące się do czoła włosy. Jest spocony, ale nie ma gorączki.

– Czy on... czy on z tego wyjdzie? – wykrztuszam i zaczynam płakać.

Julie nie patrzy na niego, wpatruje się z uwagą w zielony monitor. Nie zauważyłam go wcześniej; nie zauważyłam też drucików, które biegną od niego do piersi Bena.

– To kardiomonitor, skarbie – wyjaśnia uspokajającym tonem Julie. – Tętno jest nieregularne. Gdy tylko dojedziemy do szpitala, zbadają go lekarze i dowiemy się, co mu jest.

Wpatruję się zafascynowana w migające światełko. Mniej więcej przez minutę błyska w równych interwałach, a potem nagle przyspiesza, miga coraz prędzej i prędzej, a wraz z nim przyspiesza mój oddech. Nagle niemal się zatrzymuje, zwalnia do hipnotycznego rytmu. To serce mojego syna. Wyobrażam sobie drobny mięsień, który szamoce się z wysiłkiem w jego klatce piersiowej. Robi mi się słabo. Zdrętwiałymi palcami wybieram numer Olliego, telefon ślizga mi się w dłoni. Nie odbiera. Rozłączam się i próbuję jeszcze raz, ale znowu odzywa się skrzynka głosowa.

– Jezu Chryste, Ollie, odbierz telefon!

Tym razem zostawiam wiadomość: „Oddzwon natychmiast. Chodzi o Bena”. Powinnam napisać mu esemesa, ale musiałabym puścić

rączkę Bena, a na to nie potrafię się zdobyć. Za chwilę spróbuję jeszcze raz.

Ben nie jest na szczęście zarzygany, ale ma na sobie cudze rzeczy: tenisówki, które zsuwają mu się ze stóp, dziurawą granatową koszulkę, skarpetki nie do pary. Sprawia wrażenie zaniedbanego i jeszcze młodszego, niż jest. Karetka gwałtownie bierze zakręt, pas bezpieczeństwa wrzyna mi się w brzuch. Julie mocniej zaciska pasy, które trzymają Bena.

Przed szpitalem czeka już na nas zespół medyczny. Zabierają Bena prosto na oddział ratunkowy. Biegnę obok wózka. Przekrzykując gwar, sanitariuszka opisuje jednemu z lekarzy przebieg wydarzeń. Wychwytyję imię Bena i coś na temat nieregularnego tętna, które teraz zaczęło spadać, i niskiego ciśnienia krwi. Przekładają Bena na łóżko i natychmiast otacza go rój pielęgniarek: wbijają mu w ramię igły, jedna z kobiet nachyla się i podnosi mu powieki, woła go po imieniu. Wyciągam rękę, jakbym chciała je odsunąć, jakbym chciała to wszystko zatrzymać.

Od cisnącej się wokół łóżka grupki odłącza się kobieta, która przedstawia się jako doktor Agnes Vang. Jej jasne włosy są związane w kucyk.

– Pani Morley? – mówi śpiewnie, wymawiając moje nazwisko „Mur-li”. – Czy pani synek miał kiedykolwiek problemy kardiologiczne?

– Nie. Nigdy. Zawsze był zdrowy.

– To miało być moje następne pytanie. Czy na coś chorował? Nie domyśla się pani, co mogło wywołać taką reakcję?

– Spada ciśnienie krwi – krzyczy ktoś. – Tętno...

– Eee, nie.

I wtedy przypominam sobie, że Ben dwa, nie, trzy razy uderzył się w głowę, niemal w tym samym miejscu, ale to przecież nie mogło spowodować...

– Czy miał jakieś problemy z sercem...

– Nie mogę znaleźć pulsu. Nie mam tętna!

– Rozpocząć resuscytację – zarządza wysoki Azjata w białym fartuchu. – Podać dziesięć mililitrów dziesięcioprocentowego

glukonianu wapnia.

– Może zaczeka pani na korytarzu? – Doktor Vang bierze mnie pod łokieć. – To nie jest przyjemny widok.

Zasłaniam dłonią usta. Płaczę. Lekarz uciska klatkę piersiową mojego syna, próbując wznowić pracę serca. Ktoś podbiega z defibrylatorem i jedna z pielęgniarek krzyczy: „Można”.

Drobne ciało mojego syna podskakuje. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Próbuję się przepchnąć do łóżka, ale doktor Vang chwytając mnie za ramię. Lekarz Azjata wytrwale uciska pierś Bena, raz za razem, nie przerywając, tak brutalnie, że boję się, żeby nie połamał żeber.

– Za dwie sprawdzić tętno.

Nie spuszcza wzroku z kardiomonitora. Zielona linia trzepoce chaotycznie. Sekundy dłużą się jak godziny. Zagryzam wargę, aż drzę z wysiłku, żeby nie zacząć krzyczeć. Nagle monitor zaczyna piszczeć. Lekarz rzuca okiem na ekran i przykładając palec do szyi mojego syna.

– Mamy tętno!

Serce Bena zaczęło znowu bić. Żyje. Mój synek żyje.

– Przenieść pacjenta na OIOM – poleca lekarz. – Ustabilizować ciśnienie krwi. Podłączyć go do respiratora. – Odwraca się do mnie. – Doktor Impran Kapur, pediatra – przedstawia się. – Proszę ze mną, pani Morley. Pani syn zostanie teraz przewieziony na oddział intensywnej terapii.

Udało się nam przywrócić akcję serca, ale ciśnienie krwi jest niezwykle niskie. Podłączymy chłopca do respiratora i włożymy mu rurkę do tchawicy, żeby pomóc mu oddychać i oczyścić drogi oddechowe. Przeprowadziliśmy wstępne badanie krwi. Ma znacznie podwyższony poziom potasu. Sądymy, że to właśnie spowodowało zatrzymanie pracy serca. Podaliśmy insulinę, żeby zneutralizować skutki, ale wciąż się znajduje w stanie krytycznym. W pierwszej kolejności musimy ustabilizować pracę serca i przywrócić prawidłowe ciśnienie krwi. Oddaję panią doktor Vang. Ma do pani jeszcze kilka pytań.

Kilka minut później Ben leży już w innej sali, pokłuty igłami i podłączony drucikami do jakichś maszyn; wepchnęli mu rurkę aż do

żołądka. Z wiszącego na stojaku woreczka wolno spływa do jego żyły jakiś płyn. Urządzenia przy łóżku monitorują tętno, ciśnienie krwi, oddech.

Kręci mi się w głowie od wyjaśnień doktora Kapura – nic z tego nie zrozumiałam. Sprawdzam telefon. Mam ochotę rzucić nim o ścianę, bo Ollie do tej pory nie oddzwonił. Piszę do niego esemesa, kciuki nie trafiają w litery, słownik nie radzi sobie z moją nieskoordynowaną pisownią.

W sali są także inni pacjenci, w równie kiepskim stanie co Ben, ale staram się na nich nie patrzeć i nie widzieć rozpaczki ich bliskich. Ktoś częściowo zaciąga zasłonę wokół łóżka, by zapewnić nam iluzję prywatności. Nad Benem pochylają się trzy siostry medyczne, pediatra doktor Kapur, doktor Vang i lekarz z OIOM-u; rozmawiają. Ledwie go widać zza ich pleców. Wsuwam rękę między dwie pielęgniarki i gładzę skrawek skóry na jego ramieniu. Jest taki malutki, że trudno go dostrzec pod płataniną rurek i kabli, i śladów po wkłuciach.

– Muszę się jeszcze raz upewnić – mówi doktor Vang. – Nie przychodzi pani do głowy nic, co mogło być przyczyną zapaści Bena?

Kręcę przecząco głową. Opowiadam jej o guzach, które sobie nabił, a ona przekazuje informację doktorowi Kapurowi.

– Czy jest na coś uczulony?

– Nie.

Patrzę na zegar na ścianie i serce zamiera mi w piersi. Za chwilę trzeba odebrać ze szkoły Evie. Bella tkwi zamknięta w domu. Mój samochód stoi zaparkowany niezgodnie z przepisami przed wejściem do szkoły, a ja siedzę sama, bez męża, na OIOM-ie z małym synkiem, któremu zatrzymało się serduszko i który nie jest w stanie samodzielnie oddychać. Chyba nigdy w życiu nie potrzebowałam bardziej mojej mamy. Jaka szkoda, że nie żyje. Wyobrażam sobie, że do niej dzwonię, że słyszę jej dobry, kojący głos. Odebrałaby Evie ze szkoły. Odwiozłaby ją do domu i wypuściła psa. Załatwiłaby jakoś sprawę samochodu. Zaczynam płakać.

– Za godzinę sprawdzić pracę nerek – mówi doktor Kapur.

Dzwonię do Andy'ego, ale odzywa się poczta głosowa. Wysyłam mu

esemesa. Ktoś musi odebrać Evie. Gdzie, do kurwy nędzy, podziewa się Ollie? Trudno mi się skupić, bo staram się jednocześnie przysłuchiwać rozmowie lekarzy, nie spuszczać oka z Bena i obserwować ekran kardiomonitora.

– Czy to mogło być coś, co zjadł? – pyta lekarz z OIOM-u.

– Mama chłopca twierdzi, że nie jest na nic uczulony.

– Może to jakaś toksyna.

– Coś, co zjadł w żłobku?

– Do czego mógł się dorwać? W tym wieku dzieci wszystko ładują do buzi.

– Może znalazł coś na placu zabaw?

– Jakies środki chemiczne? W ubikacji?

Obdzwaniam znajome mamy, ale żadna nie odbiera telefonu. O tej porze dnia wszyscy szykują się, żeby pojechać po dzieci. Na dodatek mam bardzo słaby zasięg.

– Przeprowadzamy rozszerzone badanie krwi – informuje mnie doktor Vang. – Niedługo dostaniemy wyniki. Na razie podajemy mu węgiel aktywowany.

– Węgiel? Dlaczego?

– Na wypadek gdyby to było coś, co zjadł. Możliwe, że to reakcja alergiczna. Węgiel ma działanie neutralizujące.

Dzwonię do szkoły; odbiera Audrey, sekretarka.

– Jak się czuje Ben? – pyta natychmiast.

– Lekarze na razie nie wiedzą, co mu jest. Myślą, że mógł zjeść coś dziwnego.

Codziennie daję mu na śniadanie płatki zbożowe! Nie rozumiem...

– Po twarzy płyną mi łzy.

– Tak mi przykro.

– Dzwonię w sprawie Evie. Mój mąż jeszcze nie dotarł, a ja nie mogę zostawić Bena. Nie udało mi się znaleźć nikogo, kto mógłby ją odebrać. – Z niepokoju podnoszę głos.

– Niech się pani nie martwi, pani Morley – uspokaja mnie Audrey.

– Poproszę pana Mitchella, żeby z nią został. Ma pani jego numer? Niech pani zadzwoni do niego, kiedy będzie pani wiedziała, że może już po nią przyjechać, albo znajdzie kogoś, kto ją odbierze.

– Dziękuję. Bardzo pani dziękuję. Mam numer jego komórki.
Wkładam telefon do kieszeni. Natychmiast zaczyna w niej dzwonić.
To Ollie.

– Bogu dzięki. Przez całe popołudnie próbuję się z tobą skontaktować.

– Przepraszam. Byłem na spotkaniu. Miałem wyłączony telefon. Co się stało Benowi? – Słysząc, że jest zdenerwowany.

– Nie wiem. W żłobku stracił przytomność. Nadal jej nie odzyskał.
Lekarze myślą, że to reakcja na coś, co zjadł.

– Jezus. Już jadę. Jesteś na OIOM-ie?

– Tak – odpowiadam zachrypłym głosem.

Zalewa mnie fala żalnej wdzięczności, że nie będę musiała radzić sobie z tym sama.

Podchodzi do mnie doktor Kapur.

– Stan Bena jest stabilny, najważniejsze narządy wewnętrzne wydają się funkcjonować normalnie. Tętno nadal jest niskie, ale w granicach normy. Wrócę za pół godziny, kiedy będziemy mieli wyniki analizy krwi.

Kiwam głową. Po odejściu lekarzy przy łóżku Bena robi się pusto. Zostaje tylko jedna z pielęgniarek. Zaciąga szczelnie zasłonę, odgradzając nas od pozostałych pacjentów.

– Nie możesz w tej chwili nic zrobić, kochana. – Uśmiecha się do mnie. – Może pójdziesz napić się herbaty? Ja go popilnuję.

Kręcę głową. Pielęgniarka przynosi mi krzesło. Siedzę przy łóżku i trzymam Bena za rękę. Ma takie małe, pulchne dłonie. W miejscach, gdzie pielęgniarki wbiły igłę albo nie mogły wkuć się w żyłę, pod półprzezroczystą skórą rozlewają się siniaki. Pokryte filigranową siateczką naczyń włosowatych powieki nieznacznie drgają. Jego rzęsy są gęste i jasne. Pierwszy raz widzę mojego synka w całkowitym bezruchu; normalnie porusza się nawet przez sen, mamrocze, zaciska piąstki. Nie mogę uwierzyć, że jego serduszko stanęło. Umarł, a teraz żyje. Czy po odzyskaniu przytomności wciąż będzie tą samą osobą? Moim Benem?

Wracają doktor Kapur, doktor Vang i dwie pielęgniarki. Doktor Kapur chce mi coś powiedzieć, ale przez szparę w zasłonie otaczającej

łóżko Bena wdziera się Ollie – blady i spocony, w poluzowanym krawacie i marynarce zarzuconej na jedno ramię.

– Przepraszam. Przyjechałem z Leeds taksówką; był dziki korek, strasznie długo to trwało. Jak się czuje? O Boże – mówi na widok Bena. Sztywnieje. Wreszcie do niego dotarło, że to poważna sprawa, myślę z ulgą zmieszaną z gniewem.

– Pan Morley? – Doktor Kapur ściska dłoń mojego męża. – Stan Bena jest stabilny. Udało nam się obniżyć poziom potasu we krwi, ale może znowu wzrosnąć. Na szczęście odkryliśmy, co mu jest, i mamy na to antidotum. Za chwilę mu je podamy. – Ruchem głowy wskazuje dwie pielęgniarki, które odłączają jedną kroplówkę i wieszają na stojaku nową. – Jeśli to zadziała, oczyści jego organizm z toksyny.

– Toksyny? – pyta Ollie. Głaszcze Bena po głowie.

– Wyniki badania krwi wskazują, że pański syn spożył glikozyd nasercowy. Konkretnie ewonozyd, najpewniej pochodzący z *Euonymus europaeus*.

– Z czego?

Nie jestem w stanie przetworzyć tego, co mówi doktor Kapur.

– Z trzmieliny pospolitej. To dziko rosnący krzew, hodowany również dla celów dekoracyjnych. Ben musiał zjeść jagody.

– Ale macie antidotum? – upewnia się Ollie.

– Tak. Właśnie je podajemy. Jeśli zadziała, stan pańskiego syna powinien zacząć się poprawiać. Niedługo zajrzę tu znowu, by sprawdzić, jak się czuje.

– Wyjdzie z tego?

– Jest za wcześnie, by coś powiedzieć, pani Morley. Ale jesteśmy dobrej myśli.

Kładzie mi dłoń na ramieniu i wychodzi. Pielęgniarka przynosi krzesło dla Olliego.

– Gdzie się, do cholery, podziewałeś? – syczę.

– Powiedziałem ci, gdzie byłem. Co się stało?

Relacjonuję mu przebieg popołudnia. Mówię, że serce Bena przestało pracować. Myślałam, że będzie mnie trzymał za rękę, że jeszcze raz przeprosi, że go przy nas nie było, ale on dotyka dłońią buzi Bena i ten gest sprawia, że czuję się jeszcze bardziej samotna i

wściekła. Siedzimy obok siebie i patrzymy na naszego syna. Jego oczy mają ten sam kształt co oczy Olliego, widać to nawet, kiedy są zamknięte.

Wrzucam do wyszukiwarki „trzmielinę pospolitą”. Jako pierwsza wyskakuje mi strona Zarządu Rezerwatów Przyrody. Dowiaduję się z niej, że trzmielina, *Euonymus europaeus*, jest pospolitą rośliną spotykaną w żywopłotach i na obszarach leśnych. Traci liście na zimę, kwitnie w maju i czerwcu. Dawniej wierzono, że wcześniejsze kwitnienie zapowiada zarazę. Twarde, kremowobiałe drewno służyło niegdyś do wyrobu wrzecion^[1]. Dziś produkuje się z niego węgiel rysunkowy. Na stronie internetowej jest zdjęcie kwiatów przypominających różowe krynoliny; spod mięsistych płatków wystają jak halki pomarańczowe pręciki. Jesienią kwiaty zamykają się, tworząc torebki nasienne. Czytam z drżącym sercem. Jagody zawierają glikozydy, które wywołują wymioty, biegunkę, arytmie serca, halucynacje i utratę przytomności. Zatrucie nimi może być śmiertelne.

– Gdzie Ben znalazł te jagody? – zastanawiam się głośno.

Ollie milczy. Ben pcha do buzi wszystko, co wpadnie mu w ręce, a jagody trzmieliny mają kuszący wygląd cukierków. Ale na stronie Zarządu Rezerwatów Przyrody przeczytałam, że są gorzkie w smaku. Chybaby je wypluł? Nie przypominam sobie, żebym widziała podobną roślinę w pobliżu naszego domu albo szkoły, a przecież nikt nie posadziłby trującego krzaka na placu zabaw. Policzki Bena powoli odzyskują różowy kolor. Rozchyła piąstki. Ale nadal się nie budzi.

Moje oczy napełniają się łzami. Biorę Olliego za rękę.

– Wyjdzie z tego? – pytam go, jakby mógł znać odpowiedź. Mam nadzieję, że jak zawsze rozwieje moje obawy.

– Jak długo jest nieprzytomny?

Patrzę na zegarek. Wydaje się, że minęły całe wieki, ale jest dopiero piąta.

– Około pięciu godzin – odpowiadam.

Ollie marszczy czoło. Wiem, o czym myśli. Czy Ben odzyska przytomność? A jeśli tak, czy nie doznał uszkodzenia mózgu? Czy narządy wewnętrzne będą pracowały prawidłowo?

– Evie! – Ollie podrywa się z krzesła.
– Jack został z nią w szkole – mówię.
– A Andy? Nie mógł jej odebrać?
– Nie udało mi się do nikogo dodzwonić – wyjaśniam. – Jedno z nas musi po nią pojechać. Na pewno się denerwuje. Zresztą Jack nie może z nią siedzieć bez końca.

Nie chcę zostawiać mojego synka. Chcę być przy nim, kiedy się obudzi. Chcę spojrzeć w jego błękitne oczy i zobaczyć, że to Ben, a nie pusta skorupka dziecka.

– Ty pojedź – mówi Ollie. – Już się tu nasiedziałaś. Na pewno jesteś wykończona. Gdy tylko coś się zmieni, natychmiast do ciebie zadzwonię.

Chcę zaprotestować. Przecież nic nie robiłam, siedziałam tylko, mówiąc do Bena jakieś głupstwa i trzymając go za rękę. Ale Evie mogłaby się poczuć zaniebawiana, a to ostatnia rzecz, jakiej chcemy, bo i tak jest niepewna swojego miejsca w rodzinie. Niechętnie kiwam głową. Ollie opróżnia swój portfel z banknotów, żebym miała czym zapłacić za taksówkę. Mam przy sobie tylko telefon i kluczyki, pieniądze zostawiłam w samochodzie. Całuję męża i syna. Policzek Bena jest ciepły.

Taryfiarz wysadza mnie przed szkołą, przy moim aucie. Straż miejska nie odholowała mi auta ani nie założyła blokady, ale za wycieraczką tkwi kawałek papieru. Zapadam się w sobie. Na pewno liścik od jakiegoś rodzica, który postanowił zrugać mnie za parkowanie w niewłaściwym miejscu, albo mandat od straży miejskiej. Wyjmuję karteczkę zza wycieraczki. To podpisana przez Kate Stevenson informacja, że samochód należy do mamy jednego z uczniów, która w nagłej sytuacji musiała zaparkować niezgodnie z przepisami. Pod spodem jest numer jej telefonu z prośbą o kontakt, gdyby były jakieś problemy. Mój portfel spokojnie leży na przednim siedzeniu. Chwała Bogu, że Ilkley jest takim praworządnym miastem. Ruszam do bramy, spodziewając się – czego? Evie nie może mnie zobaczyć, okna jej klasy nie wychodzą na tę stronę. I nagle to do mnie dociera. Brama jest zamknięta. Oba skrzydła są połączone łańcuchem, na którym wisi kłódka. Potrząsam nimi, ale oczywiście to nic nie daje.

Może uda mi się wejść od tyłu, od strony żłobka. Wpycham kartkę do kieszeni i szybko obchodzę budynek.

Na furtce do żłobka też wisi łańcuch i kłódka. Szkoła sprawia wrażenie zamkniętej na głucho, jakby do poniedziałku rano nikt nie miał zamiaru się do niej zbliżyć. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie przeleźć przez ogrodzenie. Dzwonię, ale nikt nie odbiera. Mam sucho w ustach, zaczyna ogarniać mnie lęk. Mój mózg nie działa tak, jak powinien. Trudno się dziwić, od śniadania niczego nie jadłam. Przecież Jack nie siedziałby w szkole tak długo – jest już po piątej. Musiał zabrać gdzieś Evie, może do siebie do domu. Jeszcze raz próbuję się z nim połączyć. Nagrywam wiadomość, że zaraz u niego będę.

Kładę telefon na fotelu pasażera, na wypadek gdyby Jack oddzwonił. To niedaleko. Jack mieszka przy Mornington Road, w czterorodzinnym szeregowcu, dwie przecznice od domu mojej mamy. Evie uwielbia do niego jeździć, bo to jej przypomina babcię. Pewnie uprosiła go, żeby wyszli wcześniej ze szkoły. Odrobinę poprawia mi się nastrój. Próbuję oszacować, ile mi to zajmie czasu: muszę odebrać Evie, pojechać do domu, dać jej coś jeść, nakarmić psa, spakować torbę dla Bena i Olliego i wrócić do szpitala. Jeśli się pospieszę, będę tam przed ósmą.

Dzwonię do drzwi Jacka. Nikt nie otwiera. Dzwonię jeszcze raz i nasłuchuję. Nie słyszę kroków ani głosu Evie. Walę w drzwi. Naciskam klamkę, ale nie ustępuje. Z całej siły wciskam guzik. Działa, słyszę, jak dzwoni. Właśnie zamierzam ponownie zatelefonować do Jacka, kiedy przychodzi wiadomość głosowa. To od niego. Może zabrał Evie do parku, chociaż jest już trochę późno i chłodno, albo poszli do kawiarni. Naciskam „odtwórz”.

Odsłuchuję: „Cześć, Zoe, przepraszam, że nie odebrałem. Na M6 jest beznadziejny zasięg. Ciągłe tracę sygnał”.

M6? Co on, do cholery, robi na pieprzonej autostradzie?

„Przykro mi, że Ben zachorował. Mam nadzieję, że czuje się już lepiej. Super, że tacie udało się odebrać Evie, bo zaczynałem się już trochę martwić. Jadę do Krainy Jezior i wolałbym dotrzeć na miejsce przed zmrokiem”. Wiadomość kończy się serią trzasków. Słysząc

ostatnie dwa słowa – „trzymaj się”. To wszystko.

Trzęsę się ze zdenerwowania. Jack jedzie do Krainy Jezior. Myśli, że Ollie odebrał Evie?

Jak niby miał to zrobić? A może jednak *mógł* ją odebrać? Boję się, że za chwilę zwariuję. Nie, przecież pamiętam, że rozmawialiśmy na ten temat i dał mi pieniądze na taksówkę. Dzwonię do Olliego. Czuję, jak narasta we mnie histeria. Nie odbiera. Pewnie rozmawia z lekarzami, ale chyba widzi, że próbuję się z nim skontaktować? Dzwonię do Andy’ego.

– Jezu, Zoe, właśnie odsłuchałem twoją wiadomość i przeczytałem esemesa. Przepraszam cię, byłem na spotkaniu w sprawie nowego kursu dla dorosłych, który mam poprowadzić na uniwerku. Jak się czuje Ben?

– Evie jest u ciebie? – wyrzucam z siebie.

– Nie. Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Jest tak późno, że uznałem, że ktoś inny już ją odebrał.

– Jack został z nią w szkole, ale nagrał mi wiadomość, że jest w drodze do Krainy Jezior i że Evie odebrał Ollie. Tylko że to niemożliwe, Ollie jest w szpitalu z Benem!

– Zaczekaj. Powoli. Jesteś pewna, że nie ma z nim Evie?

– Tak! Widziałam się z nim. Przyjechał prosto z Leeds. Dał mi pieniądze na taksówkę, żebym mogła ją odebrać!

– Kto jeszcze mógł ją odebrać? – Płacz Ellen zagłusza jego słowa. Też zaczynam płakać.

– Może jest u innej koleżanki ze szkoły? – Milczę. – Zadzwoń na policję – mówi, kiedy nie odpowiadam. – Od razu. Na wszelki wypadek. Zoe? Zoe?

Rozłączam się i wybieram 999. Dyżurny każe mi wrócić do szkoły i poczekać. Mówi, że przyśle dwóch detektywów. Na placu zabaw wyciągam z kieszeni pomięty karteluszek z numerem Kate Stevenson i dzwonię do niej.

– Zoe! Jak się czuje Ben? Nic mu nie jest? Nie chciałam do pani dzwonić, bo myślałam, że jeszcze jest pani w szpitalu...

– Kate – przerywam jej. – Evie zniknęła. Jack twierdzi, że odebrał ją Ollie, ale to nieprawda. Ollie jest w szpitalu z Benem. Dzwoniłam

na policję.

W słuchawce zapada cisza.

– Gdzie pani jest? – odzywa się w końcu Kate.

– Przed szkołą.

– Zaraz tam będę.

– Musi pani obdzwonić rodziców z klasy Evie. Może ktoś z nich zabrał ją do siebie do domu. Rozmawiałam już z Andym Gloverem.

– Dane kontaktowe są w biurze. Będę tam za pięć minut. Gdzie jest Jack?

Podjeżdża radiowóz.

– Jest już policja. Muszę kończyć.

Wydmuchuję nos i wysiadam z samochodu.

– Pani Morley?

Przytakuję.

– Nadinspektor Jeremiahs Collier. – Wyciąga do mnie rękę. Podaję mu drżącą dłoń. Jest zwalistym mężczyzną dobrze po pięćdziesiątce. Ma rozłożystą klatę, czerwoną siateczkę popękanych naczynek na nosie i szare oczy. – A to sierżant Justin Clegg.

Młodszy oficer ma pewnie trzydzieści kilka lat, chociaż wygląda na mniej. Jest wysoki, tyczkowaty, ma bladą cerę, rude włosy i haczykowaty nos. Podaję mu rękę; pochyła się niezgrabnie, żeby ją uścisnąć. Zaciskam zęby. Marnujemy czas na uprzejmości.

– Rozumiem, że zaginęła pani córka? – mówi Collier. – Evie Morley, zgadza się? Może pani zacząć od początku, moja droga? Jak długo jej nie ma?

– Nie wiem – mówię.

Wyjaśniam, że Ben trafił do szpitala i że z tego powodu nie mogliśmy odebrać jej ze szkoły.

– Więc była w szkole pod opieką swojego wychowawcy Jacka Mitchella i gdzieś między piętnastą trzydzieści, kiedy skończyły się lekcje, i siedemnastą czterdzieści pięć, kiedy odebrała pani wiadomość od pana Mitchella, że znajduje się w drodze do Krainy Jezior i że Evie z nim nie ma, pani córka zniknęła. Pan Mitchell powiedział, że odebrał ją Ollie, pani mąż. Jest pani absolutnie pewna, że pani mąż tego nie zrobił?

– Tak.

Przyjeżdża Kate. Wysiada z samochodu i w rozwianym płaszczu biegnie do szkolnej bramy. Boję się, że zwymiotuję. Drzę.

– O której godzinie pan Morley dotarł do szpitala?

– Nie jestem pewna. To musiało być tuż przed piątą albo trochę po. Razem rozmawialiśmy z lekarzem. Stan Bena był stabilny i Ollie powiedział, żebym pojechała po Evie.

Dał mi pieniądze na taksówkę. Droga zajęła mi, nie wiem, może pół godziny? Były okropne korki. To nie do wytrzymania! Niech już wreszcie złączą jej szukać. Gdzie ona, do diabła, może się podziewać? Dlaczego Jack twierdzi, że to Ollie ją odebrał?

– Pan Morley zasugerował, żeby to pani pojechała po Evie?

– Zapomniał, że trzeba odebrać ją ze szkoły. To ja się tym zawsze zajmuję. Kiedy sobie przypomniał, powiedziałam, że Evie jest pod opieką Jacka, i wtedy mąż zaproponował, żebym pojechała po nią, a on zostanie z Benem.

Już im to mówiłam. Dlaczego nie wezmą się do roboty?

– Sprawdziła pani, czy nie ma jej u kogoś z rodziny albo przyjaciół?

Wyjaśniam, że rozmawiałam już z ojcem najlepszej przyjaciółki Evie i że dyrektorka szkoły właśnie obdzwania w swoim gabinecie pozostałych rodziców z jej klasy. Mama, ojciec, brat i siostra Olliego mieszkają w Londynie, a moi rodzice nie żyją. Nikogo więcej nie mamy.

– A może jest w domu?

Mogła wrócić na piechotę! Jack nie powinien był jej na to pozwolić, ale to możliwe.

Oczywiście wyobraźni widzę, jak stoi przed drzwiami, sama, zmarznięta i przestraszona.

– Nie byłam jeszcze w domu po odwiezieniu Bena do szpitala.

– Pani Morley...

– Zoe.

– Zoe. Proszę pojechać do domu i sprawdzić – mówi Collier. – Zamienimy kilka słów z dyrektorką szkoły i przyjedziemy do pani. Jaki to adres?

Mówię mu, gdzie mieszkamy, i podaję numery telefonów do mnie i

Olliego. Wręcza mi swoją wizytówkę.

– Za chwilę do pani dołączymy. Miejmy nadzieję, że pani córka jest w domu. Jak pani tam dotrze, proszę do mnie zadzwonić.

Przez łąy ledwie widzę drogę. Mimo to pędzę Cowpasture Road jak wariatka. Mój stary samochód nie posiada nowoczesnego systemu głośnomówiącego, więc trzymając telefon na kolanie, próbuję połączyć się z Jackiem albo Olliem – znowu bez powodzenia. Wjeżdżam w Rombald Lane i rozpaczliwie próbuję sięgnąć wzrokiem za róg, w naszą ślepą uliczkę. Przed naszymi drzwiami nie stoi mała dziewczynka. Biegnę za dom, na wypadek gdyby Evie przyszła ścieżką jeździecką. Na ścieżce nie ma żywej duszy, ogród jest pusty. Zresztą ogrodzenie z siatki jest za wysokie, żeby mogła przez nie przejść. Kiedy wchodzę do domu, Bella nie biegnie przywitać się ze mną, jak to zwykle robi. Przemyka się chyłkiem, skomle. Od razu wyczuwam zapach.

– Biedna psina. – Pieszczę jej miękkie, klapnięte uszy. – Wiem, że nie chciałaś. Siedziałaś zamknięta przez całe popołudnie.

Macha ogonem, kręcąc zadkiem. Wypuszczam ją do ogrodu, nalewam wody do miski i kładę przy jej posłaniu garść psich herbatników, a potem dzwonię kolejno do Olliego i Jacka, ale odzywa się tylko poczta głosowa. Wybieram numer szpitala i po ciągnącym się w nieskończoność czekaniu zostaję połączona z OIOM-em.

– Ben Morley? – upewnia się udreżonym głosem pielęgniarka. – Sprawdzę. – Wraca po kilku minutach i cieplejszym już tonem mówi: – Tak, skarbie. Odzyskał przytomność i teraz śpi.

Oddycha samodzielnie, bez respiratora.

– Dziękuję pani, serdecznie pani dziękuję. Czy... czy wyjdzie z tego?

– Musi pani porozmawiać z pediatrą, doktorem Kapurem – odpowiada po chwili wahania.

– Pani synek miał zawał serca, prawda? – Zaczynam płakać, tak strasznie, tak ostatecznie to brzmi. – Może pani przyjechać, kochana? Doktor Kapur wróci za pół godziny.

– Obawiam się, że nie mogę – szepczę. – Czy mogłaby pani poprosić mojego męża, żeby do mnie zatelefonował? Olivier Morley.

Jest z Benem. Nie mogę się do niego dodzwonić.

– Jestem bardzo zajęta, ale pewnie znajdę chwilę, żeby jeszcze dzisiaj przekazać mu pani prośbę. – Skreśliła mnie jako nieczułą matkę, bo nie jestem przy synu, który leży na oddziale intensywnej terapii.

– To pilne – mówię. – Proszę. Nasza siedmioletnia córka zaginęła. Wyszła ze szkoły, kiedy byłam w szpitalu, i nie wiemy, gdzie teraz jest.

Gwałtownie wciąga powietrze.

– Już do niego idę. Prawdopodobnie poszła do jakiejś koleżanki. Mam nadzieję, że szybko się znajdzie, kochanie.

Chcę szukać Evie. Chcę być w szpitalu z Benem. Muszę być obecna przy rozmowie z doktorem Kapurem. Muszę wreszcie zacząć coś robić. Dlaczego Jack powiedział, że Evie odebrał Ollie? Jako jej nauczyciel nie mógł przecież wypuścić jej ze szkoły, dopóki nie zgłosi się po nią ktoś z rodziny. Może miał na myśli inną osobę? Tatę którejś z koleżanek? Jeśli zależało mu, żeby jak najwcześniej wyjechać, mógł zadzwonić do znajomego rodzica i poprosić go, żeby zaopiekował się Evie. To chyba jedyne racjonalne wyjaśnienie. Chwytam się go kurczowo, bo wszystkie pozostałe opcje nie mieszczą mi się w głowie. Ale i tak nie mogę opędzić się od wątpliwości: dlaczego Jack nie zadzwonił do mnie, żeby mi o tym powiedzieć, albo chociaż nie przysłał esemesa? Dlaczego rodzic, który przejął opiekę nad Evie, nie powiadomił o tym mnie, Olliego ani szkoły?

Kręcę się przy drzwiach wejściowych, nie mogąc się na nic zdecydować. W końcu mam tego dosyć; postanawiam pojechać po Ilkley i porozglądać się za Evie. W tym samym momencie przez matową szybę w drzwiach dostrzegam ciemną postać, która idzie w moją stronę ścieżką. Serce zamiera mi w piersi. Może to jakiś rodzic odprowadza Evie do domu. Gwałtownie otwieram drzwi.

Na progu stoi filigranowa kobieta o zmysłowych kształtach, krótkich ciemnych kręconych włosach i małym zadartym nosku. Opadające zewnętrzne kąciaki oczu nadają jej melancholijny wygląd.

– Patel, funkcjonariuszka odpowiedzialna za kontakty z rodziną – przedstawia się, podając mi rękę. – Dwaj panowie JC już jadą.

Marszczę ze zdziwieniem brwi.

– Jeremiah Collier i Justin Clegg. Kapitałny zespół. Proszę się nie martwić, znajdziemy pani córkę. Znajdziemy Evie. Mogę wejść? Chciałabym jeszcze raz zebrać wszystkie fakty.

– Nikt nic innego nie robi! Tylko zadają pytania. Muszę iść szukać mojej córki.

Przechyla na bok ładną trójkątną twarz.

– Proszę mi wierzyć: kiedy ginie dziecko w wieku pani córki, działamy bardzo szybko, nawet jeśli istnieje szansa, tak jak w tym przypadku, że odebrał ją inny rodzic. W tej chwili dwa radiowozy szukają jej na ulicach Ilkley. Ogłosiliśmy alarm w całym regionie. Zawiadomiliśmy wszystkie brytyjskie lotniska i porty; zaczęliśmy sprawdzać nagrania z monitoringu na dworcu kolejowym. Rozumiem, naprawdę rozumiem pani potrzebę działania, ale policja prowadzi intensywne poszukiwania. Najlepsze, co może pani w tej chwili zrobić, to jeszcze raz mi o wszystkim opowiedzieć, żebyśmy mieli pewność, że niczego nie przeoczyliśmy. Załatwmy to od razu. Mam nadzieję, że w tym czasie Evie znajdzie się w domu jakiejś koleżanki – stara się mnie uspokoić.

– Ale przecież nawet nie wiecie, jak ona wygląda. Ani w co jest ubrana.

– Dowiedzieliśmy się od pani dyrektor. Rozmawiała dziś z Evie, kiedy Bena zabrano do szpitala, i drugi raz, później, żeby powiedzieć jej, że zostanie w szkole z panem Mitchellem.

Zapamiętała dokładnie, w co była ubrana pani córka. Pani Stevenson dała nam również klasowe zdjęcie Evie, na wydruku i w wersji cyfrowej. Puściliśmy je w obieg.

Nie umiem sobie przypomnieć, w co ubrała się dziś Evie. Okropnie się z tym czuję. Pamiętam za to jej zdjęcie klasowe. Nie cierpię go. Fotografię zrobiono po całym dniu lekcji, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby uczesać moją córkę albo chociaż przygładzić jej włosy i zmyć z policzka ślady keczupu. Wygląda na niej jak zanedbane dziecko, którego nikt nie kocha. Na twarzy ma zastygły grymas uśmiechu, ukazujący krzywe siekacze, które właśnie zaczęły rosnąć w dziurach po mleczakach. Odsuwam się na bok, żeby wpuścić Ruby.

Wchodząc, marszczy nos.

– Przepraszam – mamroczę. – Pies był zamknięty w domu, a ja dopiero...

– Nic się nie stało. Zaraz zrobimy z tym porządek.

Przechodzi przez salon do kuchni, urywa kawał ręcznika jednorazowego i wyciąga spod zlewu środek dezynfekujący.

– Przeszukała pani dom? – pyta po starciu kałuży.

– Nie miała jak się dostać do środka – wyjaśniam. – Kiedy wróciłam, drzwi były zamknięte, a Evie nie ma klucza.

Ruby zbywa moje słowa milczeniem. Czy myśli, że zrobiliśmy coś naszemu dziecku?

Zaczyna zaglądać po kolei do szafek w kuchni. Przyłączam się do niej. Sprawdzamy we wszystkich szafach i pod łózkami. Pokazuję jej przestrzeń magazynową na strychu. Chociaż wiem, że to bez sensu, za każdym razem, kiedy otwieramy jakieś drzwi, czuję drgnienie nadziei. Gdy kończymy, jesteśmy pokryte pajęczynami i okruchami herbatników.

– Macie garaż albo szopę w ogrodzie?

Mija kilka minut, zanim udaje mi się znaleźć latarkę. Na dworze jest zimno i ciemno. Dziwię się, że sama nie wpadłam na pomysł, żeby sprawdzić w szopie. Na wszelki wypadek. Na drzwiach wisi kłódka, nikt się nie włamał do środka. Wewnątrz panuje nienaturalny porządek: regały z jednakowymi plastikowymi pojemnikami pełnymi śrubek i wiertel, kosiarka do trawy i pół worka piasku. To królestwo Olliego.

Wracamy do domu; Ruby rozciera dłonie i mówi z przesadną emfazą „Brrrr”. Parzy mi kubek mocnej, słodkiej herbaty, przygotowuje talerz tostów, otwiera puszkę psiego jedzenia i mówi: – Niech pani usiądzie, Zoe. Musimy porozmawiać.

Obejmuję obiema rękami kubek i patrzę na nią wyczekująco.

– Proszę opowiedzieć po kolei, jak wyglądał dzisiejszy dzień.

Wyliczam podstawowe fakty, ale ona cofa mnie do początku i prosi, żebym opisała wszystko szczegółowo. Kiedy dochodzę do pięknej rzeźby Evie, Rajskiej Pupy, której kawałki walają się na podłodze pokoju Bena, zaczynam płakać.

– Jak brzmiały ostatnie słowa, które sobie powiedziałyście? – pyta łagodnym tonem Ruby.

Łzy leją się coraz gęściej.

– Oświadczyła, że nas nienawidzi i że ucieknie na wrzosowisko.

Cieknie mi z nosa. Ruby podaje mi kawałek papierowego ręcznika.

– Rozmawiałyście jeszcze potem, w drodze do szkoły?

Kręcę głową.

– Nie bardzo. Próbowałam coś jej powiedzieć, ale uciekła. To znaczy, pobiegła do klasy.

Ruby wstaje, żeby zrobić mi drugi kubek herbaty. Pyta o Jacka: jak długo Evie go zna, czy go lubi, jak często Jack opiekuje się naszymi dziećmi. Co chwila zerkam na zegarek.

Dlaczego Ollie nie dzwoni? Pielęgniarka obiecała niezwłocznie przekazać mu moją prośbę, a od tamtej pory minęły już całe wieki. Zdejmuję z łokcia kawałek pajęczyny.

Ruby pochyla się w moją stronę.

– Czy pani ufa panu Mitchellowi? – pyta.

– Tak – odpowiadam. – Evie go uwielbia. Jack potrafi godzinami słuchać jej paplaniny i pomaga jej budować skomplikowane rzeźby. I nie narzeka na bałagan, który przy tym robi.

Pięć lat opiekowania się moją córką. To przecież coś znaczy, prawda? Ufam mu, ale dlaczego do mnie nie zadzwonił?

– Gorzej mu idzie z dorosłymi.

– Co ma pani na myśli? – W głosie Ruby odzywa się ostra nuta.

– Tak bardzo skupia się na dziecku, na dzieciach, że nie ma czasu na to wszystko, co tak lubią rodzice: na omawianie prac domowych i testów. Zawsze uważałam, że to dobrze.

Ruby nie nosi obrączki. Przypuszczam, że nie jest matką, więc pewnie nie wie jeszcze, jak to jest wkłęcić się w życie szkoły do tego stopnia, że człowiek rozmawia wyłącznie o dzieciach i nie potrafi znaleźć wspólnego tematu z kimś, kto ich nie ma.

– Czy Jack jest podejrzany?

– Tak. Był ostatnią osobą, która widziała pani córkę, i nie wiemy, gdzie obecnie przebywa. – Oddycha głęboko, patrząc na mnie dużymi ciemnymi oczami. – Ale w takich przypadkach głównymi

podejrzany zwykle są rodzice. Zwłaszcza że według pana Mitchella Evie odebrał pani mąż. – Próbuję zaprotestować, ale mnie powstrzymuje. – Wiem, jakie to dla pani przykre, musimy jednak wykluczyć tę możliwość, żebyśmy mogli skoncentrować się na znalezieniu prawdziwego sprawcy. – Spogląda na zegarek. – Zaraz tu będzie.

– Kto?

– Pani mąż. Wysłaliśmy po niego radiowóz.

Wyglądam przez okno, ale jest już ciemno i widzę tylko blade odbicie własnej twarzy.

Przechodzi mnie dreszcz. Czy Evie jest sama na dworze? A jeśli jest z kimś, to kto to może być?

Ruby miała rację: Collier, Clegg i Ollie zjawiają się kilka minut później. Ollie podchodzi do mnie i przygarnia do piersi.

– Przepraszam. Późno dostałem twoją wiadomość. A potem zjawiła się policja. Po drodze był bardzo słaby zasięg; zresztą pomyślałem, że zaraz będę w domu, więc nie ma sensu dzwonić.

Wtulam się w niego, żeby nie przeczytał w moich oczach, jak bardzo jestem urażona i wściekła.

– Powinieneś był zadzwonić.

Wystarczyłby zwykły telefon, uspokajające brzmienie jego głosu, żebym wiedziała, że przechodzimy przez to razem.

– Znajdziemy ją – mówi zachrypłym głosem.

Mam gułę w gardle.

– Co z Benem? – pytam.

– W porządku. Śpi. Któraś z nas powinno jak najszybciej wrócić do szpitala, na wypadek gdyby się obudził.

Wyobrażam sobie, jak Ben budzi się w szpitalnej sali, wśród popiskujących urządzeń i cierpiących dzieci, oplątany rurkami i przewodami, a nikogo z nas przy nim nie ma.

– Co mówi doktor Kapur?

– Że jest za wcześnie, by stwierdzić, czy powróci w pełni do zdrowia. Rozpoznali truciznę i podali na czas antidotum. Ale nie mają jeszcze pewności, że nie doszło do uszkodzenia mózgu albo nerek. – Bierze mnie za rękę. – Mówi, że w przypadku dzieci zmiany są zwykle

odwracalne – dodaje głuchym głosem.

Collier chrząka znacząco.

– Im szybciej się z tym uporamy, tym szybciej będzie mógł pan wrócić do syna – mówi.

Zajmujemy miejsca, tylko Ruby idzie do kuchni, żeby zaparzyć więcej herbaty.

– Kate Stevenson obdzwoniła rodziców wszystkich dzieci z klasy Evie i obawiam się, że u nikogo z nich jej nie ma. Funkcjonariuszka odpowiedzialna za kontakty z rodziną na pewno wprowadziła już panią w nasze dotychczasowe działania – mówi Collier. – Mimo to chciałbym was osobiście zapewnić, że podchodzimy do sprawy z ogromną powagą, chociaż jest duża szansa, iż Evie jest z kimś, kogo zna, i po prostu zaszło jakieś nieporozumienie. Dwa radiowozy przeczesują ulice Ilkley; funkcjonariusze odwiedzają po kolei rodziców wszystkich dzieci, które chodzą do tej samej klasy co Evie, a także nauczycieli i pozostałych pracowników szkoły.

Osobny zespół ustala lokalizację kamer w pobliżu szkoły i przegląda na bieżąco materiał, w miarę jego napływania. Jednocześnie rozszerzyliśmy zasięg poszukiwań. Rozesłaliśmy zdjęcie Evie, które dała nam pani Stevenson, do wszystkich posterunków w kraju. Ogłosiliśmy alarm dla wszystkich lotnisk i portów. Nikomu nie uda się wywieźć jej za granicę. W tej chwili naszym priorytetem jest odnalezienie Jacka Mitchella, ponieważ był ostatnią osobą, która widziała Evie. Ale musimy zadać panu kilka rutynowych pytań, panie Morley, żeby móc wyeliminować pana ze śledztwa.

– I spisać formalne zeznania obojga państwa – dodaje Clegg.

Ollie niechętnie kiwa głową.

– Proszę opisać nam, co pan robił, panie Morley, od godziny dwunastej piętnaście, kiedy pańska żona dowiedziała się, że Ben zachorował.

Myślę o tym, że powinnam być z Benem. Mój mąż może sam odpowiedzieć na te wszystkie pytania. Zerkam na niego, zastanawiając się, czy tego nie przerwać. Ollie przeczesuje palcami czuprynę. To jeden z jego ulubionych gestów, ale dziś jego włosy są tłuste i ustawiają się w potargany czub.

– Byłem na spotkaniu. Nie zauważyłem, że Zoe dzwoniła. Nie widziałem jej esemesa.

Miałem wyłączony telefon. Odsłuchałem wiadomość około czwartej, oddzwoniłem i natychmiast pojechałem do szpitala. Rozmawialiśmy z lekarzem na temat stanu Bena, a potem Zoe wzięła taksówkę i pojechała do szkoły po Evie. Ja zostałem. Z Benem. To wszystko.

– W szpitalu Airedale?

– Tak.

– O której godzinie pan tam dotarł?

– Około piątej. Strasznie długo to trwało. Był okropny korek.

– Wyjątkowo długie spotkanie – raczej stwierdza, niż pyta Collier.

– Co?

– Od dwunastej do czwartej.

– Miałem dwa, jedno po drugim. To normalka.

– Nie włączył pan telefonu między spotkaniami?

– Nie. Zapomniałem. Co to ma wszystko znaczyć? Moja córka zaginęła, syn leży na OIOM-ie, a pan mnie pyta o mój telefon?

– Czy te spotkania odbywały się w pana biurze? Gdzie pan pracuje?

Ollie kiwa głową, dławiąc w sobie gniew. Collier rozsiada się wygodniej na kanapie i kładzie dłonie na kolanach. Ruby wnosi tacę z herbatą. Wyszperala w głębi szafki pół torebki cukru i jakieś nieciekawe herbatniki, które uchowały się przed zjedzeniem. Ciekawa jestem, czy świadomie postanowiła zainterweniować właśnie w tym momencie. Ma karnację w kolorze czarnej herbaty; kiedy podaje mi kubek, widzę, że jej dłonie są bardzo suche, skóra na knykciach zaczyna pękać.

– Dziękuję panu – mówi Clegg. – Zdajemy sobie sprawę, że dla rodziców zaginionych dzieci takie przesłuchanie jest bardzo przykre, ale teraz możemy ruszyć dalej.

Widzę, co robią: bawią się w dobrego i złego policjanta. Collier jest starszy, bardziej gburowaty, mówi z silnym akcentem z Yorkshire; jego młodszy partner Clegg budzi więcej sympatii, łatwiej się z nim rozmawia. Jest w nim jakaś niewinność, naiwność. Przypuszczam, że niejedna kobieta się już przed nim otworzyła. Daje poczucie

bezpieczeństwa. Nie atakuje, nie zachowuje się agresywnie; jest beta przy samcu alfa Collierze. Być może naoglądałam się za dużo seriali kryminalnych w czasie, gdy Ollie hulał na eleganckich przyjęciach.

– Co robicie, żeby znaleźć Jacka Mitchella? – pyta Ollie.

– Pan Mitchell ma wyłączony telefon, ale jestem pewien, że prędzej czy później go włączy albo znajdziemy kogoś, kto zna jego dokładne miejsce pobytu – mówi Collier. – Powiadomiłem komendę policji hrabstwa Kumbria i tamtejsi funkcjonariusze szukają jego samochodu. – Wbija w nas badawcze spojrzenie i mówi powoli, z naciskiem: – Jest głównym podejrzanym i wiem, że już zadawałem pani to pytanie, pani Morley, Zoe – poprawia się – ale czy naprawdę nie przychodzi pani do głowy żadna inna osoba, z którą może być wasza córka?

Chodzi mu o kogoś miłego i zaprzyjaźnionego, kto mógł odebrać Evie od Jacka, ale Ollie odpowiada: – Jej ojciec.

Policjanci patrzą na niego ze zdziwieniem. Ruby nie spuszcza wzroku ze mnie; obserwuje moją reakcję. Uciekałam przed tą myślą, pilnowałam się, by nie wypowiedzieć jej na głos, jakbym mogła siłą woli, nieprzyjmowaniem jej do wiadomości sprawić, żeby nie była prawdą.

Ale nie mogę. Te słowa wżarły mi się w mózg: „Szukałem cię od dnia, kiedy mi ciebie ukradli”.

Serce ściska mi się z bólu.

– Evie jest adoptowana – wyjaśnia Ollie, nie patrząc na mnie. – Niedawno jej ojciec nawiązał z nią kontakt. Zaraz wam pokażę.

Idzie do kuchni i po chwili wraca stamtąd z kartką urodzinową, różowym jednorożcem zapakowanym w jaskrawy papier, prezentami znalezionymi przeze mnie na strychu.

I z modlitewnikiem w czerwonej okładce, na który nawet nie spojrział, kiedy mu o nim w końcu powiedziałam, bo był za bardzo wściekły. Kładzie je przed Collierem i Cleggiem na stoliku do kawy. Coś się niepostrzeżenie zmienia. Ollie przestaje skupiać całą uwagę na sobie i teraz wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

– Zgłosiliśmy to na policję. Mam wrażenie, że nie bardzo przyłożyliście się do roboty.

– Tak mi się wydawało, że gdzieś już słyszałem nazwisko Morley.

Rzeczywiście, pamiętam tamtą sprawę – mówi Collier.

Ollie puszcza jego słowa mimo uszu.

– Mogę już wyjść? Ktoś musi być przy naszym synku.

To powinnam być ja. Chcę być z Benem. Nie chcę tu zostać sama, bez mojej córki.

Otwieram usta, żeby to powiedzieć.

– Możemy wziąć pana telefon, panie Morley? – ubiega mnie Clegg.
– I laptop? Do rutynowego sprawdzenia. Pani też, pani Morley.

Ollie gniewnie mamrocze coś pod nosem. Zamierza zaprotestować, ale w końcu tego nie robi. Kładzie telefon na stoliku. Przytula mnie i całuje.

– Nie martw się, odnajdziemy ją – mówi na pożegnanie. – Na pewno jest u jakiejś koleżanki i świetnie się bawi – zapewnia bez przekonania.

Po raz kolejny referuję szczegółowo, co robiłam przez cały dzień, bo Collier i Clegg muszą przyjąć ode mnie oficjalne zeznanie, gdy nagle odzywa się dzwonek do drzwi. Zrywam się z krzesła, rozlewając herbatę.

– To pies tropiący. – Ruby rzuca mi przepaszające spojrzenie. – Musimy jeszcze raz przeszukać dom. Dla pewności.

Siadam z powrotem. Clegg wpuszcza dwóch funkcjonariuszy z owczarkiem alzackim.

Bella szczeka niepewnie i skomlać, wpełza pod moje krzesło. Uderza rytmicznie ogonem o drewnianą nogę. Przez sufit słyszę kroki policjantów, którzy przeszukują piętro.

– Co będzie dalej? – pytam.

– Policjanci robią wszystko, co mogą, i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa niedługo ją znajdziemy – mówi Collier. – Będziemy kontynuować poszukiwania przez całą noc. Rano funkcjonariusze zaczną chodzić od drzwi do drzwi. Przepytamy wszystkich mieszkańców Ilkley.

Odtworzymy trasę, którą mogła pójść, jeśli próbowała sama wrócić do domu, i sprawdzimy wszystkie szopy, budynki gospodarcze, garaże. Ale – wzdycha ciężko – osobną sprawą jest wrzosowisko. Powiedziała pani, że rano się pokłóciłyście i ostatnie słowa pani córki

brzmiały, że chce się wyprowadzić na wrzosowisko.

– Dzieci często mówią takie rzeczy! Ona ma siedem lat! Nie mogła myśleć na poważnie o ucieczce.

– Na tym etapie nie możemy tego wykluczyć, pani Morley – włącza się Clegg. – Dyrektorka szkoły pokazała nam opowiadanie o małej dziewczynce mieszkającej na wrzosowisku, które Evie napisała dzisiaj w swoim zeszycie. Mam wrażenie, że w jej historyjkach często występują czarownice i giganci z wrzosowiska.

Chowam twarz w dłoniach. Czyżby myśleli, że to moja wina? Przecież Evie nigdy w życiu nie próbowałaby się ukryć na wrzosowisku!

– Musimy również wziąć pod uwagę możliwość, że została uprowadzona – ciągnie swój wywód Collier – i jeśli nie jest to robota Jacka Mitchella albo jego współnika, to sprawca może przetrzymywać ją na wrzosowisku. Dzikie pustkowia w pobliżu małego miasteczka idealnie nadaje się na kryjówkę. Dlatego jutro rano, o ile nie znajdziemy jej wcześniej, rozpoczniemy przeczesywanie Wrzosowiska Rombalda z użyciem psów, policji i ochotników.

– Ale nadal mamy nadzieję, że niedługo się znajdzie – dodaje Clegg, podsuwając mi do podpisania moje zeznanie.

Wychodzą razem z dwoma funkcjonariuszami z psem. Kiedy zamykają się za nimi drzwi, Ruby mówi: – Wiem, że to ostatnia rzecz, o jakiej chciałaby pani w tej chwili myśleć, ale nie uda nam się uniknąć zainteresowania mediów. To zresztą może zadziałać na naszą korzyść. Collier poprosi panią i pani męża o wzięcie udziału w konferencji prasowej. Jak pani sądzi, da pani radę to zrobić?

Zamykam oczy. To brzmi zbyt poważnie. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Jest już po dziewiątej. Evie zniknęła po południu. Ktoś porwał naszą ukochaną córkę. Kiwam głową.

– Zrobię wszystko, co będę musiała.

Dziwnie się czuję z tym, że po mojej kuchni krząta się obca osoba. Zbiera kubki po herbacie, ostrożnie wstawia je do zmywarki, odkłada do szafki cukier, przeciera blaty. Zdążyła się już zorientować, gdzie wszystko stoi.

– Mieszka pani w Ilkley? – pytam.

Kręci przecząco głową.

– W Bradford.

Jestem ciekawa, czy jest muzułmanką, czy hinduistką; i czy mieszka z rodzicami. Czy wie, co to za modlitewnik?

– Lepiej, żeby nie była pani sama dziś w nocy – stwierdza. – Mogłabym się przespać na kanapie?

– W pracowni na górze jest wolne łóżko.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Proszę nie wstawać. Sama sobie pościelę.

Zaczynam tłumaczyć jej, gdzie znajdzie pościel, ale dociera do mnie, że już to wie. Ollie dzwoni około dziesiątej z automatu w szpitalu.

– Coś już wiadomo? – pyta ściszym głosem.

– Nie – odpowiadam, a potem krztuszę się i zaczynam płakać; zanoszę się szlochem, zmieszane ze smarkami łzy spływają mi po twarzy. – Gdzie ona może być?

– Rano przyjadę do domu – mówi Ollie. – Jeśli dziś jej nie znajdą, chcę brać udział w poszukiwaniach.

– Co z Benem?

– Wygląda na to, że wraca do zdrowia, ale doktor Kapur powiedział, że nie mają stuprocentowej pewności. Jeszcze jest na to za wcześnie. Ale nerki pracują.

To znaczy, że nie wiedzą, w jakim stanie jest mózg. Jak to rozpoznać u dwulatka? Czy kiedykolwiek zdobędziemy pewność? Tak jak z Evie, nie da się zgadnąć, jakie byłoby dziecko, gdyby we wczesnym okresie życia nie doznało urazu mózgu.

– Zadzwoń jutro. Spróbuję wypisać Bena ze szpitala.

– Nie wiem, czy możemy ryzykować.

Powinien zostać pod obserwacją. Nie wyobrażam sobie, żeby doktor Kapur tak szybko wypuścił ze szpitala dziecko po zażyciu trucizny. A jeśli coś pójdzie nie tak? Ale chcę szukać Evie i chcę mieć Bena przy sobie. Nie mogę znieść myśli, że leży w szpitalnej sali, otoczony przez popiskujące urządzenia i smutne dzieci.

– Zabiorę go do domu tylko wtedy, jeśli lekarz powie, że można – uspokaja mnie Ollie. – Mamy kogoś, kto mógłby się nim

zaopiekować? Andy i Gill?

– Nie. Ben może być nadal w kiepskim stanie, a oni mają na głowie Sophie i Ellen.

Przez dłuższą chwilę oboje milczymy. W tle słychać płacz dziecka.

– Naprawdę myślisz, że to mógł być jej biologiczny ojciec? Że to on ją zabrał?

– Nie jestem pewien – odpowiada z ociąganiem. – Ale wie, jak Evie wygląda, i zna nasz adres. Łatwo mógł sprawdzić, gdzie chodzi do szkoły; wystarczyło, że szedł za wami rano.

– Przestań – mówię.

Wiem, że nas obserwował. W przeciwnym razie jak zdołałby podrzucić niepostrzeżenie kartkę z życzeniami i prezenty? I jak inaczej wytłumaczyć dziwne mrowienie między łopatkami, które czułam, kiedy szłam ścieżką jezdziecką albo odbierałam dzieci ze szkoły? Zaprowadziłam go pod sam budynek. Porwał Evie, a my do tego dopuściliśmy. Gdyby udało mi się wcześniej dodzwonić do Olliego, zdążyłby odebrać ją po drodze z pracy albo zostałyby z Benem w szpitalu, a ja pojechałabym do szkoły. W każdym razie jedno z nas byłoby z nią przez cały czas od ostatniego dzwonka. Trzeba było dzwonić do Olliego aż do skutku. A on mógł nie wyłączać telefonu. Albo przynajmniej sprawdzać, czy nie ma nieodebranych połączeń. W końcu po co się ma komórkę? Nie po to, żeby grać w pociągu w Candy Crush albo śledzić notowania giełdowe, tylko na wypadek zdarzeń losowych. Obowiązkiem Olliego było chronić Evie. Nie robił tego.

Po rozmowie z nim próbuję myśleć praktycznie. Jeśli doktor Kapur wypuści Bena do domu, kto się nim zaopiekuje, kiedy my będziemy szukać Evie? Hanna White. Złapała z nim dobry kontakt, kiedy była u nas poprzednim razem, i będzie wiedziała, co zrobić, gdyby potrzebował lekarza. Jeśli przyjedzie posiedzieć z Benem, oboje z Olliem będziemy mogli wziąć udział w poszukiwaniach. Jestem zbyt zdenerwowana, by do niej zadzwonić, więc piszę esemesa.

Odpowiedź przychodzi niemal natychmiast:

Oczywiście. Bardzo Wam współczuję. Nie potrafię sobie wyobrazić, co

przeżywacie.

ZNAJDZIECIE JA.

Do zobaczenia rano.

Hanna x

Idę na górę do pokoju Evie. Staję przy oknie i patrzę na wrzosowisko. Prawie cały widok przesłania czarna sylwetka kasztanowca; w oddali majaczy jeszcze ciemniejszy zarys wzgórz, ale nagle dostrzegam jakiś ruch tuż za granicą naszego ogrodu. Bezksiężycowe niebo przesłaniają chmury. Przyciskam twarz do szyby i wyteżam wzrok. Cokolwiek to było, teraz się nie rusza.

Wysokością i kształtem przypomina mężczyznę stojącego po pas w paprociach. Czuję, jak stroszą mi się włoski na karku. Czy to może być Harris? Obserwuje nas. Obserwuje mnie. Albo człowiek, który porwał Evie? Robi mi się zimno. Mój oddech zostawia wilgotną plamę na szybie.

Serce wali mi w piersi jak oszalałe. Powinnam obudzić Ruby. Wyjść na dwór i sprawdzić. Chwieję się na nogach. Mrużę oczy. Nikogo tam nie ma. Musiało mi się przywidzieć. Serce powoli odzyskuje normalny rytm. To tylko krzak leciutko kołysany wiatrem.

Z

Jesteś ze mną. Nareszcie jesteśmy razem. Kiedy tulę cię w ramionach, kochana córeczko, moje oczy napęniają się łzami radości. Mogę cię dotykać, ile chcę, przytulać, całować, głaskać po miękkich ciemnych włosach. Tak bardzo się ucieszyłaś na mój widok.

Uznałaś, że to zabawa, wymyślona specjalnie dla ciebie. I oczywiście tak jest. Bez przerwy przytulam cię i całuję. Nie mogę się powstrzymać. Szykuję ci twój ulubiony posiłek: chlebek czosnkowy i pizzę, a na deser lody z polewą truskawkową i żelowymi piankami. Na szczęście nie przekracza to moich umiejętności kulinarnych. Piszczysz z zachwytu, kiedy ci mówię, co będziemy robić. Weźmiesz kąpiel w głębokiej wannie, z całą masą piany i pirackim okrętem, a potem obejrzymy razem twój ulubiony film, Krainę lodu, i będziemy jeść popcorn. Późno pójdziemy spać. Będziemy patrzeć na gwiazdy i dziękować Allahowi za nasze nowe, wspólne życie.

Kiedy już zwiedziłaś moje mieszkanie, zaczęłaś zadawać pytania. O twoją mamę. Wyjaśniam ci, że ta kobieta nie jest twoją prawdziwą mamą. A ten mężczyzna nie jest twoim prawdziwym tatą. O wiele lepiej mieć prawdziwych rodziców, którzy kochają cię nad życie, jak stąd do księżycy i z powrotem.

Chichoczesz i pytasz:

– Jak na koniec wszechświata i z powrotem?

– Kocham cię jak na koniec wszechświata i z powrotem – mówię.

Położę cię dzisiaj do łóżka i będę patrzeć, jak zasypiasz. Jutro będę przy tobie od samego rana. Będiesz mnie widzieć, zasypiając, i zobaczysz, gdy tylko otworzysz swoje piękne oczy.

Na razie musimy się ukrywać. Nie chcę, żeby mi cię znowu odebrali. Nie mogę cię stracić. Ale to nie potrwa długo. Uciekniemy i rozpoczniemy nowe, wspólne życie.

Stworzymy własną małą rodzinę.

Sobota: nazajutrz

Otepiała ze strachu idę przez wrzosowisko i szukam córki. Zaczęliśmy poniżej White Wells, przy końcu ścieżki, którą tydzień temu szłam z Benem do miejsca, skąd zabrał nas Jack.

Złożona z policjantów, psów tropiących i ochotników tyraliera pnie się mozolnie w wybujałej trawie, wśród kęp sitowia, aż do dolnej linii wrzosów. Skala operacji, liczba ludzi i psów jest imponująca.

Podłamałam się, kiedy zobaczyłam, jaka jest dzisiaj pogoda: zimno i mgliście. Obok mnie idzie Ruby, ale oprócz niej widzę tylko dwóch policjantów; pozostali giną we mgle.

Wczoraj położyłam się w ubraniu i chyba w końcu zasnęłam, chociaż nie jestem pewna. Pamiętam tylko, że płakałam, aż rozboleły mnie oczy, i że wymiotowałam. Wstałam o piątej rano, włożyłam na siebie kilka warstw ciepłych ciuchów, przygotowałam termos z kawą i spakowałam do plecaka kurtki przeciwdeszczowe i ciepłe ubrania na zapas, dla siebie i dla Evie, kiedy już ją znajdziemy. Ruby próbowała namówić mnie do zjedzenia płatków śniadaniowych i pozostania w domu.

– Może wrócić tutaj – powiedziała.

– Muszę iść szukać córki – odparłam.

Zadzwoił Ollie, żeby mi powiedzieć, że jedzie do domu z Benem i że dołączy do mnie, gdy tylko będzie mógł. Skończyły mu się monety, zanim zdążył cokolwiek wyjaśnić, trzymam się więc nadziei, że doktor Kapur jest zadowolony ze stanu Bena. Mam wrażenie, że jakaś potężna siła ciągnie mnie do mojego synka; pragnę mieć go przy sobie, trzymać w ramionach.

Czasem mgła się rozprasza i widzę znajome osoby: rodziców z klasy Evie, Kate Stevenson, Andy'ego. Jestem im wdzięczna, że przyszli pomóc w poszukiwaniach, ale nie mam ochoty z nikim rozmawiać. Muszę z całej siły wierzyć, że ją znajdziemy, lecz mój umysł, zmętniały jak dzisiejsze niebo, nie jest w stanie pojąć, że moje dziecko może się błąkać po tym pustkowiu. Trzęsę się ze

zdeenerwowania. Jeśli ją znajdziemy, w jakim będzie stanie? Jeśli jakimś cudem zawędrowała na wrzosowisko i się zgubiła, czy miała szansę przeżyć październikową noc? Tak, powtarzam żarliwie, tak. Było zimno, ale nie poniżej zera. *Żyje*. A jeśli ktoś ją porwał, a potem porzucił, w jakim jest teraz stanie? Zmuszam się, żeby o tym nie myśleć. Nie chcę się zastanawiać, co ją mogło spotkać. Co ktoś mógł chcieć od siedmiolatki. Co mógł jej zrobić.

Muszę się skupić na tu i teraz, na stawianiu jednej stopy przed drugą, na odnalezieniu mojej córki.

– Cały czas wydaje mi się, że zaraz ją zobaczę – mówię Ruby. – Że nagle wynurzy się z mgły.

Wyobrażam sobie jej cudowny krzywozębny uśmiech, długie ciemne włosy, na których połyskują kropelki wilgoci, zielone oczy szeroko otwarte z podniecenia. Ale nie umiem utrzymać tego obrazu na dłużej. Rozpływa się, drżąc, jak fatamorgana.

– Będziemy jej szukać, dopóki nie znajdziemy – stwierdza Ruby.

Nie pamiętam, w co Evie była ubrana, kiedy ostatni raz ją widziałam. Boję się, że wpadnę w histerię. Nie odrywając oczu od ziemi, szukam jakiegoś śladu. Szukam Evie. Zwiędłe kwiatki wrzосу lepią się do moich butów. Z kącików oczu kapią mi łzy.

– Zoe! Zoe!

To głos Olliego. Odwracam się w przypiływie euforii, przekonana, że niesie naszą córkę.

Jest sam, potyka się o korzenie wrzosów i krzaczki czarnych jagód. Ma zadyszkę. Kiedyś Ollie był wysportowany – wiosłował i grał razem z Andym w piłkę nożną w pięcioosobowych składach. Przytula mnie nieporadnie, czując na sobie ukradkowe spojrzenia Ruby i policjantów.

– Nic nie znaleźliście? – Nie oczekuje ode mnie odpowiedzi. – Z Benem jest dobrze – dodaje pospiesznie. – Nie mogłem zostawić go samego w szpitalu. Jest w dobrym stanie.

Naprawdę. Sama zobaczysz.

– Przecież o mało nie umarł! Co powiedział doktor Kapur? Dokładnie.

– To samo co przedtem. Jest za wcześnie, żeby mieć stuprocentową

pewność, ale uważa, że ma duże szanse na pełny powrót do zdrowia.
 – Milknie. – Nie był zachwycony, że chcę go zabrać do domu, ale rozumiał, że w obecnych okolicznościach nie możemy być z nim w szpitalu i że chcemy mieć go przy sobie – mówi po chwili wahania. – Powiedział, że jeśli zauważymy jakąkolwiek, choćby najbliższą zmianę, mamy do niego natychmiast zadzwonić i przywieźć Bena do szpitala. Jutro ma wizytę kontrolną. Teraz jest z nim Hanna.

– A jak ty oceniasz jego stan?

– W porządku, szczerze. Nie martw się. Hanna daje mu śniadanie. Nikt by się nie domyślił, że wczoraj był przez kilka godzin nieprzytomny. To znaczy, jest zmęczony, ale...

Nie chce powiedzieć na głos tego, co oboje myślimy: że nic nie wskazuje na uszkodzenie mózgu. Włącza się w tyralierę w odległości mniej więcej metra ode mnie, zajmując miejsce policjanta, który przesuwa się dalej w szeregu. Pocieszam się myślą, że gdyby były jakieś powody do obaw, doktor Kapur za nic w świecie nie wypuściłby Bena ze szpitala. Jaka szkoda, że nie mogę być teraz z moim synkiem. Nigdy wcześniej nie spędziliśmy osobno całej nocy.

– Ciągle myślę o swojej ostatniej rozmowie z Evie – mówię z rozpaczą. – Nakrzyczałam na nią. Powiedziałam, że...

– To nie była wasza ostatnia rozmowa – wpada mi w słowo Ollie. – Będziesz miała jeszcze niejedną okazję, żeby na nią nakrzyczeć i powiedzieć jej, jak bardzo ją kochasz. Wie, że ją kochasz. Że ją kochamy.

Jednak kiedy to mówi, jego usta wyginają się w podkówkę. Jest miły i pociesza mnie, ale widać, że to go kosztuje wiele wysiłku. Ostatnio bez przerwy na siebie warczeliśmy. Wyciągam do niego rękę, on wyciąga swoją i nasze palce się stykają.

– Jeśli jest ze swoim ojcem...

– Ja jestem jej ojcem! – przerywa mi Ollie.

– Przepraszam, kochanie. Bardzo cię przepraszam. Chciałam powiedzieć...

Szybko opuszcza go chęć do kłótni. Nieogolony, z ziemistą cerą, w tym bezlitosnym świetle wygląda jak wrak człowieka.

– Jeśli to jej biologiczny ojciec ją porwał, znajdziemy ją – mówi. –

Nie wyjedzie z kraju.

Wszystkie porty i lotniska zostały powiadomione. Nikt nie da rady się długo ukrywać. Policja wyśledzi jego karty kredytowe albo znajdzie go na jakimś nagraniu monitoringu.

Pod warunkiem że najpierw się dowiedzą, kim on jest. Nie mówię tego głośno. Oby była ze swoim ojcem, bo on przynajmniej ją kocha i będzie o nią dbał. Dopóki nie odnajdziemy jej i nie zabierzemy do domu. Tej myśli też nie wypowiadam na głos, żeby znów nie urazić uczuć Olliego. Wbijam paznokcie w dłoń. Nigdy dotąd nie uważałam przy nim na to, co mówię.

Zawsze waliłam pierwsze, co mi przyszło do głowy, i oczekiwałam, że będzie moją płytą rezonansową, głosem rozsądku, latarnią w ciemności. Od pewnego czasu jednak Ollie nie ma już dla mnie tyle cierpliwości co wcześniej. A ja najczęściej jestem na niego wściekła, tłumię więc swoje uczucia, żeby nie wybuchnąć.

Patrzę przed siebie, ale mgła ogranicza widoczność. Nie zanosi się na to, żeby miała się rozwiać i odsłonić błękitne niebo. Jest pochmurno i szaro. Powietrze jest tak ciężkie od wilgoci, że trudno dostrzec różnicę między mokrą mgłą i drobną mżawką, która właśnie zaczyna siąpić. Mam ochotę tupnąć nogą, pogrozić pięścią Bogu. Komukolwiek. Posuwamy się rozpaczliwie wolno.

Docieramy do White Wells, gdzie niegdyś zażywał kuracji wodnej Darwin. Jest tam nieduża restauracja i widocznie ktoś powiadomił jej właściciela o poszukiwaniach, bo przynosi darmową herbatę i kawę dla policjantów i ochotników.

– Bardzo pani współczuję, moja droga – mówi, podając mi kubek. – Mam nadzieję, że znajdziecie waszą córeczkę.

Unikam jego wzroku. Nie chcę zobaczyć w jego oczach współczucia czy odbicia mojej rozpacz. Odwracam się, by ukryć łzy. Ollie kładzie mu dłoń na ramieniu i mówi: – Dzięki, stary.

Irytuje mnie jego wytworny, londyński akcent na pustkowiu w Yorkshire, w momencie gdy obcy ludzie oferują nam pomoc. Siadam na niskim kamiennym murku, twarzą w kierunku Ilkley, chociaż mogę zobaczyć co najwyżej kilka metrów oskubanej przez owce trawy. Z zazdrością myślę o rodzinach, które wiodą spokojne życie u

stóp wrzosowiska; we mgle nie widać domów, ale wiem, że ich mieszkańcy oglądają telewizję, przygotowują śniadanie, dzieciaki odrabiają lekcje albo bawią się w ogrodzie, nie zdając sobie sprawy z własnego szczęścia, nie mając pojęcia, że wędruję we mgle po pustkowiu i płaczę z rozpacz, bo ktoś porwał moją córkę.

Ruby siada na tym samym murku, kawałek dalej, jakby miała za zadanie mnie pilnować. Czy podejrzewa mnie, tak jak Olliego? W końcu ludzie zaczęli sobie uświadamiać, że kobiety – matki – również dopuszczają się przemocy. Przypominam sobie nieadekwatny gniew, jakim wybuchłam, kiedy Evie nie zebrała się w porę do wyjścia. Przeze mnie zniszczyła swoją piękną rzeźbę...

– Jak się czujesz? – pyta Ruby.

Wciągam haust powietrza i próbuję coś powiedzieć, ale brakuje mi słów. Jakie są szanse na odnalezienie dziecka, które zagubiło się albo zostało porzucone na wrzosowisku? Na odnalezienie go, zanim będzie za późno? Na odnalezienie żywego? Upijam łyżeczek herbaty i wymiotuję na własne buty.

– Och, Zoe, skarbie. – Ruby podaje mi chusteczkę higieniczną.

Wycieram usta i mówię:

– Dlaczego nie używają do poszukiwań helikoptera?

– Z powodu pogody. Nawet kamera termowizyjna nic by nie dała.

– Dlaczego?

Przepłukuję usta wystygłą herbatą, ale nie udaje mi się pozbyć z gardła smaku wymiocin. Ruby odwraca się ode mnie, jakbym wprawiła ją w zakłopotanie.

– Małe dziecko jest tej samej wielkości co owca.

Wylewam z kubka resztkę herbaty. Mogłabym pozabijać te wszystkie owce gołymi rękami. Do południa przemierzyliśmy najeżoną zdradliwymi urwiskami i ostrymi jak zęby rekina głazami Valley of Death, nad którą pewnego dnia stanie rzeźba Harrisa, i teraz brniemy mozolnie przez torfowisko w kierunku Dwunastu Apostołów. Jakaś kobieta wynurza się z mgły. Podbiega do mnie z rozpostartymi ramionami i chwyta mnie za ręce. W jej oczach lśnią łzy. To mama Mandy Kilvington. Mandy chodzi z Evie do jednej klasy, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak ma na imię jej matka. Szufladka w mojej

głowie, w której powinno to tkwić, jest przerażająco pusta.

– Wszyscy tak się martwimy. Evie była uroczą dziewczynką. Uwielbialiśmy ją. Taka utalentowana mała artystka.

Nie mogę znieść tonu, którym to mówi. Wyrrywam rękę.

– Dziękuję, że przyszedłeś pomóc w poszukiwaniach – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Nie mogłabym nie przyjść. Wszystkie tu jesteśmy: Julie, Heather i ja. Przecież nasze córki zawsze bawiły się z Evie. Nie potrafimy sobie wyobrazić... Gdyby Mandy... gdyby któreś z naszych dzieci...

Czuję obecność Ruby. Stoi tuż za mną. Wychyla się zza mojego ramienia z wyciągniętą ręką.

– Ruby Patel, funkcjonariuszka odpowiedzialna za kontakty z rodziną. Dziękujemy za pani pomoc, pani...?

– Kilvington – przedstawia się mama Mandy. Ociera chusteczką oczy. – Pierwsze dwadzieścia cztery godziny są decydujące, prawda? Dlatego są tu wszyscy z klasy Evie. Bo koniecznie musimy ją znaleźć.

Zaraz znowu zwymiotuję.

– Dziękujemy – powtarza Ruby. – Faktycznie rzecz biorąc, pierwszych czterdzieści osiem godzin. Ale jak słusznie pani zauważyła, czas ma decydujące znaczenie. Dlatego lepiej wróćmy do poszukiwań.

Pani Kilvington posyła Ruby nieprzyjazne spojrzenie i pociąga nosem.

– Gdybym mogła coś zrobić, cokolwiek, dzwoń do mnie, nie krępuj się – mówi, ściskając mój nadgarstek.

– Dziękuję – udaje mi się wydusić.

Odwracam się do niej plecami. Ruby otacza mnie ramieniem i przytula.

– Zawsze znajdzie się ktoś, kto robi z tego własny dramat.

– Powiedziała „bawiły się”. Użyła czasu przeszłego.

– Wiemy tylko, że Evie zaginęła – łagodnie mówi Ruby.

Patrzę w jej wielkie migdałowe oczy, osłonięte gęstymi rzęsami. Nie umiem jej rozszyfrować, nie wiem, co myśli naprawdę. Już prawie doba upłynęła od zaginięcia Evie.

– Powinnaś trochę odpocząć. Mamy tu naprawdę wielu

policjantów, którzy świetnie znają swoją robotę. – Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale ona dodaje: – Później będziesz mogła do nas dołączyć. Musisz jednak zachować siły. Znajdę twojego męża, odprowadzi cię do domu.

Ostatni raz widziałam Bena wczoraj po południu. Bez słowa kiwam głową. Kierujemy się z Olliem w stronę Krowy i Cielęcica, schodzimy Hangingstone Road i ścieżką jeździecką docieramy do domu. W mojej głowie rozbrzmiewają w kółko słowa: „Gdzie ona jest? Gdzie ona jest?”. Zagryzam wargę, żeby nie wypowiedzieć ich na głos. Ollie nie trzyma mnie za rękę, nie pomaga, kiedy potykam się na nierównościach, całkowicie pochłonięty własną rozpaczą.

Przez całą drogę nie odzywa się ani słowem. Dopiero kiedy widać już nasz dom, mówi: – Zabiję Jacka Mitchella.

Dotykam jego ramienia.

– Musimy z nim porozmawiać. Coś nam umyka. Powiedział, że odebrałeś Evie, a to przecież bez sensu.

Kiwa głową i zaciska szczęki, aż nabrzmiewają mu mięśnie.

Hanna jest na dworze. Ma bladą, ściągniętą twarz. Wygląda na zatroskaną. Ben, zapakowany w kombinezon, bawi się w piaskownicy. Musi być jej zimno. Nagle dociera do mnie, że ona też się martwi, że jest przywiązana do Evie. Jest jej nauczycielką, spędza z nią dużo czasu i zna ją z innej strony niż ja; ma kontakt z tą częścią jej osobowości, która dla mnie pozostaje ukryta.

– Jak się czuje Ben? – pytam przez siatkę.

– Jest w dobrej formie – mówi. – Staralam się, żeby miał spokojny dzień i za bardzo się nie zmęczył, ale uznałam, że po szpitalu przyda mu się trochę świeżego powietrza.

Ben w końcu mnie zauważa. Biegnie do mnie, rozpościerając ramiona i zawodząc jękliwie:

– Mama, mama, mama.

Nie mogę go dosięgnąć, ogrodzenie jest za wysokie; nie dam rady przejść na drugą stronę ani tym bardziej przenieść nad nim Bena. Jego skóra ma sinawy odcień, pod oczami widnieją ciemnofioletowe sińce. Grzbiety dłoni pokrywają plasterki. Kucam i wsuwam palce przez siatkę.

Tak się cieszę, że go widzę. Nie mieści mi się w głowie, że wczoraj go niemal straciliśmy. Też zaczynam płakać.

– Znaleźliście jakiś ślad? – pyta Hanna.

Nie patrzy na mnie, tylko na Olliego. Mój mąż kręci przecząco głową. Biegnę ścieżką wzdłuż ogrodzenia; muszę przejść przez dom, żeby dostać się do Bena. Ollie idzie za mną wolniejszym krokiem. Mój syn goni mnie niezdarnie po drugiej stronie płotu, wyjąc, jakbym go znów porzuciła. Przed domem stoję jak wryta na widok dwóch wozów satelitarnych. Ktoś coś krzyczy i w moją stronę rzuca się tabun reporterów z kamerami.

– Pani Morley, pani Morley, Zoe, jak się pani czuje? – wrzeszczą. – Czy znaleziono jakiś ślad? Panie Morley? Ollie?

Jak możesz się czuć, kiedy twoja siedmioletnia córka nie wróciła na noc do domu?

Dziecko, które kochasz do utraty tchu i z którym nie rozstawałaś się na dłużej niż kilka godzin szkoły? Ollie przepycha się przez tłum i wyjmuję mi z drżącej dłoni klucz. Z hukiem zatrzaskuje za nami drzwi. Pędzę przez dom do Bena. Z zewnątrz dobiega jazgot dziennikarzy. Podnoszę synka, przytulam go do piersi i jego płacz powoli cichnie.

– Dziękujemy, Hanno. – Ollie wyciąga portfel.

Hanna kręci głową; długie proste włosy opadają jej na twarz.

– Nie, w żadnym wypadku. Nie mogłabym. – Patrzy na mnie, na jej twarzy maluje się rozpacz. Jej zielone oczy błyszczą od łez. – Gdybyście mnie jeszcze jutro potrzebowali, po prostu zadzwońcie. Ale mam nadzieję, że...

Nie kończąc zdania, odwraca się po torebkę. Nie jestem w stanie na nią patrzeć. Twarz napina mi się aż do bólu. Podchodzę z Benem do okna, żeby pomachał na pożegnanie Hannie, ale on nie chce tego zrobić, tylko wtula się w moją szyję. Nadzieja. Tak, wiem, nie możemy tracić nadziei. Znajdziemy naszą córkę. Zaglądam w niebieskie oczy synka. Czy jest tam Ben? A może ze szpitala wrócił tylko cień naszego dziecka? Patrzę, jak Hanna owija głowę szalem i brnie przez tłum reporterów biwakujących pod naszym domem. Kiedy odjeżdża, zjawia się radiowóz, z którego wysypują się Collier, Clegg i

Ruby.

– Ollie! Przyjechała policja. Może już coś wiedzą. – Jednak moja euforia natychmiast zmienia się w przygnębienie. Gdyby znaleźli Evie, byłaby z nimi.

Ollie też już to zrozumiał. Klnąc pod nosem, otwiera im drzwi.

– Panie Morley – mówi poważnym tonem Collier. Zachowuje się oficjalnie, co nie wróży nic dobrego. – Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

Ollie rzuca przekleństwo.

– Znaleźliście Jacka Mitchella?

– Znajdziemy. Możemy wejść?

Wskazuje gestem salon. Wszyscy czworo siadają, a ja tymczasem wyłuskuję Bena z wierzchniej warstwy ubrań. Wzdrygam się na widok siniaków. Collier włącza dyktafon.

– Wczoraj pan nam powiedział, że miał pan dwa spotkania jedno po drugim. Wyłączył pan telefon o dwunastej w południe i włączył go znowu o czwartej. Po odsłuchaniu wiadomości od żony udał się pan prosto do szpitala Airedale.

– Zgadza się. Już to przerabialiśmy. Marnujecie czas. Znaleźliście Mitchella, który jako ostatni widział moją córkę?

Collier puszcza jego pytanie mimo uszu. Przysiadam się do nich z Benem na kolanach. Chcę go mieć przy sobie. Nie rozumiem, dlaczego śledztwo ciągle tkwi w tym samym punkcie.

– Sprawdziliśmy pańskie połączenia. Dzwonił pan dwa razy, o czternastej siedemnaście i czternastej dwadzieścia dwie.

– Nie macie nic ważniejszego do roboty od sprawdzania mojego cholernego telefonu?

– Powiedział pan, że miał pan wyłączony telefon – powtarza Collier. – Na nagraniu z monitoringu w pańskim biurze widać, jak o czternastej trzydzieści sześć opuszcza pan budynek.

Kamera nie zarejestrowała pańskiego powrotu ani kolejnego wyjścia tuż po szesnastej, kiedy to według pańskich słów udał się pan do szpitala. Cisza. Na twarzy Olliego maluje się strach. Zerka na mnie i natychmiast odwraca wzrok.

– Z tego wynika, że w rzeczywistości opuścił pan budynek o

czternastej trzydzieści sześć.

A to daje panu czas – wtrąca cicho Clegg – żeby wrócić do Ilkley, odebrać córkę od pana Mitchella, ukryć ją gdzieś i pojechać do szpitala, gdzie spotkał się pan z pańską żoną.

– Nie! Nic podobnego! Naprawdę myślicie, że porwałem własną córkę?

Serce podchodzi mi do gardła. To nie może być prawda. Jak Ollie mógł wyjść z biura po drugiej i dotrzeć do szpitala dopiero dwie i pół godziny później? Ollie jest blady jak kreda. Oblizuje nerwowo wargi. Nakrywa palcami moją dłoń. Tulę do siebie Bena tak mocno, że zaczyna płakać.

– Musisz mi wierzyć – mówi mój mąż, patrząc mi w oczy. – Miałem dwa spotkania.

Wyszedłem o czwartej, tak jak ci mówiłem.

Kołyszę Bena, do góry i w dół, próbując go uspokoić. Natychmiast pojawia się przy mnie Ruby.

– Chcesz, żebym go wzięła?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nigdy, nigdy w życiu nie skrzywdziłbym mojej córki. Chyba nie myślicie poważnie, że mógłbym jej coś zrobić?

Wodzi wzrokiem ode mnie do Colliera i Clegga.

– Nie jest pańską rodzoną córką, prawda? – zauważa Collier.

– Jest moją córką! Jest moją pieprzoną córką! – krzyczy. Ben zaczyna płakać jeszcze głośniej.

Wyjmuję z szafki w kuchni tabliczkę czekolady i wręczam ją Benowi. Drzę. Mam wrażenie, że zaraz chyba znowu zwymiotuję. Czyżby w insynuacjach policjantów było ziarnko prawdy? Bo inaczej dlaczego by kłamał? Z jakiego powodu? To mi się nie mieści w głowie. Ollie nigdy...

– Gdzie byłeś? Gdzie się, do diabła, podziewałeś? Dlaczego tak długo trwało, zanim przyjechałeś do szpitala?

– Miałem spotkanie. – Przełyka ślinę. – Włączyłem telefon i odsłuchałem twoją wiadomość – wyznaje z wyraźnym wstydem. Jego głos przybiera błagalny ton. – Ale brzmiałaś tak, jakbyś miała wszystko pod kontrolą. I tak na nic bym się nie przydał. Byłem

umówiony na spotkanie z potencjalnym klientem, właścicielem galerii. To bardzo ważne dla firmy. Jeśli zdecyduje się powierzyć nam swoją księgowość, wypłyniemy na naprawdę szerokie wody.

Chodzi o The Ormond Gallery, o franczyzę. Obsługivalibyśmy całą sieć, wszystkie ich oddziały w kraju i większość reprezentowanych przez nich artystów. Dlatego pojechałem do galerii, a stamtąd taksówką do szpitala. Nie zdawałem sobie sprawy, że stan Bena jest aż tak poważny, w przeciwnym razie odwołałbym to spotkanie. Nie powiedziałem ci, ponieważ...

– Nie chciałeś, żebym wiedziała, że praca jest dla ciebie ważniejsza niż życie naszego syna – mówię.

– Naprawdę sądziłem, że to tylko...

– Tylko co? – warczę. – Dzwonię do ciebie z karetki pogotowia, mówię, że Ben stracił przytomność, ratownicy medyczni nie mają pojęcia, co mu jest, i że jedziemy na oddział ratunkowy, a ty myślisz, że to nic poważnego?

Przeczesuje palcami włosy.

– A później zostawiłaś drugą wiadomość głosową i napisałaś esemesa, że stan Bena jest stabilny i że jesteście w szpitalu... Pomyślałem, że nic się nie stanie, jeśli przyjadę godzinę później, bo gdyby to spotkanie dobrze poszło...

– Zostałbyś partnerem w firmie – kończę za niego.

– Czekolada. – Uszczęśliwiony Ben daje mi lepkiego buziaka.

Jeszcze nigdy w życiu nie zjadł na raz takiej ilości czekolady. Wyciera ręce o mój sweter.

– Przepraszam – mówi Ollie. – Przepraszam.

– Czy ktoś może potwierdzić, że był pan na tym spotkaniu? – pyta Collier.

Ollie kiwa głową. Wyciąga z kieszeni wizytówkę z wypisaną złotymi literami nazwą The Ormond Gallery. Pokazuje detektywowi nabazgrany na odwrocie numer telefonu.

– To prywatny numer właściciela. Jego asystentka wezwała dla mnie taksówkę.

Wręcza wizytówkę Collierowi, który podaje ją Cleggowi. Clegg idzie na drugi koniec pokoju i dzwoni pod zapisany numer.

– Wyciszyłem telefon. Przez całe spotkanie sprawdzałem wiadomości. Gdyby Benowi się pogorszyło, wyszedłbym natychmiast. Przysięgam. Był w najlepszym miejscu, w jakim mógł być. Byłaś przy nim. W takich momentach dziecko potrzebuje mamy. – Ty...

Nie mogę na niego patrzeć. Wstaję, podchodzę z Benem do zlewu i zmywam mu z buzi czekoladę.

– Sprawdzone, szefie – informuje kilka chwil później Clegg.

– Jego też sprawdź – rzuca szorstko Collier.

Domyślam się, że ma na myśli właściciela galerii, na wypadek gdyby on też kłamał. Jestem wstrząśnięta gruboskórnością Olliego, ale muszę mu wierzyć.

– Robi się – mówi Clegg.

Wraca do wykusza i słyszę, jak umawia się na spotkanie z właścicielem galerii.

– I co dalej? – pytam. – Teraz, kiedy już wiecie, że mój mąż nie porwał naszej córki.

Stawiam Bena na podłodze. Rusza niepewnym krokiem do kąta z zabawkami.

– *Prawdopodobnie* nie porwał waszej córki – poprawia mnie Collier.

– Musimy to jeszcze sprawdzić. Nadal szukamy pana Mitchella. Zespół funkcjonariuszy przeszukuje trasę z domu do szkoły; jak już mówiłem, rozmawiają ze wszystkimi mieszkańcami, sprawdzają każdą szopę, garaż, budynek gospodarczy. Rozszerzyliśmy poszukiwania na sąsiednie wioski i miasta: Burley, Addingham, Guisley. Przeczესujemy wrzosowisko. To olbrzymi obszar dzikiej przyrody, sprawdziliśmy dopiero niewielką jego część. Nikomu nie uda się wywieźć Evie z kraju: służby graniczne na lotniskach i w portach zostały postawione w stan pogotowia. Specjalny zespół przegląda na posterunku nagrania z kamer monitoringu.

– I to już wszystko? – pytam szeptem.

Dokładnie to samo powiedział nam wczoraj o planowanych działaniach policji. Musi być jakiś sposób, żeby znaleźć ojca Evie.

– Jak to możliwe, że nadal nie wiecie, gdzie jest Mitchell? – pyta Ollie.

– Proszę mi wierzyć, panie Morley, że dokładamy wszelkich starań,

żeby go znaleźć.

Policja hrabstwa Kumbria rozstawiła na drogach posterunki. Zatrzymują samochody i pytają kierowców, czy nie widzieli jego albo Evie.

Kraina Jezior to taki rozległy rejon.

– Kurwa mać, on może być wszędzie. – Ollie odzyskuje nieco animuszu.

Collier i Ruby wymieniają spojrzenia. Funkcjonariuszka od kontaktów z rodziną splata dłonie i bierze głęboki oddech.

– Kiedy ktoś zgłasza zaginięcie dziecka – patrzy mi w oczy, starannie dobierając słowa, jakby recytowała przygotowany tekst – zawsze najpierw...

– Tak, wiem. Podejrzewacie rodzinę – przerywam jej. – Zmarnowaliście już na to mnóstwo czasu.

Ollie rzuca mi pełne wdzięczności spojrzenie. Myśli, że mu wybaczyłam. – ...ustalamy miejsce pobytu wszystkich pedofilów z danego obszaru – mówi Ruby.

Zasłaniam dłonią usta.

– Sprawdzamy, gdzie w czasie zaginięcia dziecka przebywali znani nam przestępcy seksualni. Zespół policjantów po kolei lokalizuje wszystkie osoby z listy.

Wymiotuję do zlewu.

– Poprosimy teraz państwa o nagranie oświadczenia dla mediów.

Ruby podnosi się z miejsca. Między jej gęstymi brwiami widnieją głębokie zmarszczki.

– Nie! – mówię do niej, wycierając usta. – Nie chcę pomocy.

I nie chcę stać razem z Olliem przed dziennikarzami i błagać o oddanie nam córki, żeby jakiś zboczeniec miał z tego uciechę.

– Czy tego chcecie, czy nie, wieczorem trąbić będą o tym wszystkie media – mówi Collier. – Wiemy z doświadczenia, że warto porozmawiać z dziennikarzami. Kiedy wygłosicie oświadczenia dla prasy, trochę się uspokoją; w przeciwnym razie będą was nękać, dopóki nie dostaną swojego materiału. Zresztą to może pomóc w poszukiwaniach. Ruby się tym zajmie – dodaje, sztywno podnosząc się z miejsca. – Jeśli się zdecydujecie, zadba, żeby wszystko było jak

należy. Nie korzystajcie z telefonu stacjonarnego. Jeśli ktoś zadzwoni, niech się nagra na sekretarkę. Jeśli się czegoś dowiemy, skontaktujemy się z Ruby albo zadzwonimy do was na komórkę.

Patrzę przez okno, jak Collier i Clegg odjeżdżają. Ollie podnosi Bena, wacha jego pupę i marszczy nos.

– Fe – mówi Ben.

Nie jestem w stanie odwrócić się i spojrzeć mu w oczy. Idzie na górę przewinąć Bena. Mam żal do niego. Gdyby odebrał telefon. Gdyby powiedział prawdę. Gdyby nie był tak zafiksowany na własnej pracy. Gdyby postawił na pierwszym miejscu swoją córkę. A może prawda jest taka, że przestał stawiać Evie na pierwszym miejscu, kiedy urodził się Ben.

– Mężczyznom czasem trudno zaakceptować dziecko, które nie ma ich genów. Byłoby zupełnie naturalne, gdyby czuł mniejsze przywiązanie do Evie – mówi Ruby, jakby czytała mi w myślach.

Mimo to, kiedy wypowiada to na głos, jestem w szoku, tak brutalnie to brzmi. Ale to prawda, w niektórych książkach o adopcji rzeczywiście piszą, że mężczyźni nie nawiązują więzi emocjonalnej z przysposobionym dzieckiem tak łatwo jak kobiety. Nie chcę, żeby mówiła dalej; jej słowa, jak trucizna, wsączają się w mój umysł, zatruwając uczucia do Olliego.

– To nieprawda! – protestuję. – Ollie zawsze kochał Evie. Od samego początku.

Bardziej niż ja, dodaję w myślach, lecz zostawiam to dla siebie. W pierwszych, trudnych tygodniach, kiedy leżała w inkubatorze, a ja nie potrafiłam wykrzesać z siebie iskierki uczucia, ani przez chwilę nie wątpiłam, że Ollie pokochał to maleństwo od pierwszej chwili.

Ruby zmienia taktykę.

– Musimy porozmawiać o oświadczeniu dla prasy. Wiem, że to będzie dla was paskudne doświadczenie, ale może pomóc. Muszę was poinstruować, nawet jeśli mielibyście na to się nie zdecydować.

Zaciskam zęby, żeby nie powiedzieć czegoś nieuprzejmego. Ruby wykonuje tylko swoją pracę.

– Zrobię to. I dopilnuję, żeby Ollie też wziął w tym udział. Niech pani zorganizuje spotkanie z dziennikarzami.

Musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, żeby odzyskać Evie, nawet jeśli będę musiała udawać, że wcale nie myślę o oglądających nas pedofilach i o tym, że jeden z nich być może wie, gdzie jest Evie.

Ruby rozmawia z kimś przez telefon, gdy z zamyślenia wyrwywa mnie sygnał komórki. Zaczęłam już przyzwyczajać się do jej braku, ale dziś rano Clegg mi ją zwrócił. Dzwoni Gill. Brała udział w przeczesywaniu wrzosowiska. Może widziała Evie. Rzucam się, żeby odebrać. W głosie Gill brzmi szalone zdenerwowanie. Jeszcze nigdy, nawet kiedy była maksymalnie zestresowana przed egzaminami końcowymi, nie słyszałam, żeby do tego stopnia straciła swoją słynną zimną krew. Nie rozumiem, co mówi.

– Zoe? Jesteś tam?

– Jestem. Przepraszam. To nie najlepszy moment, Gill – mówię z goryczą.

Rozczarowanie wyzwała we mnie oschłość. Po jakiego diabła zawraca mi teraz głowę swoimi problemami?

– Proszę cię, Zoe, wysłuchaj mnie. Zdaję sobie sprawę, jakie to dla ciebie okropne, ale Andy nie ma z tym nic wspólnego.

– Wiem – mówię. Dlaczego uznała, że musi mi to powiedzieć?

Głośno wciąga powietrze.

– Jesteśmy na komendzie. Przesłuchują go. Policja uważa, że miał jakiś związek z... ze zniknięciem Evie. Przecież wiesz, że Andy nigdy

...

– Co? – mówię. – Dlaczego myślą...

– Z powodu tamtego prezentu. Pamiętasz? Modlitewnika. Andy znalazł go w pokoju Sophie. Są na nim jego odciski palców.

– Odwinął papier, żeby zobaczyć, co jest w środku.

– Właśnie! Dlatego są tam jego odciski. Ale policja mu nie wierzy. Musisz im powiedzieć!

– Dobrze – zgadzam się. – Porozmawiam z Ruby, naszą funkcjonariuszką do spraw rodziny. Oddzwonię do ciebie.

– Dziękuję ci, Zoe. Dziękuję.

– O co chodzi? – pyta Ruby, odkładając telefon.

Ollie znosi Bena na dół.

– O naszego przyjaciela Andy'ego. Przesłuchuje go policja. To on

znalazł jeden z prezentów, które dostała Evie, muzułmański modlitewnik.

Ollie jest wstrząśnięty.

– Mówiłem o tym Collierowi.

– W takim razie najprawdopodobniej jest to rutynowe przesłuchanie – wyraża przypuszczenie Ruby. – Rozmawiają z rodzicami wszystkich dzieci z klasy Evie.

– Ale nie przesłuchują ich oficjalnie na komendzie.

Milczy.

– Przyjaźnimy się z Andym od wielu lat. Jego córka Sophie jest najlepszą przyjaciółką Evie.

Przypominam sobie, co powiedział mi Andy, kiedy zastanawiałam się, kim może być biologiczny ojciec Evie. Przyznał się, że uprawiał seks z prostytutkami. Jego zdaniem z tego wynika, że ojcem Evie może być każdy. Pamiętam, że pomyślałam wtedy: *nawet ty*.

– Jest bardzo przywiązany do Evie – mówię na głos.

– Zgadza się – przyznaje Ollie. – Zawsze ją kochał.

– Jak własną córkę – wpadam mu w słowo.

Wymieniamy spojrzenia. Nienawidzę się za to, że zaczynam podejrzewać wszystkich, łącznie ze swoim najlepszym przyjacielem. Ale to możliwe. To naprawdę możliwe.

– To był jedyny prezent, który nie znalazł się w ogrodzie – mówi Ollie. – Nie wiadomo, skąd się wziął w domu Andy’ego. I charakter pisma w książce jest inny niż na pozostałych upominkach.

Kiwam głową. Jest mi niedobrze, zalewa mnie potężna fala gniewu.

– Co robimy?

– Nic nie możecie zrobić – stwierdza Ruby. – Przesłuchuje go policja. Collier i Clegg dotrą do prawdy.

– Gill chce, żebym kazała im zwolnić Andy’ego.

– Nie możesz – powtarza Ollie po Ruby. – Nie wolno ci tego zrobić.

– Jeśli nic go nie łączy ze zniknięciem Evie, zostanie zwolniony – uspokaja nas Ruby.

Andy nie odbierał telefonu, kiedy wczoraj próbowałam się do niego dodzwonić. Telefonowałam wiele razy. Tamtego dnia nie odebrał ze szkoły nawet własnych dzieci.

Powiedział, że co robił? Prowadził jakiś kurs dla dorosłych? W takim razie mógł... Zastaniam dłońmi uszy, jakbym mogła w ten sposób zagłuszyć swoje myśli. Już nikomu nie mogę ufać.

– Muszę iść szukać Evie – mówię.

Ruby waha się przez chwilę, a potem kiwa głową.

– Macie gdzieś składaną drabinę?

– W szopie w ogrodzie – odpowiadam zaskoczona.

Wkładam buty turystyczne i zabieram plecak z jedzeniem i ciepłymi ubraniami dla Evie, który leży w miejscu, gdzie go wczoraj zostawiłam. Całuję na pożegnanie Olliego i Bena. Ruby idzie do ogrodu po drabinę.

– Chodźmy – woła do mnie, ustawiając drabinę obok kasztana.

Kolejno wchodzimy po szczeblach i trzymając się pnia, stajemy na słupku ogrodzenia, a potem zeskakujemy z niego na ścieżkę dla koni. Jestem wdzięczna Ruby, że wymyśliła taki sprytny sposób wymknięcia się dziennikarzom, i dlatego zapominam jej powiedzieć, że nie chcę, żeby ze mną szła.

– Wkrótce odkryją to przejście i zaczną oblegać wasz dom z obu stron – stwierdza rzeczowo.

Rozkłada mapę sztabową i łączy się przez radio z jednym z kolegów.

– Grupa poszukiwawcza jest tutaj – pokazuje na mapie. – A może chcesz pójść gdzie indziej? Do jakiegoś ulubionego miejsca Evie?

Potwornie boli mnie głowa. Boję się, że to początki migreny. Ostatnim razem dopadła mnie tuż po urodzeniu Bena, na dwa dni wyłączając z życia. Teraz nie mogę sobie na to pozwolić. Płaczą mi się myśli i nie bardzo rozumiem, o co pyta mnie Ruby: czy uważa, że Evie uciekła z domu i schowała się w ulubionej kryjówce? A może ma na myśli jakieś miejsce, do którego chciałabym pójść, żeby wspominać córkę, coś w rodzaju pomnika? Nie, to nie może być to. Potrząsam głową i staję jak wryta: ból rozłupuje mi czaszkę od czoła do nasady karku.

Dlaczego Evie miałyby uciec z domu? Nie mówiła tego poważnie, kiedy się pokłóciłyśmy. Przypominam sobie opowiadanie o księżniczce, która uciekła od złych przybranych rodziców. I pozostała

opowiadania o wrzosowisku. W większości występował w nich olbrzym Rombald. Według legendy tupnął nogą i rozłupał głaz, który rozpadł się na Krowę i Cielę. Kate Stevenson słusznie powiedziała policji, że to pustkowie fascynuje Evie.

– Ma pani paracetamol?

– Nie, przykro mi. Zresztą gdybym nawet miała, nie mogłabym ci go dać.

W jej głosie brzmi jednak współczucie. Podaje mi butelkę wody.

– Chodźmy Hangingstone Road. Tak będzie najszybciej – mówię, ignorując jej pytanie o Evie.

– Jeśli chcesz, mogę wezwać przez radio samochód i pojedziemy wzdłuż skraju wrzosowiska. Dziennikarze wiedzą, czym jeździsz; zresztą nie chcemy wracać do domu.

Kręcę głową i zaciskam zęby, by zdusić ból rezonujący mi w trzonowcach.

– Nie. Chcę pójść na piechotę i się za nią rozglądać.

Czuje, że to nic nie da, lecz nie potrafię wymyślić sobie nic innego do roboty; przecież nie mogę siedzieć beczynnym w domu, kiedy Evie gdzieś tu się błąka. Muszę się trzymać nadziei, że uda mi się wypatrzyć strzęp jej ubrania albo jakiś ślad, że tędy szła. Maszerujemy wzdłuż przeciwległych skrajów drogi. Ja idę poboczem od strony wrzosowiska; nie ma tam chodnika, ale za to mogę bez przeszkód wpatrywać się w zarośnięty sitowiem rów. Oddałabym wszystko, by przytulić Evie, znów poczuć zapach jej włosów. Ostry ból w żebrach utrudnia mi oddychanie. Wędrujemy w kapsule mgły, która ciemnieje z minuty na minutę. Została nam najwyżej godzina do zmroku. Tłumię płacz.

Mijamy parking poniżej Krowy i Cielęcia. Mimo mgły i mżawki kilku zatwardziałych turystów kupuje lody i mocną herbatę. Nie mieści mi się w głowie, że mogą oddawać się codziennym czynnościom, kiedy moja córka znajduje się na łasce porywacza.

Kiedy przechodzimy obok Cow and Calf Hotel, odwracam się, żeby nie widzieć hotelowych gości, którzy piją pierwsze wieczorne piwo, oglądając jakiś kanał sportowy. Znów myślę o Jacku – może sprawił to widok facetów z kuflami – i zalewa mnie fala wściekłości. Jak

śmiała bez mojej zgody oddać ją obcej osobie?

– Dlaczego Jack nie oddzwania? – pytam Ruby. – Nie powinnam była jej z nim zostawiać.

– To nie twoja wina, skarbie. Nie wiemy, czy to on ją porwał. Nie miałaś powodu mu nie ufać. Opiekuje się wieloma dziećmi ze szkoły, nie tylko Evie.

– To idealna przykrywka, prawda? Dla pedofila. Może czekał, aż Evie osiągnie jakiś magiczny wiek, a potem nie był w stanie się dłużej powstrzymać. Zapaść Bena stworzyła mu dogodną okazję. Powiedział mi, że Evie odebrał Ollie, ale naprawdę to on ją porwał. Już nigdy nie zobaczymy córki.

– Przestań – mówi Ruby. – Nie możesz tak myśleć. Znajdziemy ją. Uciskam palcami skronie.

Nieco dalej natrafiamy na drogę, którą Harris zawiózł mnie i Bena do swojego domu. Zatrzymuję się niepewna, co robić. Mgła bardzo ogranicza widoczność. Błotnisty kamienisty trakt jest niewiele szerszy od ścieżki dla koni. Ruby sprawdza nasze położenie na mapie.

– Żeby dołączyć do grupy poszukiwawczej, musimy podejść trochę wyżej i strawersować wrzosowisko – mówi.

Zerka na zegarek. Na pewno myśli o tym, że jest już późno i zaczyna się ściemniać.

Jestem ciekawa, czy ma rodzinę, która nie może doczekać się jej powrotu; mamę, która trzyma dla niej w piekarniku kolację.

– Sprawdziliście tę drogę?

– Jeszcze nie. Wrzosowisko jest ogromne, nie mamy tylu ludzi. Helikopter by sobie z tym poradził, ale nie możemy go użyć z powodu mgły.

Próbuję zastanowić się racjonalnie, dlaczego chcę szukać właśnie tutaj. Jeśli Evie została porwana, sprawca zapewne miał samochód. Stary trakt do przepędzania bydła to jedna z niewielu dróg, którą da się wjechać w głąb wrzosowiska. Prowadzi do domu Harrisa – i nigdzie indziej – ale... Jeśli ktoś szukał odludnego miejsca... może uciekła... może porywacz ją tam porzucił... przerażające scenariusze mieszają się w mojej głowie z obrazem nieskazitelnie gładkiej skóry Evie, jej nagiego ciała. Muszę natychmiast przestać.

– Chcę sprawdzić tę drogę. Byłam tu w zeszłym tygodniu. Da się tędy przejechać samochodem.

Ruby przechodzi przez drogę i staje obok mnie.

– Evie była wtedy z tobą? – pyta z nadzieją w głosie.

Zaprzeczam ruchem głowy. Jack zgarnął mnie i Bena po drugiej stronie wrzosowiska, pod White Wells, tam, gdzie wczoraj rozpoczęliśmy poszukiwania. Wchodzimy na wąski trakt. Kamienie są śliskie. Nagle rozlega się wołanie kulika, tak przejmujące, że moje ciało przeszywa fizyczny ból.

– Byłaś tu na spacerze?

Zastanawiam się, czy mnie sprawdza, czy po prostu stara się nawiązać rozmowę.

– Tak. Z Benem.

Myślę o tym, czy fascynacja Evie wrzosowiskiem nie przerodziła się w zapal do wędrowania.

– Rozerwało mi się nosidełko i złapał nas deszcz. Uratował nas jeden facet, którego znam.

Akurat tędy przejeżdżał. Mieszka tam dalej.

– Nie wiedziałam, że na wrzosowisku ktoś mieszka.

– Ja też nie. Zdaje się, że przebudował starą chłopską zagrodę. To kawałek stąd: kilometr, może dwa.

Ruby wzdryga się.

– Nie rozumiem, dlaczego ktoś chce tutaj mieszkać. To kompletne odludzie.

Za to ja rozumiem. Doskonale potrafię sobie wyobrazić, że wstaje rano i zamiast widzieć wrzosowisko w oddali za oknem, jestem w samym jego sercu, czuję, jak dmie wiatr, szaleje burza, zacina deszcz, słyszę nawoływania siewek. W końcu między innymi dlatego zadurzyłam się w Harrisie: czułam, że to samo jest dla nas ważne. Nadal na przekór wszystkiemu za nim tęsknię. Walczę z chęcią, by sięgnąć po telefon i zadzwonić do niego, teraz, natychmiast; opowiedzieć, że zaginęła moja ukochana córka. Odnalazłby mnie natychmiast, wiem o tym.

Przytuliłby mnie mocno, zabrał do swojego domu pośród wrzosów, ukrył przed natarczywością dziennikarzy. Jego zapalczywość tym

razem działałaby na moją korzyść: wydałby bezwzględną wojnę każdemu, kto usiłuje mnie skrzywdzić. Ale oczywiście tego nie zrobię. Zresztą nie umiałabym zapomnieć, jak jego wściekłość zwróciła się przeciwko mnie; jak z czystej mściwości zostawił mnie z synkiem na ulewnym deszczu, wiele kilometrów od domu.

Ściemnia się, ale nie mogę zawrócić; jeszcze nie teraz. Gdzieś blisko beczy owca, odpowiadają jej inne. We mgle majaczy jakiś kształt, może głąz. Zatrzymuję się zaskoczona, niepewna, czy to nie wytwór mojej wyobraźni. Blokuje połowę ścieżki. Ruby próbuje oświetlić tajemniczy obiekt latarką, ale snop światła odbija się od mgły, rażąc nas w oczy. Podchodzimy bliżej. W powietrzu unosi się dziwny, gryzący zapach. To przewrócony na bok samochód. Ruby obchodzi go ostrożnie dookoła, przesuwając latarką po karoserii. Jest kompletnie spalony – z opon odlazła guma, lakier się złuszczył. W trawie błyszczą oleiste kałuże i grudki jakiejś substancji. Odłamki szkła z rozbitych okien połyskują w świetle latarki. Ruby zagląda do środka, ale wrak jest pusty. Odchodzę kawałek drogą. W rozjeżdżonym błocie odcisnęły się ślady opon.

Kształt ciemnej bryły nie daje mi spokoju. Coś mi przypomina. Czuję chłód pod żebrami. Czyżby to był samochód Harrisa? W półmroku dostrzegam coś błyszczącego w kępie sitowia.

– Stój! – krzyczy Ruby. – Wracaj! Nie zdeptuj śladów, nawet jeśli to tylko odciski opon.

Ignorując jej wezwanie, schodzę z traktu i zanurzam się w wysoką trawę. Podnoszę błyszczący przedmiot. To płaski czarny krążek, trochę osmalony. Widzę złote litery. Odwracam się na pięcie.

– Wiem, czy to samochód – mówię Ruby.

Lodowaty chłód przenika mnie do szpiku kości, bo co to oznacza? Czy Harris miał wypadek? Czy jest ranny?

Ruby rozmawia przez telefon.

– Technicy już tu jadą. Na wszelki wypadek – wyjaśnia.

Podsuwa mi foliową torebkę na dowody, żebym włożyła do niej krążek.

– Dlaczego?

– To może być zbieg okoliczności, ale... Nie rozumiesz? Spalony

samochód na wrzosowisku dzień po zaginięciu twojej córki. Jeśli nim jechała, sprawca musiał go zniszczyć, żeby pozbyć się dowodów. Zaczekam tu na ekipę. A ty wracaj do domu. Wezwę innego funkcjonariusza, żeby wyszedł ci naprzeciw. Nie powinnaś być sama.

Kręcę głową.

– Ale ja wiem, czyj to samochód – powtarzam. – Jego właściciel nie mógł porwać Evie – mówię.

Jednocześnie próbuję wyprzeć cisnące mi się do głowy obrazy krwi na siedzeniu, pojedynczych włosów Evie i nie myśleć o Harrisie oraz o tym, jak bardzo jest na mnie zły. Ollie jest tak blady, że prawie zielony. Ma ochryply głos i czerwone, podpuchnięte oczy. Kiedy wracam do domu, je tosty. Nie mogę patrzeć na jedzenie. Na samą myśl, że miałabym coś przełknąć, zbiera mi się na wymioty.

– Znalazłyśmy na wrzosowisku samochód – mówię. – Ktoś go spalił. Została sama blacha.

Zerkam na Olliego. Wydłuża mu się twarz, czyli zrozumiał, co może oznaczać spalony samochód.

– Wiedzą, do kogo należy?

– Jeszcze nie.

Nie chcę mówić mu o swoim podejrzeniu, że to auto Harrisa, przynajmniej dopóki się to nie potwierdzi. Krążek z napisem „Pokój”, który wypatrzyłam przy ścieżce, mógł się tam znaleźć przez przypadek. Nie wierzę, żeby Harris posunął się do porwania Evie, to po prostu przekracza moje wyobrażenie. Przypuszczam, że miał wypadek, kiedy wracał w nocy do domu – może po pijanemu. Jeśli powiem Olliemu, że rozpoznałam samochód, zapyta, kiedy i w jakich okolicznościach nim jechałam. Nie wiem, jak dużo powinnam mu wyjawić, gdzie postawić granicę. Nie wspomniałam mu, że byłam z Benem na wrzosowisku. Nie wie, że widywałam się z Harrisem.

– To pewnie nie ma nic wspólnego z Evie – dodaję. – Powinni zająć się szukaniem jej prawdziwego, biologicznego ojca. I ciągle nie wiedzą, gdzie jest Jack.

Przytula mnie i szepcze mi we włosy: – Przepraszam. Bardzo przepraszam. Zaczyna płakać; gwałtowne, urywane łkanie wstrząsa jego ciałem. Przywieram mocniej do jego piersi. Nie jestem w stanie

spojrzeć mu w oczy. To wszystko jego wina – nie było go z nami, nie zaopiekował się Evie. Ale akurat teraz potrzebuję od niego nie przeprosin, lecz siły, żeby był dla nas wszystkich oparciem.

Z

Zniknęłaś. Nie mogę w to uwierzyć. Nigdzie nie mogę cię znaleźć. Mam ochotę wyć z wściekłości.

Musiałaś zostać sama, to było częścią planu. Potrzebne mi było alibi, żeby nikt nie zaczął mnie podejrzewać. Każda chwila z dala od ciebie sprawia mi ból. Nieustannie o tobie myślę. Masz tam wszystko, czego potrzebujesz: zabawki, książki i jedzenie. O mało mi serce nie pękło, kiedy dziś rano wpadłaś w rozpacz. Płakałaś za swoją tak zwaną matką, ojcem i bratem. Znów trzeba ci było tłumaczyć, że jestem dla ciebie wszystkim: twoją mamą, twoim tatą, twoim bratem. Twoim wszystkim. Wkrótce zrozumiesz, jak bardzo cię kocham. Dam ci więcej, niż oni potrafiliby ofiarować ci przez całe życie.

Chcesz pobawić się na dworze, ale na razie nie możesz opuszczać domu. Kiedy mówię, że muszę wyjść, zaczynasz rozpaczać jeszcze bardziej.

– Tylko na chwilę – tłumaczę.

Później będziesz mogła wychodzić na dwór, ile tylko zechcesz. Próbuję opisać ci nowe życie, które cię czeka.

– Będzie jak w bajce – przekonuję. – Tam są góry. Sięgają do samego nieba. Na stokach rosną przepiękne kwiaty, a najwyższe szczyty okrywa czapa śniegu.

Pomagam ci przebrać się w strój z *Krainy lodu*, który miałaś w plecaku.

– Tam, gdzie pojedziemy, będziesz mogła być księżniczką mrozu i lodu – obiecuję.

Całuję cię i mówię, że niedługo wrócę.

Dlatego nie rozumiem. Jak mogłaś mnie opuścić? Jak w ogóle udało ci się wyjść?

Ogarnia mnie przerażenie na myśl, że coś może ci się stać. Muszę cię znaleźć. Będę szukać przez całą noc, do skutku. Nie mogę znowu cię stracić.

Zmierzcha się, z każdą chwilą blednie światło dnia. Zimny wiatr wdziera mi się pod polar. Na szczęście mgła zaczyna się rozrzedzać. Nie masz na sobie nawet kurtki. Wspinam się stromą ścieżką, która mija zbiornik wodny. Wzdrygam się na myśl o śliskich brzegach i głębokiej wodzie. Jesteś zbyt rozsądna, by się do niego zbliżyć, prawda? Mam też nadzieję, że nie zawędrowałaś do lasu i nie zgubiłaś się w gęstych zaroślach ani nie wpadłaś do Heber's Ghyll. Po wyszczerbionych głazach docieram wreszcie na szczyt i ciężko dysząc, stoję obok Kamienia ze Swastyką. Chrapliwy oddech rani moje płuca, drapie podrażnione gardło. Włazę na skałkę nieopodal pogańskiego miejsca kultu i badam wzrokiem wrzosowisko.

Jest już październik. Wrzosa zwiędły, paprocie przybrały barwę rdzy, sucha trawa zrobiła się popielatoszara. Szukam małej dziewczynki w błyszczącej sukience, srebrzystoniebieskiej jak lód. Jeśli nawet gdzieś tam jesteś, czy zdołam cię dostrzec? Jesteś drobna jak na swój wiek. Wrzosa są gęste, krzaczki czarnych jagód wybujale i rozłożyste.

W powietrzu wisi mgła. Mogłaś upaść, skrócić nogę w kostce; na ścieżkach jest pełno kamieni.

Jest już za ciemno, by móc sięgnąć daleko wzrokiem. Serce tłucze mi się boleśnie w piersi. A jeśli cię nie znajdę? Nie wiem, czy przeżyłabyś noc na tym pustkowiu. Mam latarkę, ale oświetla tylko niewielki skrawek przestrzeni.

Wyobrażam sobie, że jesteśmy na spacerze i pokazuję ci mięsożerne rośliny, które tu rosną: rosiczki o lepkich czerwonych liściach muszą się żywić owadami, bo jałowa ziemia nie zapewnia im życiodajnych soków. Idziemy razem do Podwójnych Głazów, neolitycznych kamieni ofiarnych z wyżłobionymi ludzką ręką kanalikami, którymi spływała krew ofiar.

Pokazuję ci, gdzie wiją gniazda siewki i gdzie składają jaja motyle zieleńczyki ostreżyńce.

Kocham tę okolicę. Jest częścią mnie, częścią tego, kim jestem. Ale nie jest miejscem dla ciebie: siedmioletniej dziewczynki w

przebraniu księżniczki.

Czyhają na ciebie też inne niebezpieczeństwa. Stare kamieniołomy. Poszarpane urwiska. Ostre kamienie i trzęsawiska, które mogłyby cię wciągnąć. Znam je wszystkie jak własną kieszeń. Mijam kępę jarzębin; wąskie złote liście łaskoczą mnie po twarzy. Włączam latarkę, ale snop światła jest słaby i przez to ciemność wydaje się jeszcze ciemniejsza.

Tłumię natłok uczuć. Nie mogę okazać słabości. Nie teraz. Muszę cię znaleźć, zanim będzie za późno. Muszę cię znaleźć, zanim ktoś mnie uprzedzi.

A kiedy cię znajdę, najukochańsza, już zawsze będziemy razem.

Niedziela: dwa dni po zniknięciu Evie

Nie mogę spać. Snuję się po domu. Staję przy łóżeczku Bena i słucham jego oddechu. Leży rozciągnięty w poprzek materaca, z luźno zwiniętymi w piastki dłońmi, skopał na bok kołderkę. Przykrywam go delikatnie i kucam. Wpatruję się w niego, dotykam mu czoła, by sprawdzić, czy nie jest za gorące albo za zimne. Evie śpi zupełnie inaczej: zwinięta w kłębuszek, ciasno otulona kocykiem. Ben chrapie, i to niewiarygodnie głośno jak na takie małe dziecko.

Evie nie wydaje żadnych dźwięków; była niezwykle cichym niemowlęciem, często bałam się, że w nocy przestanie oddychać. Idę do jej pokoju, kładę się na łóżku, wtulam twarz w poduszkę i wdycham jej zapach.

Kiedy Ollie przychodzi rano, żeby mnie obudzić, nadal leżę na łóżku Evie. Podrywam się nerwowo, słysząc jego głos. Pieką mnie oczy, boli kark, zeszywniały od spania w niewygodnej pozycji. Nawet nie zauważyłam, kiedy zasnęłam. Ręce i nogi mam ciężkie jak z ołowiu.

– Trzeba pojechać z Benem do szpitala – przypomina ochryplym głosem.

Przecieram oczy i siadam. Przez jakiś czas oboje tkwimy w bezruchu. Ollie stoi w drzwiach, ja siedzę na łóżku Evie z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Ja z nim pojedę – mówię. – Musisz trochę odpocząć. O jedenastej jesteśmy umówieni na komendzie z Ruby. Spotkanie z dziennikarzami zaczyna się o dwunastej.

Nie protestuje. Wygląda, jakby zaraz miał się przewrócić. Ochlapuję twarz zimną wodą i idę obudzić Bena. Biorę go, ciepłego i rozspanego, na ręce i rozkoszuję się chwilą fizycznej bliskości. Niosę go do samochodu i sadzam w foteliku. Wzięłam ze sobą śniadanie, ale liczę na to, że jeszcze przyśnie w drodze do Silsden.

– Zoe! Zoe!

Ktoś woła mnie po imieniu. Prostuję się gwałtownie, uderzając

głową o ramę drzwi. Serce zaczyna walić mi jak oszalałe. Mam nadzieję, że to dobra wiadomość. W moją stronę biegnie dwóch mężczyzn. Pierwszy ściska w dłoni telefon, drugi jest obwieszony aparatami fotograficznymi. Nie wierzę własnym oczom. Jest siódma rano. W panice wskakuję do samochodu, przełażę nad Benem, zatrzaskuję drzwiczki i blokuję zamek.

– Zoe! Pani Morley? Tylko parę pytań. Znalazła już pani córkę?

Przypinam Bena do fotelika. Wyrwany ze snu zaczyna wrzeszczeć na widok cisnących się za oknem mężczyzn i błysków flesza. Jestem tak wściekła, że mam ochotę wysiąść i im przyłożyć. Przełażę na przednie siedzenie i pospiesznie odjeżdżam. Z całej siły ściskam kierownicę, by opanować drżenie rąk.

Doktor Kapur odejmuje stetoskop od klatki piersiowej Bena.

– Przyjął dużą dawkę toksyny, która spowodowała niewydolność serca, a w konsekwencji niewydolność krążenia. To mogło doprowadzić do uszkodzenia układu nerwowego. Na szczęście szybko odkryliśmy przyczynę, a u dzieci takie stany mogą być odwracalne. Zanim wypisano Bena ze szpitala, wykonano badania, które nie wykazały zmian w mózgowiu, a ponaddwunastogodzinne monitorowanie czynności serca było prawidłowe.

Biorę Bena od doktora Kapura, całuję go w policzek i wkładam mu koszulkę z powrotem w spodnie.

– To znaczy, że wyzdrowiał? Już nic mu nie jest?

– Jeszcze za wcześnie, żeby to stwierdzić. Proszę go uważnie obserwować i jeśli coś panią zaniepokoi, choćby to był zupełny drobiazg, proszę się natychmiast ze mną skontaktować.

Domyśla się pani, gdzie mógł znaleźć jagody trzmieliny?

– Jagody? – pyta Ben z nadzieją w głosie.

– Nie mam dla ciebie jagód, kochanie. Nie mam pojęcia. Może zerwał z jakiegoś krzaka po drodze do szkoły?

– Trzeba będzie się tym zająć, sprawdzić szkolny plac zabaw, przydomowe ogródki, w tym także wasz. To popularna roślina ozdobna. Obecnie rzadziej występuje w dzikiej przyrodzie.

Mówię sobie, że mieliśmy szczęście: przecież Ben mógł umrzeć. Wygląda całkiem nieźle. Doktor Kapur powiedział, że serce i nerki

funkcjonują prawidłowo. Prowadzę samochód, ukradkiem obserwując syna we wstecznym lusterku. Gapi się bezmyślnie w okno. Dzieci często tak robią, prawda? Wyłączają się w czasie jazdy samochodem. Poza tym jest zmęczony, pobyt w szpitalu musiał być dla niego traumatycznym przeżyciem. Czy możliwe, że to coś groźniejszego, czy po prostu wpadam w paranoję?

Kilka minut przed jedenastą Ollie i ja przechodzimy przez ulicę w drodze na posterunek policji i wtedy rzucają mi się w oczy. Plakaty ze zdjęciem Evie. Są wszędzie: na latarniach i słupach telegraficznych, na wystawach Marks & Spencer i Smith's, na szybie wiaty przystanku autobusowego. Czarne litery nad zdjęciem klasowym układają się w słowo ZAGINEŁA. Niżej widnieje numer telefonu. Kto je wydrukował? Czy to coś da? Może ktoś zobaczy ją z jakimś mężczyzną i rozpozna jej twarz?

Siadamy naprzeciwko Ruby. Funkcjonariuszka od kontaktów z rodziną mierzy nas uważnym spojrzeniem. Ollie wygląda okropnie. Ma tłuste włosy, ciemne sińce pod oczami i obrzmiałą twarz. Wiem, że sama nie prezentuję się lepiej. Wzięłam prysznic, ale nie zdążyłam już wysuszyć włosów i teraz kapie mi z nich woda, mocząc kołnierzyk koszuli. Ruby wyjaśnia, że odczytamy przygotowane oświadczenie, a na pytania dziennikarzy odpowie Collier.

– Napisałam dla was kilka zdań, ale lepiej będzie, jeśli wyrazicie to własnymi słowami.

Nikt nie zna Evie tak dobrze jak wy. – Podsuwa nam kartkę. – Zostawię was na kilka minut, żebyście mogli to spokojnie przemyśleć. Nawiasem mówiąc, potwierdziliśmy alibi waszego przyjaciela Andy'ego i został zwolniony.

– Nadal jest podejrzanym? – pytam.

Na myśl o nim czuję w żołądku bryłę lodu. Nie zrobiłam nic, żeby mu pomóc. Ciągle się zastanawiam, czy może być ojcem Evie; czy wie, gdzie ona jest. To silniejsze ode mnie. Jeśli pomógł mu Jack, to bez znaczenia, gdzie Andy był o piątej po południu.

– Wszyscy są podejrzeni, dopóki nie odnajdziemy Evie.

Po wyjściu Ruby odwracam się do Olliego, który do tej pory nawet nie drgnął.

– „Śliczna dziewczynka. Nasza ukochana córeczka”. Jezu.

Przesuwa dłonią po nieogolonej twarzy.

– To musi być coś osobistego. Żeby ludzie zobaczyli w tym Evie i poczuli, że im na niej zależy. Co powiemy?

Co *możesz* powiedzieć, kiedy zaginęła twoja siedmioletnia córka? Kiedy ktoś porwał dziecko, które kochasz nad życie? Ollie siedzi w katatonicznym bezruchu. Nie dam rady. Sama tego nie zrobię. Rzucam mu ukradkowe spojrzenie. Chyba jednak będę musiała. Biorę do ręki długopis i zaczynam gorączkowo gryzmolić. Kilka minut później wraca Ruby. Czyta to, co napisałam, i z aprobatą kiwa głową.

– Bardzo dobrze. Przepiszę to na komputerze i wydrukuję. – Posyła mi szybkie spojrzenie. – Wiem, że to ostatnia rzecz, jaka cię teraz obchodzi, ale wygląd też jest ważny – mówi z mocnym akcentem z Bradford, starając się, żeby zabrzmiało to jak najdelikatniej. Podaje mi szczotkę do włosów i saszetkę z kosmetykami. – Toaleta to drugie drzwi na prawo. Jest tam suszarka do rąk. Może uda ci się podsuszyć trochę włosy.

Stoję przed lustrem. Od silnego strumienia powietrza z suszarki do rąk moje włosy zrobiły się puszyste i rozwichrzone, jakby potargał je wiatr. Mam sine worki pod oczami i przekrwione białka. Zapadnięte policzki, skóra pozbawiona blasku. Ostre jarzeniowe światło bezlitośnie wydobywa wszystkie zmarszczki, pęknięte naczynka, pory. Postarzałam się o dziesięć lat. Powinnam się tym martwić, ale mam to gdzieś. Rozczesuję włosy i zaglądam do saszetki Ruby. Jej kosmetyki są zupełnie nieodpowiednie dla mnie: czarny proszek antymonowy, podkład w odcieniu karmelowego toffi, fioletowowiśniowa szminka, bronz. Nakładam tusz do rzęs, bezbarwny puder i szminkę, którą rozmazuję palcem na ustach, nadając im leciutko różowy odcień.

Kiedy wchodzę do sali konferencyjnej, przedstawiciele mediów już na nas czekają. W niewielkim pomieszczeniu panuje tłok, gdziekolwiek spojrzę, natykam się na wycelowane w nas obiektywy. Jak morska fala podnoszą się dziesiątki telefonów komórkowych, które będą nagrywać nasze słowa.

– Ollie? Może ty to przeczytasz?

Kręci głową. Kiedy byłam w łazience, Ruby namówiła go, żeby się

ogolił. Zaciął się w trzech miejscach, za uchem ma krem do golenia. Biorę go za rękę, która jest wiotka, jakby wyciekło z niej wszelkie życie. Zerkam ukradkiem na ścianę twarzy przed nami. Wydaje mi się, że dostrzegam w nich wrogość. Mam ściśnięte gardło, coś dławi mnie w piersiach. Dłonie, w których trzymam tekst oświadczenia, drżą. Ruby podaje mi szklanekę wody. Upijam łyżeczek.

Większość dziennikarzy to mężczyźni. Nieliczne kobiety w dopasowanych sukienkach i garsonkach, z ustami pociągniętymi jaskrawoczerwoną szminką, wyglądają niewiarygodnie młodo i elegancko. Domyślam się, że za kilka minut zrelacjonują historię Evie telewidzom.

W jednym z tylnych rzędów dostrzegam kobietę, która wygląda inaczej. Jej sztywne kręcone włosy są poprzetykane siwizną. Pewnie jest po pięćdziesiątce. Sprawia wrażenie twardej sztuki.

Jej twarz coś wyraża, ale nie wiem co. Może wstręt. Podchwytuje moje spojrzenie i natychmiast łagodnieje, w jej oczach pojawia się współczucie. Pozostali myślą wyłącznie o tym, że trafił im się świetny temat, ale jej jest żal Evie. I mnie.

Odchrząkuję, żeby oczyścić gardło. Collier zaczyna wygłaszać komunikat dla prasy. Skupia się na Jacku Mitchellu, ostatniej osobie, która widziała naszą córkę. Jeśli ktokolwiek go zobaczy, ma niezwłocznie zawiadomić policję. Tłumaczy, jakie to ważne. Podaje numer specjalnej linii telefonicznej, założonej na potrzeby akcji poszukiwawczej. Następnie ja odczytuję nasze oświadczenie. Jest krótkie i na temat: w piątek po południu zaginęła nasza ukochana córka.

„Evie jest śliczną dziewczynką o ciemnych włosach i zielonych oczach – mówię drżącym głosem. – Jak wiele siedmiolatek ma obsesję na punkcie księżniczek, naszym zdaniem jednak jest bardziej podobna do elfa. Uwielbia tworzyć konstrukcje z klocków i malować. Dużo się śmieje.

Urządza podwieczorki dla lalek w dziupli drzewa w naszym ogrodzie. Kiedy dorośnie, chce zostać artystką. Proszę, pomóżcie nam ją znaleźć. Oddajcie ją nam. Ogromnie za nią tęsknimy.

Jest miłością naszego życia”.

Przy ostatnich słowach krztuszę się i zaczynam płakać. Ruby bierze mnie za łokieć i wyprowadza z sali. Za moimi plecami wybucha pandemonium.

– Pani Morley! Zoe! Mamo Evie! – wrzeszczą dziennikarze. A kiedy nie odpowiadam: – Ollie! Panie Morley!

Ollie idzie za mną, zataczając się jak w zamroczeniu. Ruby wpuszcza nas do pokoju, w którym byliśmy wcześniej.

– Dobrze poszło – stwierdza pogodnie. Podsuwa mi pudełko chusteczek higienicznych i zerka na Olliego. – Zrobię wam herbatę. Zaraz przyjdzie nadinspektor Collier. Chce z wami porozmawiać.

– Pojawiło się coś nowego? – pyta Ollie.

– Jeszcze nie wiemy, gdzie jest Evie, ale nadinspektor chce was poinformować o najnowszych ustaleniach śledztwa.

– Macie Jacka Mitchella?

– Przyniosę herbatę. Collier zaraz tu będzie.

Wchodzą Collier i Clegg. Clegg uśmiecha się do mnie.

– Znaleźliście Jacka Mitchella? – powtarza Ollie, zanim któryś z nich zdąży się odezwać.

– Wiemy, kto jest właścicielem samochodu – oznajmia Collier.

Siada przy stole i rzuca na laminowany blat tekturową teczkę.

On też jest wyraźnie zmęczony: ma worki pod oczami, popękane naczynka na nosie są bardziej widoczne niż zwykle. Nie sądzę, żeby miał czas się wyspać. Z trudem prostuje nogę i wyciąga ją obok stolika; słyhać trzaśnięcie w kolanie.

– Mężczyzna o imieniu Harris.

Wiedziałałam, że to auto Harrisa. Mówiłam o tym Ruby. Ale jakie to ma znaczenie? Czy to pomoże znaleźć Evie? Mimo woli zastanawiam się, czy został ranny w wypadku. I myślę, że chciałabym z nim porozmawiać.

– Haris Agni – dodaje Collier.

Otwiera teczkę i wyjmuje z niej zdjęcie. Obraca je w naszą stronę. To fotografia Harrisa, podpisana pełnym imieniem i nazwiskiem: Haris przez jedno „r”. Więc jednak ma nazwisko.

Dlaczego inaczej zapisuje swoje imię? Nagle dociera do mnie, na co patrzę. Przede mną leży czarno-biała fotografia Harrisa – *Harisa* – en

face i z profilu. Zdjęcie z dokumentacji policyjnej.

To musi być jakaś pomyłka. Coś dławi mnie w piersi, nie mogę zaczerpnąć oddechu. Utonę na suchym lądzie w obecności tych wszystkich ludzi.

– Haris Agni został skazany na siedem lat za ciężkie pobicie i uszkodzenie ciała. Wyszedł na wolność niecałe dwa lata temu, po odsiedzeniu pięciu lat. To podejrzane, że dwa dni po zaginięciu państwa córki znaleźliśmy na wrzosowisku jego spalony samochód. Oczywiście to za mało, by uważać go za potencjalnego sprawcę, ale są jeszcze inne okoliczności.

Kładzie na policyjnym zdjęciu kolorową fotografię Harisa, a obok zdjęcie klasowe Evie. Gwałtownie wciągam powietrze. Ollie ogląda je uważnie, a potem zerka na mnie i na Colliera. Ruby przynosi herbatę. Prawdziwą, świeżo zaparzoną, a nie kupioną w automacie. Mam już dosyć herbaty, ale z czystego nawyku biorę od niej kubek.

– Jest pewne podobieństwo, prawda? – mówi Collier. Dotyka palcem twarzy Harisa. – Ciemne włosy. Zielone oczy. Oliwkowa karnacja. Również daty się zgadzają. Trafił do więzienia w Leeds miesiąc po narodzinach waszej córki.

Clegg podaje mu jakiś przedmiot, który Collier kładzie obok zdjęć. To czerwony modlitewnik Evie, ten, który znalazł Andy, zapakowany teraz w szczelnie zamkniętą foliową torebkę.

– Jest Hunzą. Muzułmaninem. Pochodzi z Pakistanu.

– I uważacie, że ten człowiek, Haris, może być ojcem Evie? I że to on ją porwał? Była w jego samochodzie, dlatego spalił go, żeby usunąć dowody? – pyta Ollie.

– Tak. Samochód nie został rozbity w wypadku. Podpalono go celowo. Został polany łatwopalną substancją, prawdopodobnie benzyną.

– Jak zamierzacie go znaleźć?

– Znajdziemy go – zapewnia Collier.

– Znam tego mężczyznę – przerywam ich dywagacje.

Collier wygląda na zadowolonego, jakby nawet nie pytając, wymusił na mnie ważne wyznanie.

– Mówiłam o tym nadinspektorowi – wtrąca Ruby.

Patrzą na nią, a potem na Olliego.

– Jest artystą. Reprezentuje nas ta sama agentka, Jennifer Lockwood z galerii na Brook Street. Jenny przedstawiła mi go, kiedy byłam u niej we wrześniu, a potem poszłam na jego wernisaż.

– To był on? – W głosie Olliego brzmi niedowierzanie. – Bandzior podaje się za artystę?

Jak mu się to udało?

Oblizuję spierzchnięte usta. Chcę im powiedzieć, że się mylą, bo jeśli nie, to prawda jest po prostu zbyt straszna.

– Jenny na pewno o tym nie wiedziała – mówię.

Collier przegląda notatki.

– Pani Lockwood zna przeszłość Harisa Agniego. Nie chciała jej upubliczniać, dlatego wspólnie wymyślili historyjkę o jego pobycie w Dolinie Hunza.

– Co? – Oboje, Haris i Jenny, mnie oszukali.

Collier przygląda mi się znad okularów, a potem zdejmuje je z nosa.

– Poznała go na jakiejś aukcji charytatywnej, którą zorganizowała. Był na jednodniowej przepustce. Dostrzegła w nim potencjał – dodaje oschłym tonem.

To przerasta moją wyobraźnię.

– A co z Jackiem Mitchellem? – pyta Ollie.

Collier traci na chwilę pewność siebie.

– Jego dom jest pod całodobową obserwacją. W poniedziałek powinien pojawić się w pracy. Zgarniemy go na przesłuchanie, gdy tylko wróci do Ilkley. A jeśli nie wróci, znajdziemy go tak czy inaczej. Każdy przestępca popełnia jakiś błąd. Zadzwoń ze swojego telefonu, użyj karty kredytowej albo wychwyć go monitoring.

– Jezu. – Ollie chodzi tam i z powrotem po naszym salonie. – Jezu. Kryminalista po wyroku mógł porwać Evie.

Nie mówi: „Kryminalista po wyroku może być ojcem Evie”.

Mam wrażenie, że mój mózg przestał prawidłowo funkcjonować. Nie jestem w stanie myśleć o Harisie i o tym, co to wszystko oznacza. Przypominam sobie, jak położył na mojej dłoni czaszkę gronostaja i opowiedział, że zakopał truchło, żeby zmieniło się w szkielet. Że

czekała na mnie. W ciemności. Tak jak on czekał na mnie przez te wszystkie lata w ciemnej więziennej celi.

Wstrząsa mną dreszcz.

Dom tonie w posępnym półmroku. Zasłoniliśmy okna, żeby koczujący na zewnątrz dziennikarze nie zaglądali do środka. Bella skomle i drapie tylne drzwi. Hanna daje Benowi obiad. Ona też jest wyraźnie zmęczona. Zakłada za ucho pasmo włosów i marszczy czoło.

– O czym mówicie? Policja ma jakiś trop?

Ollie zaczyna jej opowiadać o Harisie i o samochodzie, który znalazłyśmy razem z Ruby na wrzosowisku. Nie chcę, żeby jej o tym mówił. Nie chcę, żeby przedostało się to do wiadomości publicznej, zanim zdecyduję, jak powiedzieć Olliemu o mojej relacji z Harisem.

– Ollie, nie chcesz się położyć i trochę odpocząć?

Patrzy na mnie, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu; jego spojrzenie jest twarde i szkliste. Opuszcza ramiona i zapada się w sobie.

– Najwyżej na godzinę. Obudzisz mnie potem, dobrze?

– Dzięki za dzisiaj, Hanno – mówię. – Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.

– To naprawdę drobiazg. – Hanna przytula mnie. – Dajcie znać, jeśli będę mogła się na coś przydać. Odezwę się jutro. Może wpadnę do was po lekcjach.

Jest o wiele niższa i drobniejsza ode mnie i kiedy obejmuję ją na pożegnanie, wydaje mi się bardzo krucha. Pachnie liliami. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła teraz użyć perfum. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby coś sprawiło mi przyjemność, dopóki nie znajdzie się Evie.

– Jak się czujesz? – pytam, gdy Gill otwiera mi drzwi.

Ma zaczerwienione oczy i oklapnięte włosy. Od lat nie widziałam jej w takim stanie, zawsze udaje jej się zachować nienaganny wygląd. Mam dosyć siedzenia w domu, chcę szukać Evie. Ale najpierw muszę porozmawiać z Andym i Gill.

– Jak długo się znamy? – pyta mnie Gill. – Od ilu lat jesteśmy przyjaciółmi?

Drży jej głos, po twarzy płyną łzy. Wbijam paznokcie w dłonie,

żeby nie palnąć czegoś, czego będę potem żałowała.

– Mogłaś zadzwonić, Zoe. – Łzy kapią z jej podbródka. – Andy kocha Evie. Oboje ją kochamy. Mogłaś zadzwonić na policję. Trzymali nas tam całymi godzinami.

– Nie gadaj głupstw, Gill. – Andy wpycha się przed żonę, przytrzymując siedzącą mu okrakiem na biodrze Ellen. – To nie jest rola Zoe. Ma teraz poważniejsze zmartwienia. Jak się trzymasz, skarbie?

Pochyliła się i całuje mnie w policzek. Ellen wyciąga tłustą łapkę i chwyta mnie za włosy.

Nie odwzajemniam jego pocałunku.

– Widzisz! Nie ufa nam – stwierdza Gill. – Proszę bardzo, wejź i przeszukaj dom.

Policja już to zrobiła. Przewrócili pieprzoną chałupę do góry nogami, ale nigdy nie wiadomo, mogli coś przeoczyć. Może znajdziesz jakiś dowód, że twój najlepszy przyjaciel...

– Gill. – Andy obejmuje żonę, ale patrzy na mnie. – Napijesz się herbaty? – pyta.

Kręcę głową.

– Jadę szukać Evie.

– Jadę z tobą – oświadcza Andy, oddając Gill córeczkę.

– Nie. Nie po to do was przyjechałam. Chciałam tylko...

– Wiem – mówi. – Nie musisz niczego tłumaczyć.

Wyciąga z za drzwi na werandę swoje traperki i w samych skarpetkach idzie do samochodu.

– Na razie, kochanie – woła do Gill, która wchodzi z powrotem do domu, nie zegnając się z żadnym z nas.

Przez chwilę się waham, ale w końcu idę za nim do samochodu. Policja chyba już go nie podejrzewa? Trzy dni temu darzyłam Andy'ego bezgranicznym zaufaniem, teraz jednak wątpię we własny osąd. Andy przegania Bellę na tylne siedzenie. Suka skomle i ślini się z radości; uwielbia Andy'ego. Jadę na drugi koniec Ilkley. Nie mam konkretnego planu, wiem tylko, że chcę spróbować z drugiej strony wrzosowiska. Ekipa poszukiwawcza wciąż przeczesuje pustkowie powyżej naszego domu, na północ od Dwunastu Apostołów. Nie

jestem w stanie rozmawiać z panią Kilvington ani z żadną z zaprzyjaźnionych z nią mam. Zresztą nie zaszkodzi, jeśli poszukam w innym miejscu. Nie odzywamy się do siebie.

Mgła nie jest już tak gęsta jak wczoraj i w pobliżu wrzosowiska słyszę warkot krążącego nad nami helikoptera. W Addingham zjeżdżam na boczną drogę i po chwili skręcam ostro w lewo, na trakt używany przez farmerów. Podjeżdżam najwyżej jak się da i zostawiam samochód. Bella wyskakuje z auta, zachwycona, że wreszcie może pohasać na dworze po całym weekendzie w domu.

– Wczoraj znaleźli na wrzosowisku spalony samochód. Widziałem w wiadomościach – odzywa się w końcu Andy.

– To my go znalazłyśmy, ja i Ruby, funkcjonariuszka do kontaktów z rodziną. Auto należy do mojego znajomego, artysty. Który, jak się okazuje, nie był osobą, za jaką go uważałam – dodaje.

Zastanawiam się, czy to samo nie dotyczy Andy’ego, chociaż znów rozmawiamy normalnie, jakby nic się nie stało.

– Co masz na myśli?

– Policja powiedziała nam, jak się naprawdę nazywa i że spędził pięć lat w więzieniu za ciężkie uszkodzenie ciała.

– Jezu. Czyli musiał kogoś prawie zabić. Bardzo niewielu przestępców odsiaduje pełny wyrok, więc pewnie dostał jeszcze więcej. Wiem takie rzeczy od Gill – dodaje, jakby chciał się usprawiedliwić.

Myślę o Harisie, o jego gwałtownym napadzie wściekłości, kiedy powiedziałam mu, że nie chcę z nim być; ledwo nad sobą panował. Widać było, że chce mnie uderzyć. Bella szarpie smycz, a ja nie mam siły jej ofuknąć. Pozwalam, żeby ciągnęła mnie pod górę. Jest pochmurnie i zimno, wieje przenikliwy wiatr. Gdy spod moich stóp podrywa się kuropatwa, muszę zaprzeć się z całych sił, żeby utrzymać psa. Andy zabiera mi smycz.

– Byłam na jego wernisażu.

Haris mnie okłamał. Wszystkich okłamał. To znaczy wszystkich z wyjątkiem Jenny, myślę z goryczą. Razem wymyślili historyjkę o rzeźbiarzu, który wrócił z podróży do Doliny Hunza. To tłumaczy, dlaczego jest taki szczupły i umięśniony: pięć lat ćwiczeń fizycznych

w celi. I dlaczego nigdy wcześniej nie zetknęłam się z nim w Ilkley ani w środowisku artystów.

Przypominam sobie sygnowane przez autorkę, oprawione fotografie moreli, papryczek chili i ośnieżonych szczytów gór. Kupił cudze dzieła, żeby uwiarygodnić kłamstwo. A może już wcześniej je miał, jeśli naprawdę jest Hunzą.

– Pewnie powiedzą o tym w wiadomościach. Gill mówiła, że nagraliście oświadczenie dla mediów. To musiało być cholernie paskudne przeżycie.

Na szczycie płaskowzgórza zatrzymujemy się i rozglądamy. Dyszę ciężko, próbując wyrównać oddech. Andy kładzie mi dłoń na ramieniu. Z trudem powstrzymuje emocje.

– Kocham Evie. Kocham ją. Nie wiem, co sobie myślałaś, kiedy...

– Przestań, Andy. Proszę.

– Dobrze, dobrze. – Głośno wydmuchuje nos. – Dla twojej wiadomości: nigdy bym jej nie skrzywdził. Na pewno przypomniałaś sobie o tej historii z prostytutką, ale nie jestem jej ojcem.

To prawda, że sporo balowałam, ale...

– Wiem – przerywam mu, chociaż nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy.

Skąd może wiedzieć, czy nie ma gdzieś nieślubnego dziecka?

– Znajdziemy ją. Zobaczysz, że ją znajdziemy – mówi.

Zaciskam powieki. Muszę mu wierzyć, bo inaczej zwariuję. Maszeruję ze wzrokiem wbitym w ziemię, szukając najdrobniejszej wskazówki, że przechodziła tędy Evie. Obraz rozmazuje mi się w zielonobrazowe plamy. Przed nami, na tle mknących po niebie siwych chmur, rysują się sylwetki Podwójnych Głazów. Dwie wyższe od człowieka skałki, płaskie kapelusze na kamiennych łądogach przypominają zwichrowane grzyby. Wiatr i lód przez tysiąclecia cierpliwie rzeźbiły ich kształty. Erozja pozostawiła kamienne pnie, poprzecinane poziomymi warstewkami piaskowca.

Wspinam się po kamieniach na wyższy z dwóch głazów. Jego powierzchnię pokrywa skomplikowany wzór kółek i zawijasów. W głębokich wyżłobieniach stoi woda. Od brzegów tych dziwnych zbiorników rozchodzą się wydrążone w skale kanaliki. Niektórzy

uważają, że służyły do odprowadzania krwi ofiar, które w tym miejscu składali neolityczni mieszkańcy Yorkshire. Przeczesałem wzrokiem posępne, wysmagane wiatrem pustkowie. Nie dostrzegam żadnego ruchu. Nie widzę biegnącej przez wrzosa dziewczynki. Zeskakuję na ziemię.

– Policja sądzi, że Haris jest ojcem Evie – mówię Andy’emu. – Trafił do więzienia siedem lat temu. Evie ma siedem lat. Niedawno go wypuścili. I nagle zaczynamy dostawać kartki od jej ojca. Poza tym są do siebie podobni: mają taką samą karnację, ciemne włosy. Takie same oczy.

Nie odnajduję jej miękkich, dziecięcych rysów w jego cyzelowanej twarzy, ale może czepiam się głupiej nadziei.

– No i jest artystą – wtrąca delikatnie Andy.

Coś ściska mnie w piersi. Myślę o rzeźbach Evie z klocków Lego; o jej dziwacznych ptasich gniazdach z rozmaitych strzępków i skrawków i o gołej lalce, którą znalazłam w jednym z nich. A potem o dziełach Harisa, powykręcanych i ponurych, równie zdeformowanych i bezlitosnych jak Podwójne Głazy. Nad nami wisi pustułka, jakby ktoś ją trzymał na nitce. Nagle składa skrzydła i spada jak kamień w dół.

– Uważasz, że mógł ją porwać? To znaczy, myślisz, że byłby do tego zdolny?

Pustułka powoli i z wysiłkiem wznosi się znowu, w jej pazurach dynda coś niedużego. Nie powiedziałam Andy’emu o swoich spotkaniach z Harisem. Może trzeba było to zrobić.

Wybiłby mi to z głowy. Czy Haris posunąłby się do porwania Evie? Jest straszliwie zaborczy; jeśli uważa ją za córkę, mógł chcieć odebrać to, co według niego stanowi jego własność. Albo chciał się po prostu zemścić. Musiał jednak wiedzieć, że to mnie zniszczy. Chyba nie działałby w tak zimny, wykalkulowany sposób. Czy ten wybuch namiętności to była miłość? Czy tylko szaleństwo i pożądanie?

– Tam jest jego dom – mówię. – Nie widać go stąd, stoi za tamtą kępą drzew. Stare gospodarstwo.

Andy gwizdże.

– Zawsze się zastanawiałem, kto mieszka na tym pieprzonym

odludziu.

Jeśli Haris jest ojcem Evie – albo jeśli uprowadził ją, by mnie ukarać – to znaczy, że to wszystko moja wina. Cieszyła mnie jego przyjaźń, otworzyłam się na nią, pozwoliłam mu wierzyć, że jestem gotowa na romans... Mam ochotę przejechać sobie po nadgarstkach kawałkiem szkła. Szczypię się w grzbiet dłoni. To drobny ból w porównaniu z cierpieniem, na jakie skazałam Evie.

Jestem tak skoncentrowana na szukaniu śladów na ziemi – odcisku dziecięcej stopy, zaczepionego o jagodowy krzaczek pasma długich ciemnych włosów – że w ogóle tego nie zauważam. Dopiero kiedy Andy mnie woła, biegnę tam, gdzie stoi z Bellą.

To niski kamienny budynek, częściowo wcinający się w zbocze. Może dawny pasterski szałas, rozbudowany z czasem do rozmiarów dużego garażu. Przykryty dachem z blachy falistej.

Rdza i porosty nadały mu barwę więdnących wrzosów. Tak doskonale wtopił się w otoczenie, że trudno go dostrzec nawet z odległości kilku metrów. Przed wejściem jest placek gołej ziemi i szeroka wydeptana ścieżka, która biegnie kilkaset metrów w dół i kończy się za domem Harisa.

Serce zaczyna mi walić jak młotem, coś ściska mnie w gardle. Drewniane drzwi są zamknięte na kłódkę. Andy rozgląda się za czymś, czym dałoby się ją rozbić. Gorączkowo próbuje wydłubać z ziemi jakiś kamień, ale żaden nie chce się ruszyć.

Wyciągam z plecaka scyzoryk i otwieram korkociąg. Przerdzewiałe gwoździe tkwią głęboko w drewnie. Kiedy wreszcie udaje mi się je usunąć, zawiasy odchodzą od futryny. Andy przytrzymuje odpadające drzwi. Bella zaczyna szczeekać. Wchodzę do środka. Przez chwilę jestem oszołomiona, ale mój wzrok szybko się przyzwyczaja. W budynku jest zaskakująco jasno.

W dach wmontowano płyty przezroczystego plastiku i wybito w ścianach wąskie okna, całą przestrzeń wypełnia więc blade, przytłumione światło. Nie rozumiem, na co patrzę, i to potęguje mój strach.

– Evie? – szepczę, a potem wołam głośniej: – Evie!

Po podłodze wije się kabel elektryczny. Andy przydeptuje stopą

czarny okrągły włącznik i pomieszczenie zalewa oślepiający blask. Palą się co najmniej cztery lampy studyjne, jakich używa się na planie filmowym.

– Co to, kurwa, ma być? – pyta Andy.

Wszędzie jest pełno metalu: na podłodze stoją skrzynki ze sprężynami do materacy, śrubami, zwojami drutu, łańcuchami, kółkami zębatymi i elementami o nieznanym mi nazwie i przeznaczeniu. Niektóre przedmioty wyglądają jak narzędzia tortur: ostrza tnące do piły tarczowej, lampy spawalnicze. Stoi też niski wózek z płaskim dnem, którego Haris używa zapewne do przewożenia skończonych rzeźb do domu i do swojego pick-upa. Nie widzę Evie, ale może być ukryta za ścianą złomu. Zerkam na Bellę, by sprawdzić jej reakcję. Siedzi oparta o moją nogę. Jest zgrzana i dyszy. Chce jej się pić.

– To pracownia Harisa.

Andy zaczyna rozgrzebywać złomowisko: odrzuca arkusze blachy, przesuwa skrzynki z żelastwem. W ścianie jest jakiś otwór. Podchodzę pospiesznie do niego, potykając się o starą kielnię i klucz francuski, pierwotnie pomalowany na żółto, ale teraz już prawie całkiem oblaźły z farby. Haris oddzielił część pracowni, tworząc coś w rodzaju wąskiego biura na całą długość budynku. Jest tam mały stolik z krzesłem, obok którego stoją galonowy kanister z wodą i kuchenka turystyczna z ekspresem do kawy. Ani śladu Evie. Wlewam trochę wody do kubka i stawiam go na podłodze dla Belli. Kiedy się prostuję, mój wzrok pada na ścianę po lewej stronie, szczelnie pokrytą fotografiami. W pierwszej chwili myślę, że to tablica nastrojów, która pomaga Harisowi znaleźć inspirację do pracy, ale zimna gula w żołądku podpowiada mi, że to co innego. Wolno podchodzę bliżej.

Jestem na wszystkich zdjęciach. Część została wykonana przez zawodowego fotografa, jestem na nich zadbana i elegancka; to zdjęcia z domeny publicznej. Jedno pochodzi ze strony internetowej Jenny, reszta jest produktem sesji fotograficznej w Ilkley na potrzeby artykułu w „The Telegraph”. Innych nigdy nie widziałam. Piję na nich kawę w kawiarni, czytam gazetę, oglądam wystawę sklepową, wędruję po wrzosowisku. Nie mam makijażu, ale wyglądam lepiej niż

w rzeczywistości. Musiały zostać zrobione teleobiektywem i powiększone przed wydrukowaniem: wszystkie kany są wygładzone, we włosach mam słoneczne błyski, moja twarz jest przeświecona.

Hałas rozrzuconego żelastwa nagle się urywa.

– Nie ma jej tutaj. Nigdzie nie mogę jej znaleźć. – Ciężko dysząc, Andy staje obok mnie.

– Jezu Chryste.

Na podłogę spada kropelka krwi. Skaleczył się, szukając mojej córki. Na umieszczonym w samym środku zdjęciu pcham wózek z Benem. Jego jasne włosy lśnią. Idę w stronę fotografa, ale głowę mam odwróconą w bok. Za to Evie, która idzie obok mnie, spogląda prosto w obiektyw. Jej usta są rozchylone, jakby zamierzała się uśmiechnąć albo coś powiedzieć. Jakby go znała.

– Pierdolony potwór! – wrzeszczy Andy.

Wybiegam na zewnątrz i czekając, aż Collier odbierze telefon, robię kilka głębokich wdechów.

– Zoe? – rzuca szorstko, ale w jego głosie słycać niepokój. – Gdzie pani jest?

– W domu Harisa Agniego.

Pod nami jest kępa powykęcanych drzew. Wyjaśniam mu, gdzie się znajdujemy i co znaleźliśmy.

– Jesteś pewien, że jej tam nie ma? – pytam Andy'ego, chociaż w zasadzie nie mam co do tego wątpliwości.

Bella nie zachowywałaby się tak, gdyby w pracowni była moja córka. W każdym razie żywa.

– O co w tym wszystkim, do cholery, chodzi? Co znaczą te zdjęcia?

Drzę na całym ciele. Nie chcę, żeby stracił panowanie nad sobą. Nie teraz. Nie tutaj. Ruszam ścieżką w dół, w stronę domu Harisa, w nadziei, że spotkam po drodze Colliera i Clegga.

Nie chcę zostać ani chwili dłużej w pracowni, wśród dowodów obsesji Harisa. Przypominam sobie jego słowa, że jesteśmy bratnimi duszami, i do gardła podchodzi mi żółć. *Wiedział* to, bo mnie obserwował. Zwrócił się do mnie Zoe Morley. Przeczytał artykuł na mój temat, ale autor nie napisał w nim, jak się nazywam po mężu. Ani w której szkole uczy się moja córka. Ben jeszcze nie chodził

wtedy do żłobka. Mimo to wiedział, gdzie się uczą moje dzieci: „To okropne, że masz na pracę tylko poranki, kiedy twoja córka jest w szkole, a synek w żłobku”. Śledził mnie.

Oszukał. Uwiódł po to, żeby dobrać się do Evie.

Andy mnie dogania.

– Wiedziałaś o tym?

Kręcę przecząco głową. Mała, okrutna część mnie zastanawia się, czy Andy wiedział? To on znalazł pracownię. Czy odgrywa przeciwioną rolę? Mógł współdziałać z Harisem. Nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa. Boję się, że jeśli otworzę usta, zacznę krzyczeć lub płakać.

W połowie drogi do domu Harisa coś przykuwa moją uwagę. Chwytam Andy'ego za ramię. To silniejsze ode mnie. Nie umiem odrzucić nawyków przyjaźni, która trwa całe moje dorosłe życie. Bez słowa pokazuję palcem. Na kolcoliscie wisi strzępek jakiejś tkaniny. Zrywam go i pocieram palcami. Jest błyszczący, syntetyczny, jasnoniebieski. Nie pochodzi z żadnej części ubrania, w którym Evie poszła w piątek do szkoły. Andy tak mocno ściska mnie za ramiona, że będę miała siniaki.

– To z sukienki – mówi. – Pieprzonej sukienki, którą miała na sobie na urodzinach Bena.

Sukienka księżniczki z *Krainy lodu*. Ta, której nigdy wcześniej nie widziałam. Zaczynam zbyt szybko oddychać, łykam powietrze haustami, które drapią mi gardło. Evie jest gdzieś na tym pustkowiu. Andy przytula mnie i trzyma w ramionach do przyjazdu policji.

Jest późne popołudnie. Siedzę w kucki na podłodze salonu, pośród wywrotek i traktorów, i próbuję bawić się z Benem, jakby nie działo się nic niezwykłego. Chyba słabo mi to idzie, bo wciąż klei się do mnie i marudzi. Ollie miota się po kuchni, szykując kawę i kanapki. Dom dziwnie pachnie. Stolik śniadaniowy jest zastawiony kwiatami. Goździki, chryzantemy, lilie. Obrzydliwie kolorowe bukiety, które mają wyrażać współczucie.

– Przyjechały, kiedy ciebie nie było – mówi Ollie. – Od rodziców z klasy Evie.

Dostarczyła je jedna z mam, pani Kilvington. Przyniosła też

zapiekanke.

– Zapiekanke?

– Tak. Kurczak z grzybami pod glazurą z białego wina. Wstawiłem do lodówki. Pani Kilvington zapytała, czy może na ciebie poczekać.

– Och.

Na myśl o kurczaku z grzybami pod glazurą z białego wina przyrządzonym przez Mandy Kilvington chce mi się wymiotować. A może to przez kwiaty? Ich woń przyprawia mnie o mdłości. Kicham.

– Powiedziałem, że nie może. Chyba nie chciałaś się z nią widzieć? Kręcę głową.

– Zjesz kanapkę?

Ma poirytowaną minę człowieka, który spał w środku dnia, ale za krótko. Pamiętam ten stan z pierwszego okresu po urodzeniu Bena. Chwytałam każdą chwilę, żeby się zdrzemnąć, ale nigdy nie udało mi się wyspać. Collier powiedział, że nie znaleźli Harisa: nie ma go w domu, jego pick-up zniknął. Jeszcze nie znaleźli. Ciągłe powtarzają „jeszcze”. Jenny też nie potrafi wskazać jego miejsca pobytu. Czuję się, jakby coś w środku mnie się zsiadło i teraz leży tam, gęste i zimne jak zjełcząca galareta. Nie umiem przestać myśleć o Harisie i tej przeklętej tablicy ze zdjęciami w jego pracowni. Od jak dawna mnie śledził? Czy to on uprowadził Evie?

Ollie otwiera puszkę tuńczyka; od zapachu ryby przewraca mi się w żołądku. Trochę sosu wylewa mu się na blat i wiem, że nie wytrze plamy porządnie, tylko rozmaże cuchnący rybą olej z okruchami chleba i będzie śmierdzieć.

Muszę opowiedzieć Olliemu o swoim odkryciu. Dziwnie by wyglądało, jeśli dowiedziałyby się od Colliera albo od Ruby, a nie ode mnie. Chcę, żeby mnie pocieszył. Lecz wolałabym mu nie mówić o swojej roli w tym wszystkim. Że w każdej wolnej chwili spotykałam się z Harisem. Że się z nim całowałam. Że niewiele brakowało, żebym się zakochała. Bawiąc się z Benem ciężarówkami, próbuję znaleźć odpowiednie słowa, właściwe zdania, wystarczającą dozę odwagi. Modłę się, żeby strzępek sukienki doprowadził policję do mojej córki. Ollie mnie wkurza. Trzaska drzwiczkami szafek, stuka kubkami, grzechocze łyżeczkami; zgrzyt noża do krojenia chleba przyprawia

mnie o ból zębów. Czuję, jak w głębi oczodołów narasta migrena.

– Musisz jeść – mówi. – Kiedy ostatnio coś jadłaś? Zrobię jedną dla ciebie.

Na myśl o kanapce z tuńczykiem robi mi się niedobrze.

– Powiedziałam: nie, dziękuję.

– W takim razie z serem.

– Nie!

Teraz już na pewno nic mu nie powiem, bo musiałabym to wykrzyzczyć. Zdaję sobie sprawę, że nie rozumiem całkiem racjonalnie, ale w tej chwili uważam, że to przez Olliego. Nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby tyle nie pracował, gdyby okazywał mi więcej uczucia, gdyby był dla Evie prawdziwym ojcem. Gdyby był *obecny*, nawet nie spojrzałabym na pieprzonego Harisa Agniego, a Evie nie wpadłaby w obsesję na punkcie swoich biologicznych rodziców. Słyszę swój głos i przez chwilę myślę, że chyba jednak zaczęłam mówić do Olliego.

Dziwnie brzmię, jak ja i nie ja. A potem to do mnie dociera. Podnoszę oczy i widzę na ekranie telewizora twarz Evie. Zasłaniam dłonią usta, bo jak mogłam choć na sekundę zapomnieć o swojej cudownej córeczce? Kłócimy się o durne kanapki z tuńczykiem, gdy oni pokazują jej zdjęcie: migdałowe zielone oczy, zadarty nosek, krzywy uśmiech, cień dołeczka w policzku. Nad jej buzią widnieje wypisane dużymi czarnymi literami słowo: ZAGINEŁA.

Twarz Evie znika i na ekranie znów widać mnie i Olliego. Wyglądam okropnie: wymizerowana i blada jak kreda, słomiane włosy, obłęd w oczach. To ten kawałek, gdy zaraz zacznę płakać, już za chwilę, przy końcu tego zdania... Kiedy wstaję, żeby wyłączyć telewizor, moją uwagę przykuwa twarz Olliego, który siedzi obok mnie w pokoju pełnym dziennikarzy. Nie patrzy w kamerę. Jest ogolony i schludny. Nie widać, że pozacinał się przy goleniu i że ma przetłuszczone włosy. Wygląda dobrze i wydaje się nieobecny duchem. Ani na moment nie zwątpiłam we własnego męża, kiedy Collier i Clegg wypowiadali swoje insynuacje. Ale teraz, patrząc na wyniosły wyraz jego twarzy, zaczynam się zastanawiać. Czy to możliwe, by ukrył gdzieś Evie? Czy właściciel The Ormond Gallery,

który zapewnił mu alibi, też jest w to zamieszany? To by wyjaśniało, dlaczego Ollie nie przyjechał natychmiast, kiedy Ben wylądował w szpitalu. Jaki mężczyzna stawia pracę nad życie rodzzonego syna?

Ekran gaśnie. Ollie stoi obok mnie z pilotem w ręku.

– Oglądałam to! – wrzeszczę. – Widziałeś siebie? Miałeś minę, jakby nasza córka w ogóle cię nie obchodziła.

– Co, u diabła? Jak myślisz, co ja teraz robię? Wracam na to cholerne wrzosowisko, żeby jej dalej szukać.

– Nie musielibyśmy jej szukać, gdyby...

– Gdyby co? Gdybyś znalazła godną zaufania osobę, która odebrałaby Evie ze szkoły.

Jestem w takim szoku, że nie mogę znaleźć słów. Naprawdę tak uważa? Dlaczego to ja mam być za wszystko odpowiedzialna: siedzieć w szpitalu przy naszym synku, któremu stanęło serduszko, i jednocześnie organizować opiekę dla naszej córki?

– Załatwiłam. Jej nauczyciela. Który opiekował się nią, odkąd była maleńka. Kto twoim zdaniem mógł być bardziej godny zaufania?

– Widocznie jednak nie znalazłaś, bo facet spierdolił Bóg wie gdzie, pozwalając, żeby naszą córkę uprowadził jakiś psychol. O ile sam nie jest pieprzonym psycholem.

Pakuje kanapki do foliowych torebek i wrzuca je do plecaka. Jest czerwony na twarzy. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby był taki wściekły. Mam ochotę nakrzyczeć na niego za to, że opuścił nas w ostatnich miesiącach przed porwaniem Evie, że przerzucił całą odpowiedzialność na moje barki, ale odwracam się od niego bez słowa. Po twarzy płyną mi łzy.

– A co się tyczy tej cholernej konferencji prasowej, mówiłem ci, że to strata czasu. Ale ty się uparłaś. To ty nas w nią wpakowałaś! I co to dało? Evie jak nie było, tak nie ma, a policja jest zajęta odbieraniem telefonów od zawracaczy głowy, którzy dzwonią, żeby powiedzieć, że widzieli zupełnie inną dziewczynkę. Pedofile z całego hrabstwa jarają się, oglądając nas w telewizji. Moje konto na Twitterze jest zapchane komentarzami trolli opisujących, co chcieliby zrobić z naszą córką.

Wkłada traperki i chwyta kurtkę. Zanim zatrzasną się za nim drzwi, słyszę, jak dziennikarze, którzy nadal koczują pod domem, opadają go

z jazgotem niczym sfora psów.

Trzęsą mi się ręce. Ollie nigdy wcześniej tak do mnie nie mówił. Praktycznie nie zdarza mu się podnieść głosu. Jego zarzuty są tak niesprawiedliwe, że mam ochotę mu przyłożyć. Zanoszę Bena na górę, żeby go wykąpać, i próbuję się uspokoić.

Zostawiłam samochód na trakcie przy Podwójnych Głazach i teraz, kiedy Ollie wyszedł, nie ma kto mnie po niego zawieźć. Ben chlupie się w wodzie, a ja znów myślę o Harisie. Nie wiem, gdzie może być. Wcale go aż tak dobrze nie znałam. Próbowałam się do niego dodzwonić i wysłałam kilka esemesów z prośbą, żeby się odezwał, ale nie odpowiedział. Co zrobić, żeby go znaleźć? Nagle przypominam sobie, że wspomniał o swojej siostrze, która ma syna w podobnym wieku co Ben. Haris pochodzi gdzieś z tych okolic. Biorę iPada i szukam „Agni” w połączeniu z Leeds, a następnie z Bradford. Skoro go odwiedza, pewnie mieszka gdzieś niedaleko. Ale jeżeli ma dziecko, pewnie jest mężatką i nazywa się zupełnie inaczej. Niewiele brakuje, żebym się od razu poddała, tymczasem wyszukiwarka wyrzuca trzy osoby, w tym tylko jedną kobietę, Yasirę Agni z uniwersytetu w Bradford. Może zachowała panińskie nazwisko albo jest samotną matką.

Klikam na link. Robi doktorat na wydziale anglistyki, temat jej badań brzmi *W.B. Yeats. Podejście psychoanalityczne*. Próbuję powiększyć jej zdjęcie, ale się nie daje. Trudno powiedzieć, czy wygląda na siostrę Harisa. Odnajduję jej profil na Facebooku. Nie zablokowała dostępu do swojego konta, więc mogę obejrzeć zdjęcia. Zaróżowiony od kąpieli Ben skwapliwie wykorzystuje brak uwagi z mojej strony. Kapitan Jack i jego marynarze skaczą z pirackiego okrętu w morskie odmęty, podnosząc fontanny wody.

– Ben! – wołam, ale ignoruje mnie i dalej pluska się z wrzaskiem.

Wycofuję się na drugi koniec łazienki, żeby ochronić iPada przed zachlapaniem. Yasira Agni jest ładną kobietą o długich czarnych kręconych włosach i bladozielonych oczach. Ma ciemniejszą karnację niż Haris i inny kształt twarzy: bardziej okrągły, łagodniejszy, z wąskim nosem. Czy może być jego siostrą? Nie wiem. Zaczynam się denerwować. Powinnam wyciągnąć Bena z wanny i przygotować do

spania. Wydaje z siebie kanonadę tubalnych odgłosów; widocznie statek piratów kogoś ostrzeliwuje. Nie mogę jasno myśleć w takim hałasie.

Wreszcie na coś trafiam. To zdjęcie z urodzin dziecka: Yasira obejmuje małego chłopca. Jego buzię rozświetla blask dwóch świeczek na torcie. Nabrał pełne policzki powietrza, zaraz będzie dmuchał. Skroluję do następnego zdjęcia. Świeczki są już zdmuchnięte, Yasira kroi tort. Na zrobionym w szerokim planie zdjęciu widać siedzących przy stole gości; to jedno z tych przyjęć głównie dla dorosłych, na jakie można sobie pozwolić tylko przy bardzo małych dzieciach. Już chcę się poddać i wyłączyć iPada, kiedy go wreszcie dostrzegam. Siedzi na samym końcu po prawej stronie, z kieliszkiem czerwonego wina w ręce, i uśmiecha się do swojej siostry.

Powiększam zdjęcie. To bez cienia wątpliwości Haris.

Szybko wstukuję nazwisko Yasiry Agni do wyszukiwarki i tym razem portal 192.com wyrzuca jej kod pocztowy. Figuruje na liście wyborców i jeśli zarejestruję się na stronie, uzyskam dostęp do jej pełnego adresu. Robię to natychmiast. Nie mogę uwierzyć, że jestem w stanie znaleźć tyle informacji na temat kompletnie obcej osoby. Cóż, może już nie aż tak kompletnie. Wiem, gdzie pracuje, wiem, kim jest jej brat, ile lat ma jej syn, kto jest jej ulubionym poetą i że nosi ten sam rozmiar co ja i ubiera się w podobnym stylu. A teraz wiem również, gdzie mieszka: Stonechat Place 3, Little Horton, bezpośrednio na tyłach uniwersytetu. Może chodzić do pracy piechotą.

Wyciągam Bena z wody i wycieram do sucha. Nie mam chwili do stracenia. Ollie może wrócić z akcji poszukiwawczej dopiero rano. Ubieram Bena w piżamę, wkładam mu ciepłe skarpetki i polar. Dzwonię po taksówkę.

Ben jest podekscytowany, że wychodzimy z domu o tak późnej porze. Pokazuje palcem latarnie i krzyczy: – Księżyc! Gwiazdy!

Taksówka dowozi nas do miejsca, w którym zostawiłam samochód. Ben zasypia niemal natychmiast po znalezieniu się we własnym foteliku. Jadę, kierując się drogowskazami na Alhambrę i uniwersytet. Mijamy Bombay Stores². Pamiętam, jak jako zakochana w sari

nastolatka buszowałam wśród bel tkanin w tropikalnych barwach, połyskujących pozłotą i cekinami. Wydawały się zbyt jaskrawe dla kogoś takiego jak ja. Gubię się w labiryncie bocznych uliczek. Zastanawiam się, czy Ruby mieszka w pobliżu. Prawie nic nie wiem o jej życiu prywatnym. To nie w moim stylu, ale prawdę mówiąc, tym razem wyjątkowo nie jestem ciekawa. Chcę odnaleźć moją córkę. Nie mam siły na towarzyskie rozmowy. Ale warto by było ją trochę podpytać, przez wzgląd na Evie. Collier twierdzi, że Haris jest muzułmaninem.

Możliwe, że Ruby też, i kto wie, czy nie zachodzi tu konflikt interesów; niewykluczone, że to jej zaburza ocenę sytuacji. Jest już wczesny wieczór i zrobiło się chłodno. Na wyludnionych ulicach nie ma bawiących się dzieciaków ani nikogo, kogo odważyłabym się zapytać o drogę. Kieruję się nazwami ptaków: skręcam w lewo w Wheatear, jadę Plover, w prawo w Curlew, która okazuje się ślepą uliczką, aż wreszcie znajduję Stonechat^[3]. Parkuję przed numerem trzecim. W oknach pali się światło, więc Yasira pewnie jest w domu. Może właśnie kładzie spać synka albo mały już śpi. Odpinam Bena z fotelika i biorę go na ręce. Jest rozgrzany i ciężki. Wtula mi buzię w zagłębienie obojczyka i cicho pochrapuje.

Stoję na chodniku. Na klatce piersiowej i pod pachami czuję kropelki potu. Jestem tu sama ze śpiącym dwulatkiem i zamierzam zapukać do drzwi obcej osoby. Tę dzielnicę zamieszkują głównie muzułmanie i mam wrażenie, jakbym znalazła się za granicą. Wiem, że to głupie, ale nic na to nie poradzę, że czuję się dziwnie. W obu kierunkach ciągną się długie szeregi domów: niskich, wąskich, stłoczonych, zbudowanych z miejscowego piaskowca.

Identycznych jak ten, w którym spędziłam dzieciństwo i w którym moja ciężko pracująca mama mieszkała całe życie, uważając, że jest wspaniały. Może ci ludzie urodzili się gdzie indziej, lecz teraz są tak samo tutejsi jak ja.

Rozluźniam napięte ramiona, biorę głęboki wdech i stukam do drzwi. W środku rozlegają się kroki. Ciekawe, czy jest tam Haris; może to on mi otworzy. Oddycham szybko i płytko. Tulę w ramionach Bena. Drzwi uchylają się i Yasira Agni wystawia zza nich

głowę. Patrzy na mnie, obrzuca wzrokiem ulicę i znów patrzy na mnie. Wygląda na zmęczoną. Włosy ma ściągnięte w potargany kok. Jest ubrana w bezkształtne dżinsy, koszulkę w paski i znoszone trampki. Podobny zestaw wygrzebałabym ze swojej szafy, co mi przypomina, że nadal mam u siebie jej rzeczy.

– Czego sobie pani życzy? – Mówi z identycznym akcentem co ja, typowym dla zachodniego Yorkshire, ale złagodzone, w jej przypadku – latami pracy na uniwersytecie, w moim – życiem z Oliem.

– Jestem znajomą Harisa. Jest może u pani?

– Nie, przykro mi. – Kręci przecząco głową i chce zamknąć drzwi.

– Proszę. – Robię krok do przodu. – Mogę wejść? To zajmie tylko chwilę. Muszę z panią porozmawiać.

– Nie wiem, kim pani jest – stwierdza oschłym tonem.

– Nazywam się Zoe Morley.

– Zoe Morley! – Szeroko otwiera oczy. – Wydawało mi się, że skądś znam pani twarz.

Widziałam panią w telewizji. Pani córka...

– Tak. Proszę. Tylko na minutkę.

Obrzuca spojrzeniem Bena, a potem odsuwa się i wpuszcza nas do środka. Wchodzimy do salonu, gdzie mały chłopiec z burzą czarnych włosów leży na kanapie i ogląda *Dobranocny ogród*.

– Thomasie, przesiądź się na fotel. Może go pani tutaj położyć. Przyniosę koc. Napije się pani herbaty?

Kiwam głową. Nagle zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem głodna. Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś jadłam. Yasira wraca z dziecięcym kocykiem, którym przykrywam Bena. Ścisza dźwięk w telewizorze i wychodzi do kuchni. Chłopiec ma duże oczy z firankami gęstych rzęs.

Wpatruje się we mnie nieruchomym wzrokiem do chwili, gdy Makka Pakka stuka swoimi kamyczkami i z powrotem przyciąga jego uwagę do telewizora.

– Cześć. Jestem Zoe. A to jest Ben. Jest twoim rówieśnikiem – mówię, ale on nie zwraca na mnie uwagi.

Na podłodze walają się zabawki. Poprzecieraną wykładzinę przykrywa pakistański chodnik, taki sam jak w domu Harisa. Yasira

wraca z kuchni z kubkiem herbaty i talerzem ciepłych słodkich bułeczek posmarowanych masłem.

– Chcę bułeczkę – oznajmia Thomas.

Yarisa z westchnieniem spełnia jego prośbę. Jest poirytowana, jakby to była moja wina, że naszła go ochota na słodycze. Chciałabym, żeby Ben się obudził i zjadł te jej cholerne bułeczki; to chyba nie jest normalne, żeby spał w cudzym domu przy włączonym telewizorze?

Uwielbia *Dobranocny ogród*. Jest taki apatyczny, bo dzieje się z nim coś bardzo złego, czy może to zwykłe zmęczenie?

– Trudno zagonić malucha do łóżka, jak człowiek jest sam. Kiedy skończę sprzątać po kolacji, jest już tak późno, że nie mam na nic energii. – Przerywa raptownie, jakby mówienie o dzieciach, kiedy właśnie jedno straciłam, było nietaktem. – Bardzo pani współczuję. Mam nadzieję, że znajdzie pani córkę.

Podnoszę do ust kubek, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego. Nie mogę się teraz rozpląkać; nie w domu tej kobiety.

– Jest pani dziewczyną Harisa? Nie, to niemożliwe. Przecież pani jest mężatką. Mieliście romans? Dlatego tu pani przyszła? – Ma głos zimny jak lód.

Kręcę przecząco głową.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Wystawia w tej samej galerii co ja. Próbuje go znaleźć.

Może wiedzieć, gdzie jest Evie, moja córka.

– Skąd miałby to wiedzieć?

Nie przypuszczałam, że będzie taka oschła i nieustępliwa. Tłumaczę sobie, iż fakt, że ubieramy się w tym samym stylu i lubimy tego samego mężczyznę – chociaż każda w inny sposób – nie oznacza wcale, że utworzy się między nami jakaś więź. Teraz, kiedy jestem w środku, widzę, że jej mieszkanie jest zupełnie inne od domu mojego dzieciństwa. Salon jest połączony z jadalnią, w której króluje duży owalny stół. Meble są staroświeckie, ale nie eleganckie, wyglądają na kupione w komisie meblowym. Szukam w Yarisie podobieństw do Harisa; on też nie siliłby się na uprzejmość wobec obcej osoby. Znam go lepiej niż ją i tylko dlatego wiem, że potrafi być także pełen pasji i

ciepła. Oraz agresywny.

– Wie pani, gdzie on jest?

– Nie.

– Policja go szuka.

Przez jej twarz przemyka cień jakiejś emocji. Czyżby strachu?

Dopija herbatę i mówi:

– Muszę położyć Thomasa spać. Nie mogę pani pomóc.

Wstaje, jakbym była krnąbrną studentką, która przyszła do niej na konsultację i nie chce zrozumieć, że jej czas już się skończył.

– Znaleźli jego samochód. Kompletnie spalony. Nie wiem, czy nie miał wypadku.

Siada. Przez moment sprawia wrażenie oszołomionej, ale kiedy się w końcu odzywa, jej głos znów jest lodowaty i opanowany.

– Gdyby miał wypadek, trafiłby do szpitala. Ktoś zawiadomiłby mnie albo naszych rodziców. To znaczy, że policja szuka go w związku z zaginięciem pani córki. Dlaczego?

Nie wiem, jak dużo powiedzieć ani jak to sformułować, żeby jeszcze bardziej jej do siebie nie zrazić.

– Przed zaginięciem Evie znaleźliśmy kartki i prezenty od mężczyzny, który podawał się za jej biologicznego ojca. Wśród nich był muzułmański modlitewnik.

– Znajdujecie muzułmański modlitewnik i spalony samochód i błyskawicznie dochodzicie do wniosku, że waszą córkę porwał śniady mieszkaniec Ilkley? Przez takich jak wy chce mi się rzygać. – Jej twarz wykrzywia grymas obrzydzenia. – Jeśli Haris naprawdę jest pani przyjacielem, jak pani twierdzi, powinna pani wiedzieć, że nigdy w życiu nie skrzywdziłby dziecka. W ogóle niespecjalnie interesują go dzieci, z małym wyjątkiem Thomasa, któremu zresztą też nie poświęca zbyt wiele uwagi.

– Był moim przyjacielem – mówię – ale powiedział mi, że spędził siedem lat w Dolinie Hunza. Nie przyznał się, że siedział w więzieniu.

Czuję się coraz bardziej przygnębiona. Potrzebuję pomocy Yarysy. A ona podrywa się z krzesła.

– Zdaje sobie pani sprawę, jak jest mu trudno? Ile wysiłku kosztowało go znalezienie pracy? Zdobył pan uznanie jako artysta?

Czego pani oczekuje? Kupiłaby pani od niego rzeźbę albo wynajęła mu dom, wiedząc, za co był skazany?

Ben budzi się z przerażeniem w szeroko otwartych oczach. Zaczyna płakać. Biorę go na ręce i uspokajam.

– Proszę, niech mi pani powie, gdzie on jest.

– Powiem pani coś o Harisie, a potem pani stąd wyjdzie.

Mówi bardzo głośno, prawie krzyczy, jej słowa przebijają się więc przez wrzaski Bena. To sprawia, że robię się jeszcze bardziej wściekła i przerażona.

– Rzeczywiście pochodzimy z Pakistanu. Nasi dziadkowie należeli do ludu Hunza.

Przyjechali do Bradford w latach pięćdziesiątych. Nasi rodzice urodzili się już tutaj. Ja i mój brat też. Rodzice nie wychowali nas na muzułmanów, bo chcieli, żebyśmy się nie wyróżniali, żebyśmy zintegrowali się z tutejszą społecznością. Haris jest najmniej religijnym człowiekiem, jakiego znam. Na miłość boską, przecież pije alkohol! Wątpię, czy znalazłby drogę do Mekki z kompasem i mapą w rękę! Nasi dziadkowie już nie żyją. Żadne z nas nigdy nie było w Pakistanie. Jeśli szukacie muzułmanina, trafiliście nie na tę osobę.

Trzęsie się ze złości. Wstaję. Oddycha ciężko, stoi zbyt blisko mnie. Ma ciemne sińce pod oczami. Nie czuję już do niej sympatii. Ben przestaje płakać i zaczyna ssać kciuk.

– Znalazłam zdjęcia w pracowni Harisa. – Staram się mówić spokojnym, wyważonym tonem. – Całą ścianę oklejoną zdjęciami. Na większości byłam ja, ale na samym środku umieścił zdjęcie, na którym moja córka patrzy prosto w obiektyw. Ona go zna. Jeśli jej nie porwał, to w każdym razie wie, gdzie jest. – Kołyszę Bena w ramionach; zasypiając, robi się coraz cięższy.

– Haris jest niebezpiecznym człowiekiem i pani o tym wie. Muszę z nim porozmawiać. Muszę znaleźć moje dziecko. Jeśli się tu pojawi, proszę koniecznie do mnie zadzwonić.

Rozglądam się za czymś do pisania. Z początku nie stara się mi pomóc. Kiedy podnoszę z podłogi kredkę, próbując nie upuścić przy tym Bena, w końcu mięknie. Chwyta kredkę i zapisuje numer mojej komórki na jednej z kolorowanek Thomasa. Potem otwiera mi drzwi,

starannie unikając mojego wzroku. Nie mówi „do widzenia”.

Z

Udało mi się cię znaleźć. Znów trzymam cię w ramionach. Nie potrafię opisać, co to była za ulga. Na twój widok moje oczy napełniły się łzami. Błąkałaś się samotnie po wrzosowisku. Powiedziałaś, że się zgubiłaś. Rozdarłaś sobie sukienkę, twoje biedne rączki i nóżki są całe w zadrapaniach. Trzęsałaś się z zimna, miałaś gęsią skórkę. Z początku nie chciałaś ze mną wrócić. Płakałaś, krzyczałaś, wyrывałaś się. Ale w końcu pozwoliłaś się przytulić i ukołysać.

Nie kochasz mnie tak mocno, jak mówiłaś. Pamiętasz obrazki, które mi rysowałaś, podpisując je „kocham cię Evie xxx”? Zresztą nic w tym dziwnego. Znasz mnie dopiero od niedawna, a z nimi byłaś od urodzenia. Wmówili ci, że są twoimi prawdziwymi rodzicami.

Potrzebujemy więcej czasu. Nie jest to dla mnie zaskoczeniem, lecz mimo to jest mi bardzo przykro. Muszę wziąć się w garść. Jesteś *moją* córką.

Mówisz, że chcesz do mamusi. Mam ochotę tobą potrząsnąć, przemówić ci do rozumu. Tłumaczę, że ta kobieta nie jest twoją matką i nigdy nią nie będzie. Tulisz się do mnie, boisz się, że zostawię cię samą w nocy na wrzosowisku. Że cię porzucę. Wiem, że boisz się rozłąki. To część twojej osobowości. Ale to się zmieni. Nigdy cię nie opuszczę. Ciągnę cię do domu, potykając się o korzenie, zaplątując w krzaczki jagód. Jesteś zmęczona, zmarznięta i głodna. Muszę cię nieść. Płaczesz przez całą drogę, czuję na szyi twoje gorące łzy.

W domu daję ci coś na uspokojenie. Robię to niechętnie, ale nie mogę ryzykować, że ktoś cię znajdzie. Nie teraz, kiedy jesteśmy tak blisko celu. Tam, dokąd cię zabiorę, nikt nas nigdy nie wytropi. Będiesz miała aż nadto czasu, żeby mnie pokochać. Zapomnisz o nich.

Moja prawdziwa duchowa ojczyzna uleczy cię, tak jak uleczyła

mnie.

Poniedziałek: trzy dni po zniknięciu Evie

– Proszę cię, tylko nie mów, że idziesz do pracy.

Jest wpół do siódmej rano. Ollie, w garniturze, nalewa kawy do kubka termicznego.

Wygląda okropnie. Jego skóra jest szara jak pergamin. Otulam się ciaśniej szlafrokiem. Jest mi zimno, jeszcze nie zaczęli grzać. Jakies półtorej godziny temu słyszałam, jak wrócił, i spodziewałam się, że przyjdzie do łóżka, ale widocznie musiałam zasnąć, bo kiedy się obudziłam, prześcieradło po jego stronie nadal było zimne i gładkie, a z kuchni dochodziły odgłosy krzątania.

– Jadę do firmy. – Ollie, proszę...

– Jeśli uprowadził ją ten facet Haris Agni, to znaczy, że na wrzosowisku jej nie ma. Grupa poszukiwawcza przeczesuje je od czterdziestu ośmiu godzin. Wczoraj helikopter dokładnie sprawdził cały teren. Nie ma tam żadnej żywej istoty, nie licząc cholernych owiec. Ciągle jeszcze nie znaleźli pieprzonego Jacka Mitchella. Dziś powinien wrócić do pracy, ale jakie są szanse, że się tam pojawi, żeby go od razu zgarnęli? Nie mogę tu siedzieć i się zastanawiać, który z tych sukinsynów ją porwał i co jej robi. W pracy przynajmniej będę mógł nie myśleć o tym, choćby przez krótką chwilę – chrypi.

Przytulam go; obejmuje mnie i opiera brodę na mojej głowie. Zaciskam powieki i zagryzam wargę, próbując odpędzić od siebie obrazy wywołane słowami Olliego. Jeśli je do siebie dopuszczę, pęknie mi serce. Dlaczego nie może zostać ze mną i z Benem? Nie wie jeszcze o zdjęciach w pracowni Harisa. Wczoraj nie zdążyłam mu o tym powiedzieć, tak szybko wybiegł z domu, a Ruby, o ile w ogóle się z nim widziała, zapewne uznała, że już o tym wie. Może gdyby wiedział, nie byłoby mu tak spieszo wyrwać się do pracy.

– Przepraszam za wczoraj – mamrocze mu w koszulę.

– Ja też.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Muszę to zrobić, zanim dowie się o tym od policji albo zobaczy w

wiadomościach.

– Cholera. Spóźnię się na pociąg. Zadzwoń do mnie, jeśli się czegoś dowiesz.

Po jego wyjściu przez kilka minut stoję pośrodku salonu i nie mam siły się ruszyć.

W domu panuje kompletna cisza.

Nagle słyszę kroki.

– Mamusiu – woła Ben.

Klekokcze na górze bramką zagrządzającą mu dostęp do schodów. Nie pójdzie dzisiaj do żłobka. Nie chcę go ani na chwilę spuszczać z oka. Kiedy otwieram bramkę, patrzy na mnie z dołu i pyta: – Evie. Gdzie Evie?

– Och, Ben. Skarbie.

Wtulam twarz w jego miękkie, rozespiane ciało.

– Evie? – powtarza i zaczyna płakać.

Kołyszę go w ramionach i rozpaczliwie tęsknię za córką.

O siódmej trzydzieści zjawia się Ruby.

– Nie chciałabym rozbudzać w tobie przedwczesnej nadziei – zastrzega od razu, widząc moją zapłakaną twarz. Muszę wyglądać równie tragicznie, jak się czuję.

– Macie Jacka?

Kręci głową.

– Wczoraj w nocy znaleźliśmy Harisa – oznajmia triumfującym głosem.

Odwracam się, by ukryć rozczarowanie. Otulam się szczelniej szlafrokiem. Ben jest wysmarowany płatkami na mleku, a ja nie zdążyłam się umyć, a co dopiero ubrać. Na pewno wyglądam koszmarnie.

– Był u przyjaciół w Leeds. Twierdzi, że nie miał pojęcia o zaginięciu Evie. Nie oglądał wiadomości. Podobno próbowałaś się do niego dodzwonić?

Przytakuję.

– Nie odsłuchał twoich wiadomości. Mówi, że od razu je skasował. Przeszukaliśmy dom jego znajomych, nic nie wskazuje, że Evie tam była. W tej chwili technicy analizują materiał dowodowy. Damy wam

znać, jeśli coś znajdą.

– Mógł zabrać ją w inne miejsce.

– Tak, to możliwe. Haris przebywa w areszcie. Collier nie skończył go jeszcze przesłuchiwać, ale chciałam od razu ci o tym powiedzieć. Na razie jednak nie ma żadnych dowodów, że Evie była w domu albo w pracowni Harisa.

– A co z tym kawałkiem materiału? Ze strzępem sukienki, który znalazłam na wrzosowisku?

– Nie mamy jeszcze wyników analizy. Nie wiemy na pewno, czy to z jej sukienki.

– A jego samochód?

– Jest całkowicie spalony, nie da się ustalić, czy w nim była. Twierdzi, że od kilku dni go nie używał. Zostawił go w Ilkley. Pojechał półciężarówką, którą zaparkował przed domem przyjaciół. Nie znaleźliśmy w nim żadnych śladów, które by wskazywały, że wioził nią Evie.

– Jak możecie być tacy cholernie pewni? A co ze zdjęciami w pracowni? Jak to, do diabła, wytłumaczył?

– Mogę zaparzyć herbaty? Sama bym się chętnie napiła.

Kręcę głową, zdając sobie sprawę, że to nie w moim stylu. Należę do osób, które proponują gościom jedzenie i picie, gdy tylko przestąpią próg. Ale Ruby nie jest gościem ani moją przyjaciółką, a gościnność to ostatnia rzecz, do jakiej mam teraz głowę.

– Mogę zrobić też kilka tostów? Nie zdążyłam zjeść śniadania. Przy okazji, oddaję laptopa. – Kładzie go na stole.

Milczę. Trzęsę się z wysiłku, żeby się nie rozpaść albo nie nawrzeszczyć na Ruby. Jak oni mogą wierzyć w kłamstwa Harisa? Dlaczego, na litość boską, nie znaleźli Evie ani nawet żadnego śladu? Gdybym nie musiała opiekować się Benem, rzuciłabym się z płaczem na podłogę. Chyba rozumiem, dlaczego Ollie poszedł do pracy.

Ruby parzy herbatę. Kiedy stawia przede mną kubek, już jako tako panuję nad emocjami.

– Jeszcze, jeszcze, jeszcze! – wrzeszczy Ben.

Wkładam mu do otwartej buzi ostatnią łyżeczkę płatków i zaczynam ścierać z niej paćkę.

– Co tam robiły te zdjęcia?

Ruby odstawia ostrożnie kubek i mówi: – Miał na to gotowe wyjaśnienie. Nie spodoba ci się. To się zaczęło, kiedy odsiadywał wyrok.

Tost wyskakuje z maszynki. Ruby odkłada go na talerz i wsuwa do tosterka kolejne dwie kromki.

– Co się zaczęło?

– Chciał odbudować swoją karierę artystyczną. Poznał Jennifer Lockwood przy okazji jakiejś gali dobroczynnej. Zaproponowała, że będzie go reprezentować, kiedy już wyjdzie z więzienia. Na jej stronie internetowej zobaczył twoje zdjęcie. Czym ci posmarować tosta?

– Wszystko jedno – odburkuję.

Smaruje go margaryną, a potem zawiesza na mnie spojrzenie.

– Z dżemem czy z pastą drożdżowo-warzywną?

– Z dżemem. Jezu. Moje zdjęcie? – ponagliam ją.

– Tak. Powiedział, że nie mógł przestać o tobie myśleć. A jak się domyślasz, miał dużo czasu na myślenie.

Podaje mi tosta i zaczyna przygotowywać porcję dla siebie. Odgryzam kęs i odsuwam od siebie talerz. Zwymiotuję, jeśli coś zjem.

– Powiedział, że w więzieniu starał się zebrać jak najwięcej informacji na twój temat. – Ruby siada naprzeciwko mnie. – Mówi, że miał obsesję na twoim punkcie – dodaje po chwili wahania. – Wszystko starannie zaplanował. Śledził cię. Fotografował. „Zaaranżował okazję”, żeby cię poznać. Przypuszczam, że to skrót myślowy na ukartowanie odpowiedniej sytuacji.

Milknie. Czeka na moją reakcję. Odwracam się, żeby wyjąć Bena z krzeselka. Powinnam być w szoku, ale jestem dziwnie spokojna.

– To wszystko do niego pasuje. – Wzruszam ramionami. – Jest obsesyjny, wyrachowany, manipulujący.

A ja, kretyńka, brałam go za namiętnego, urzekającego, obdarzonego surowym wdziękiem. Ruby pochłania swojego tosta, odgryzając zaskakująco duże kęsy.

– Jeśli znał mnie tylko ze zdjęcia na stronie internetowej, skąd mógł wiedzieć, jaka jestem naprawdę? To tak, jakby przeczytał horoskop w gazecie i uwierzył, że to właśnie o nim.

Nic dziwnego, że tak się wściekł, kiedy nie zdecydowałam się na romans; zdążył już sobie wyobrazić, że opuszczam Olliego i wprowadzam się do domu na wrzosowisku. Ruby kończy pierwszego tosta i bierze się do następnego. Nadal milczy w nadziei, że będę mówiła dalej, że opowiem jej o swoim związku z Harisem.

– A co z Evie? Wykorzystał mnie, żeby się do niej zbliżyć?

Wyciera usta z okruszków.

– Twierdzi, że nie. Mówi, że nie jest jego dzieckiem. Przed pójściem do więzienia nie był w żadnym związku. Jej zdjęcie znalazło się w pracowni przypadkiem, to ciebie fotografował.

I oczywiście zaprzecza, że wysyłał twojej córce kartki i prezenty.

– Wierzycie mu? Co myśli o tym Collier?

– Poczekajmy jeszcze trochę – odpowiada. – Dam ci znać, kiedy skończy go przesłuchiwać. Haris ma alibi, Clegg właśnie je sprawdza. Mamy na niego jedynie to, że nie może udowodnić, iż to *nie* on podrzucił Evie te kartki i prezenty. Jego charakter pisma *jest* podobny. Oddaliśmy próbkę i kartki do ekspertyzy grafologicznej. Zleciliśmy też badanie DNA; jutro się okaże, czy jest biologicznym ojcem Evie.

Myje dokładnie kubek i talerz, zamiast wstawić je do zmywarki, i wyciera ręce w ścierkę.

– A Jack? – pytam. – Dziś rano miał wrócić do pracy.

Kiwa głową.

– Pod jego domem czekają policjanci. Jeśli wróci albo przyjdzie do szkoły, natychmiast go zgarniemy. Jadę teraz na komendę. Gdy tylko dowiem się czegoś o Jacku, od razu do ciebie zadzwonię. Zajrzę tu jeszcze po południu. Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Kręce głową. Nie jestem w stanie się odezwać.

– Przykro mi, że nie przyniosłam lepszych wiadomości – mówi, dotykając mojego ramienia.

– Jak sobie z tym wszystkim radzisz? – pytam po chwili.

Zatrzymuje się, jakby moje pytanie zmusiło ją do zastanowienia. Nie sądzę, żeby rodziny, którym pomaga, często zadawały jej to pytanie, lecz to na pewno nie jest łatwa praca.

– Jestem zmęczona, ale radzę sobie – odpowiada ze słabym

uśmiechem.

– Nie chcesz narzekać przy mnie ani przy Olliem. Myślisz, że twoje trudności są błahe w porównaniu z... – nie jestem w stanie dokończyć zdania, zaczynam więc od początku. – Ale to nie szkodzi. Muszę usłyszeć coś normalnego, zwykłego.

Czochra Benowi włosy i przyciąga do niego stonogę na sznurku.

– Noga – oznajmia mój syn.

– No cóż. Dobrze – mówi. – Tego rodzaju sprawy zawsze są trudne. Pod względem emocjonalnym i fizycznym. Praca do późna plus codzienne dojazdy z Bradford. Ale to mi nie przeszkadza. W tej chwili liczy się tylko Evie. Odeśpię później. Musimy odnaleźć ją całą i zdrową. Ta myśl mnie trzyma na nogach.

– Mieszkasz z rodzicami?

– Tak. Lubię dużo pracować. Mają wtedy mniej okazji do powtarzania, że jestem za stara i za apodyktyczna, żeby znaleźć sobie męża. Moja siostra ma synka, rok młodszego od Bena.

Mieszkają dwa domy dalej, więc mama ma co robić. Nie ma już tyle czasu, żeby mi ciosać kołki na głowie. – Zakłada na ramię torbę. – Muszę lecieć. Dzwoń, jeśli będę potrzebna.

– Jesteś muzulmanką?

Przystaje w drzwiach, odwrócona do mnie plecami. Przez dłuższą chwilę stoi bez słowa. Kładzie dłoń na klamce i już myślę, że wyjdzie bez odpowiedzi, w końcu jednak mówi cicho: – Zło nie ma religii, Zoe.

Biorę na ręce Bena i oboje patrzymy, jak odchodzi ścieżką przez ogród, przekomarzając się z dziennikarzami, którzy piją ze styropianowych kubków tanią kawę z automatu w pobliskim zakładzie mechanicznym i posilają się indyjskim jedzeniem na wynos. Ich koledzy, którzy nie koczują pod naszym domem, tylko zasypują Olliego i mnie e-mailami z prośbą o wywiad, bez wątpienia zaopatrują się w kawę w The Bar.

Na pewno mnie znienawidziła. Uważa mnie za hołdującą przesądom pańcę z klasy średniej. Mam to gdzieś. Musiałam jej zadać to pytanie. Nadal nie potrafię rozstrzygnąć, czy to oznacza, że jest do nas uprzedzona. Na razie muszę jej ufać. Zastanawiam się, co Ruby

wie albo wydaje jej się, że wie o mnie i Harisie. Powiedziałam jej, że go znam, kiedy znalazłyśmy na wrzosowisku jego spalony samochód. Kiedy to było? Nie mogę sobie przypomnieć. Dni zlewają mi się w zielonoszary koszmar.

Odpowiadam na esemesa od Hanny: nie, nie wypłynęło nic nowego. Pisz, że idzie teraz do pracy, ale jeśli jej będę potrzebowała, później jest wolna.

Odpisuję: „Dzięki. Damy sobie radę”.

Nie mam siły na wymianę komunałów, nawet w esemesach, ale Hanna odpowiada: „Bez Evie w szkole będzie smutno. Myślę o Was. H x”.

Najchętniej wyłączyłabym telefon, żeby nie odbierać takich wiadomości, ale nie mogę ryzykować. A nuż zatelefonuje Collier. Zanoszę Bena na górę. Zamiast pójść do jego pokoju i go ubrać, wchodzę wyżej, do sypialni Evie. Mam wrażenie, że ktoś wyrwał mi serce. Rozpaczliwie za nią tęsknię. Kładę się na jej łóżku i zakrywam twarz poduszką. Wciągam w nozdrza zapach mojej córki. Ben myśli, że to zabawa, i też gramoli się na posłanie. Włazi mi na brzuch i podskakuje energicznie, chichocząc i pryskając śliną. Zaczynam się śmiać i jednocześnie płakać. Przynajmniej wreszcie przypomina dawnego siebie. Dzwoni moja komórka. Siadam gwałtownie, zrzucając z siebie Bena. To Ruby.

– Znaleźliśmy Jacka – informuje mnie zdyszonym głosem. – Evie z nim nie ma. Mówi, że odebrał ją jej tata. Podtrzymuje to, co powiedział przez telefon. To wszystko, co wiem. W tej chwili trwa przesłuchanie. Zadzwoń do ciebie, jak będę wiedziała więcej. Zoe?

– Gdzie się podziewał? Dlaczego do mnie nie oddzwonił?

– Na razie nie wiem. Zatelefonuję, gdy tylko Collier skończy go przesłuchiwać.

Piszę esemesa do Olliego i z powrotem kładę się na łóżku. Nie spodziewałam się, że Evie jest z Jackiem, ale dopóki nie mieliśmy z nim kontaktu, istniała nadzieja, że będzie umiał wytłumaczyć, co się z nią stało. Nie rozumiem, dlaczego Jack próbuje zrzucić winę na Olliego.

Wiem, że Haris jest ojcem Evie i że to on ją uprowadził. Czuję to w

trzewiach, tak jak wiem, że strzęp jasnoniebieskiego materiału pochodzi z sukienki Elsy, którą musiała dostać od niego. Jak mogłam tego nie zauważyć? Manipulował mną, manipulował Evie, a teraz manipuluje policją. Tylko że nie potrafię tego udowodnić. Gdzie ją ukrył? Czy Yasira też jest w to zamieszana?

Może Evie jest u niej? Powinam była przeszukać jej dom, kiedy tam poszłam. Ben, znudzony brakiem mojej reakcji, zsuwa się z łóżka. Uwielbia pokój Evie. Wyciąga pudełko klocków Lego i wysypuje je na podłogę. Zerka na mnie, zachwycony hałasem i bałaganem, ciekaw, czy go ofuknę. Normalnie bym to zrobiła, ale teraz wstaję i zaczynam przeglądać rzeczy Evie. Tylko tak mogę się do niej zbliżyć. Przesuwam dłońmi po ubraniach w jej małej szafie. Wszystkie wolne miejsca zajmują przedmioty, które namiętnie gromadzi: kamyki i muszelki, pierścionek z serduszkami, sosnowe szyszki, potworki Moshi i miniaturowe notesiki, bransoletki z koralików i gumka do ścierania w kształcie ciasteczka; jest też maleńka księżniczka w niebieskiej sukience, którą można rozłożyć na części. Znajduję pudełko po butach pełne oddartych kawałków papieru – to jej skrzynka z zaklęciami. Napisała też jedno dla mnie.

Na obrazku są płatki śniegu i pingwin w koronie.

– Uczynię cię Królową Arktyki – obiecała, wciskając mi do ręki karteczkę z zaklęciem. – Musisz je schować w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Tam jest trochę zimno – powiedziałam ze śmiechem.

Spojrzała na mnie z poważną miną i odparła: – Ależ mamusiu, masz takie gorące serce, że nigdy nie zmarzniesz.

Przychodzi mi na myśl, że gdzieś tutaj może się skrywać odpowiedź. Evie jest typowym chomikiem. Schowała przede mną prezenty. Dokładnie przeszukuję jej pokój. Przestaję dopiero, kiedy każdy kawałek modeliny, każdy strzępek papieru, szmatka, flamaster, goła lalka lądują na podłodze. Patrząc na ten chaos, widząc w nim artystyczną alegorię życia swojej córki: sroczą kolekcję obiektów, które da się wmontować w rzeźbę albo w kolaż; odarte z tajemnic ekscentryczne siedmioletnie serce Evie.

Zaczynam zdejmować z półki książki. Nie mieści mi się w głowie,

że kiedyś uważałam czytanie jej na głos za uciążliwy obowiązek. Czasem nie mogłam usiedzieć na miejscu, myśląc o tym wszystkim, co jeszcze zostało mi do zrobienia. Czytałam „jeszcze tylko jeden rozdział” niechętnym, schrypniętym głosem i marzyłam o kieliszku wina. Co miałam takiego ważnego do roboty? Co mogło być ważniejsze od czytania na dobranoc mojej córce?

Biorę do ręki *Pajęczynę Charlotty*. Nie pamiętam, gdzie skończyłyśmy: jak zwykle myślałam wtedy o czymś innym. Otwieram książkę na chybił trafił i od razu tego żałuję, bo trafiam na zdanie: „W końcu czym jest życie? Rodzimy się, żyjemy przez chwilę, umieramy”^[4].

Natychmiast ją zatrzasnę. Coś tkwi między kartkami. Może zakładka; będę mogła sprawdzić, jak brzmiały ostatnie słowa, które przeczytałam Evie. To kartka z życzeniami. Obracam ją obrazkiem do góry. Jest na nim pomarańczowy kwiatek podobny do nagietka z rozpląszczonymi płatkami. Kartka sprawia wrażenie wykonanej ręcznie, jakby ktoś samodzielnie wydrukował zdjęcie, wyciął je i przykleił. W środku jest napisane:

*Kochana córeczko,
już niedługo będziemy razem!
Czekaj na mój znak, a wtedy będziesz wiedziała, że to ja.
Twój kochający tata*

Rzucam kartkę na podłogę, żeby nie zgnieść jej w kulkę i nie cisnąć o ścianę. Ben wypuszcza z rąk lalkę, którą się bawił, i biegnie z wyciągniętą łapką. Podnoszę kartkę, zanim zdąży ją złapać, zaczyna więc ryczeć. Muszę zawieźć ją Collierowi. To dowód – kolejny dowód – że Haris komunikował się z Evie. Nie posiadają się z oburzenia. Collier i Clegg przeszukali jej pokój, ale przeoczyli kartkę. Ja też przeoczyłam. Gdzieś musi być jeszcze jeden list, z wyjaśnieniem, co to za znak. Jeśli go znajdę, będziemy wiedzieli, jak ją przekonał, żeby z nim poszła. Jeszcze raz dokładnie przetrząsam pokój.

Ale nie ma w nim nic, co mogłoby mi powiedzieć, jaki to był sygnał albo gdzie ona teraz jest. Wchodzę na posterunek, trzymając Bena na

biodrze, i rzucam kartkę na biurko Colliera.

– Znalazłam to w pokoju Evie. – Nie potrafię się powstrzymać od oskarżycielskiego tonu.

Collier wkłada lateksowe rękawiczki i umieszcza na czubku nosa okulary. Szkła w złotej oprawce kłócą się z jego wyglądem gburowatego górnika. Po przeczytaniu chowa kartkę do foliowej torebki.

– Tylko to i nic więcej?

– Nic. Żadnej wskazówki, co to był za znak.

– Proszę usiąść, pani Morley. Cieszę się, że pani przyszła. Ruby, mogłabyś przynieść pani Morley kubek herbaty i jakiś sok dla chłopca? Najlepiej od razu cały dzbanek i kilka herbatników.

– Wiem, że to on ją porwał – mówię, nadal stojąc. – Nie widzi pan? Te kartki są od niego.

Ben ześlizguje mi się z biodra, więc stawiam go na ziemi. Zostawiłam pokój Evie w stanie totalnego chaosu – wygląda jak po włamaniu – i przyjechałam prosto na posterunek. Wysypuję z torby zabawki dla Bena, ale mój syn podbiega do Clegga i próbuje łaskotać go swoimi krótkimi paluszkami.

Collier wydaje z siebie ciężkie westchnienie.

– Mówię to z bólem, bo facet ewidentnie jest podstępnym sukinsynem... Przepraszam – dodaje, wskazując głową Bena. – Ale ma alibi. Zeznał, że w piątek po południu pojechał do Miejskiej Galerii Sztuki w Leeds na rozmowę w sprawie zamówienia. Zatrzymał się u przyjaciół, którzy potwierdzili jego słowa. Potwierdza je także kurator galerii. Na nagraniach z monitoringu widać, jak Haris wchodzi i wychodzi. Spotkanie skończyło się o piętnastej pięćdziesiąt, czyli teoretycznie zdążyłby wrócić do Ilkley i odebrać Evie od Mitchella.

– Ale jego pick-up przez cały weekend stał przed domem znajomych – mówi Clegg, łaskocząc Bena. – Fiata ukradli amatorzy darmowych przejażdżek. Pojechali nim na wrzosowisko i tam go podpalili. Znaleźliśmy tych chłopców, to dwóch piętnastolatków z liceum w Ilkley.

– Ci jego znajomi są artystami i tak jak on pracują w metalu. Robił w ich pracowni jedną ze swoich rzeźb – ciągnie swój wywód Collier. –

Poszedł tam prosto po spotkaniu w galerii i przesiedział większość weekendu. Wychodził tylko wieczorami, żeby coś zjeść i wypić kilka drinków. W tym czasie znajomych odwiedziło kilka osób, które przy okazji zajrzały do pracowni i potwierdzają, że Haris w niej był. Jak więc już mówiłem, teoretycznie mógł to zrobić, ale to bardzo mało prawdopodobne. Według grafologów, którzy badali kartki, na osiemdziesiąt procent to nie jego pismo. Jedyne odciski palców, jakie na nich są, należą do pani, pani męża i córki.

– A charakter pisma w modlitewniku? Jest inny.

– Nasi eksperci twierdzą, że napisała to ta sama osoba. Sprawca zaadresował prezenty i napisał kartki lewą ręką, żeby osiągnąć bardziej niechlujny, dziecinny efekt. Może chciał w ten sposób odsunąć od siebie podejrzenia albo utrudnić rozpoznanie go po charakterze pisma.

Collier chowa okulary do kieszeni marynarki.

– Haris twierdzi, że Evie nie jest jego córką. Jutro będziemy mieli wyniki badań DNA.

Nie przyznaje się do porwania ani do współudziału w porwaniu, ale to nas akurat nie dziwi. Za to zaskakująco chętnie opowiadał o innych aspektach swojego życia, na przykład o obsesji na pani punkcie. Dobrowolnie udzielił informacji, które nie stawiają go w korzystnym świetle.

– Na przykład?

Osuwam się na krzesło naprzeciwko Colliera. Clegg zabawia Bena; podrzuca go na kolanie, pozwala mu spaść niemal na ziemię i łapie go w ostatniej chwili. Ben zanosi się śmiechem.

– Myślę, że nie była pani z nami szczerą, jeśli chodzi o pani relację z Harisem Agnim. – Collier splata ręce na brzuchu i się odchyła.

Ruby wnosi tacę z kubkami herbaty i paczką biskwitów.

– Ciasteczko, ciasteczko! – krzyczy Ben, wyciągając rączkę.

Odsuwam poza jego zasięg napój owocowy, który przyniosła Ruby, i stawiam na stole kubek-niekapek, niestety jest już za późno i Ben domaga się „soku”.

– Nadal nie znaleźliście mojej córki! – mówię. – To nie mnie powinniście przesłuchiwać!

– Mogę dać chłopcu ciasteczko?

Ruby mówi do mnie „przepraszam”, bezgłośnie poruszając ustami. Serce tłucze mi się w piersi jak oszalałe. Collier podaje Benowi herbatnik marki Garibaldi i bierze też jeden dla siebie.

– Nie cierpię tych cholernych biskwitów – bąka, mimo to zanurza ciastko w herbacie. – Haris twierdzi, że była pani u niego w domu.

– Tak, z Benem. Wspominałam o tym Ruby, kiedy znalazłyśmy samochód.

Nie pamiętam dokładnie, co wtedy powiedziałam. Przypominam sobie za to, że bardzo *chciałam* znów znaleźć się w jego domu, ukryć się w sercu wrzosowiska przed namolnymi dziennikarzami.

– Podobno pani i Ben mieliście kłopoty na wrzosowisku i on wam pomógł. Zabrał was do swojego domu, żebyście mogli się wysuszyć. Dał wam suche ubrania.

– Zgadza się. – Coraz szybciej oddycham. Jeśli Haris powiedział im, że mieliśmy romans, mają fałszywy obraz sytuacji: widzą w nim moją kochankę zamiast porywacza Evie.

– Prawdziwy rycerz w błyszczącej zbroi.

– To nie był dobry dzień na wyprawę z dzieckiem na wrzosowisko. Postąpiłam głupio.

Nawet nie zabrałam ze sobą nic przeciwdeszczowego. Nie wiem, co by się stało, gdyby się nie zjawił. Obejmuję dłońmi kubek z herbatą. Jeszcze nie zamoczyłam w niej ust. Powinnam im powiedzieć, co zaszło w domu Harisa. Zrozumieliby, z jakim człowiekiem mają do czynienia. Tylko że musiałabym się przyznać, że o mały włos nie wdałam się z nim w romans, a wtedy dowiedziałby się także Ollie. Nie chcę, żeby on też miał fałszywy obraz sytuacji.

– Wie pani, skąd wiedział, gdzie jesteście?

– Co?

To nie są słowa, których się spodziewałam.

– Śledził was. Obserwował panią i chłopca, wiedział, że macie kłopoty. Ale nie pomógł wam od razu. O nie. Zostawił was na wrzosowisku. Wrócił do domu. Wziął samochód i zjechał na Hangingstone Road. Odczekał jakiś czas, żebyście porządnie przemokli. A potem wyszedł wam na spotkanie Dales Way. Żeby was

uratować. – Milczy przez chwilę. – Myślał, że się pani w nim zakocha.

– Nie widzi pan? – Już nic mnie nie zaskoczy, jeśli chodzi o Harisa. Pochyliam się nad biurkiem w stronę Colliera. – Wykorzystał mnie. Wykorzystał, żeby zbliżyć się do Evie.

– To na *pani* punkcie miał obsesję. *Panią* śledził. Zaryzykował, że dostaniecie hipotermii, żeby móc was „uratować”. Ale wątpię, by porwał pani córkę. Chodziło mu o panią, Zoe.

– Co mówi Jack?

– Upiera się przy swojej wersji – odpowiada Clegg. – Twierdzi, że Evie wyszła od niego tuż przed piątą ze swoim tatą.

Collier rzuca mu spojrzenie.

– Pan Mitchell zeznał, że wspinał się w Krainie Jezior. Biwakował razem z kolegą na odludziu, gdzie nie było zasięgu. Wyłączył telefon. Wrócił w niedzielę w nocy; prowadził całą noc i zamierzał prosto z drogi pójść do pracy. Zgarnęliśmy go spod domu. Wznowimy przesłuchanie, gdy tylko zjawi się jego prawnik. Zawiadomimy panią, kiedy dowiemy się czegoś więcej.

Ben ześlizguje się z kolan Clegga i pędzi do mnie z wyciągniętymi ramionami i wykrzywioną buzią. Mój czas się skończył, muszę zająć się synkiem. Mogłabym opowiedzieć im całą historię, ale widzę, że to też by nie wystarczyło. Potrzebuję jakiegoś dowodu.

Na drzwiach sklepiku z gazetami między posterunkiem policji a szkołą wisi plakat ze zdjęciem Evie. Kupuję Benowi zwykłą kanapkę z serem. Nie mają nic innego, co byłoby w miarę zdrowe i co on byłby skłonny zjeść. Muszę go jeszcze przez chwilę czymś zająć. W drodze do kasy mijam stojak z prasą i doznaję szoku na widok zdjęcia Olliego na pierwszej stronie „Daily Mirror”. Biorę gazetę do ręki. Nagłówek składa się z jednego słowa: KŁAMCA! Autor artykułu powołuje się na eksperta, który twierdzi, że sprawcą molestowania i zabójstwa porwanego dziecka zazwyczaj okazuje się ojciec, zwłaszcza w przypadkach, gdy nie jest to jego biologiczne dziecko. Dziennikarz odtworzył drogę Olliego z pracy do szpitala, co jego zdaniem „dowodzi, że Olivier Morley zdążyłby uprowadzić swoją adoptowaną córkę”. Nie czytając dalej, wpycham brukowiec z powrotem na stojak. Nie ma szansy, żeby Ollie tego nie zauważył, kiedy dziś rano wysiadł

z pociągu na dworcu w Leeds.

Dziewczyna za ladą przygląda mi się ukradkiem; na jej blade czoło opada przetłuszczona grzywka, linię szczęki znaczy rząd czerwonnych punkcików. Wykrzywia usta w niezdarnej próbie uśmiechu i spuszcza głowę, chowając się za grzywką. Ogarnia mnie współczucie dla jej nieśmiałości i bolesnych pryszczycy i do oczu nagle napływają mi łzy. Mam nadzieję, że pewnego dnia Evie będzie taka jak ona; że dożyje wieku nastoletniego z całą jego nieśmiałością i paskudnymi pryszczami.

Wracam do samochodu i jadę wzdłuż brzegu wrzosowiska. Mijam Krowę i Cielę i odnajduję drogę, która prowadzi do domu Harisa. W miejscu, gdzie chuligani spalili jego samochód, ziemia jest czarna i tłusta, porośnięte sitowiem pobocze rozjeżdżone i poznaczone śladami opon. Jadę wolno, samochód podskakuje ze zgrzytem na kamieniach. Ciemnoszare niebo zapowiada deszcz. Czyżbym chwyciła się słomki? Czy Evie rzeczywiście szła ścieżką, która łączy dom Harisa z jego pracownią? Może to była inna dziewczynka w błyszczącej niebieskiej sukience? Czy Haris mógł ją uprowadzić? To się wydaje sensowne. Miał obsesję na moim punkcie, kiedy więc zdecydowałam się zerwać z nim znajomość, postanowił zniszczyć moją rodzinę. Myślę, że to on otruił Bena. Chciał zabić mi syna. A kiedy mu się to nie udało, wykorzystał jego pobyt na OIOM-ie, by porwać Evie.

Technicy kryminalistyczni widocznie skończyli przeszukiwanie domu, bo już nie otacza go żółta taśma ani nie pilnują go policjanci. Podjeżdżam pod sam budynek i zostawiam Bena w samochodzie. Czuję na policzkach pierwsze krople deszczu. Wieje zimny, przenikliwy wiatr.

Naciskam klamkę. Drzwi są oczywiście zamknięte na klucz. Stoję w ich wnętrzu i patrzę na płachty deszczu, który lunął na wrzosowisko.

Ilkley, daleko w dole, wydaje się całkiem maleńkie. Co mógł czuć Haris, stojąc w tym miejscu? Po latach w więziennej celi na tym dzikim pustkowiu z udomowionymi przedmieściami u stóp pewnie napawał się poczuciem wolności. A może też władzą posiadacza. Wyobrażam sobie, że czuł się panem wszystkiego, co ogarniał wzrokiem. Collier powiedział, że jeśli Haris nie jest ojcem Evie, nie

będą mogli trzymać go dłużej w areszcie. Po otrzymaniu wyników badania DNA wypuszczą go jutro na wolność. Chcę, żeby został za kratami. Do końca życia.

Macham do Bena i robię przez szybę śmieszne miny. Obsypał się tartym serem i wysmarował tapicerkę margaryną. Wolałabym nawet na minutę nie zostawiać go samego, ale leje jak z cebra. Będę musiała się pospieszyć. Raz po raz zerkając na niego przez ramię, biegnę za dom. Widok na wrzosowisko zasłania kępa sosen. To dlatego nie widać stąd pracowni. Za domem jest ogród. Nie wyobrażam sobie Harisa w roli ogrodnika. Na pewno go zapuścił.

Zaglądam ponad omszałym wałącym się murkiem. Tak jak podejrzewałam, ogród niewiele różni się od reszty wrzosowiska. Trawa jest wyskubana przez owce, tu i ówdzie rośnie jakiś rozcapierzony, nigdy nieprzycinany krzaczek. Usychający bez tworzy dziwne połączenie z jarzębinami i innymi drzewami występującymi naturalnie na wrzosowisku. Wyobrażam sobie, że Haris mógłby go ściąć z czystej mściwości, bo piękne pachnące kwiaty nie pasują do otoczenia.

Muszę wracać do Bena. Opieram się o murek, brudząc sobie T-shirt algami i mchem. Przemokłam do suchej nitki. Po co tu przyjechałam? Co mam nadzieję udowodnić? Policja skrupulatnie przeszukała dom i pracownię. Ciągłe powtarzają, że poza strzępem materiału, który znalazłam na krzaku kolcolistu, nic nie wskazuje, by Evie tam była. Przypomina mi się martwy gronostaj, którego Haris zakopał, i potem czekał, aż się rozłoży, by uzyskać szkielet.

Rozglądam się dookoła i wtedy to zauważam. Ten krzak też występuje naturalnie na wrzosowisku, więc Haris pewnie go lubi. W odróżnieniu od bzu, z którego sypią się już łuskowate nasiona, jest w pełnym rozkwicie, okryty cudownie różowymi, mięsistymi kwiatami.

To trzmielina, *Euonymus europaeus*. Jej jagody zawierają potężną dawkę ewonozydu, trucizny, która zatrzymała serduszko Bena. Mam wrażenie, że moje własne serce zaraz stanie mi w piersi.

To dowód, którego szukałam. Jak Haris mógł to zrobić? Benowi i mnie. Evie. Mam ochotę osunąć się na kolana we wrzosa i wyć z wściekłości.

Wracam do samochodu, w którym czerwony jak burak Ben wykrzywia usta w podkówkę. Płacze, bo zostawiłam go samego. Może przypomniał mu się szpital: długie godziny w półprzytomności, budzenie się w nocy w obcym miejscu, bez mamy i taty. Otwieram szarpnięciem drzwiczki i wyjmuję go z fotelika; tulę go do siebie, kołyszę w ramionach, aż w końcu się uspokaja, a ja jestem cała wymazana serem i mokra od łez.

Rzucam gałązkę na stół.

– To tym otruto Bena – oznajmiam Ruby.

Podnosi wzrok znad ociekającego wodą badyła na zasypanym pyłkiem stole i patrzy niepewnie na mnie. Od razu po powrocie do domu zadzwoniłam do niej, żeby przyjechała.

– Znalazłam krzak za domem Harisa. Próbował zabić Bena, a potem porwał Evie.

– Dlatego, że się w nim nie zakochałaś, kiedy uratował was na wrzosowisku? – pyta beznamiętnym tonem, powtarzając słowa Colliera.

Stara się nie okazać swojego sceptycyzmu. Ruby nie jest osobą, która ukrywa, co myśli, i robi słodkie minki. Muszę jej wszystko powiedzieć. Tylko w ten sposób zdołam przekonać ją i Colliera.

– Prawie mieliśmy romans. Spotykaliśmy się niemal codziennie. Całowaliśmy się. Ale nic więcej. Tamtego dnia na wrzosowisku powiedziałam mu, że muszę to skończyć, a on mnie zaatakował. I pozwolił, żebym w ulewnym deszczu wracała z Benem do domu na piechotę.

Człowiekiem, którego wezwałam „na ratunek”, był Jack Mitchell. Przyjechał po nas i zawiózł do domu.

– Ale Haris nie zrobił ci krzywdy?

– Nie. Ale byłam przerażona. Wyglądało na to, że jest do tego zdolny. Sama widzisz, jaki jest zapalczywy. Nie powiedziałam wam o tym, bo chciałam, żebyście się skupili na szukaniu Evie. Nie rozumiecie, że to Haris ją porwał? Próbował się na mnie zemścić.

– Nie chciałaś, żeby Ollie się o tym dowiedział? – Wzdycha. – To, że w jego ogrodzie rośnie trujący krzew, nie oznacza jeszcze, że próbował skrzywdzić Bena.

- Miał motyw.
- Powiem Collierowi.

Zarzuca na ramię torbę i podnosi ze stołu gałązkę trzmieliny. W miejscu przełamania drewno jest kremowe, twarde i zbite, zgodnie z opisem w internecie. Świetnie nadaje się na węgiel do rysowania.

- Co pani powie Collierowi?

Trzaskają drzwi i wchodzi kompletnie przemoczony Ollie. Nerwowo zaciska szczęki. Rzuca teczkę na kanapę, wyrrywając z drzemki Bellę, która skomle z urazą. Jest środek popołudnia, musiał więc wcześniej wyjść z pracy. Zrzuca buty, jednym szarpnięciem ściąga krawat i zaczyna krzyczeć na Ruby.

– Nie informuje nas pani na bieżąco. Dlaczego, do cholery, muszę dowiadywać się z lokalnej gazety, że ten cały Haris miał pieprzoną kapliczkę poświęconą mojej żonie? Ze zdjęciem Evie i Bena? Macie sprawcę. Dlaczego, do diabła, nie odnaleźliście jeszcze mojej córki?

Ruby nie udaje się powstrzymać i mimo woli zerka na mnie. Gdy szybko przenosi wzrok na Olliego, jest już za późno. On natychmiast odwraca się w moją stronę.

- Wiedziałaś? Wiedziałaś i nie powiedziałaś mi o tym?

– Próbowałam. Wczoraj, zanim...

– Jezu. Mogłaś spróbować bardziej.

– Ważniejszy był strzępek sukienki Evie, który znalazłam na wrzosowisku.

– Ważniejszy od wystawy tego psychola ze zdjęciami naszej córki?

– Tylko jednym. Na pozostałych byłam tylko ja. To na moim punkcie miał obsesję.

Ruby stoi między nami, ściskając w ręku gałązkę kwitnącej trzmieliny. W długim trenczu, z kręconymi włosami wygląda jak faun, który zgubił drogę.

– Wiedziałaś o tym – stwierdza Ollie.

Jego spojrzenie jest bezwzględne i oskarżycielskie. Patrzy na mnie, jakby mnie nigdy nie kochał. Oddech zamiera mi w gardle.

– Muszę wracać na posterunek – oznajmia Ruby.

– Jesteś pieprzoną funkcjonariuszką odpowiedzialną za współpracę z rodziną. No to, kurwa, współpracuj – rzuca Ollie, cały czas nie

spuszczając ze mnie wzroku.

Ruby patrzy mi prosto w oczy, zadzierając trójkątny podbródek.

– Powiesz mi czy ja mam to zrobić? On musi o tym wiedzieć, Zoe.

Jak śmie? Nic nie wie o naszym związku. Mieszka ze swoimi cholernymi rodzicami, którzy pewnie już nawet nie próbują znaleźć dla niej męża, bo jest za stara. Czy kiedykolwiek w życiu miała chłopaka?

– Powie mi o czym? – pyta Ollie. Nie podnosi głosu, ale jego ton jest tak lodowaty, że przechodzą mnie ciarki.

Ben zaczyna płakać. Przez chwilę wszyscy stoimy bez ruchu, w końcu ja wracam do życia.

– Chyba trzeba mu zmienić pieluchę.

Ollie wygląda na znużonego. Rękawem ściera z twarzy krople deszczu.

– Ja to zrobię – oferuje Ruby. Przypominam sobie, że ma małego siostrzeńca, czyli to dla niej nie pierwszozna.

Odwracam się do Olliego.

– Całowałam się z nim – wyznaję.

Tylko tyle, cztery słowa, ale Ollie osuwa się na kanapę i obejmuje Belle.

– To twoja wina – mówi. – To ty wprowadziłaś go do naszego życia.

– Myślisz, że tego nie wiem?

Milczymy. W końcu Ruby schodzi i oddaje mi Bena. Jest cieputki i pachnie sudocremem. Przez chwilę się nie rusza, wisi bezwładnie, trzymając mnie za szyję; wszyscy trwamy w bezruchu. Potem Ben zsuwa się na podłogę, Ruby bierze swoją gałązkę trzmieliny, a Ollie zrywa się na równe nogi i kopie w telewizor. Następnie opada na kanapę i klnie. Kawałek szkła wbił mu się w stopę. Ben wybucha płaczem, łapie go, żeby nie wszedł w rozbite szkło, i dopiero kiedy druga kropelka ląduje na mojej dłoni, patrzę w dół i widzę krew. Odprysk rozbitego ekranu rozciął mu policzek tuż pod okiem. Zaczynam krzyczeć. Nagle wszędzie jest pełno krwi.

– To wszystko twoja pieprzona wina – wrzeszczy na mnie Ollie. Próbuje wyjąć kawałek szkła z dużego palca u nogi i rozcina sobie

rękę.

Ruby wzywa karetkę. Przed jej przyjazdem zamyka Belle w ogrodzie, sprząta odłamki rozbitego telewizora, bandażuje Olliemu dłonie i zakleja plastrem motylkiem ranę na buzi Bena.

Moje ręce są mokre od jego krwi. Myję je nad zlewem. Ben wrzeszczy, a Ruby mówi Olliemu, żeby nie był kompletnym matosem i spróbował sam sobie wyjąć szkło.

W karetce, w drodze do szpitala, patrzy na Olliego, potem na mnie i zwraca się do nas: – Posłuchajcie mnie. Collier i Clegg uważają, że Haris nie porwał waszej córki. Jeśli nie jest jej ojcem, jutro wyjdzie z aresztu. Nie mamy wystarczających dowodów, żeby go dłużej trzymać. Proponuję, żebyście na razie odłożyli na bok to, co było między Zoe i Harisem, jakkolwiek to nazwać. Wróćcie do tego później. Teraz musicie się skupić na odnalezieniu waszej córki. Zamierzam zasugerować szefowi, żeby wydał komunikat dla prasy, a wy powinniście znowu wystąpić w telewizji. Tylko tym razem, Ollie, musisz wyglądać, jakby ci, do cholery, zależało. Krzyczy przez szybkę do kierowcy, żeby zatrzymał się przed posterunkiem policji, i wysiada.

Na oddziale ratunkowym Ben płakał prawie bez przerwy. Lekarz nakleił mu na ranę plaster chirurgiczny; chwala Bogu, obeszło się bez szycia. Bardzo go boli. Jestem wściekła na Olliego. Nasz syn mógł stracić oko. Widzę, że Ollie odchodzi od zmysłów, ale to tylko pogarsza sprawę. Oboje jesteśmy na skraju załamania, prawie nie odzywamy się do siebie. Bez Ruby nie mamy buforu bezpieczeństwa. Wiem, że Ollie czuje się winny. Nic nie mówi ani nie przeprosza za to, co zrobił, ale uparł się, że to on będzie niósł Bena, i próbuje go jakoś pocieszyć. Ben woli jednak być u mnie na rękach. Odkąd w piątek wylądował w szpitalu, zrobił się dużo bardziej przyklepny. Zabieram go Olliemu, gdy tylko mogę, częściowo dlatego, że chcę go mieć przy sobie, a częściowo po to, by dodatkowo ukarać męża. Wiem, że to wredne z mojej strony. Przez cały czas czuję się tak, jakby ktoś wyrywał mi wnętrzności. Evie nie ma już od trzech dni. Człowiek, którego oboje uważamy za porywacza, jest w areszcie, ale za kilka godzin wyjdzie na wolność.

Kiedy wracamy taksówką do domu, Ollie zasypia, ściskając w zranionej dłoni stópkę Bena. Ponieważ trzymam synka na kolanach, ręka Olliego spoczywa na moim udzie. W innych okolicznościach uznałabym, że to słodkie. Teraz na ten widok robi mi się niedobrze.

Przed domem czeka na nas Andy. Wygląda na zmarzniętego, jakby stał tam od dłuższego czasu. Klepie Olliego w ramię, mnie cmoka w policzek, a Bena łaskocze pod brodą.

– Co ci się stało? – pyta go, rzucając mi zaniepokojone spojrzenie.

Żadne z nas nie odpowiada. Ollie otwiera kluczem drzwi.

– Wezmę go – mówi. Ben w końcu się uspokoił i pozwala, żebym oddała go tacie. – Położę go spać – dodaje, unikając wzroku Andy’ego. I kuśtyka po schodach na górę.

– Wszystko w porządku? – pyta Andy i raptem z przerażeniem uświadamia sobie, co powiedział. – To znaczy, no wiesz... Boże. Czy z Benem wszystko w porządku?

– Tak. Rozciął sobie policzek.

Andy zerka na ramę telewizora, z której sterczą ostre odłamki rozbitego ekranu, następnie przenosi wzrok na mnie.

– Nalać ci wina?

– Poproszę.

Siadam na stołku przy stoliku śniadaniowym. Nie zawracam sobie głowy zdejmowaniem kurtki czy zapalaniem światła. Andy też go nie zapala. Nalewa nam po kieliszku wina. Musiał je przynieść ze sobą, bo ja i Ollie wypiliśmy wszystko, co było w domu, nawet lekkie limoncello, które przywieźliśmy osiem lat temu z naszego ostatniego wyjazdu do Włoch. W ciemności nie widzę etykiety, ale wystarcza jeden łyceczek, by stwierdzić, że to dobre wino. Może chablis. Andy raczej się o nim nie zająknie; już dawno mamy za sobą czasy, kiedy kupowaliśmy butelkę wina, żeby pisać z zachwytem nad etykietą i zawartością. Wypiłabym własny rozcieńczalnik do farby, gdyby Andy nalał mi go do kieliszka.

Siada obok i dotyka mojego łokcia.

– Jak sobie radzisz?

Odwracam się do niego tyłem i patrzę na ogród przecięty ukośnym pasmem księżycowego blasku, tak kosmicznie błękitnego, że w ogóle

nie powinien istnieć.

Andy odkasłuje i upija łyk wina.

– Słyszałaś o Jacku?

– Dziś rano go aresztowali. Mówi, że wspinał się w Krainie Jezior. Nadal twierdzi, że Ollie odebrał Evie. To wszystko, co wiem – odpowiadam.

Już wcześniej mówił cicho, ale teraz zniża głos prawie do szeptu.

– Zadzwoił do mnie. Miał prawo do jednego telefonu. Chciał, żeby Gill go reprezentowała. Mogą go trzymać trzydzieści sześć godzin bez postawienia zarzutów.

– Myślisz, że miał z tym coś wspólnego? – Nie udaje mi się powstrzymać drżenia głosu.

Andy kręci głową.

– Był przerażony, kiedy do mnie dzwonił. Płakał. Przysięgał, że nie miał pojęcia, co się stało. Że nigdy w życiu nie skrzywdziłby Evie. Mówi, że kocha ją, odkąd była małeńka.

Odniosłem wrażenie, że autentycznie o niczym nie wiedział; przez dwa dni nie słuchał wiadomości, nie czytał gazet i w ogóle z nikim nie rozmawiał, nie licząc faceta, z którym się wspinał. Wrócił nad ranem, jechał, nigdzie się nie zatrzymując. Tak w każdym razie twierdzi. Ja mu wierzę, jeśli to ma jakiegokolwiek znaczenie. Wykazał się cholerną nieodpowiedzialnością, jadąc przez całą noc, żeby potem prosto z drogi iść uczyć trzydziestkę siedmiolatków.

Serce tłucze mi się w piersi.

– Jeśli mówi prawdę, to kto porwał Evie? Muszę z nim porozmawiać.

– Nawiasem mówiąc, Gill nie zgodziła się go reprezentować.

Kiwam głową.

– Podziękuj jej w moim imieniu.

– Daj spokój. To przecież oczywiste. Powinnaś o tym wiedzieć. Mogę ci jakoś pomóc?

Powiedz tylko, co mam zrobić.

W jego głosie brzmi rozpacz. Kręczę głową. Zsuwa się ze stołka i obejmuje mnie. Jego łzy kapią mi na włosy.

– Ollie dobrze się czuje?

Kręcę głową.

– Widziałem rano gazetę...

– To nieprawda – wpadam mu w słowo. – Ollie skłamał policji, gdzie był. Na samym początku. Ale za nic w świecie nie skrzywdziłby Evie.

– Oczywiście. Oboje żyjecie w ogromnym stresie. Chcesz przenocować z Benem u nas?

– Dzięki. Damy sobie radę.

– Odezwę się rano – mówi, mocno ściskając mi rękę.

Siedzę po ciemku, piję wino; jeszcze nigdy w życiu nie czułam się taka samotna. Bez Evie mam wrażenie, że ktoś wyrwał mi niezbędne do życia narządy, serce, duszę. W końcu wczółguję się na górę i w ubraniu kładę do łóżka.

Ollie obraca się twarzą do mnie.

– Uprawiałaś z nim seks? – pyta.

Zamykam oczy, zaciskam zęby, żeby nie krzyczeć. Ktoś uprowadził naszą córkę, a on leży w łóżku i myśli tylko o tym. Gorzej, nie *ktoś*; Jack twierdzi, że to on odebrał ją ze szkoły.

Przełykam żółć.

– Nie.

– A chciałaś?

– Tak! – odpowiedź wybucha w moich ustach. – Ale zdecydowałam, że tego nie zrobię.

Wybrałam ciebie. Wybrałam naszą rodzinę.

Wyciąga rękę, żeby mnie dotknąć, i mimo że mam na sobie T-shirt, czuję się tak, jakby po mojej skórze przebiegła chmara pajaków. Odsuwam się na swoją stronę łóżka, jak najdalej od niego.

Wtorek: cztery dni po zniknięciu Evie

Budzę się z uczuciem, że mam ciało z ołowiu i piasek w zaschniętych ustach. Najmniejszy ruch wywołuje ból głowy. Może to od wina, a może wraca migrena, której udało mi się uniknąć w sobotę. Olliego nie ma w łóżku. Zaglądam do pokoju Bena, ale jest pusty. Kołderka w łóżeczku jest odrzucona, na materacu pozostał odcisk ciała, jakby ktoś porwał mojego synka we śnie. Serce zamiera mi w piersi. Zbiegam na dół, Bella skacze na mnie, myśląc, że to zabawa. Ben siedzi w swoim wysokim krzeselku przy stole.

– Mamusia! – krzyczy i macha mi na powitanie chlebową pałeczką.

Ollie gotuje. W kuchni pachnie świeżo zaparzoną kawą. Wycisnął sok z pomarańczy i rozmroził czarne jagody. Ekspłodowały w misce w oblesną fioletową breję.

– Smażę naleśniki – mówi. – Musimy jeść, żeby zachować siły.

Chcę zaprotestować, powiedzieć, że jedzenie jest ostatnią rzeczą, na jaką mam teraz ochotę, ale nagle burczy mi w żołądku. Od piątku prawie nic nie przełknęłam. Siadam przy stole obok Bena, Ollie stawia przede mną syrop klonowy i talerz. Jem naleśniki, jeden za drugim, gorące i słodkie, chrupiące na brzegach. Przypominają mi się nasze niedziele, kiedy jeszcze nie mieliśmy dzieci. Ollie co tydzień smażył naleśniki, zawsze według tego samego przepisu, chociaż drażniłam się z nim, domagając się grubych i miękkich, po szkocku. Albo dla odmiany croissanta. Przy śniadaniu czytaliśmy gazety, czasem wracaliśmy jeszcze do łóżka albo spotykaliśmy się z przyjaciółmi i jedliśmy obiad w pubie lub szliśmy do galerii. Wydaje się, że te leniwe niedziele z zimnym piwem czy z różowym winem w parku, z latte i ciastem marchewkowym w kawiarni, z palcami pobrudzonymi farbą drukarską były częścią życia jakiejś innej kobiety, innej pary.

Kiedy kończę ostatniego naleśnika, Ollie siada przy stole, żeby zjeść swoją porcję. Dopiero wtedy dociera do mnie, że Ben ciągle siedzi w swoim krzeselku. To nie w jego stylu, normalnie nie wytrzyma

przypięty ani ułamek sekundy dłużej niż to absolutnie konieczne. Wyjmuję go z krzeselka i biorę na kolana. Siedzi spokojnie. Przytulam go mocno i napawam się jego bliskością, chociaż w głębi ducha wolałabym, żeby ganiał po domu, drąc się jak opętany. Całuję go w czubek głowy i myślę, że powinniśmy zgłosić się do doktora Kapura.

– Dali mi urlop okolicznościowy. Nie idę dzisiaj do pracy.

Ollie nakłada sobie kopiastą porcję jagód. Zawsze domagał się do naleśników kwaśnej śmietany, ale teraz nie mamy w lodówce nawet jogurtu. Od kilku dni Ben żywi się wyłącznie płatkami zbożowymi i kanapkami z serem.

– Zacząłem je przeglądać – mówi Ollie, wskazując gestem stos kartek, które dostaliśmy w ostatnich dniach.

Na myśl o czytaniu frazesów i sztampowych kondolencji robi mi się niedobrze. Odsuwam kartki od siebie. Zaadresowane koperty w stonowanych odcieniach różu spadają na podłogę.

– Chcę porozmawiać z Jackiem – oznajmiam. – Wczoraj mi nie pozwolili, ale może dzisiaj się uda.

Widelec Olliego zatrzymuje się w połowie drogi do ust.

– Pojadę z tobą.

– Ktoś musi zostać z Benem.

Ollie nie zdążył prawie nic zjeść. Wyciąga do mnie dłoń.

– Przepraszam – mówi. – Nie było mnie przy tobie i Benie. I przy Evie.

Z przyzwyczajenia biorę go za rękę. Czuję się, jakbym trzymała jaszczurkę.

– Później o tym porozmawiamy.

– Mówię poważnie, Zoe. Zdaję sobie sprawę, że cię odepchnąłem.

Nie odpowiadam. Nie mam wolnej przestrzeni w głowie ani w sercu na zajmowanie się Olliem. Sama już nie wiem, co do niego czuję, wiem tylko, że to nie jest dobry moment na podejmowanie decyzji. Staram się nie powiedzieć niczego, czego bym potem żałowała.

– Dlaczego Jack upiera się, że to ja odebrałem Evie? – pyta.

– Nie mam pojęcia. Dowiem się. Jeśli mnie do niego nie dopuszczą, pogadam jeszcze raz z Collierem.

Biorę prysznic, najgorętszy, jaki mogę wytrzymać, i ubieram się w czyste rzeczy. Na ulicy nadal czai się kilku paparazzich, ale nikt mnie nie zaczepia. Przypuszczam, że Collier postarał się o jakiś nakaz sądowy, który trzyma ich od nas z daleka. Wyobrażam sobie, jak na nich huknął. Gdyby nie był po naszej stronie, sama bym się go bała.

– Zoe. Cieszę się, że pani przyszła. Właśnie miałem wysłać Ruby po panią. Jak się dziś czuje młody człowiek? – wita nas, kiedy przyjeżdżam na posterunek. – Ruby mówiła, że pani zdaniem Haris podał Benowi truciznę i dlatego mały wylądował na OIOM-ie.

– Wiem, że go otruł! Powiedziała panu, że w jego ogrodzie rośnie krzak trzmieliny?

Muszę wierzyć, że to był Haris, ponieważ wersja Jacka jest nie do przyjęcia. Collier wskazuje mi gestem fotel. Clegg siada na sąsiednim, wyciągając przed siebie długie nogi.

Rozmawiamy w tym samym pomieszczeniu co zawsze: ciasnym pokoju z podłogą wyłożoną kwadratami linoleum i z kratami w oknach. Ściany są pomalowane ohydną kremowożółtą farbą, zbyt gęstą, tu i ówdzie zostały zacieki. Wygodne jak na standardy policji fotele ustawiono wokół stolika do kawy, zapewne z myślą o stworzeniu nieformalnej atmosfery.

– To nie wystarczy, Zoe. To nie jest dowód. Pani synek mógł znaleźć te jagody gdzieś w Ilkley i po prostu je zjeść. Krzaki trzmieliny są wszędzie.

Collier przyciąga jeszcze jeden fotel. Clegg odsuwa nogi i wciska je pod stolik.

– Chciałem, żeby usłyszała to pani ode mnie, Zoe. Obawiam się, że dziś Haris wyjdzie na wolność.

– Nie wierzycie mi.

– Nie ma pani żadnych dowodów. Nic nie łączy go z pani córką. Rano otrzymaliśmy wyniki badania DNA. Nie jest spokrewniony z Evie. Nie jest jej ojcem.

– Co?

– Nie mogę go dłużej trzymać w areszcie. I musimy obniżyć poziom pogotowia na lotniskach i w portach.

Collier zerka na mnie spod nastroszonych brwi. Jego włosy są

sztynne i rozczochrane. Domyślałam się, że nie ma żadnej pani Collier, która dbałaby o jego wygląd. Clegg odwraca wzrok. Nie zdążył się jeszcze uodpornić na cudze cierpienie. – Ale...

Nie ogarniam tego. Evie ma taką samą karnację jak Haris, takie same zielonobłękitne oczy, ciemne włosy, oliwkową cerę i – Collier sam to powiedział – artystyczny temperament.

– Może laboratorium się pomyliło? To się zdarza, prawda? Czasem popełniają błędy.

Albo próbka była zanieczyszczona.

Byłam pewna, że Haris jest ojcem Evie. A jeśli nawet nim nie jest, to nie zmienia faktu, że ją porwał. Miał obsesję na moim punkcie. Chciał mnie zniszczyć, bo nie zgodziłam się na romans. Próbował zabić Bena. Z zemsty uprowadził Evie. Jak mam przekonać Colliera?

Dlaczego tego nie widzą? Przecież Ruby na pewno im powiedziała, co zaszło między mną i Harisem. Teraz, kiedy Ollie zna prawdę, nie ma już sensu niczego ukrywać.

Ruby wnosi tacę z herbatą. Podaje mi kubek dokładnie takiej, jaką lubię: słabej, z mlekiem. W życiu nie piłam tyle herbaty.

– Przykro mi, Zoe – mówi. – Powtórzyłam nadinspektorowi Collierowi to, co powiedziałaś mi na temat Harisa i waszej relacji. Ale on ma rację. Nie mamy dowodów. Nic nie wskazuje na to, żeby Evie kiedykolwiek była u niego w domu albo chociaż się z nim widziała.

Musimy ruszyć dalej ze śledztwem.

– Pan Mitchell nadal przebywa w areszcie – wtrąca Clegg.

– Powiedział wam coś nowego?

– Chłopak, z którym się wspinał, potwierdził jego alibi, w każdym razie od momentu, kiedy Mitchell dotarł do Krainy Jezior. Szukamy innych alpinistów, którzy mogli go widzieć. Nie potrafi udowodnić, że wyjechał z Ilkley o tej godzinie, o której twierdzi, i że nie zabrał ze sobą Evie. Technicy jednak nie znaleźli w jego samochodzie i namiocie nic, co by wskazywało, że tam była – wyjaśnia Collier.

– Mogę z nim porozmawiać?

– Obawiam się, że nie. Ale jest jeszcze coś, o czym chciałem z panią pomówić.

Czuję ucisk w piersi. Co Collier zamierza mi powiedzieć? Że

porywaczem jest Jack Mitchell? Że historyjka o wspinaczce w Krainie Jezior była przykrywką dla tego, co zrobił mojemu dziecku? Czy może, że przed wyjazdem oddał Evie mojemu mężowi? Collier podaje mi szarą teczkę.

– Niech pani to obejrzy.

Wolno otwieram teczkę. Nie wiem, czego się spodziewać. Czegoś okropnego. Może krwi. Cokolwiek w niej jest, nie chcę tego oglądać. Ostatnim razem, kiedy Collier pokazał mi zdjęcia, były to policyjne fotografie Harisa; w ten sposób dowiedziałam się, że został skazany na siedem lat więzienia. Próbuję przełknąć ślinę, ale utyka mi w gardle.

Pierwsze zdjęcie przedstawia Evie. To czarno-biała fotografia. Evie uśmiecha się. Jest ubrana w legginsy i podkoszulek. Stoi tyłem do obiektywu, podtrzymując rękami koc albo szal. Brzegi tkaniny są trochę rozmazane, jakby właśnie zamierzała ją odrzucić. Patrzy do tyłu przez ramię i się śmieje. Na drugim zdjęciu ma gołe nogi i jest ubrana w spódniczkę baletnicy.

Przewróciła się do tyłu, leży wśród eksplozji tiulu. Chichocze z zamkniętymi oczami. Widać jej długie, chude uda i brzeg majtek. Na trzecim zdjęciu leży wyciągnięta na kanapie w samych majteczkach i podkoszulku. Uśmiecha się.

Zostało jeszcze jedno zdjęcie. Wyjmuję je powoli i odwracam trzęsącymi się dłońmi. Na tej fotografii Evie jest poważna. Patrzy w lustro. Jedną ręką poprawia diadem, w drugiej trzyma czarodziejską różdżkę. Otacza ją aura utraconej niewinności i znużenia; przypomina zwyciężczynię dziecięcego konkursu piękności. Ma na sobie błyszczącą sukienkę i sandały na paseczki. To strój Elsy z *Krainy lodu*, ten sam, który włożyła na urodzinowe przyjęcie Bena i którego strzęp znalazłam na wrzosowisku. Ten, którego nie dostała ode mnie. W lustrze odbija się postać fotografa. Twarz jest częściowo ukryta za aparatem. To dobry sprzęt – Nikon SLR – taki sam jak mój. Rozbłysk flesza nałożył na jego rysy gwiazdę światła, wyostrzył fałdy sukienki i skurczył źrenice Evie do rozmiaru kropek, jakby była naćpana. Ale i tak rozpoznaję tego mężczyznę. To Jack Mitchell.

– Przeszukaliśmy jego dom – informuje mnie Clegg. – Znaleźliśmy

całe mnóstwo takich zdjęć. Fotografował dzieciaki w półnagliżu i poprzebierane w różne kostiumy. Pokazaliśmy zdjęcia dyrektorze szkoły. To wszystko dzieci, którymi opiekował się po szkole.

– To nie są, ściśle biorąc, nieprzystwoite zdjęcia – zaznacza Ruby. – I nie znaleźliśmy w jego komputerze innych obciążających materiałów. Tylko te fotografie.

Collier bierze ode mnie teczkę.

– Muszę z nim porozmawiać.

– Przykro mi, ale nie mogę wydać na to zgody – mówi Collier.

Jestem tak wzburzona po rozmowie z Collierem, że jej nie zauważam, choć stoi tuż obok mnie; mogłaby mnie dotknąć ręką. Wzdrygam się, gdy kładzie mi dłoń na ramieniu. Nie od razu dociera do mnie, kim jest ta kobieta, ale rozpoznaję znajomy zapach lilii.

– Zoe. Są jakieś wiadomości?

To Hanna. O mało na nią nie wpadłam, kiedy wyszłam oszołomiona z posterunku policji. Nie zdawałam sobie sprawy, która to godzina; musiała być akurat przerwa między lekcjami. Moje dzieci nie chodzą do szkoły dopiero od czwartku, a ja już kompletnie wypadłam z rytmu. Zastanawiam się, czy powtórzyć jej, co policjanci powiedzieli mi o Jacku. Na razie sama nie wiem, co o tym myśleć. Przestałam ufać swojej intuicji. Hanna jest bardzo blada i wygląda tak, jakby miała się rozchorować; może dopadła ją jakaś infekcja. Zajmowanie się klasą Evie w pojedynkę musi być bardzo męczące. Ciekawa jestem, co myśli o Jacku? Patrzy w bok, ciasniej zawija szal, naciąga go na głowę. Pewnie zapomniała czapki, a na dworze jest zimno.

– To prawda, że zwolnili Harisa?

Kiwam głową.

– Nie wiedziałam, czy ci o tym mówić, ale...

– Co? O co chodzi?

Znów patrzy prosto na mnie, zimowe słońce odbija się w jej jasnozielonych oczach.

Chwyta mnie za ramię.

– Evie powiedziała coś, zanim... zanim... Mówiłam ci, że mam uprawnienia do prowadzenia terapii przez zabawę? Dałam jej kilka

lalek...

– Nie prosiłam cię, żebyś prowadziła z nią terapię.

Pochyliła głowę i puszcza moją rękę.

– Tak, ale to nie była sesja terapeutyczna, naprawdę. Po prostu dałam jej lalki i poprosiłam, żeby wymyśliła o nich historię. – Przygryza wargę.

– I co opowiedziała? – Jakiś ciężar kładzie mi się na piersi. Każdy oddech sprawia mi ból.

– Że są rodziną złożoną z mamy, taty i małej dziewczynki o imieniu Evelyn.

– Bez braciszka o imieniu Benedict?

– Bez.

– I co się wydarzyło w tej historii?

– Naprawdę nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić. Żałuję, że w ogóle wspomniałam...

– Po prostu powiedz, o co chodzi. Proszę. – Chcę nią potrząsnąć, zmusić ją do mówienia, chociaż w środku kulę się ze strachu.

– Powiedziała, że mama i tata zabrali swoją córkę na wrzosowisko. Urządzili tam piknik.

Przynieśli jej ulubione jedzenie: kanapki z białego chleba z serem i z obciętymi skórkami i okrągłe różowe ciasteczka. A kiedy Evelyn skończyła jeść i rozejrzała się dookoła, mamy i taty nie było. Odeszli. Zostawili ją samą na wrzosowisku.

Czuję się, jakby Hanna uderzyła mnie prosto w żołądek. Z trudem chwytam powietrze.

– Bardzo mi przykro, Zoe – dodaje. – Wiem, że sprawiłam ci ból, ale sądzę, że Evie próbowała po prostu przepracować swój lęk przed porzuceniem. No wiesz, dlatego, że jest dzieckiem adoptowanym.

– Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz?

Chcę krzyknąć, że to nie jej sprawa: Evie wie, że ją kochamy i że nigdy byśmy jej nie porzucili. Czy sugeruje, że Ollie i ja zostawiliśmy ją samą na wrzosowisku? „W prawdziwym życiu”, jak powiedziałaaby Evie.

Hanna sprawia wrażenie, jakby się miała rozpłakać.

– Zastanawiałam się... – zaczyna.

Znowu odwraca wzrok, szal ześlizguje jej się z głowy. Jej jasne włosy błyszczą jak złoto. Myślę o Złotowłosej i innych uciemieżonych księżniczkach, które tak fascynują Evie.

– Przerwali poszukiwania na wrzosowisku, prawda? Pomyślałam sobie, że może Evie uciekła? Wszystkie jej historie dzieją się na wrzosowisku. Może jednak tam jest. Powinnaś powiedzieć policji, żeby szukali dalej! – Chwyta za rękaw mojej kurtki. – Nie możemy się poddać.

Odsuwam się od niej. Jak śmie sugerować, że Evie uciekła ode mnie?

– Nigdy się nie poddam – mówię i odchodzę w pośpiechu. Idę pod górę, czując narastający ucisk w gardle.

Czy powinnam poprosić policję o wznowienie poszukiwań na wrzosowisku? Czy to możliwe, że Evie po prostu uciekła? Nie, Hanna nie rozumie naszego dziecka; Evie układa historie o wrzosowisku, ale wcale nie lubi na nim przebywać. Staram się nie myśleć o tej drugiej, fikcyjnej dziewczynce, która je ciasteczka, a potem rozgląda się wokół siebie i widzi, że jest sama na odludziu, w towarzystwie drzew jarzębiny i kłaskawek. To fikcyjna postać, owszem, ale zrodzona w wyobraźni mojej córki.

Kiedy wracam do domu, Ollie jest zajęty sprzątaniami. Z jakąś zaciekłą zawziętością czyści i poleruje powierzchnie ze stali nierdzewnej. Ben też ma w ręku ściereczkę i naśladuje tatę.

– Miał zdjęcia – mówię. – Zdjęcia Evie.

Kiedy wypowiadam te słowa na głos, nagle czuję, jakby moje ciało było z ołowiu.

Ollie zastyga bez ruchu.

– Jakiego rodzaju zdjęcia?

Ben wykorzystuje ten moment, żeby podbiec do taty i złożyć na jego policzku mokry pocałunek. Ollie siada na podłodze i sadza go sobie na kolanach.

– Biało-czarne. Artystyczne. – Z trudem przełykam ślinę. Oddycham płytko, mozolnie. – Na jednym jest w sukience z *Krainy lodu*. Na innym w samych majtkach i podkoszulku.

Ollie odpycha Bena i wybiega na dwór. Obserwuję go przez

oszkłone drzwi do ogrodu: miota się w szale, kopie kasztan, wyje i szlocha. Ben też zaczyna płakać. Biorę go na ręce i przytulam. Powinniśmy coś razem porobić. Upiec bułeczki. Rozłożyć farby. Ulepić coś z plasteliny. Przyzwyczaiał się do poranków w żłobku, gdzie ma zapewnione towarzystwo innych dzieci i zorganizowane zajęcia. Kiedy Ollie się uspokaja, idę do niego do ogrodu. Stoimy w mokrej trawie przytuleni, z Benem między nami, aż w końcu nasz syn odczłapuje, zaczyna rzucać piaskiem i sypie go sobie do oczu.

Po południu dzwoni Ruby. Modlę się, żeby miała dobre wiadomości.

– Tak?

– Zoe, chodzi o Jacka Mitchella. – Przerywa. Milczę, nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu, więc w końcu mówi: – Zwolniliśmy go z aresztu. Nie możemy go o nic oskarżyć.

Nie mamy przeciwko niemu konkretnych dowodów. Tylko te zdjęcia. Źle wyglądają, ale nie są pornograficzne. Nie znaleźliśmy w jego komputerze żadnych obciążających materiałów.

Telefon wysuwa mi się z rąk. Evie nie ma już od czterech dni, a my nie zbliżyliśmy się nawet o krok do jej znalezienia. Stoję przy oknie salonu i patrzę na dolinę. Jest już ciemno, tylko nad szczytem wzgórza został jeszcze brzeżek światła. Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijają się od łopat turbin wiatrowych.

– Zoe? Zoe? – słyszę stłumiony głos Ruby.

Jack Mitchell. Ostatnia osoba, która widziała moją córkę. Po jego wyjściu z aresztu podejrzenie znów spadnie na mojego męża. Rozłączam się.

Zawsze chciałam zostać uznaną artystką, ale nie należę do osób, które wszystko starannie planują. Moja kariera nie rozwija się według ściśle wytyczonego kierunku, nigdy nie mam listy rzeczy, które zamierzam osiągnąć. Chciałam malować, chciałam Olliego, chciałam mieć dzieci.

To Ollie zajmuje się planowaniem, lubi mieć porządek i wszystko pod kontrolą. On wybrał ten dom i zdecydował o wystroju wnętrza. Ja się po prostu cieszyłam, że mogę mieszkać w ładnym miejscu, i prawdę mówiąc, zawsze czułam się trochę winna, że mamy tak dużo,

podczas gdy moja mama i ja miałyśmy tak mało. Jakimś cudem awansowałam do klasy smakoszy latte.

To, co spotkało Evie i nas, odarło moje życie z pozorów porządku i namiastki kontroli, jaką nad nim miałam. Jestem zagubiona, w rozsypce, nie wiem, czego się chwycić. Dosłownie nie wiem, co robić. Jak mam odnaleźć moje dziecko? Co mogę zrobić, żeby ją uratować? Policja miała dwóch podejrzanych, a teraz nie ma żadnego. Na bank zaczną znów podejrzewać mojego męża. Ollie, który zawsze był dla mnie opoką, przestał odgrywać rolę siły stabilizującej moje życie. Chcę, żeby znowu nią był. Żeby mogła się na nim oprzeć. Zależy mi na tym, żeby nasze małżeństwo funkcjonowało. Muszę się trzymać nadziei, że znajdziemy Evie, że ona żyje, że znowu będziemy rodziną.

– Jadę do Jacka – mówię Olliemu. – Wypuścili go z aresztu.

– Jadę z tobą – oznajmia.

– Nie, nie mogę zabrać...

– Bierzymy Bena ze sobą.

Już zdecydował i nie ma sensu się z nim kłócić.

Jedziemy na Mornington Road. To zaledwie dwie przecznice od domu, w którym mieszkała przed śmiercią moja mama. Po obu stronach jezdni ciągną się szeregi identycznych wąskich kamieniczek z czerwonej cegły. Nie mają ogródków od frontu, drzwi otwierają się bezpośrednio na chodnik; kiedyś wieczorami bawiły się na nim dzieciaki, kopały piłkę, szalały na trzykołowych rowerkach. Skakały na skakance. Kto dzisiaj skacze na skakance? Teraz jest ciemno i zimno, ulice są zapchane samochodami. Nie widać żadnych przechodniów. Kiedy wysiadamy z auta, z naszych ust unoszą się obłoczki pary. Otulam się szczelnie kurtką i wciskam ręce w kieszenie. Ciszę mąci tylko głuchy odgłos naszych kroków.

Jack otwiera nam drzwi; wygląda okropnie. Jego twarz jest szara jak pergamin. Ma za sobą co najmniej dwie nieprzespane noce, z tego jedną w policyjnej celi.

Na mój widok wydłuża mu się twarz.

– Zoe. Ollie – mamrocze. Wygląda, jakby miał się rozpląkać. – Tak mi przykro.

– Gdzie ona jest? – krzyczy Ollie.

– Nie wiem. Nie wiem. – Jego głos podnosi się niemal do pisku, a potem załamuje.

Rozgląda się na boki i szurając nogami, cofa się w głąb mieszkania.
– Wejdziecie? Proszę.

Chociaż na chwilę.

Jack zburzył ścianę, która oddzielała salon od kuchni, i stworzył otwartą przestrzeń z nowoczesnym stolikiem śniadaniowym pod jedną ze ścian. Wszystko jest pomalowane na biało, nawet drewniana podłoga jest biała. Zatrzymuję się w pół kroku. Byłam tu tyle razy, ale nigdy nie zwróciłam uwagi na wystrój wnętrza. Teraz patrzę na to innym okiem. Stawiam Bena na podłodze. Pędzi prosto do ikeowskiego regału z płóciennymi pojemnikami w kolorze fuksji i limonki, pełnymi zabawek i książeczek dla dzieci. Głównym meblem jest skrzynia w głębi; niemal dominuje nad całym pomieszczeniem.

Na przeciwległej ścianie wiszą trzy oprawione w ramy czarno-białe zdjęcia dzieci. Zbliżenia twarzy. Maluchy uśmiechają się, ich szeroko otwarte oczy błyszczą, drobne ząbki przebijają się przez dziąsła, lśni gładka skóra. Jestem ciekawa, czy oprawił też inne zdjęcia. Czy jeśli przejdę się po domu, znajdę rozneglizowaną fotografię swojej córki? Widzi, że oglądam portrety, i z zakłopotaniem przestępuje z nogi na nogę.

– Mogę zaproponować wam coś do picia? Może filiżankę herbaty?

– Siadaj, Jack – mówię. Siada.

Nawet kanapy są białe pod różowo-zielonymi narzutami. Na gzymsie kominka stoi plastikowy wazonik ze sztucznymi kwiatami, ale nie tłoczą się tam żadne bibeloty. Rozumiem, dlaczego dzieciaki uwielbiają tutaj przychodzić: mieszkanie jest dostatecznie duże, by było gdzie ganiać, a jednocześnie dość małe, by czuły się w nim bezpiecznie; nie ma ciemnych kątów, kruchych przedmiotów, które mogą się stłuc, tylko fotele, po których można skakać, i rzeczy do zabawy. Ben przewraca pojemnik z zabawkami i wybucha radosnym śmiechem, kiedy z grzechotem rozsypują się po białych deskach podłogi.

Jack kładzie zaciśnięte dłonie na kolanach i wodzi wzrokiem ode mnie do Olliego. Wygląda, jakby zaraz miał zwymiotować. Jest

niskim, drobnym mężczyzną. Nie miałam pojęcia, że się wspina, ale jeśli rzeczywiście tym właśnie zajmował się w Krainie Jezior, ma do tego idealne warunki fizyczne: jest lekki i muskularny. Kiedy myślałam o nim jako o mężczyźnie-dziecku, który w jakimś sensie zatrzymał się w rozwoju, chodziło mi o jego psychikę – o fakt, że woli towarzystwo dzieci od dorosłych – ale teraz widzę, że podświadomie brałam pod uwagę również jego wygląd. Ma kręcone włosy, duże brązowe oczy i twarz elfa z plackami rzadkiego zarostu, jakby miał za mało testosteronu, by wyhodować prawdziwy. Wiem od dyrektorki szkoły, że jest po trzydziestce, ale wygląda młodziej. Chociaż właściwie trudno określić jego wiek po twarzy czy sylwetce; Jack wydaje się bezczasowy albo poza czasem, jak Piotruś Pan. Lub Dorian Grey.

– Przysięgam – mówi. – Nic nie zrobiłem Evie. Bardzo ją lubię. A jeśli chodzi o te zdjęcia... policja na pewno wam je pokazała... nie ma na nich nic nieprzyzwoitego. Na żadnym nie jest naga. To była zabawa. Uwielbiała się przebierać. Nie jestem pedofilem. Zawsze pytałem ją o zgodę. Skasowałem wszystkie, które jej się nie podobały.

Wstrząsa mną dreszcz.

– Pytałeś o zgodę siedmiolatce? Mnie powinieneś zapytać. To mnie powinieneś o tym powiedzieć.

– Masz rację. Tak należało zrobić. Oddam wam wszystkie zdjęcia. Wydruki i wersje cyfrowe. Skasuję całą zawartość komputera.

Zastanawiam się, od kiedy Jack opiekował się Evie? Odkąd miała dwa lata. O ilu zdjęciach mówimy? Pięć lat z życia małej dziewczynki.

– Przysięgam, że jej nie dotknąłem. Nie w ten sposób.

Próbuję spojrzeć na Jacka, jakbym widziała go po raz pierwszy w życiu. Myśl, że człowiek, któremu powierzyłam opiekę nad swoim dzieckiem, nauczyciel mojej córki, mógł ją wykorzystać, jest po prostu przerażająca. Ale przecież chyba coś bym zauważyła? W jej zachowaniu musiałaby zajść jakaś zmiana. Nie cieszyłaby się tak bardzo na odwiedzinach u Jacka, gdyby się go bała. Nagle przypominam sobie tamten dzień, kiedy znalazłam kartkę od jej ojca.

Nie chciała jechać do Jacka. A ja zlekceważyłam jej protesty.

– Co się stało? – pyta Ollie. – Tamtego wieczoru, kiedy zaginęła. Powiedziałeś, że to ja ją odebrałem.

Jack kręci przecząco głową.

– Powiedziałem, że odebrał ją jej *tata*. – Załamuje z rozpaczą ręce.
– Wyrzucą mnie z pracy, prawda?

Ollie dosłownie podskakuje na krześle.

– Myślisz, że twoja pierdolona praca mnie obchodzi? – wybucha. – Mów, gdzie jest moja córka!

– Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem! – Milknie. – Spieszyłem się, byłem umówiony z kumplem na wspinanie się w Krainie Jezior – zaczyna wyjaśniać. – Zależało mi, żeby dojechać przed nocą. Nie znałem drogi i nie chciałem rozstawiać namiotu po ciemku. Teraz sam w to nie wierzę. Ale wtedy uważałem, że to ważne. Gdybym mógł cofnąć czas...

– Do kurwy nędzy, Jack! Kto odebrał Evie? – wrzeszczy Ollie.

– Nie wiem. Myślałem, że to ty, ale... Byliśmy sami w budynku. Wszyscy już poszli do domu. Portierka dała mi klucze, żeby zamknąć szkołę. Przeszliśmy do innej klasy, z oknami wychodzącymi na ulicę, żeby widzieć, jak przyjedziecie. Siedziałem przy komputerze, sprawdzałem drogi wspinaczkowe i próbowałem skontaktować się z kumplem, żeby powiedzieć mu, że będę późno, ale nie mogłem go złapać. Evie stała przy oknie i czekała na was. W pewnej chwili zawołała: „Tata przyjechał!”. Zobaczyłem, że pod szkołą parkuje jakiś samochód. Evie była bardzo podekscytowana. Pomyślałem, że musiała się naprawdę denerwować z powodu Bena, tym bardziej że jej nie odebraliście i musiała sama siedzieć w szkole. Zaczęła skakać w miejscu, a potem pobiegła do drzwi. Akurat wtedy zadzwonił Stefan, mój kumpel. Uznałem, że to jedyna szansa, żeby z nim porozmawiać, bo naprawdę długo próbowałem się połączyć.

Odebrałem telefon i pomachałem Evie na do widzenia. Więcej jej nie widziałem.

– Nie sprawdziłeś, kto po nią przyjechał? Zostałeś w klasie, gadając przez telefon, i tylko jej pomachałeś?

– Sądziłem... no wiecie... Podjechał samochód, a właśnie na to czekaliśmy. Powiedziała, że to tata. Uwierzyłem jej.

- Uwierzyłeś? Siedmiolatce?! Trzeba było sprawdzić.
- Wiem. Wszystko bym oddał, żeby...
- Powtórzmy to, żebyśmy dobrze zrozumiała – wpadam mu w słowo.
- Zawołała, że przyjechał po nią tata, a ty powiedziałeś to policji. Wiedziałeś, że uznają, że odebrał ją Ollie.

A naprawdę puściłeś ją samą do samochodu, który stał pod szkołą, nie sprawdzając, kto w nim jest?

– Tak – odpowiada szeptem. – Bałem się, że jeśli powiem, jak było, wywalą mnie z roboty. Ale teraz, kiedy policja znalazła zdjęcia, i tak mnie wyrzuca. Evie *powiedziała*, że to był jej tata. Dlaczego miałaby tak twierdzić, gdyby to nie była prawda? Nawet gdyby się pomyliła... Przecież wróciłaby do klasy, kiedy zorientowałaby się, że to nie Ollie? Gdy zamykałem szkołę, samochodu już nie było. I Evie też.

– Widziałeś w ogóle to auto?

– Nie – odpowiada niemal niedosłyszalnie.

– Ale przecież mówiłam ci...

I wtedy uświadamiam sobie, że wcale nie. Nie powiedziałam Jackowi, że biologiczny ojciec Evie nawiązał z nią kontakt. Nie pokazałam mu kartki z życzeniami i nie wspomniałam o prezentach od „prawdziwego” taty. To z mojej winy Jack dopuścił się aktu zaniedbania.

– A zdjęcia? – Głos Olliego jest pełen obrzydzenia.

Spojrzenie Jacka wędruje do skrzyni pod ścianą.

– Trzymam tam kostiumy. Próbowałem pokazać radosną magię transformacji, no wiecie, chwilę, kiedy dziecko przeobraża się w postać ze swojej magicznej wyobraźni.

– Ty su...

Kładę Olliemu dłoń na ramieniu, żeby się nie zapędzał.

– Kostium! – ponaglę Jacka. – Z *Krainy lodu*. Myślimy, że miała go na sobie, kiedy, kiedy... – Nie jestem w stanie dokończyć zdania.

– Pożyczyła go ode mnie – wyjaśnia szeptem. – Bardzo jej się podobał, więc powiedziałem, że może go sobie ponosić.

Zaciskam powieki. Oczyma wyobraźni widzę, jak Jack daje Evie sukienkę księżniczki, żeby wyciszyć jeden z jej imponujących napadów złości. Nie powiedział mi o tym, bo nie rozumuje w ten

sposób, patrzy na świat z perspektywy dziecka, a nie rodzica.

Ponadto, jeśli mam być brutalnie szczerą, nie wierzę, że celowo robił nieprzyzwoite zdjęcia; są zbyt artystyczne. Po prostu uchwycił magiczny moment, gdy dziecięcy umysł wkracza w świat fantazji. Ale okradł te dzieci; odebrał im niewinność i stworzył coś mroczniejszego, co przemawia do wyobraźni dorosłych, odwołując się do odwiecznych motywów seksualności i śmierci, które są obecne we wszystkich bajkach, w naszych własnych opowieściach o dzieciach.

Jack zaczyna płakać.

– Przepraszam. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Ollie wstaje z krzesła i przez ułamek sekundy myślę, że go uderzy, ale zamiast tego zgarnia Bena, otwiera zamasyżycie drzwi i wychodzi, klnąc pod nosem. Zerkam na Jacka. Zwinął się na kanapie w kłębek, obejmuje się ramionami jak dziecko.

Ollie pędzi wąskimi ulicami jak wariat; rozsadza go wściekłość.

– Zatrzymaj się! – mówię. Wolałabym, żeby zwolnił, zanim nas zabije. – Musimy kupić mleko.

Sklepy są zamknięte, centrum miasteczka jest niemal zupełnie wyludnione. Ollie zatrzymuje się przy końcu Cowpasture Road, na rogu ze sklepikiem z gazetami naprzeciwko szkoły, w którym wczoraj kupiłam Benowi kanapkę. Zostawiam ich w samochodzie. Część oświetlenia nie działa, połowa sklepu tonie w półmroku, a reszta jest zalana ostrym światłem jarzeniówek. Zatrzymuję się z wahaniem przed stoiskiem ze smętnymi warzywami, matowymi winogronami i pomarszczonymi pomarańczami. I tak musimy zrobić porządne zakupy, w końcu kupuję więc tylko to, czego potrzebujemy na śniadanie. Dorzucam jeszcze butelkę taniego wina z jaskraworóżową nalepką z ceną.

Zdjęcie Jacka jest na pierwszych stronach kilku gazet. *Czy porwał ją nauczyciel?* – krzyczy jeden z nagłówek. „The Guardian” przyjął inną strategię: redakcja zamieściła mapkę Ilkley, która pokazuje położenie szkoły względem rzeki. „Jak dowiadujemy się z dobrze poinformowanego źródła, policja poszukująca zaginionej dziewczynki, Evie Morley, zrezygnowała z przeszukania rzeki Wharfe przez nurków z powodu niewystarczających środków”. Nigdy więcej

nie kupię żadnej gazety. Drukują same gówno.

Kobieta, która mnie obsługuje, jest Bengalką. Ciasno owinięta wokół twarzy chusta wrzyna jej się w policzki. Na paznokciach ma łuszczące się resztki ciemnoczerwonego lakieru, na dłoniach wyblakłe ślady namalowanych henną wzorów. Nie patrzy na mnie, w milczeniu skanuje ceny i wkłada zakupy do niebieskiej foliowej torebki, tak cienkiej, że na pewno zaraz pęknie. Myślę o mojej mamie, która wdawała się w rozmowę z każdym, kogo spotkała. Kiedy byłem dzieckiem, wprawiało mnie to w zakłopotanie; zanim skończyłaby robić zakupy, wiedziałaby, czy kasjerka jest mężatką, czy rozwódką i ile ma dzieci. Teraz próbuję ją naśladować. Uważam, że to po prostu uprzejme. Ale dziś nie mam siły na grzecznościowe pogawędki. Nawet nie dziękuję, odbierając resztę. Zatrzymuję się na chwilę w drzwiach i myślę o tym, co powiedział nam Jack. Nabieram powietrza i nagle uświadamiam sobie, gdzie jestem. Zawracam do kasy. Sprzedawczyni rozmawia przyciszonym głosem z kimś, kto stoi za nią.

– Przepraszam – mówię, podchodząc do lady. Ta druga osoba cofa się w cień i znika na zapleczu. – Zastanawiałam się... Zaginęła moja córka. W piątek ktoś zabrał ją ze szkoły.

Pomyślałam sobie, że skoro pani sklep jest tak blisko, praktycznie naprzeciwko... Może macie kamerę? Może zarejestrowała coś, co pomoże zidentyfikować człowieka, który porwał mi córkę. Tym razem na mnie patrzy; jej oczy są ciemne i nieprzeniknione. Zerka na stosik gazet na kontuarze, jakby moja historia nadal zajmowała pierwszą stronę.

– Przykro mi – mówi. – Policja już nas o to pytała.

Idiotka ze mnie. Przecież Collier powiedział, że sprawdzają nagrania ze wszystkich kamer monitoringu; jego zespół nie przeoczyłby tak oczywistej lokalizacji.

– Nic nie znaleźli?

Zaprzecza ruchem głowy, nie od lewej do prawej, lecz wykonując coś w rodzaju rozedrganej ósemki.

– Okej.

– Przykro mi – powtarza. – Mam nadzieję, że znajdą pani córeczkę. Kiedy ją pani zobaczy, proszę jej dać to ode mnie.

Wręcza mi wyjętego ze stojaka chupa chipsa. Evie je uwielbia, ale dostaje je tylko na przyjęciach, bo ja nie kupuję takich słodyczy. Biorę od sprzedawczyni lizaka i przez chwilę stoję bez ruchu, przyciskając go do piersi.

Kiedy wychodzę ze sklepu i skręcam za róg, uderza mnie powiew przenikliwego wiatru; ziąb kąsa moją twarz i pali mi gardło. Chowam lizaka do kieszeni i ocieram łzy.

– Proszę zaczekać! – woła za mną jakiś głos.

W moją stronę biegnie dziewczyna. Nie znam jej, rozglądam się więc, myśląc, że chodzi jej o kogoś innego. Zatrzymuje się obok mnie i ciężko dyszy. Jest ubrana na czarno. Nie ma kurtki, obejmuje się ramionami, żeby ochronić się przed chłodem.

– Przepraszam za moją mamę – mówi. – Było jej wstyd.

– Nic się nie stało. To zrozumiałe. – Domyślam się, że przybiegła ze sklepiku z prasą.

Dziewczyna kręci głową, jakbym ją źle zrozumiała.

– Kamera jest zepsuta. Niczego nie nagrywa. Mama dostała za to ochrzan od policji. Nie chciała pani o tym mówić.

– Och. – Przygniata mnie druzgocące rozczarowanie. Myślałam, że teraz, kiedy wiem, że Evie odebrał spod szkoły mężczyzna, który nie był moim mężem, zdołam przekonać Colliera, żeby jeszcze raz obejrzał nagranie. Muszę do niego zadzwonić. Wyjmuję telefon.

– Mam na imię Anita – oznajmia dziewczyna.

Przyglądam jej się z zakłopotaniem, aż wreszcie przypominam sobie, że to ona obsługiwała mnie poprzednim razem. Wszystko do mnie powraca: tłusta grzywka, trądzik, nieśmiałość. W pomarańczowym świetle latarni jej cera wygląda jeszcze gorzej, blizny po pryszczach rzucają cienie na policzki i brodę. Drży.

– Dziękuję, że mi to powiedziałaś. Wracaj do środka, bo zmarzniesz.

Zerka za siebie, jakby spodziewała się, że przyjdzie po nią mama.

– Nie pamięta mnie pani, prawda? – Robi nadąsaną minę. Chcę zaprzeczyć, ale mnie uprzedza. – Wygłosiła pani pogadankę w naszej szkole – mówi. – O sztuce. Pokazała nam pani swoje obrazy. – Jej głos wznosi się wyżej przy końcu każdego zdania.

– No tak, pamiętam.

Kilka miesięcy temu spotkałam się z uczniami z klas przedmaturalnych. Nie przypominam sobie tej dziewczyny, ale nie ma w tym nic dziwnego. Słuchały mnie trzy setki uczniów. Byłam nieprzytomna ze zdenerwowania i wściekła na Jenny, która mnie w to wrobiła.

Powiedziała, że chodzi o kilka osób, które chcą zdawać maturę z wiedzy o sztuce. Nie spodziewałam się, że będę musiała przemawiać do cholernego tłumu.

– Zainspirowała mnie pani – wyznaje nieśmiało.

Chryste, to po to mnie dogoniła? Wie, że cztery dni temu zaginęła moja córka, i chce ze mną rozmawiać o swojej karierze artystycznej?

– Zaczęłam fotografować.

Niecierpliwie przestępuję z nogi na nogę. Szkoda, że nie założyłam szalika ani nie wzięłam czapki. Muszę wracać do Bena i Olliego.

Anita trzęsie się z zimna. Ogląda się za siebie i oblizuje spieczone usta.

– Tego dnia, kiedy zaginęła pani córeczka, robiłam zdjęcia – mówi.

– I co? Co zobaczyłaś?

Kręci przecząco głową.

– Nic. Niczego nie widziałam. Ale pytała pani o nagrania z kamery, których nie mamy.

Więc pomyślałam sobie, że przecież robiłam wtedy zdjęcia przed sklepem i w tym małym parku obok szkoły. Sama nie wiem. Możliwe, że to nic takiego.

– Co nic takiego? Jeśli coś widziałaś...

– Nic nie widziałam. Ale może *pani* zobaczy. Pewnie to na nic się nie przyda, ale... – Podaje mi jakiś przedmiot.

Wyciągam dłoń. To pendrive. Biorę go od niej, a ona odwraca się natychmiast na pięcie i wraca biegiem do sklepu. W blasku latarni rzuca dwa bliźniacze cienie, na prawo i na lewo. Po chwili znika za rogiem. Pozwalam Olliemu położyć Bena do łóżka. Mam nadzieję, że to go uspokoi. Otwieram laptop.

– Zobacz – mówię, kiedy szary ze zmęczenia schodzi na dół. – Ta dziewczyna, Anita, jedna z uczennic klasy przedmaturalnej, dała mi

to, kiedy poszłam do sklepu. Zdjęcia zrobione w pobliżu szkoły w dniu zaginięcia Evie. – Ściągam je na twardy dysk. Są ich setki. Niczego nie wykadrowała ani nie skasowała. – Możliwe, że to się na nic nie przyda – powtarzam jej słowa.

Nie powinnam rozbudzać w nas nadziei.

Ollie patrzy nad moim ramieniem na ekran. Najeżdżam na ikonkę „Sortuj”.

– Mogę zawęzić do zdjęć zrobionych mniej więcej w tym czasie, kiedy według Jacka Evie została odebrana ze szkoły.

Zakładam nowy folder i przerzucam do niego zdjęcia z piątku od 14.00 do 18.00 – na wszelki wypadek, bo może jest coś na jednym z wcześniejszych ujęć. Trzydzieści sześć kadrów.

Ollie przystawia sobie krzesło i siada obok mnie przy kuchennym stole. Oglądamy je pojedynczo, a potem jeszcze raz jako pokaz slajdów. Nie jestem pewna, czego szukamy.

Dziewczyna nie ma za grosz talentu. To głównie przypadkowe migawki, tyle że zrobione średnio dobrym aparatem. Kompletnie bez sensu. Nie są prawidłowo wykadrowane; nie rozumiem, co właściwie chciała pokazać. Z grubsza rzecz biorąc, przedstawiają sceny uliczne, ale ponieważ to Ilkley, nie ma w nich ani naturalizmu, ani wielkowiejskości. Nagie gałęzie i ławki, klomby i śmiecie; ludzie przechodzący przez jezdnię w niedozwolonym miejscu; kobieta na elektrycznym wózku inwalidzkim. W przystępie dobrego humoru mogłabym je porównać do tańczącej na wietrze plastikowej torebki z *American Beauty*. Ale nie jestem w dobrym humorze.

Chowam twarz w dłoniach. Fotografie Anity są bezwartościowe. Próbowałam nie obiecywać sobie po nich zbyt wiele, ale to było silniejsze ode mnie.

– Tam! – Ollie dźga palcem klawisz spacji.

Na zdjęciu jest parkan przed szkołą. W prawym dolnym rogu widać zderzak samochodu. Jest lekko zamazane, jakby poruszone. Zostało zrobione o 17.04. Ollie przechodzi do następnego. Tym razem jest to zbliżenie ogrodzenia i jakieś cienie. Banał. Na tym ujęciu nie widać samochodu. Wyrywa mi się przekleństwo. Ollie, cierpliwszy i bardziej metodyczny ode mnie, wybiera kolejne ujęcie. Przypomina pierwsze,

ale jest inaczej skadrowane, mniej ostre i znowu widać na nim samochód. 17.05. Auto jest rozmazane, nie można rozpoznać marki ani kierowcy.

– Możesz coś z tym zrobić? – pyta mnie. – Ja się na tym nie znam.

Wrzucam zdjęcie do Photoshopa, powiększam je i rozjaśniam fragment z samochodem. Wyostrzam i zapisuję plik. Następnie wyostrzam zapisany plik. Zwiększam kontrast i jasność.

– Patrz, teraz widać numery – mówi Ollie.

Zwiększam ostrość i kontrast, aż w końcu można podjąć próbę odczytania numerów. Ollie zapisuje dwie alternatywne wersje rejestracji i chwyta za komórkę.

– Dzwonisz do Colliera?

– Później. Najpierw do Gill.

– Po co? – Żadne z nas nie rozmawiało z Gill od mojej wizyty w ich domu w niedzielę po południu. – Jest na nas wściekła, że nie wyciągnęliśmy Andy’ego z aresztu.

– Przejdzie jej to, jak się trochę uspokoi. Przecież rozumie, o co tu chodzi. – Zaczyna wstukiwać numer. – Gill na pewno zna kogoś, kto będzie umiał nam pomóc. Albo nawet sama ma dostęp do rejestru kierowców i pojazdów. Mam dosyć tego, że policja nic nam nie mówi.

Widzisz, kto siedzi za kierownicą?

Kręcę głową. Całe to wyostrzanie i zwiększanie kontrastu pomogło przy przeostrzonych cyfrach, ale na nic się nie zdało w przypadku kierowcy. Niewyraźny kształt zmienił się w abstrakcyjną kompozycję jasnych i ciemnych plam, która w ogóle nie przypomina ludzkiej twarzy. Wracam do oryginalnego zdjęcia i wyodrębniam inny fragment. Tym razem pracuję nad kawałkiem samochodu z kierowcą. To o wiele trudniejsze zadanie i bardzo frustrujące; mam wrażenie, że moje wysiłki nie przynoszą żadnego efektu. Ollie kończy rozmawiać z Gill i wraca do kuchni. Powiększyłam zdjęcie tak bardzo, że już zupełnie nic na nim nie widać. Zdejmuję kolory. Czy to oczy, czy cień? Coś się odbija w przedniej szybie samochodu i próbując wyostrzyć twarz mężczyzny za kierownicą, wyostrzam refleks na szybie, co dodatkowo utrudnia rozpoznanie rysów. Wzdycham. Ollie robi krok do tyłu.

– Pomniejsz z powrotem.

Robię to. Wykadrowuję fragment z samochodem. Teraz zajmuje cały ekran laptopa. Odchylam się na oparcie krzesła, Ollie zaciska dłonie na moich ramionach i się pochyla.

– O Boże – mówi.

Przełykam ślinę, serce kurczy mi się boleśnie w piersi. Nie potrafimy udowodnić, że tym samochodem odjechała nasza córka. Wiemy tylko, że zdjęcie zostało zrobione mniej więcej w tym czasie, kiedy według Jacka Evie pobiegła do auta, które zaparkowało pod szkołą. Teraz zdjęcie ma lepszy rozmiar, a co za tym idzie, jest wyraźniejsze, mniej abstrakcyjne. Czasem człowiek jest tak pewny, że wie, czego szuka, że trudno mu zobaczyć to, co ma przed oczami.

Ale teraz to widzę.

– To kobieta – stwierdza Ollie.

Postać w samochodzie jest ubrana w ciemną, obszerną szatę. Owinięty wokół głowy szal zasłania twarz. Nikab. Widać tylko oczy.

– Matka Evie – mówię.

Milczymy oszołomieni.

– Ale dlaczego Evie wyszła do kobiety? – odzywa się w końcu Ollie.

– Wszystkie kartki, które dostała, były od mężczyzny, podpisane „tata”.

– Może też był w samochodzie. Nie wiemy, na czym polegał znak, o którym wspomniał w ostatniej kartce, ale widocznie Evie go rozpoznała. Nie widać fotela pasażera. Zresztą możliwe, że siedział z tyłu. To miałoby sens. Byłby obok niej, jeśli chciał ją uspokoić. – Albo podać jej narkotyki, przebiega mi przez myśl, lecz nie mówię tego na głos. – No i zgadza się, że jest... że są muzułmanami. – Przypominam mu o modlitewniku.

Zawsze wyobrażałam sobie matkę Evie jako białą narkomankę i prostytutkę z Leeds. Ale przecież mogła być kimś zupełnie innym. Na przykład szacowną młodą muzułmanką z Bradford.

Myślę o Yasirze, siostrze Harisa.

– Musimy powiedzieć o tym Collierowi. Nie szukają kobiety. Ani pary – zauważam.

Dzwoni telefon Olliego.

– Dzięki. Jestem ci bardzo wdzięczny – mówi. – Tak. Tak. Okej. Zrozumiałem. – Rozłącza się. – To była Gill. Powiedziała, że jeden z numerów rejestracyjnych figuruje w rejestrze. Drugi nie istnieje. Właściciel wozu jest mężczyzną i mieszka w Ilkley.

Jego słowa robią na mnie wstrząsające wrażenie. Samochód jest zarejestrowany na mieszkańca naszego miasta. Czy to fałszywy trop, czy Evie rzeczywiście może być tutaj, w Ilkley? Nie udaje mi się powstrzymać następnej, bardziej ponurej myśli: „O ile jeszcze żyje”.

– Co powiedział Collier?

– Nie odebrał. Nagrałem wiadomość.

– Pokaż.

Ollie podaje mi kawałek gazety z nabazgranym adresem na Panorama Drive. Żołądek podchodzi mi do gardła, jakbym zjeżdżała windą przeskakującą po dziesięć pięter na raz. To na drugim końcu Ilkley. Ulica biegnie równolegle do krawędzi wrzosowiska i kończy się przy Heber's Ghyll i zbiorniku wodnym. Samochód jest zarejestrowany na G. Hardgrave'a. To wszystko zupełnie do siebie nie pasuje. Hardgrave jest porządnym, staroświeckim nazwiskiem, często spotykanym w Yorkshire; w Ilkley mieszka bardzo mało przedstawicieli mniejszości etnicznych, a Panorama Drive to jeden z najlepszych adresów w naszym mieście. Trzeba być bardzo bogatym, żeby tam mieszkać, chyba że kupiło się dom wiele lat temu. Raczej mało prawdopodobne, by młoda muzułmanka była właścicielką posesji na skraju wrzosowiska. Może jest żoną G. Hardgrave'a, ojca Evie, albo u niego mieszka? Wyobrażam ją sobie jako młodą osobę, ale przecież nie wiem, ile ma lat. Duża ziarnistość zdjęcia i nikab uniemożliwiają określenie jej wieku.

– Wiem, gdzie to jest. Jadę tam – oznajmiam.

Ollie kręci głową.

– Nie zostawię tego do rana. Przecież tam może być Evie!

– Też nie chcę czekać, ale czy nie powinniśmy wstrzymać się, dopóki Collier tego nie sprawdzi?

– Jadę – powtarzam.

Narzucam na ramiona kurtkę i chowam do kieszeni telefon.

– Ja pojedę – mówi Ollie. – To może być niebezpieczne. Nie wiesz,

czy...

– Mam to gdzieś. – Nie czekam, aż skończy. – Muszę wiedzieć. Muszę tam pojechać, bo jeśli ona, jeśli ona... – Nie mogę dokończyć zdania. – Zresztą jest późno. Już prawie północ. – Jeśli o tej porze do ich drzwi zastuka nieznajomy mężczyzna, mogą mu nie otworzyć. Co innego samotna kobieta. – Muszę jechać!

– Weź ze sobą Bellę.

Gdyby sytuacja była mniej poważna, wybuchnąłabym śmiechem. Pomysł, że Bella mnie przed kimkolwiek obroni, jest absurdalny. Ale jej towarzystwo pomoże mi zachować spokój.

Przybiega truchtem, gdy ją wołam.

– Zadzwoń, jak tylko...

– Zadzwonię.

Kiedy otwieram samochód, Bella wskakuje na fotel pasażera, jakby wiedziała, że jej z niego nie zgonię. Trochę się ociepliło; powietrze pachnie wilgocią, gnijącymi liśćmi. Na niebie, w miejscu, gdzie gęsty wał chmur przesłania księżyc w drugiej kwadrze, ciągnie się srebrzysto-złota smuga. Moje dłonie są zimne, lecz jednocześnie mokre od potu. Staram się zdławić w sobie nadzieję, lecz wbrew mojej woli wzbiera gwałtownie, grożąc, że mnie zaleje.

A jeśli Evie rzeczywiście tam jest? Zaledwie kilka kilometrów ode mnie. Nie chcę zastanawiać się, w jakim może być stanie. Jeśli naprawdę są jej biologicznymi rodzicami... Nawet jeśli dbają o nią pod względem fizycznym, na pewno za nami tęskni, zadaje sobie pytanie, dlaczego ją porzuciliśmy. Czy nam kiedykolwiek wybaczy? Takie przeżycia mogą pozostawić na psychice dziecka niezatarty ślad. Nie chcę myśleć, co mogli jej zrobić. Jeśli ten mężczyzna i ta kobieta tylko podszywają się pod jej rodziców...

Nie wjeżdżam do miasta, jadę wyżej położoną drogą wzdłuż krawędzi wrzosowiska. Choć nie mogę go zobaczyć w ciemności, wyczuwam jego złowieszczy ogrom mający za oczkiem lodowcowym, drzewami, domami, hotelem. Na końcu Crossbeck Road przejeżdżam z dudnieniem przez przeszkodę dla bydła, nakryty kratownicą rów, i skręcam w Well's Road.

Teraz już nic nie oddziela mnie od wrzosowiska.

W oddali mruga blade światełko: to dom Harisa pośrodku pustkowia. Sosny, które osłaniają go od strony miasta, kołyszą się na wietrze, na zmianę zakrywając i odkrywając okruszek blasku. Zastanawiam się, o czym myśli teraz Haris. Po południu wyszedł z aresztu, oczyszczony z podejrzania o uprowadzenie dziecka. Przez resztę dnia pewnie krążył po swojej zagrodzie jak drapieżnik po swoim terytorium, biorąc ją z powrotem w posiadanie. Poszedł do pracowni. Przesuwał dłonią po gładkich metalowych elementach, lemieszu od starego pługa, zębach koparki, zębatkach rowerowych, a później pozrywał ze ściany zdjęcia i wrzucił je w ogień. Przeklinał dzień, kiedy mnie pierwszy raz zobaczył, i obsesję, przez którą wzięto go za porywacza albo nawet pedofila.

Nie wiem, co czuję w tej chwili do Harisa. Wierzyłam, że jest ojcem Evie. Byłam pewna, że kiedy nie udało mu się odtworzyć pierwotnej rodziny z biologiczną córką i ze mną w roli wymarzonej w więziennej celi żony, otruł Bena i uprowadził Evie, żeby się na mnie zemścić.

A teraz? Wiem, że Collier nie jest przekonany, że ktoś celowo podał Benowi truciznę, to wszystko jednak za bardzo do siebie pasuje: Evie została uprowadzona, kiedy nie było przy niej ani mnie, ani Olliego. Chociaż może nadinspektor ma rację, że to zbyt naciągane; w końcu gdybym dodzwoniła się do Andy'ego albo którejś z zaprzyjaźnionych mam, Evie nic by się nie stało. Nie puściliby jej samej do samochodu, nie sprawdziliby, kto w nim siedzi. Zresztą truciciel wcale nie był potrzebny – jak słusznie zauważył Collier, w Ilkley krzaki trzmieliny rosną na każdym kroku. Ben mógł sam zerwać jagody w drodze do szkoły, a ja tego nie zauważyłam.

Żadnej z tych myśli nie jestem w stanie utrzymać dłużej w głowie, bo jestem już na Panorama Drive, blisko mojej córki! Czuję się, jakby Evie mnie wołała. Dzieli mnie od niej zaledwie kilka metrów. Wyobrażam sobie, że czuję jej zapach, specyficzną woń małej dziewczynki, trochę jak kremu do opalania i grzybów. Jadąc zbyt szybko, oczyma duszy widzę, jak z nadludzką szybkością biegnę pod górę, krzycząc: „Evie, moje kochanie, Evie!” i wyciągając do niej ręce. Wyobrażam sobie, że przyciskam ją do siebie, czuję jej żebra, serduszko, które trzepoce jak wróbelek.

– Mamusiu, serce człowieka jest tej samej wielkości co jego pięść – poinformowała mnie kiedyś z zachwytem. Zacisnęłyśmy palce w pięści i przyłożyłyśmy je do piersi, a potem stuknęłyśmy się nimi: dłońmi udającymi serca.

Panorama Drive jest wąska i ocieniona drzewami. Ciemna. Po jednej stronie znajduje się las, przez który szłam z Harisem. Asfalt jest śliski od rozjeżdżonych liści. Zmuszam się, żeby zwolnić. Pamiętam z moich wędrówek po wrzosowisku, że domy są tutaj duże, cofnięte od drogi, z wielkimi ogrodami zarówno od frontu, jak i od tyłu. Otaczają je wysokie ogrodzenia, zza których widać czasem górną część trampoliny albo czubek dorodnego krzewu. Jedna z rezydencji jest stylizowana na szesnastowieczny ziemiański dwór z oknami przedzielonymi kolumnami, inna za to, bardzo nowoczesna, zwraca się w stronę wrzosowiska przeszkloną ścianą i podwójną werandą.

Rzucam okiem na skrawek gazety, który cały czas trzymam w dłoni. Panorama Drive numer jeden. Numery maleją w tym kierunku, minęłam już osiem i sześć. Jeszcze nigdy nie byłam tak daleko; przypuszczam, że zawsze chciałam jak najszybciej zjechać z głównej drogi, skręcałam więc w publiczny przejazd między murami dwóch posesji albo szłam z miasta na wrzosowisko krętą drogą przez las.

Zatrzymuję samochód, nie dojeżdżając do budynku. Dom różni się od sąsiednich. Solidny sześcian, odgradzony od ulicy niskim murem, stoi tak blisko drogi, że od frontu zostało miejsce tylko na wąski pasek zieleni. Za to z tyłu rozciąga się spory trawnik. Budynek ma surowy, ascetyczny wygląd, chociaż zbudowano go z takiego samego piaskowca co nasz. Drzwi są umieszczone pośrodku, między dwoma oknami. Ma trzy kondygnacje i dwa okna mansardowe, każde pod osobnym daszkiem. Dawniej mogły się tam znajdować pokoje służby. Czy to możliwe, że jest tu Evie?

W kącie przy furtce rośnie samotny krzak. W żadnym oknie nie pali się światło, a najbliższa latarnia jest dość daleko, dlatego niewiele widzę. Droga kończy się tuż za domem, u podnóża stromej, porośniętej trawą skarpy. Za nią jest pewnie zbiornik wodny. Nawiedza mnie uparta myśl, że to nie jest miejsce dla dziecka: z tyłu wrzosowisko, z przodu las, po lewej prawie pionowa ściana

prowadząca do zbiornika wody, a wszystko to na końcu niebezpiecznie stromej, wąskiej ulicy bez utwardzanej nawierzchni. I nic go nie osłania od wiatru: kiedy odchodzę od samochodu, uderza mnie ostry powiew znad wrzosowiska.

Do drzwi prowadzi śliski od alg chodnik z kamiennych płyt. W pośpiechu o mało się nie przewracam. Naciskam dzwonek; słyszę, jak rozbrzmiewa w głębi domu. Ciekawa jestem, czy Evie też go słyszy. Czy śpi? Patrzą na okna mansardy, ale zaciągnięte szczelnie zasłony nawet nie drgną. Dzwonię i dzwonię, w końcu zacznę walić pięściami w drzwi. A jeśli zdążyli wyjechać? Zapakowali Evie do samochodu i gdzieś ją wywieźli? Naciskam klamkę, lecz drzwi są zamknięte na klucz. Dobijam się dalej, raniąc sobie knykcie. Już postanawiam sprawdzić, czy da się wejść od tyłu, gdy na górze zapala się światło i wreszcie drzwi się otwierają. Serce zamiera mi w piersi.

Przede mną stoi stary mężczyzna w piżamie w tureckie wzory, bordowym szlafroku i kapciach. Przez siwe potargane włosy prześwituje różowa łysina.

– Czego pani chce? Co ma znaczyć to dobijanie się po nocy?

– Szukam pana G. Hardgrave’a.

– Ma go pani przed sobą. Czego pani chce o tej porze? – Mówi bardzo głośno, jakby lekko niedosłyszał albo przed przejściem na emeryturę był dyrektorem szkoły.

Milczę. Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Nie tego się spodziewałam, chociaż trzeba przyznać, że facet wygląda jak typowy mieszkaniec Panorama Drive.

– Moja córka zaginęła...

– Bardzo mi przykro. Nie widziałem żadnych biegających samopas dzieciaków.

Dobranoc pani.

Pan Hardgrave zaczyna zamykać drzwi.

– Chwileczkę! Może słyszał pan o tym w wiadomościach? Zaginęła w piątek. Po szkole.

– Od dawna nie oglądam wiadomości – huczy. – A już na pewno nie lokalnych. Przykro mi z powodu pani córki, ale nie rozumiem, dlaczego nie daje pani ludziom spać.

Doprowadzona do rozpaczy robię krok do przodu, gotowa siłą wdrzeć się do jego domu.

– Czy jest pan właścicielem samochodu o rejestracji... – Rozkładam karteczkę, na której Ollie zapisał mi numery.

Przykłada dłoń do ucha.

– Musi pani mówić głośniej. Ten cholerny aparat słuchowy nawala.

Odczytuję numery rejestracyjne najgłośniej i najwyraźniej, jak potrafię bez krzyczenia.

– Tak. Stoi zaparkowany w garażu za domem. Co to ma wspólnego z pani córką?

– Jest możliwe, że osoba, która zabrała ją ze szkoły, prowadziła auto o tych numerach.

Muzułmanka. Mógł jej towarzyszyć mężczyzna.

– Kompletna bzdura. To mój samochód. Jeździmy nim tylko ja i moja żona. Chyba widać, że nie jestem muzulmaninem, i zapewniam panią, że moja żona tym bardziej. Uprzedzając następne pytanie: nie mam zwyczaju pożyczać samochodu. Żegnam. – Zatrzaszkuje mi drzwi przed nosem.

Stoję w ogrodzie i mam ochotę się rozplakać. Byłam pewna, że Evie jest tutaj, w tym domu. Czyżbyśmy się pomylili? Litery i cyfry były bardzo niewyraźne. Może źle odczytaliśmy tablicę rejestracyjną na zdjęciu Anity. Idę na koniec ulicy. Moje stopy zapadają się w mech i darń porastające skarpe. Wdrapuję się na górę i rozglądam. Wiatr marszczy czarną powierzchnię wody. Trudno oszacować jej głębokość. Przeczesuję wzrokiem wrzosowisko. Wiatr wzmaga się, pędzi po niebie szare chmury. Nie ma ani jednej gwiazdy. Stoję tam i płaczę, jakbym nigdy nie miała przestać.

W domu światła są już pogaszone, ale kiedy otwieram drzwi, Bella zaczyna uderzać ogonem o moją łydkę. Ollie siedzi po ciemku na kanapie. Wstaje i mocno mnie przytula. Jestem zaskoczona żarem jego uścisku. Opieram się o niego, chłonę ciepło dobrze znajomego ciała. On całuje mnie w czubek głowy.

– Martwiłem się o ciebie.

Jestem mu wdzięczna za ten wyraz troski, bo wiem, że interesuje go przede wszystkim, co z Evie i dlaczego jej ze mną nie ma.

– Po twoim wyjściu od razu zadzwoniłem do Colliera. Powiedział, że samochód należy do białego małżeństwa w starszym wieku, które mieszka pod tym adresem od przeszło trzydziestu lat. Rano wysłałem funkcjonariusza, żeby z nimi porozmawiał, ale wygląda na to, że źle odczytaliśmy numery. Wysłałem mu mailem zdjęcie. Może ich informatyk zdoła odcyfrować tę rejestrację.

Kiwam głową. Jestem kompletnie przybita; czuję się pusta w środku, wydrażona. Ollie bierze mnie za rękę i razem idziemy na górę. Po drodze na schody mój wzrok przykuwa zdjęcie leżące na stole w kuchni obok laptopa. Przypomina abstrakcyjne dzieło sztuki: plasterki ciemności, pasek światła, fragment wzoru. Nagle rozumiem: Ollie wydrukował zdjęcie Anity przedstawiające odbicie na przedniej szybie samochodu i twarz kobiety, która, być może, uprowadziła naszą córkę. Wchodzimy do sypialni i kompletnie wyczerpani padamy na łóżko. Ollie obraca się na bok, twarzą do mnie.

– Pamiętasz, jak przywieźliśmy Evie do domu? – mówi. – Była taka maleńka. Jej piąstka była nie większa od mojego kciuka. I miała ogromne oczy, ledwie mieściły się na buzi.

– Tak – odpowiadam szeptem. – Miały dziwny kolor. Niebieski zaczynał już przechodzić w zielony i wydawały się zamglone.

Sięga po moją dłoń, splatamy palce.

– Była bardzo spokojna. Pamiętasz, jak się martwiliśmy? Nie płakała i prawie się nie ruszała. Tylko leżała w łóżeczku i patrzyła tymi swoimi wielkimi oczami.

– Tak.

To brzmi jak opowieść. Jak „Twoja historia”, którą opowiadam Evie, tylko że w wersji dla rodziców.

– Byliśmy zdruzgotani. Bez przerwy siedzieliśmy w szpitalu i patrzyliśmy, jak leży w tym swoim plastikowym pudełeczku, w... jak to się nazywa? W inkubatorze. Jak jakaś istota z kosmosu, hodowana w laboratorium...

– Albo królowa w szklanej trumnie...

– ...a ona była po prostu naćpana. Jej biedny mały organizm musiał być wyczerpany walką z nałogiem. Kiedy przywieźliśmy ją do domu, była taka krucha i cicha! A potem, pamiętasz? Przyjechała

twoja mama. My umieraliśmy z niepokoju, patrzyliśmy na nią bezradnie, a twoja mama po prostu wzięła ją na ręce i uśmiechnęła się do niej, a Evie...

– ...uśmiechnęła się do mojej mamy.

– To był najbardziej niesamowity uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałem. Same dziąsła i wielkie oczy. Była uradowana!

– Jeszcze jak! Jakby nagle zrozumiała, że nic jej nie będzie. Że wyzdrowieje.

Leżymy ciasno przytuleni do siebie, spleceni ramionami i nogami.

– Wszystko będzie dobrze – Ollie szepcze w moje włosy.

Środa: dzień piąty

Budzę się nad ranem zeszywniała z napięcia. Ollie przygniata mnie ręką i kawałkiem nogi. Zdejmuję ostrożnie z piersi jego ramię, a on stęka przez sen i odwraca się na drugi bok.

A jeśli ta kobieta *współdziałała* z Harisem? Otruł Bena, żebyśmy nie plątali mu się pod nogami, a potem wyjechał do Leeds i załatwił sobie niepodważalne alibi. W tym czasie jego współpracowniczka porwała Evie i czeka na niego w ukryciu. Może pierwotnie mieli się spotkać w poniedziałek, ale policja pomieszała im szyki. Za to teraz, kiedy wyszedł z aresztu... Na pewno nie zasnę, kiedy pod czaszką kotłują mi się takie myśli.

Wstaję, biorę prysznic i wkładam ubranie. Collier nie zamknie ponownie Harisa tylko dlatego, że o czwartej rano coś mi przyszło do głowy, ani nie zarządzi kolejnego przeszukania jego domu nazajutrz po wypuszczeniu go na wolność. Jeśli chcę go przekonać, będę potrzebowała mocniejszego argumentu. Gdybym знаła nazwisko tej kobiety albo chociaż wiedziała, co ją łączy z Harisem... Postanawiam zapytać Jacka, a potem pojechać do szkoły i sprawdzić, czy ktoś jej nie zna. Jeśli śledziła Evie, być może zauważył ją któryś z nauczycieli.

A może to zwykły przypadek: osoba ze zdjęcia jest znajomą lub krewną któregoś z rodziców i nie ma nic wspólnego ze zniknięciem naszej córki.

Jest za wcześnie, żeby do kogoś zadzwonić. Parzę kawę. Szoruję krzeselko Bena. To Ollie karmił go wczoraj wieczorem, więc jest wysmarowane twarożkiem i lepi się od soku pomarańczowego. Podłoga wokół stołu wygląda jak po wybuchu bomby w fabryce płatków zbożowych. Ollie wyczyścił tylko szafki. Kończy się tym, że sprzątam całą kuchnię. Lodówka jest prawie pusta. Mamy mleko, jogurt i sok, które kupiłam wczoraj, masło roślinne, skórkę parmezanu, pomarszczoną papryczkę chili i pół puszki fasolki. Mogłabym pojechać do Tesco – otwiera się za dziesięć minut, na długo przed innymi sklepami w mieście – i wrócić jeszcze do domu,

żeby przed wyjściem do Jacka i do szkoły przyszykować Benowi śniadanie. Przynajmniej o tej porze nie będzie tam ludzi. Zresztą nie jestem w stanie siedzieć beczynnje.

Tesco nawet w swoim najlepszym wydaniu jest bezduszne i anonimowe, a o szóstej rano wygląda jeszcze gorzej. Nie spodziewałam się, że w sklepie będzie tylu ludzi. Kto, do cholery, robi zakupy o szóstej rano? Jarzeniówki migocą. Mieni mi się w oczach od niekończących się rzędów półek zastawionych kolorowymi puszkami. Wszystko jest twarde, błyszczące i w kurewsko dużym asortymencie. Dlaczego każą mi wybierać spośród trzydziestu rodzajów płatków śniadaniowych? Mam kupić Country Crunch czy Rude Health? Rodzynkowo-migdałowe czy tropikalne? Z jagodami goji i nasionami chia czy Niespodziankę Truskawkową? Wezmę markę Tesco, tak będzie najprościej. Nie, chwileczkę, mają Tesco Extra*, Tesco Na Co Dzień, Tesco w Super Cenie i Tesco Wolne Od. Co może być ekstra w płatkach śniadaniowych? I tak jemy je na co dzień. Wolne od czego? Przecież płatki śniadaniowe nie zawierają żadnych szkodliwych substancji! Co jeszcze można z nich usunąć? Właściwie to nie potrzebujemy pieprzonego muesli. Możemy jeść płatki Weetabix. Wrzucam pudełko do wózka.

Panika napływa fala za falą: nie mam pojęcia, co jest potrzebne w domu. Jest mi wszystko jedno, co będziemy jeść. Zresztą w ogóle nie mam ochoty na jedzenie. Nie wiem, gdzie co leży.

Nie jestem w stanie ogarnąć chaosu w mojej głowie. Czuję się, jakbym błądziła we mgle, nie umiem połączyć kropek: że jeśli kupię płatki, muszę też kupić mleko. Muszę zaplanować obiad i kolację, i kolejne obiady i kolacje, i jeszcze przekąski między posiłkami. Jedzenie dla Bena, jedzenie dla Olliego. Niekończący się cyrk. Zaciskam dłonie na rączce wózka i usiłuję się skoncentrować. Nie chcę tu być. Nie chcę robić zakupów dla siebie, Olliego i Bena. I nie dla Evie. Co by wybrała, gdyby była tu ze mną? Mam pustkę w głowie. Przychodzą mi na myśl jedynie paluszki rybne. Nie ma jej od czterech dni i pięciu nocy. Wpadam w panikę, bo nie mogę sobie przypomnieć, co lubi jeść moja córka. W końcu sobie przypominam. Ulubione jedzenie Evie to chlebek czosnkowy, taki ponacinany,

sprzedawany w Tesco na tackach; pizza, groszek i kukurydza z puszki, keczup, a na deser lody waniliowe z polewą truskawkową wyciskaną z plastikowej butelki, która wydaje przy tym pierdzące odgłosy, a Evie zaśmiewa się, imituje te dźwięki ustami i wyciska na lody jeszcze więcej polewy. A na wierzch dodatkowo pianki, o ile pęknię i zgodzę się je kupić.

Oddycham coraz szybciej. Gdyby Evie była tu ze mną, kupiłabym jej pianki. Obsypałabym ją piankami. Pozwoliłabym jej jeść je na śniadanie, obiad i kolację. Bardzo za nią tęsknię. Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle cokolwiek ma jeszcze sens. Po co mam żyć na tym świecie bez mojego dziecka? Opieram czoło o sterczący uchwyt przy wózku, ten, na którym wieszka się torebkę, jeśli się nie zapomni zabrać jej z domu. Łzy i smarki kapią mi z brody. Widzę rozdeptane conversy wystające spod workowatych džinsów i skarpetki nie do pary. Jedna w paski, druga w kropki. Nie jestem nawet pewna, czy obie są moje. To jedna z tych rzeczy, które rozśmieszały Evie, i przez to jeszcze bardziej chce mi się płakać, bo właśnie użyłam czasu przeszłego. Myśląc o mojej córce.

Ktoś stuka mnie w ramię. Oparta głową o wózek, widzę tylko stopy w wygodnych butach ze sklepu ortopedycznego. Spomiędzy pasków wylewa się nabrzmiałe ciało. Dżinsy, zbyt jasne i za szerokie, odsłaniają kostkę i fragment łydki obleczonej w cieliste rajstopy. Prostuję się. Krępa sylwetka, rozpinany brązowy polar, twarz jak surowe ciasto.

– Widziałam panią w wiadomościach – mówi. – To pani zaginęła córeczka, prawda?

Wyciągam z kieszeni wilgotną chusteczkę i wycieram twarz.

– Tak. – Rozgląda się po supermarkecie, jakby sprawdzała, czy ma publiczność. – Wiedziałam, że to pani. Powiedziałam sobie: to ta kobieta z telewizji, której porwali córkę. Nie znaleźliście jej jeszcze, prawda, słonko?

Kręcę głową.

– Jeszcze nie.

– Mówili, że poszukiwania trwają. Siedem lat, zgadza się? Śliczna mała. Zupełnie do pani niepodobna. – Zaciskam zęby. – Cóż, chciałam

tylko powiedzieć, że wszyscy się za was modlimy. Modlimy się, żeby odnalazła pani swoją córeczkę.

– Dziękuję. – Chwytam rączkę wózka, żeby oddalić się od baby najszybciej jak się da.

– Czytałam książkę o tej, no, Madeleine McCann. Większość przestępców seksualnych porzuca ciało w promieniu kilku kilometrów od miejsca porwania. Nie znaleźli ciała, prawda?

Więc albo je dobrze ukrył, albo jest jeszcze nadzieja.

Tracę panowanie nad sobą. W supermarkecie Tesco.

– Evie nie została zamordowana. Kurwa mać, moja córka żyje! – wrzeszczę jej prosto w twarz.

Otwiera szeroko oczy i wykrzywia usta. Jest urażona moim wybuchem. Opanowuję się na tyle, żeby nie obrzucić jej stkiem obelg.

W domu Ollie wyjmuję mi z rąk żałośnie małą reklamówkę i wypakowuje zakupy. Stawia obok siebie na stole pudełko płatków Weetabix i butelkę wódki. Nie mówi ani słowa.

– Nie mogę znaleźć Hanny – mówię do Audrey, szkolnej sekretarki.
– Byłam pod klasą, ale jest jeszcze zamknięta. Hanna nie odpowiedziała na moje esemesy. O tej porze chyba powinna być w pracy?

Audrey wpuściła mnie do budynku, chociaż nie przyprowadziłam dziś dziecka. Tragedia powoduje, że ludzie zachowują się wobec ciebie dziwnie. Audrey ma znękaną minę i zastanawiam się, czy to przeze mnie. To kolejna rzecz, którą zauważyłam: nikt nie wie, co należy powiedzieć, i każdy woli milczeć, nie patrząc ci w oczy, niż palnąć coś niewłaściwego.

– Nie ma jej w szkole. Zadzwoiła, że jest chora – mówi Audrey. – Usiłuję znaleźć zastępstwo.

Tyle dobrego, że jej mina nie ma nic wspólnego ze mną.

– Och, mam nadzieję, że szybko wróci do zdrowia. Widziała może pani tę kobietę? – Pokazuję jej zdjęcie wydrukowane wczoraj przez Olliego.

– Nie poznaję jej, ale to bardzo słabe zdjęcie. Czy to...? – Nie wie, jak dokończyć zdanie.

– Możliwe, że to nie ma żadnego znaczenia. Ta kobieta była w samochodzie, który stał pod szkołą w piątek po południu.

Audrey ze współczuciem kiwa głową.

– Przykro mi, że nie potrafię bardziej pomóc.

– Może pani potrafi. Mogłaby podać mi pani adres Hanny? Może ona rozpozna kobietę na zdjęciu. To może być znajoma któregoś z rodziców. Mogła coś wiedzieć.

Audrey kręci głową.

– Wie pani, że mi nie wolno. – Robi minę, jakby miała się rozpłakać. Wygląda na korytarz, ale oprócz mnie nie ma jeszcze nikogo z rodziców. – Proszę zapytać kogoś, kto ją dobrze zna. Wie pani, że wypuścili Jacka?

Obdarza mnie drżącym uśmiechem. Nie jest pewna, czy będę chciała rozmawiać z Jackiem. Kiwam głową i dziękuję.

– Właśnie zamierałam do niego pojechać.

Wsiadam do samochodu i wybieram jego numer. Odbiera, ale musi odchrząknąć, zanim uda mu się wydobyć z siebie głos.

– Zoe. Wiadomo coś nowego?

Jego głos jest ochryply, jakby go nie używał od naszej ostatniej rozmowy. Słysząc w nim jednocześnie strach i nadzieję.

– Nie, ale mam zdjęcie kobiety, która podjechała pod szkołę w tym samym czasie, kiedy, jak twierdzisz, Evie wyszła.

– Chcesz, żebym na nie zerknął? Może ją rozpoznam.

Zrobiłby wszystko, żeby pomóc w odnalezieniu Evie. Lecz i tak nigdy sobie nie wybaczy.

Nie jestem pewna, czy ja mu będę potrafiła wybaczyć.

– Tak. Chciałam najpierw pokazać je Hannie, ale zachorowała i nie przyszła do szkoły.

Możesz...

– Zaraz ci wyślę jej adres.

– Dziękuję. Potem podjadę do ciebie.

Jestem ciekawa, gdzie Hanna mieszka. Wynajęcie szeregowca w dawnej dzielnicy robotniczej, takiego jak ten, w którym mieszka Jack i w jakim mieszkała moja mama, jest stosunkowo niedrogie, nie sądzę jednak, żeby Hannę z jej pensją asystentki nauczyciela było na to stać.

Może dzieli dom z innymi lokatorami albo wynajmuje pokój w dużej willi. Wyobrażam sobie izdebkę w mansardzie jednej z okazałych rezydencji nad rzeką Wharfe, z widokiem na park i klub tenisowy. Z drugiej strony, przecież wcale nie musi mieszkać w Ilkley, prawda? Może dojeżdża z któregoś z okolicznych miasteczek – Guisley, Menston, Otley czy Burley, gdzie dorastałam.

Sprawdzam, która godzina. O drugiej nagrywamy kolejne oświadczenie dla mediów. Muszę wrócić do domu odpowiednio wcześniej, żeby zdążyć wziąć prysznic i się przebrać, może nawet włożyć skarpetki do pary. Musimy jeszcze zawieźć Bena do Andy'ego, a potem napisać oświadczenie i przeciwyczyć je z Ruby. Chyba powinnam najpierw pojechać do Jacka i dopiero od niego do Hanny, o ile starczy mi czasu. W przeciwnym wypadku będę musiała odłożyć wizytę u niej na po konferencji prasowej. Kiedy przekręcam kluczyk, dzwoni telefon. Myślę, że to Jack, ale okazuje się, że Ruby.

– Zoe? Stoję przed twoim domem. Gdzie się podziewasz? Ollie powiedział, że wyszłaś, ale nie wie dokąd.

– Mogę za chwilę do ciebie oddzwonić?

– Posłuchaj, Zoe, to bardzo ważne, żebyś nie zniknęła z domu. Musimy przez cały czas wiedzieć, gdzie się znajdujesz. Mam dla ciebie nazwisko naszego psychologa. Terapeuty żałoby.

Naprawdę umie bardzo pomóc w takiej sytuacji jak ta. Możesz wrócić do domu? Mogłybyśmy...

Zatyka mnie; dosłownie nie mogę oddychać. Żałoba nie jest jednostką chorobową. Mam ochotę wrzasnąć, że nie jestem przypadkiem medycznym.

– Nie potrzebuję pieprzonego terapeuty żałoby – mówię. – Evie żyje.

Rozłączam się i sprawdzam esemesy. Mam dwie wiadomości od Olliego, który chce wiedzieć, gdzie jestem, i nieodebrane połączenie z domu. Trzeci esemes jest od Jacka i zawiera adres Hanny. Nie od razu orientuję się, o co chodzi. Myślę, że to też wiadomość od Olliego.

Sprawdzam jeszcze raz. Nie, to na pewno od Jacka; zresztą, jak na nauczyciela przystało, najpierw napisał „adres Hanny” i dwukropek. Serce podchodzi mi do gardła. Zawracam i jadę krętymi uliczkami w

kierunku Well's Road. Noc była łagodna, ale teraz z minuty na minutę robi się coraz zimniej. Tam, gdzie ruch jest niewielki, wilgotny asfalt pokrył się błyszczącą powłoką, rosa zmienia się w lód. Wzmógł się wiatr. Po niebie nad wrzosowiskiem rozproszyło się stado mew. Na nagich gałęziach drzew wiszą pojedyncze mokre liście; zrywane wiatrem, prześlizgują się, kłębiąc i wirując, po przedniej szybie samochodu. Redukuję biegi i na jedyńce pełzną ostrożnie pod górę. Teraz, kiedy znam adres Hanny, nie ma mowy, żebym pojechała najpierw do Jacka.

Zatrzymuję się przed numerem pierwszym na Panorama Drive. Mróz wymalował kwiaty w narożnikach okien, usztywnione lodem żdźbła trawy są ostre jak igły. Czyżby Hanna White wynajmowała pokój u Hardgrave'ów? Mogliśmy źle odczytać numery rejestracyjne na zdjęciu, ale to trochę zbyt dziwne jak na przypadek. Gdy tylko z nimi porozmawiam, zadzwonię do Colliera i zapytam, czy udało się odcyfrować prawdziwe numery. Tak czy inaczej, coś mi mówi, że pan Hardgrave nie ucieszy się na mój widok.

Przyciskam dzwonek. Tym razem za drzwiami rozlega się odgłos szybkich, lekkich kroków. Drzwi otwiera mi starsza kobieta. Mimo wczesnej pory i chociaż na pewno jest już na emeryturze, jest starannie ubrana. Ma na sobie tweedową spódnicę, jasną błyszczącą bluzkę i różowy rozpinany sweterek. Na szyi zawiązała jedwabną apaszkę we wzory. Ma kolczyki z perłami i włosy ułożone w ten dziwny hełm, który tak lubią starsze panie.

– W czym mogę pomóc? – pyta.

W jej arystokratycznej wymowie nie ma śladu akcentu z Yorkshire.

– Czy mają państwo lokatorkę? – pytam.

– Cóż znowu za pomysł? Skądże, nie mamy. – Wyraźnie niezadowolona zaczyna zamykać drzwi.

– Chwileczkę! – Wyciągam rękę, żeby ją powstrzymać. – Szukam Hanny White. Jej kolega z pracy powiedział mi, że mieszka pod tym adresem.

– A pani jest...? – Lustruje mnie wzrokiem.

– Zoe Morley. Hanna uczy moją córkę.

– Och. – Zmienia wyraz twarzy. – Tak. Widziałam w gazecie pani

zdjęcie. Pani córeczka zaginęła.

– Tak.

– Była tu pani dzisiaj w nocy, pytała pani mojego męża o samochód.

– Czy zastałam Hannę? Muszę z nią porozmawiać. To bardzo ważne. Jack Mitchell podał mi ten adres, ale mógł się pomylić albo opuścić jedną cyfrę. Może chodzi o inny dom na Panorama Drive. Wie pani, gdzie ona mieszka?

– Próbowала pani w szkole? Wspomniała pani, że Hanna uczyła pani córkę.

Wzdrygam się, kiedy używa czasu przeszłego, mówiąc o mojej córce. Staram się jednak zachować spokój.

– Tak. Poinformowała szkołę, że jest chora.

– Nie powinni byli podawać jej adresu.

Ogarnia mnie rozpacz. Wygląda na to, że wie, kim jest Hanna, więc dlaczego bawi się ze mną w kotka i myszkę?

Pani Hardgrave zerka do tyłu za półprzymknięte drzwi.

– Hanna jest naszą córką. Mieszkała z nami. Wydzieliliśmy na poddaszu osobne mieszkanie, żeby mogła wchodzić i wychodzić, kiedy zechce. Ale postanowiła być bardziej niezależna. Niedawno się wyprowadziła.

Nie zdawałam sobie sprawy, że Hanna jest mężatką. Dziwne, że pani Hardgrave nie powiedziała „Hanna i jej mąż”. Wydaje się za młoda na rozwódkę. Pewnie przyjęła nazwisko męża. Próbuję się skupić.

– Czy mogłaby pani podać mi obecny adres Hanny? Proszę. To bardzo ważne.

– Jeśli jest chora, nie powinna jej pani przeszkadzać, ale... – Unosi poznaczoną wypukłymi żyłami dłoń z przygiętymi jak szpony palcami. – Widzę, że pani bardzo zależy na rozmowie z Hanną. Proszę chwilę zaczekać, pojedę z panią. Chciałabym sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje. Czy będzie mnie mogła pani odwieźć potem do domu?

Kiwam głową. W tej chwili zgodziłabym się na wszystko. Pani Hardgrave znika w środku, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Chucham na ręce i przytupuję. Zerkam w górę na mansardowe okna poddasza.

Teraz, kiedy jest jasno, widzę spiralne schody z kutego żelaza na bocznej ścianie domu. Prowadzą na strych. Hanna miała stamtąd fantastyczny widok na wrzosowisko. Ciekawa jestem, dlaczego zrezygnowała z darmowego mieszkania w świetnej lokalizacji, skoro i tak mogła ograniczyć kontakty z rodzicami do minimum?

Czy to mnie gdzieś doprowadzi? Kobieta z samochodu mogła nie mieć nic wspólnego z Evie. A jeśli nawet miała, to jakie są szanse, że Hanna rozpozna ją na zdjęciu? Jeśli kobieta w nikabie jest znajomą Harisa, Hanna raczej mi nie pomoże. Nie zna go: tamtego wieczoru, kiedy wybierałam się na wernisaż, a ona miała zostać z dziećmi, powiedziała, że pierwszy raz słyszy jego nazwisko. No tak, ale jest jeszcze przecież ta rejestracja. Czy Hanna mogła pożyczyć komuś samochód swoich rodziców?

Pani Hardgrave wraca w tweedowej marynarce do kompletu, z brytfanką w ręku.

– Jeżeli jest chora, na pewno nie dba o siebie jak należy – mówi, siląc się na uśmiech.

Kiedy idziemy do samochodu, zwalczam chęć podtrzymania ją za łokieć na oblodzonym chodniku; mam wrażenie, że nie życzy sobie mojej pomocy. Znalazłszy się w aucie, zapina pas, owija ściereczką brytfankę z zapiekanką, którą postawiła sobie na kolanach, i pyta: – Wie pani, gdzie jest Valley Drive?

– Tak.

– Proszę tam pojechać. Potem pokieruję panią dalej.

– Będę wdzięczna – mówię.

Rzucam ostatnie spojrzenie na dom. Niemal spodziewam się ujrzeć w oknie pana Hardgrave'a piorunującego mnie gniewnym wzrokiem. I wtedy to zauważam. Samotny krzew w ogrodzie przed domem, którego ciemną sylwetkę widziałam dziś w nocy. Krzak trzmieliny.

Zaciskam dłonie na kierownicy i przypominam sobie słowa Colliera: ta trująca roślina rośnie w prawie każdym ogrodzie w Ilkley. Kiedy jedziemy przez miasto, pani Hardgrave nie odzywa się do mnie ani słowem. Zastanawiam się, czy uległa mojej prośbie po prostu dlatego, że nie wie, co powiedzieć.

Skrećamy w Valley Drive.

– Nie wiedziałam, że Hanna jest mężatką.
– Słucham? – odpowiada słabym głosem.
– White. Nazywa się Hanna White.
– Och. Rozumiem. Zmieniła nazwisko, kiedy wyprowadziła się z domu. Hardgrave jej się nie podobało – stwierdza suchym tonem, dając jasno do zrozumienia, że uważa dyskusję za skończoną. Zmienia pozycję w fotelu, żeby być dalej ode mnie, i patrzy przez okno. – Niech pani zwolni. Proszę skrócić w lewo za Sekretariatem Wełny.

Mijamy gmaszysko z przeszklonym wejściem zwieńczonym potężnym reliefem w pokrytym złotozieloną patyną brązie. Przedstawia stado owiec o zakręconych rogach; największy baran, wysoki na dwa piętra, stoi przodem do ulicy. Socrealistyczna płaskorzeźba, obiegająca z trzech stron oszklony przedsionek, opowiada historię wełny i jest alegorią przemysłu tekstylnego. Moja mama też nazywała ten budynek Sekretariatem Wełny, chociaż obecnie stanowi własność jakiegoś koncernu chemicznego. Zgodnie z instrukcjami pani Hardgrave skręcam w lewo i jeszcze raz w lewo. Dziwnym zbiegiem okoliczności ulica nazywa się Rombald's View. Zbudowane z jasnopomarańczowej cegły domy mają od frontu okratowane okna, które udają werandy. Zamiast ogródków jest żywopłot i miejsca parkingowe. Nad anonimowym kwartałem niskich bloków góruje przeszklona bryła Sekretariatu. Przechodzą mnie ciarki, czuję się obserwowana. Z poziomu jezdni nie widzę ani jednego pracownika biurowego, tylko hektary jarzeniówek.

– Proszę tu zaparkować. – Pani Hardgrave wskazuje mi wolne miejsce.

Daje mi do potrzymania brytfannę z zapiekanką, odpina pas, otwiera zamkniętą na złoty zatrzask kopertówkę i wyjmuję z niej komplet kluczy.

– Hanna pewnie leży w łóżku – wyjaśnia.

Jeśli próbuje wywołać we mnie poczucie winy, to jej się to nie udaje. Nie obchodzi mnie, jak bardzo źle czuje się Hanna. Na pewno nie jest aż tak chora, żeby nie mogła poświęcić pół minuty, zerknąć na fotografię i odpowiedzieć na moje pytania. Wiem, że będzie chciała pomóc.

Uwielbia Evie.

Pani Hardgrave naciska guzik domofonu. Kiedy nikt nie odpowiada, otwiera drzwi kluczem. Schody są wyłożone brązową wykładziną nie do zdarcia, jaką spotyka się w urzędach.

Wkurza mnie ascetyczny modernizm architektury, skąpo rozmieszczone małe okna, sztamповy plan budynku. Zdaję sobie sprawę, że skupiam się na nieistotnych szczegółach, żeby nie myśleć o Evie i nie rozpalić w sobie nadziei, że Hanna rozpozna kobietę na fotografii. Albo nie zastanawiać się, dlaczego samochód jest zarejestrowany na Hardgrave'ów pod poprzednim adresem Hanny... i kto go prowadził. Na ostatnim piętrze pani Hardgrave krótko i stanowczo puka do drzwi mieszkania Hanny.

Kiedy nikt nie otwiera, robi to sama swoim kluczem.

– Widocznie jest bardzo chora – mówi. – Proszę tu poczekać.

Drzwi wejściowe prowadzą prosto do salonu. Wchodzę do środka i zamykam je za sobą. Komórka dzwoni mi w kieszeni. Ollie. Mam też nieodebrane połączenie od Ruby. Wyciszam telefon. Prosto z salonu przechodzi się do niewielkiej kuchni i łazienki. Pani Hardgrave stawia brytfankę z zapiekanką na blacie w kuchni, przechodzi przez salon i znika w kolejnym pomieszczeniu, zapewne w sypialni Hanny. Kładę czarno-białe zdjęcie kobiety w nikabie na niskim stoliku i rozglądam się dookoła. Podłoga z udających drewno paneli. Oprócz stolika do kawy nieduży telewizor, brązowa kanapa, taki sam fotel i regał z Ikei, na którym stoi lampa i kilka książek. W rogu lampa stojąca z kloszem kierującym światło do góry. Zasłonięte firankami okna wychodzą na ulicę. Nazwanie wystroju wnętrza spartańskim byłoby sporym niedomówieniem. Nie ma tam nic, co by świadczyło o osobowości Hanny. Mam wrażenie, że znalazłam się w urządzonym przez dewelopera mieszkaniu pokazowym. Brakuje tylko sztucznych kwiatów na kominku.

Pani Hardgrave marszczy z niepokojem brwi. Odsuwa firankę i wygląda przez okno.

– Nie ma jej samochodu. Pewnie wyskoczyła po zakupy. – Wraca do kuchni i chowa zapiekankę do lodówki. W swoich butach porusza się prawie bezgłośnie. – Możemy na nią poczekać. Jestem pewna, że

niedługo wróci. Napije się pani herbaty?

– Zadzwoń do niej. – Wyjmuję telefon. Nie mogę tu siedzieć.

– Pewnie pojechała po gripex i paracetamol, biedactwo. Proszę dać jej kilka minut, zaraz wróci. Nie ma sensu dzwonić do niej, kiedy prowadzi samochód.

Odwracam się do niej plecami. Jedyne barwne plamy w ascetycznym wnętrzu stanowią oprawione fotografie na białych ścianach. Podchodzę bliżej. Pierwsze zdjęcie przedstawia majestatyczną górę pod czapą śniegu na tle intensywnie błękitnego nieba. Nie jest to amatorska fotka w antyramach, lecz pięknie oprawione zdjęcie z białym *passe-partout*, w ramie z barwionego na biało woskowanego drewna. Z podpisem autorki. Przechodzę do kolejnego. Jest niebywale egzotyczne. Przedstawia suszące się na słońcu morele. Moje serce bije tak głośno, że pani Hardgrave musi je chyba słyszeć. Fotografia na przeciwległej ścianie przedstawia girlandy ciemnoczerwonych papryczek chili, które zaczynają się marszczyć na słońcu. Takie same zdjęcia wiszą w domu Harisa. Identycznie oprawione, podpisane przez tę samą artystkę. Pamiętam, że pomyślałam, że nigdy nie widziałam podobnego nazwiska. Jak się nazywała? To z całą pewnością ta sama osoba: Hajar Abyadh. To zdjęcia Doliny Hunza w Pakistanie, bardzo podobne do tych, które Haris kupił, by uwiarygodnić kłamstwo o siedmiu latach w Shangri-La.

Jest jeszcze jedno zdjęcie, obok drzwi do sypialni Hanny. Podchodzę, żeby je obejrzeć. Niebo ma ten sam odcień błękitu, na pierwszym planie widać pomarańczowe kwiaty. Takie same jak kwiatek na kartce do Evie, w której była mowa o ustalonym znaku. Oddycham z trudem, jak po sprincie. To musi się jakoś łączyć. Haris zna Hajar Abyadh. Hajar Abyadh jest muzułmanką z naszego zdjęcia. Hanna też musi ją znać. Mogła skłamać, że nie zna Harisa. Czy to ona poznała go z Hajar? Jakkolwiek było, Haris i Hajar porwali moje dziecko, a Hanna na pewno wie, jak się skontaktować z Hajar. Tylko dlaczego posłużyli się samochodem Hardgrave'ów?

Dzwonię do Hanny, ale nie odbiera. Słyszę, jak pani Hardgrave wychodzi z kuchni. Stoi z dwoma kubkami w rękach i patrzy na

zdjęcie. Ostrożnie stawia kubki na stoliku.

– Pani herbata... – Urywa, widząc, że oglądam fotografie.

– Wie pani, gdzie jest Hanna?

– Nie. Oczywiście, że nie. Pewnie pojechała do apteki na Valley Drive. Rozumiem pani wzburzenie, ale sądzę, że za chwilę wróci. To nie w jej stylu, zwalniać się z pracy. Czy pani słodzi?

– To rzeczywiście nie w jej stylu, prawda? – mówię, bo nagle napływają falą wspomnienia z początku roku szkolnego: Hanna z czerwonym nosem, z chusteczką w dłoni, mówiąca przez nos, zgięta wpół od kaszlu, blada i zachrypnięta, ssąca tabletki na gardło. Od dzieci można złapać tyle różnych wirusów, zwłaszcza jeśli dopiero od niedawna jest się nauczycielką. Hanna przechodziła wszystkie infekcje, nie opuszczając pracy.

– Dlaczego nie powie mi pani, o co w tym wszystkim chodzi? – Pani Hardgrave wskazuje ręką zdjęcie, a potem zamiera, stopy w ortopedycznych butach razem, upierścienione ręce splecione na piersi.

Czuję się tak, jakbym miała w żołądku bryłę lodu. Czegoś nie dostrzegam. Coś mi umyka. W tych pomieszczeniach panuje jakaś dziwna atmosfera, która przyprawia mnie o gęsią skórkę. Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie mieszkanie Hanny...

Odwracam się na pięcie i wpadam do łazienki. Nikogo tam nie ma. W niewielkim pomieszczeniu mieści się tylko sedes i prysznic. Kątem oka dostrzegam kosz na śmieci z chromowanej metalowej siatki. Nie pasuje do mieszkania samotnej kobiety, która chce ukryć przed niepowołanym okiem okruchy swojego życia: wszystkie te patyczki do uszu, waciki, wkładki higieniczne... Coś w nim jest. Wyjmuję to. Puste pudełko po farbie do włosów w odcieniu ciemny brąz. Wypuszczam je z rąk i biegnę do sypialni Hanny. Nie ma jej tam.

Oczywiście, że jej tam nie ma. Ogarnia mnie przerażenie. Ponieważ wiem, kim jest Hanna i gdzie się może teraz znajdować.

– Co pani wyrabia? – tuż za moimi plecami rozlega się głos pani Hardgrave.

Powiew z uchylonego okna wydyma firankę, przez szczelinę wciska się lodowate powietrze, pokój pachnie mrozem. Ani śladu Hanny czy

jej pięknych perfum. Łóżko jest posłane, narzuta równo odwinięta, liliowe poduszki starannie ułożone u wezglowia. Nie tak wygląda posłanie chorej osoby, która wyczołgała się z niego do najbliższej drogerii po ibuprofen. Na resztę umeblowania składają się szafa, komoda i szafki nocne po obu stronach łóżka. Na każdej stoi lampka. Nad komodą jest zdjęcie łańcucha górskiego w Pakistanie. Otwieram szafę. Wisi w niej szalwar kamiz, lekko pomięty, jakby ktoś go niedawno nosił. Na dnie szafy leży niedbale rzucony szal. Dopadam do komody i zaczynam wyciągać szuflady. W szafce nocnej, tam, gdzie w hotelach zwykle znajduje się Biblia Gedeonitów, znajduję książkę. Ale nie Biblię. Wyjmuję ją i obracam w drżących dłoniach.

– Jestem zmuszona poprosić panią, żeby pani wyszła – mówi pani Hardgrave.

Pokazuję jej książkę. To modlitewnik w czerwonej okładce, taki sam, jaki dostała Evie.

Ale nie ten sam, bo w środku nie ma dedykacji.

Z pani Hardgrave uchodzi cała energia. Dopiero po dłuższej chwili wyjaśnia: – W Pakistanie nazywa się Hajar Abyadh. Wybrali dla niej to nazwisko, kiedy przeszła na islam. Abyadh oznacza „biały”, a Hajar „kamień”. Musiała być twarda i silna jak kamień, żeby zwalczyć nałóg.

Jest blada i jakby zapadnięta w sobie.

– Wiedziała pani o tym?

– Nie, nie wiedziałam. – Próbuje się pozbierać, ale nadal nie patrzy mi w oczy. Otula się szczerlnie różowym sweterkiem.

– Gdzie ona teraz jest?

– Pani najwyraźniej nie rozumie, że straciłam córkę, kiedy w wieku osiemnastu lat uzależniła się od narkotyków. Wyprowadziła się z domu. Mieszkała z jakimiś degeneratami w squacie w Leeds... Dwa lata nie miałam od niej żadnych wiadomości. Dwa lata! Pani córeczki nie ma od pięciu dni!

Mam ochotę nią potrząsnąć. Muszę znaleźć Evie, muszę znaleźć Hanne.

– Odezwała się do nas dopiero, kiedy miała dwadzieścia lat, żeby nam powiedzieć, że jest w ciąży – ciągnie pani Hardgrave.

Patrzy przez okno na budynek Sekretariatu Wełny, unikając mojego morderczego wzroku.

– Nadal zażywała narkotyki. Doradziłam jej, żeby oddała dziecko do adopcji, i z początku podobał jej się ten pomysł. Nie potrafiła zadbać nawet o siebie, a co dopiero o dziecko, i była bardzo młoda. Ale kiedy urodziła córeczkę, zakochała się w niej. Dała jej na imię Mary. – Marszczy czoło, bruzdy wokół jej ust stają się głębsze, twarz się wydłuża. – W ostatnim momencie chciała zmienić zdanie, ale nie dopuściłam do tego. Nigdy mi tego nie wybaczyła. – Wreszcie decyduje się na mnie spojrzeć; w jej jasnozielonych oczach maluje się odraza. – Kiedy zabraliście jej dziecko, zasugerowałam, żeby zmieniła nazwisko i zaczęła nowe życie. To wtedy stała się Hanną White. Przyzwyczailiśmy się. To już siedem lat. Przez krótki czas mieszkała z nami. To był niezwykle trudny okres. Brała narkotyki, okradała nas, wynosiła z domu różne rzeczy, żeby zdobyć pieniądze na działkę. Znienawidziła mnie i Geoffreya, zresztą nigdy nie dogadywała się z ojcem. Przeczytała gdzieś o tej Shangri-La, społeczności w Pakistanie, gdzie wszyscy dożywają w zdrowiu co najmniej stu lat. Jedzą wyłącznie ekologiczne produkty. Piją czystą wodę z lodowca. Dolina Hunza. Oczywiście na miejscu przekonała się, że jest tam zupełnie inaczej. Tak samo jak w każdym kraju Trzeciego Świata: brakuje porządnych szkół, opieki medycznej, jedzenia. Ale, wie pani, ci ludzie ją uzdrowili.

Bierze ze stołu kubek i upija łyżeczek herbaty.

– Nie widzieliśmy jej aż do chwili, kiedy dwa lata temu stanęła w drzwiach naszego domu i powiedziała, że ukończyła studia nauczycielskie. Oczywiście ogromnie się oboje ucieszyliśmy. Od kilku lat jest czysta. Zdała maturę, zdobyła dyplom magistra pedagogiki.

Zacząła nowe życie. Oddaliśmy jej mieszkanie na poddaszu. Nie musiała płacić czynszu. Dziękowaliśmy Bogu, że zwrócił nam córkę. Nie wiedziałam, że przeszła na islam. – Podnosi drobną pomarszczoną dłoń. – Ale wcale mnie to nie zaskoczyło. Ta społeczność pomogła jej, kiedy nikt inny nie chciał albo nie mógł tego uczynić. Nie pochwalam zmiany wyznania; wychowywaliśmy ją zgodnie z zasadami Kościoła anglikańskiego, ale zawsze miała skłonność do buntu. Przestała

chodzić do kościoła, kiedy miała trzynaście lat. Mój mąż do dziś nie wie, że jest muzułmanką. Wydziedziczyłby ją. Prosiłam, żeby mu nic nie mówiła. Kilka tygodni temu oznajmiła, że nie może tego dłużej ukrywać. Błagałam ją, żeby zachowała to w tajemnicy, zwłaszcza przed Geoffreyem. Pokłóciłyśmy się i wyprowadziła się z domu. Od tamtej pory jej nie widziałam.

– Nie wierzę pani – mówię. – Skąd Hanna zna Harisa? Dlaczego w jego domu wiszą te same zdjęcia?

– Niezwykłe fotografie, prawda? Obawiam się, że nie znam żadnego mężczyzny o imieniu Haris. Kiedy starała się o posadę w szkole Evie, musiała z czegoś żyć. Zaniosiła zdjęcia pani Jennifer Lockwood, która prowadzi w Ilkley galerię sztuki. Pani Lockwood nie zgodziła się jej reprezentować, ale kupiła cały komplet zdjęć. Być może sprzedała je dżentelmenowi, o którym pani wspomniała.

Wreszcie rozumiem – pejzaże z Doliny Hunza uwiarygodniły kłamstwo Harisa i ochroniły reputację Jenny.

– Jak *nas* znalazła? Jak znalazła Evie?

Przez twarz pani Hardgrave przemyka wyraz zawstydzenia, ale w końcu decyduje się odpowiedzieć na moje pytanie: – Ja i pani byłyśmy umówione na spotkanie. Niedługo po narodzinach Evie.

Przypominam sobie. Chcieliśmy dowiedzieć się czegoś, czegokolwiek, o rodzinie Evie, żebyśmy mogli opowiedzieć jej potem o jej pochodzeniu. Agencja adopcyjna zgodziła się zaaranżować spotkanie z babcią naszej córki.

– Ale pani nie przyszła!

– Odkryłam, że Hanna podała niezgodne z prawdą dane w formularzu. Napisała, że dorastała w pobliżu Bolton w Lancashire. Opieka społeczna uznała, że to dostatecznie daleko od Ilkley, skąd pochodziliście, żeby można było sfinalizować adopcję. Nie chciałam, żeby się dowiedzieli o tym kłamstwie. Pomyślałam, że moglibyście niechcący ją wydać. Zresztą i tak nie byłabym w stanie się z panią spotkać. Nie chciałam żadnych więzi emocjonalnych. Ale myli się pani. Przyszłam. Widziałam panią przez uchylone drzwi. Stałam tam kilka minut, podsłuchując pani rozmowę z pracowniczką agencji. Kiedy Hanna była na dnie rozpaczy, opowiedziałam jej o tym.

– Co jej pani powiedziała? – pytam szeptem.

– Opisałam pani wygląd. Podśluchałam, że jest pani artystką. Rozpoznałam pani akcent.

Taka bystra dziewczyna jak Hanna bez trudu dowiedziała się, kim pani jest.

– Mój Boże! Ona to wszystko ukartowała! – krzyczę w twarz pani Hardgrave, tracąc panowanie nad sobą. – Przysyłała Evie prezenty i kartki „od taty”, żeby wszyscy myśleli, że porwał ją jej ojciec.

– Nie może pani mieć do niej pretensji, że chciała coś podarować swojemu jedynemu dziecku! – odpowiada pani Hardgrave.

Ona też jest wzburzona i przez ułamek sekundy widzę, jak musiała wyglądać jako młoda kobieta, zanim jej skóra stała się wiotka i pomarszczona, a pod dużymi zielonymi oczami utworzyły się worki; dostrzegam w jej twarzy rysy córki.

– Manipulowała nami! Otruła naszego syna! Chciała odwrócić naszą uwagę, żeby uprowadzić Evie. Użyła owoców trzmieliny, która rośnie w waszym ogrodzie.

– Nie ma pani na to żadnych dowodów! Hanna kocha dzieci.

Wreszcie to do mnie dociera: Haris nie miał z tym nic wspólnego. Jego obsesja na moim punkcie zupełnie przypadkiem pomogła Hannie. Skierowała śledztwo na ślepy tor. A jak dobrze wykorzystwała uzyskany w ten sposób czas! Opiekując się Benem i nami, mogła śledzić postępy w dochodzeniu. Zbliżyła się do nas, więc nikt jej nie podejrzewał. Kiedy Haris wyszedł na wolność, zrozumiała, że musi zabrać Evie i wyjechać. Może właśnie w tej chwili opuszcza kraj.

– A pani jej pomogła – mówię, przeciskając się obok starszej kobiety w stronę drzwi.

– Dokąd pani idzie? – Z jej głosu zniknęła pewność siebie.

– Muszę ją znaleźć.

– Chciałabym pojechać z panią – rzuca.

– Nie.

Otwieram drzwi i już prawie jestem na schodach, kiedy dogania mnie, kuśtykając.

– Proszę. Pomogę pani ją znaleźć.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie ona jest.

– Na lotnisku – odpowiada po chwili wahania. – Leci z Evie do Pakistanu.

Chociaż spodziewałam się tego, kamienieję z przerażenia. Jeśli Hanna wywiezie Evie z kraju, możemy nigdy jej nie znaleźć.

– Dolina Hunza wydaje się cudownym miejscem – mówi tęsknym tonem, jakby mimo swojej tweedowej spódnicy i praktycznych butów także marzyła o wędrowaniu przez polodowcową dolinę i jedzeniu zerwanych prosto z drzewa moreli.

– Nie dla mojej córki! Musi mi pani powiedzieć, kiedy wylatują.

Pani Hardgrave patrzy na zegarek: maleńkie cacko na cienkim złotym łańcuszku. Gdy mrużąc oczy, próbuje odczytać godzinę, mam ochotę strzelić ją w twarz.

– To zależy, który lot udało jej się zarezerwować. Najbliższy jest za czterdzieści minut.

Wybiegam z mieszkania. Nie nadąża za mną. Ostrożnie schodzi po schodach, trzymając się barierki.

– Proszę – woła za mną. – Niech pani zaczeka. Mogę pani pomóc.

Dzwonię do Olliego i w pospiesznych słowach wyjaśniam mu, co się dzieje. Proszę, żeby zatelefonował do Colliera. Jeszcze z nim rozmawiam, kiedy pani Hardgrave wsuwa się na siedzenie pasażera.

– Weź ze sobą Bena. Nie spuszcza go z oka nawet na sekundę. Zobaczymy się na miejscu.

Pani Hardgrave rzuca mi krótkie spojrzenie. Pod skorupą pudru jej twarz jest blada jak kreda. Mieszkanie Hanny ma tę zaletę, że znajduje się blisko drogi A65. Rano ruch jest niewielki. Jeśli dobrze docisnę gaz, dojadę na lotnisko w ciągu dwudziestu minut. To o dwadzieścia więcej, niż mam. Drogi są obludzone, ale liczę na to, że samochody, które przejechały przed nami, rozjeździły lód i nie wpadniemy w poślizg. Pani Hardgrave tak mocno zaciska dłonie w pięści, że jej knykcie są zupełnie białe. Wciskam do dechy pedał gazu i samochód pokonuje z mozołem podjazd pod Otley Chevin. Zerkam na niskie szare niebo, ciężkie od zapowiadających śnieg chmur. Na linii horyzontu sterczą granitowe głazy, bliźniaczo podobne do Krowy i Cielęcia. One też wyglądają, jakby w każdej chwili mogły stracić równowagę i stoczyć się po zboczu, rozgniatając nas na miazgę.

– Hanna trzymała Evie w pani domu, czekając na odpowiedni moment na opuszczenie kraju – mówię.

– Dlaczego miałyby to robić, skoro ma własne mieszkanie? – pyta pani Hardgrave.

– Żeby odsunąć od siebie podejrzenia. Nie mogła wziąć dziecka do bloku, do którego można zajrzeć z okien Sekretariatu Wełny. Sąsiedzi z dołu słyszeliby Evie w ciągu dnia. Ale to jej dało fantastyczne alibi. Widziano, jak wychodziła z mieszkania i wracała do niego bez dziecka. I łatwo mogła ukryć ją w waszym domu.

– Nie trzymała jej u nas!

– Z tyłu wrzosowisko, z boku zbiornik wody, przed domem las; nikt nie widziałby, jak Hanna wprowadza do domu dziecko, ani nie usłyszałyby hałasu w ciągu dnia, kiedy wychodziła do pracy. Wzięła wasz samochód, żeby odebrać Evie ze szkoły. Jak sama pani zauważyła, mogła wchodzić i wychodzić, kiedy chciała. I jak inaczej wyjaśnić strzęp tkaniny na wrzosowisku? Jack pożyczył Evie strój Elsy z *Krainy lodu*; myślę, że Hanna go wzięła, żeby moja córka lepiej się czuła w jej mieszkaniu. Evie uciekła w sukience księżniczki. Ale Hanna odnalazła ją i przyprowadziła z powrotem. Nie zamierzała tak długo trzymać Evie w domu na skraju wrzosowiska. Myślała, że polecą do Pakistanu w weekend. Evie jednak spędziła tam całe cztery dni. Pani mąż jej nie słyszał, bo jego aparat słuchowy nie działa jak należy. A może to pani go popsowała. Ale *pani* nie ma żadnych problemów ze słuchem. Kiedy zorientowała się pani, że Evie tam jest, postanowiła pani pomóc Hannie. Kryła ją pani w nadziei, że w ten sposób odzyska pani córkę.

Pani Hardgrave skręca w palcach złoty krzyżyk, który nosi na szyi. Na szczycie wzgórza zatrzymujemy się na światłach. Niecierpliwie bębnię palcami o kierownicę. Mam nadzieję, że Collier i Clegg z policyjnym kogutem na dachu dotrą na lotnisko przede mną.

– Mogę zobaczyć jej zdjęcie? Evie? – pyta.

– Jest w mojej torebce – odpowiadam przez zaciśnięte zęby.

Teraz to już chyba nie ma większego znaczenia, a może nawet się przyda: pozwoli przeciągnąć ją na naszą stronę i nakłonić, żeby pomogła nam znaleźć Hannę, zanim będzie za późno.

Moja torebka leży na ziemi przed fotelem pasażera. Otwiera ją, niczego nie dotykając, zagląda do środka i ostrożnie wyjmuję zdjęcie. Trzyma je obiema dłońmi i delikatnie gładzi kciukami. Ten gest przypomina mi szkolną wycieczkę Evie na farmę Hesketh Park. Wróciła z niej niezwykle podekscytowana i pokazała nam, jak się trzyma kurczaczka: w złożonych dłoniach, pozostawiając wolne kciuki do głaskania piórek.

– Jest piękna – mówi pani Hardgrave. Nie wypuszczając z ręki fotografii, wyciera chusteczką łzę.

Wreszcie jesteśmy na miejscu. Hamuję z piskiem opon przed wejściem do hali odlotów. Zostawiam samochód i matkę Hanny i wbiegam do środka. Jak mam znaleźć Evie? Nie przepuszczą mnie przez kontrolę bezpieczeństwa. Sprawdzam tablicę odlotów z portu lotniczego Leeds Bradford. Nie ma bezpośredniego połączenia z Pakistanem. Hanna musiałaby polecieć z przesiadką, ale nie wiem gdzie. Jakie lotnisko jest najbliżej Doliny Hunza? Nie mam pojęcia.

Czy pani Hardgrave odpowie mi, jeśli ją o to zapytam? Jedyne miasto w Pakistanie, którego nazwę znam, to Karaczi. Cała nadzieja w tym, że jeszcze nie wyleciały. Po zwolnieniu Harisa z aresztu bez postawienia mu zarzutów i obniżeniu stanu pogotowia na lotniskach Hanna miała bardzo niewiele czasu na zarezerwowanie biletów, może więc nie zdążyła jeszcze opuścić kraju. Z drugiej strony, policja nie szukała *kobiety* podróżującej z małą dziewczynką. Podbiegam do najbliższego pracownika kontroli bezpieczeństwa.

– Myślę, że ktoś próbuje wywieźć z kraju moją córkę. Muszę zobaczyć listy pasażerów, sprawdzić nazwiska osób, które zarezerwowały lot albo już odleciały do Pakistanu. Szukam kobiety z mniej więcej siedmioletnią dziewczynką.

– Nie mamy lotów do Pakistanu.

– Zauważyłam! Ale musicie mieć listę lotów z przesiadką.

– Na jakim lotnisku?

Strażnik jest młodym mężczyzną z charakterystycznym akcentem z Bradford. Na identyfikatorze widnieje nazwisko „Jareed Akbhar”.

– Skąd mogę to, kurwa, wiedzieć?! Może słyszał pan o niej w wiadomościach. Evie Morley. Zaginęła w piątek. Panie Akbhar, jestem

przekonana, że została albo zaraz zostanie wywieziona z kraju. Musi pan natychmiast sprawdzić wszystkie loty przesiadkowe do *dowolnego* miasta w Pakistanie.

Jareed jest wysoki, ma ostrzyżone maszynką włosy i krótko przyciętą brodę.

– Proszę pani... – mówi, pochylając się lekko w moją stronę – sprawdzenie wszystkich kobiet z małymi dziećmi, które odleciały albo zarezerwowały lot z przesiadką do dowolnego miasta w Pakistanie...

– Do Peszawaru albo Islamabadu – odzywa się głos za moimi plecami. – To najbliższe międzynarodowe lotniska obok Doliny Hunza. Proszę zacząć od nich.

Odwracam się na pięcie. To Clegg. Collier toczy się ciężko w naszą stronę; facetowi z takim obwodem w pasie niełatwo jest biec. Rozmawia przez telefon. Clegg wskazuje go kciukiem.

– Rozmawia z lotniskowym posterunkiem policji. Zaraz do nas dołączy. Ruby też już tu jedzie.

Ktoś woła mnie po imieniu. To Ollie, biegnie z Benem na rękach. Całuje mnie w czubek głowy. Ben wyciąga do mnie rączki.

– Przyjechałem najszybciej, jak się dało.

Tulę do siebie Bena, wdychając zapach jego miękkich włosów. Pachnie oliwką dla dzieci Johnsona i ptysiami serowymi. Ponad jego jasną główką widzę matkę Hanny, która stoi kilka kroków od nas, trzymając przed sobą kopertówkę jak tarczę.

– Proszę za mną – mówi Jareed.

Prowadzi nas do centrum kontroli bezpieczeństwa i siada przy wolnym terminalu. Wystukuje coś na klawiaturze i przewija ekran. Wymienia kilka zdań z drugim strażnikiem, który do nas podszedł. Dołącza do nas Collier.

– Przeglądają nagrania z kamer – mówi.

Czekanie dłuży się bez końca. Ben wije się i wygina na moich rękach. Kiedy nie mogę go już utrzymać, oddaję go Oliemu.

– Rano były dwa połączenia – mówi Jareed. – Będzie jeszcze jedno, przez Manchester.

Odprawa zaczyna się za pięć minut. Evie Marley nie ma na liście pasażerów tego lotu ani dwóch poprzednich.

Patrzy na mnie i przenosi spojrzenie na Clegga.

– Niech pan poszuka kobiety podróżującej tylko z dzieckiem w wieku siedmiu–ośmiu lat – mówi Collier.

– To zajmie dużo czasu, sir.

– Nie mamy czasu! – krzyczę. – Odprawa zaczyna się za pięć minut! Jared zrzuca z siebie marynarkę. Pod pachami ma plamy potu.

– Niech pan wstrzyma lot – żąda Collier.

Jareed zerka na oficera, który przysłuchuje się wymianie zdań z drugiego końca sali.

– To trochę przekracza moje uprawnienia – odpowiada.

Jego zwierzchnik podchodzi do Colliera i podaje mu rękę.

– Dave Ludlow – przedstawia się. – Musielibyśmy mieć dostatecznie ważny powód. Czy ta kobieta jest terrorystką?

– Porywaczka dziecka nie wystarczy? – To Ruby. Jest zadyszana, jej ciemne włosy sterczą na wszystkie strony.

Ludlow bierze telefon i dzwoni na stanowisko odprawy pasażerów. Wpatruję się w ekran monitoringu, nie ten, na którym Clegg i strażnik przeglądają wcześniejsze nagrania, tylko na bieżący materiał z lotniska.

– Nie domyśla się pani, jakie nazwisko mogła podać kobieta, która porwała pani córkę? – pyta mnie cicho Jared. – Przychodzi coś pani do głowy?

– Proszę spróbować Hajar Abyadh.

– Może to pani przeliterować? – Sprawdza dane pasażerów. – Wczoraj żadna osoba o takim nazwisku z naszego lotniska nie odleciała.

Przeskakuję wzrokiem z ekranu na ekran, wpatrując się w kłębiące się masy ludzi. Trudno mi się skupić. Błagam, niech Evie tam będzie, niech uda mi się wypatrzeć ją w tłumie!

– Dziś też nie leci żadna Hajar Abyadh.

Patrzę na niego ze zdziwieniem. Byłam pewna, że posłuży się tym nazwiskiem.

– A może Hanna White? – podsuwa Ollie.

Kręcę głową.

– Na pewno nie Hanna. Nie użyje imienia Hanna. Może mi pan

pokazać odprawę lotu do Manchesteru? – zwracam się do Ludlowa.

Wskazuje monitor numer siedem.

– To ten, skarbie.

Malutka poczekalnia z czterema rzędami krzesel. Panuje w niej tłok. Przez środek ciągnie się kolejka do odprawy. Nie widzę twarzy wszystkich pasażerów, którzy czekają, stojąc, zaczynam więc przyglądać się tym, którzy siedzą na krzesłach. Serce tłucze mi się w piersi jak oszalałe, czuję puls nawet w zębach. A jeśli jej nie zauważę? Albo zauważę, ale i tak wsiądzie do samolotu? Możemy na zawsze stracić córkę. Szukam kobiety w hidżabie i z dzieckiem; kobiety o długich brązowych włosach, jak włosy Evie, i dziecka, mojego dziecka, które tak dobrze znam.

Potrafię odtworzyć w pamięci każdy centymetr jej ciała: dołeczek w prawym policzku, kwiatusek z piegów na przedramieniu, sterczące obojczyki, szeroko rozstawione oczy.

W poczekalni jest wiele kobiet w szalwar kamizach i chustach, które niosą albo prowadzą za rączkę dzieci. Ale nigdzie nie widzę Evie. Rozglądam się po pomieszczeniu, w którym się znajdujemy. Ben pełza pod stołami. W niewielkiej salce jest tłoczno; Collier, Clegg, kilku innych policjantów i grupka funkcjonariuszy ochrony lotniska wpatrują się w ekrany monitoringu. Na ścianie wisi policyjny plakat ze zdjęciem Evie. Pani Hardgrave stoi w kącie, poświata z ekranów migoce na jej twarzy i odbija się od krzyżyka, który nosi na szyi.

– Powiedziała pani, że chce pani pomóc – przypominam jej.

– Chcę. Dlatego tu jestem – mówi wyraźnym, rzeczowym tonem, ale nie potrafi ukryć drżenia głosu.

– Nie chodzi mi o pomaganie Hannie, pani Hardgrave. Ma pani pomóc Evie. Musi nam pani powiedzieć, jakim nazwiskiem posługuje się pani córka. – Cisza. – Mówiąc, że zmieniła nazwisko, nie miała pani na myśli jej arabskiego nazwiska. Jak się nazywa naprawdę?

Waha się ułamek sekundy.

– Jane Hardgrave.

– Jane Hardgrave. Podróżująca z dzieckiem – mówię do Jareeda.

I w tym momencie ją dostrzegam. Poznaje ją natychmiast, mimo spowijających ją zwojów tkaniny. Jej drobna sylwetka tonie w

obszernym szalwar kamizie zakrywającym zmysłowe kształty, twarz zasłoniła sobie chustą. Wystają spod niej długie, proste włosy, które ufarbowała wczoraj wieczorem na brązowo, jasnozielone oczy, mały prosty nos, pucołowate policzki; przez chwilę patrzy prosto w kamerę. Pęka mi serce, bo pierwszy raz widzę, jak bardzo są z Evie do siebie podobne... Nie ma cienia wątpliwości. Evie wygląda jak jej matka. Jej prawdziwa matka. Hanna poprawia chustę i znika w tłumie, ciągnąc za sobą małą dziewczynkę.

– Evie! – krzyczę.

– Jane Hardgrave – odczytuje z ekranu Jared – podróżująca do Peszawaru z siedmioletnią córką Mary Hardgrave.

Collier coś wrzeszczy, Ludlow rozmawia już przez interkom; na ekranie, w który się wszyscy wpatrujemy, dwaj pracownicy lotniska odchodzą od stanowiska odprawy i idą w kierunku Hanny White, poprzednie imię i nazwisko: Jane Hardgrave.

Collier, Clegg i Ludlow puszczają się biegiem w stronę bramki lotu do Manchesteru. Ruby rekwiruje pojazd elektryczny i rozkazuje Jaredowi usiąść za kierownicą. Ollie, Ben, Ruby, pani Hardgrave i ja pakujemy się do środka. Ben, urzeczony syreną i błyskającym kogutem, stoi na kolanach Olliego i piszcząc z zachwytu, usiłuje ich dosięgnąć. Ollie jedną ręką przyciska go do piersi, a drugą wyciąga do mnie. Trzyma mnie za rękę, jego twarz jest mokra od łez.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie wierzę, że zaraz ją zobaczymy...

– Mam wrażenie, że zaginęła wieki temu. – Mocno ściskam jego dłoń.

Niemal czuję nacisk jej ciała; jak to będzie, kiedy ją wreszcie przytulę. Jestem zaskoczona, że pani Hardgrave jedzie z nami. Siedzi za mną. Mam ochotę ją uderzyć, już nawet zaczynam zaciskać dłoń w pięść, ale Ben daje mi obślinionego buziaka. Przesadzam go sobie na kolana.

– Byłam przekonana, że kupiła bilet na swoje arabskie nazwisko Hajar Abyadh. – Ruby marszczy brwi. – Tym bardziej że ubrała się jak muzulmanka.

Pani Hardgrave patrzy na nią jak na idiotkę. Ruby otwiera szeroko oczy.

– Oczywiście! Zdobycie fałszywego paszportu jest trudne i dużo kosztuje. Miała odpis świadectwa urodzenia Evie, więc posłużyła się swoim prawdziwym paszportem, a Evie wyrobiła paszport na nazwisko, które dała jej po urodzeniu.

Jareed jedzie skrótem niedostępnym dla podróżnych. Wypadamy przez kolejne drzwi i znów jesteśmy w głównym korpusie lotniska. Panuje tu ogłuszający harmider. Jareed znów włącza syrenę; turyści z wielkimi walizkami na kółkach i z torbami, z których wystają poduszki, niechętnie schodzą nam z drogi. Musimy być już bardzo blisko bramki. Chcę wyskoczyć z pojazdu i pobiec do mojej córki, ale wiem, że nie mogę – zostaliśmy surowo pouczeni, że mamy zostać na miejscach, dopóki nie dotrzemy pod bramkę, ponieważ nie przeszliśmy przez kontrolę bezpieczeństwa.

– Musiała to planować od lat – mówi Ollie. – Wyśledziła Evie, załatwiła sobie posadę w jej szkole, zaprzyjaźniła się z naszą córką, żeby zdobyć jej zaufanie...

Nie jest w stanie mówić dalej, dławi się własnymi słowami. Wyjmuję z torebki modlitewnik i rzucam go na kolana pani Hardgrave.

– Twoja córka będzie go potrzebowała tam, dokąd pójdzie.

Wzdryga się, ale nic nie mówi.

Jesteśmy na końcu hali odlotów, dojeżdżamy do bramki lotu do Manchesteru. Pojazd powoli przeciska się przez tłum. Wyskakuję z niego i puszczam się biegiem do wejścia do poczekalni. Dwóch strażników próbuje zastąpić mi drogę, ale dogania mnie Ruby. Macha im przed nosem policyjną odznaką. Cofają się i już jestem w środku.

– Evie! – krzyczy Ollie. Jest tuż za mną, z Benem na ręku.

Siedzi na krześle z boku, obok policjantki. Jest ubrana w beżowy szalwar kamiz. Głowę i szyję ma owiniętą ciemnobrązowym szyfonowym szalem ze złotym haftem wzdłuż brzegów.

Nie odpowiada na nasze wołanie i na ułamek sekundy tracę pewność, ale już w następnej chwili jestem przy niej, przyciskam ją do piersi i powtarzam szeptem: „Evie, kochanie, Evie”. Nie reaguje, więc odsuwam ją od siebie, żeby się jej porządnie przyjrzeć. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami o źrenicach skurczonych do rozmiaru

łebka od szpilki i szklistych tęczówkach.

Hanna musiała faszerować ją lekami uspokajającymi, żeby siedziała cicho i dała się zawlec do samolotu.

– Evie! – wrzeszczy Ben. Wyślizguje się z objęć Olliego i biegnie do siostry, wyciągając przed siebie ręce. – Evie!

Rzuca się na nią i obejmuje ją ciasno w pasie. Evie patrzy w dół i durnowatym uśmiechem daje znać, że go rozpoznała. Próbuje dotknąć braciszka, ale nie ma kontroli nad bezwładnymi rękami. Po chwili wyciąga je w moją stronę i wybucha płaczem.

– Mamusia – mówi. – Moja mamusia.

Z

Odciągają mnie od ciebie. Czepiam się twoich ramion, twojego ubrania, ale siłą odginają mi palce. Krzyczę. Nie mogę oddychać. Umieram z rozpaczy. Dopiero dwóch mężczyzn jest mnie w stanie utrzymać. Podchodzi trzeci, zwalisty, czerwony na twarzy, o szarych oczach. Razem z nim jest młodszy policjant, wysoki, chudy, rudowłosy. Szukam cię wzrokiem za ich plecami, ale zasłaniają mi widok.

Ten starszy zakłada mi kajdanki. Mówi: „Hanno White, poprzednie imię i nazwisko Jane Hardgrave, aresztuję panią pod zarzutem usiłowania uprowadzenia dziecka. Ma pani prawo milczeć i nie odpowiadać na pytania. Wszystko, co pani powie, może zostać użyte przeciwko pani w sądzie...”. Po odczytaniu moich praw pochyła się do mnie i dodaje szeptem: „Grozi za to siedem lat. Postaramy się, żebyś dostała maksymalny wymiar kary”.

Zaczynam płakać. Przez ile musiałam przejść, żeby dotrzeć do tego miejsca?

Zostawiłam rodziców, rodzinne miasto, znajomych, wszystko, co znałam, zmieniłam tożsamość, wyjechałam na drugi koniec świata, do zupełnie obcego kraju. Pałace promienie słońca parzyły mi skórę, na nienawykłych do pracy fizycznej dłoniach tworzyły się bąble.

Gdy mój organizm oczyszczał się z narkotyków, miałam halucynacje i konwulsje. Myślałam, że umrę. Ale trzymała mnie przy życiu myśl o mojej maleńkiej dziewczynce. O mojej córeczce, którą mi ukradli, kiedy miała jeden dzień.

Przysięgłam sobie, że cię odnajdę. Za każdą cenę. Bez względu na to, ile to mi zajmie lat. I odnalazłam. Wyszłam z nałogu. Stałam się pełnowartościowym członkiem społeczności Doliny Hunza. Przeszłam na islam. Odbyłam pielgrzymkę do Mekki. Modliłam się do Allaha, żeby zwrócił mi córeczkę. Przebrnęłam

przez studia. Szukałam cię.

Po uzyskaniu dyplomu pojechałam odwiedzić rodziców, których nie widziałam pięć lat. Matka rozplakała się na mój widok i zaczęła przepraszać, że pomogła mi cię odebrać. Wyznała, że widziała kobietę, która cię adoptowała, i że jest nią jasnowłosa malarka z zachodniej części hrabstwa.

– Miała ten sam koszmarny akcent co dzieci, z którymi bawiłaś się w szkole – powiedziała.

Wystarczyło trochę poszperać i znalazłam Zoe Butterworth. Kiedy okazało się, że razem z mężem i dwójką dzieci przeprowadziła się z powrotem do Ilkley, zrozumiałam, że Allah jest po mojej stronie. Starłam się zdobyć ich adres, ale zanim mi się to udało, zobaczyłam cię w parku nad rzeką; opowiadałam ci tę część historii, prawda? Jak serce stanęło mi w piersi, kiedy cię poznałam. Od razu wiedziałam, że to ty. Krew z mojej krwi.

Moja córka.

Długo starałam się o pracę w twojej szkole. Próbowалам i próbowałaм. Czekałam cały rok, żeby zwolnił się etat. Wiele razy rozmawiałam z dyrektorką. W końcu schowałam dumę do kieszeni i zwróciłam się do ojca, twojego dziadka. Pogadał z zarządem szkoły i we wrześniu rozpoczęłam pracę jako nauczycielka wspomagająca w twojej klasie.

Byłam blisko ciebie, ale musiałam zachować ostrożność. Nie mogłam cię faworyzować. Nie mogłam cię brać na kolana i śpiewać ci piosenki. Nie mogłam kupić ci prezentu na urodziny. Musiałam czekać, obserwować, planować i się modlić. Zbierałam informacje o truciznach. To musiało być coś, czego nie da się powiązać ze mną i co występuje powszechnie w tym rejonie. To twój dziadek podsunął mi pomysł: przyglądałam się, jak przycina ten durny krzak przed naszym domem, i kiedy mnie zobaczył, walnął mi wykład o trzmielinie. Ma doktorat z inżynierii chemicznej. Gadanie to jego pomysł na kontakt z córką. Pewnie mu się wydawało, że wreszcie go nawiązał. Upiekłam ciasteczka z jagodami z naszego krzaka. Nie chciałam, żeby Ben umarł; po prostu nie obchodziło mnie, czy będzie żył.

Proszę cię, pamiętaj, że jest dla ciebie nikim. Nie jest twoim bratem.

Udawałam twojego ojca. Przysyłałam ci kartki i prezenty od „taty”, żeby odsunąć podejrzenie od siebie. Nikt nie szukał młodej kobiety o bladozielonych oczach i jasnych włosach. Wyszło jeszcze lepiej, niż się spodziewałam: ta głupia suka, twoja fałszywa matka, wdała się w romans z facetem, który idealnie nadawał się na podejrzanego. To był kolejny znak, że Allah jest po naszej stronie. A ty przyjęłaś moje tłumaczenie, że będę dla ciebie matką i ojcem. Że będę dla ciebie wszystkim.

Mój plan się powiódł. Miałam cztery dni pełni szczęścia i jedną noc piekła, kiedy zgubiłaś się na wrzosowisku. Ale nawet wtedy udało mi się cię znaleźć. Znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Lepiej niż ty sama. Znów byłaś ze mną. Moja córka. Miłość mojego życia.

– Niech mi pan pozwoli z nią porozmawiać! – błagam policjanta. – Proszę! Ostatni raz. Chcę się pożegnać.

Kręci głową i daje znak funkcjonariuszom, którzy mnie trzymają. Wywlekają mnie z poczekalni. Odwracam się w nadziei, że na mnie spojrzysz. Siedzisz z pochyloną głową, trzymasz na kolanach splecione dłonie. Jesteś otumaniona lekami. Zamierzałam przestać ci je podawać, kiedy dotrzemy do Pakistanu i wreszcie będziemy bezpieczne. Ale chociaż jesteś półprzytomna, chcę, żebyś na mnie spojrzała.

– Mary! – krzyczę. – Mary, kochanie!

To właśnie sprawia mi największy ból: nie płaczesz. Nie wołasz „mamusiu!”. Nawet nie odwracasz się w moją stronę.

Pięć miesięcy później

Marzec

Galeria sprawia wrażenie jeszcze bardziej przestronnej niż zwykle. Na tle białych ścian moje prace wydają się ogromne. Jenny zadbała o idealne oświetlenie. Girlandy kolorowych lampek nad łukowatym przejściem i wokół usytuowanego centralnie stanowiska recepcji uwydatniają ascetyczną surowość obrazów. Wszędzie są kwiaty, w rogach sali stoją wysokie donice z aksamitnym, soczyście zielonym mchem i piwoniami o rozmęczanych, jaskraworóżowych pąkach w pełnym rozkwicie. Dziś wieczorem odbędzie się wernisaż mojej wystawy. Ale popołudnie jest przeznaczone dla Evie.

– To moje obrazy, słoneczko – mówię.

Zamierzamy rozejrzeć się szybko po galerii, a potem pójść na lody. Mam nadzieję, że takie specjalne, dorosłe wyjście sprawi jej frajdę. Trzyma mnie mocno za rękę i nic nie mówi.

Chciałam, żeby poszła wieczorem na wernisaż, ale Ollie się nie zgodził. Powiedział, że nie powinniśmy burzyć jej porządku dnia. Olliego też nie będzie. Nie chce zostawiać dzieci z babysitterką. Rozumiem go – jasne, że go rozumiem – od porwania Evie minęło dopiero pięć miesięcy. Myśl, że miałabym zostawić ją i Bena pod opieką obcej osoby, dla mnie też jest nie do zniesienia. Ale chciałam, żeby byli ze mną na wernisażu. I chciałam, żeby był ze mną Ollie.

Obchodzimy wolno galerię, zatrzymując się przed obrazami. Kilku robotników wiesza płótna, a chłopak z firmy cateringowej rozstawia kieliszki z winem i dzbanki z wodą. Evie nie puszcza mojej ręki. Milczy.

– Co sądzisz o tym? – pytam z wymuszoną wesołością.

Zupełnie nie czuję, że to mój obraz: fakt, że wisi w galerii, w jakiś sposób dystansuje mnie od niego. Chodzi też o paletę barw, mroczność, głębię rozpacz. Nadałam mu nazwę: *Och, żebyś znów mogła być tamtą dziewczyną, półdziką, wolną i silną.*

– Dobry jest – stwierdza Evie z lekkim wzruszeniem ramion.

Pamiętam, że kiedy ją wreszcie odnaleźliśmy, tuliłam ją do siebie,

jakbym miała nigdy nie wypuścić jej z ramion; wzięłam ją na ręce i przyciskałam do piersi jej wiotkie, bezwładne od narkotyków ciało, czując na szyi jej chrapliwy oddech. Znad ramienia Evie widziałam panią Hardgrave, która wpatrywała się w nas, obiema rękami trzymając przed sobą kopertówkę. Kiedy policjanci wyprowadzili Hanę, jej matka nie poprosiła Jareeda, żeby ją odwiózł. Została tam, gdzie była, kilka metrów od naszej małej rodziny. Stała bez ruchu, nie spuszczać wzroku z Evie. Oczywiście, pomyślałam. Od początku chodziło jej o Evie. O utraconą wnuczkę.

Dziewczynkę, dla której była gotowa na wszystko: na ukrywanie jej w swoim domu, okłamywanie policji, okłamywanie mnie, uszkodzenie aparatu słuchowego męża. Czy poleciałaby za nią do Pakistanu, powiedziawszy Geoffreyowi, że przed śmiercią chce jeszcze zwiedzić kawałek świata? Zaciskam mocno powieki i szybko otwieram oczy. Próbuję skupić się na tym, żeby być tu i teraz, z moją córką.

– Jak będziesz duża, możesz zostać rzeźbiarką i wystawiać prace w takich galeriach jak ta – mówię jasnym, pogodnym głosem.

Evie nie odpowiada. Ollie ma rację: potrzebna jej jest rutyna, stabilizacja, miłość. Straciła oboje nauczycieli. Znalazła swoją prawdziwą matkę i jej prawdziwa matka opuściła ją po raz drugi. Myślała, że znalazła prawdziwego ojca, ale okazało się, że to był podstęp. Łatwiej powiedzieć, czego Evie nie chce teraz robić, niż co chce.

Nie chce zasypiać przy zgaszonym świetle.

Nie chce chodzić na wrzosowisko.

Nigdzie nie chce chodzić, chyba że coś zostało wcześniej zaplanowane i przypomnieliśmy jej o tym kilka razy.

Nie chce bawić się w przebieranki.

Nie chce widzieć nic, co ma związek z filmem *Kraina lodu*.

Nie bawi się w szkole z dziećmi.

Nie rozmawia z dorosłymi, z wyjątkiem mnie i Olliego.

Nie potrafię powstrzymać jej od obgryzania paznokci do krwi.

Kiedy jesteśmy poza domem, nie odstępuję mnie na krok.

Nie przytula się do nas i nie całuje; kiedy myśli, że nie widzę,

szczypie Bena i ciągnie go za włosy.

Nie chce mówić o tym, co się wydarzyło.

Psycholożka dziecięca, z którą rozmawialiśmy, powiedziała nam, żeby na nią nie naciskać. Od czasu do czasu Evie zadaje pytania. Spędziła u Hanny/Jane pięć dni, ale przeważnie siedziała sama, bo Hanna była w szkole albo u nas, albo jeździła do bloku obok Sekretariatu Wełny, żeby zapewnić sobie alibi. Policja pozwoliła nam obejrzeć mieszkancko Hanny w domu rodziców. Ilekroć pomyślę o Evie zamkniętej na ciasnym, zimnym strychu na skraju wrzosowiska, sama mam ochotę obgryzać paznokcie. Proces zaczyna się w przyszłym miesiącu.

Nie wiem, czy znajdę w sobie siłę, by pójść do sądu. Ollie się wybiera. Wycofał podanie o przyjęcie go na współnika i zapowiedział w pracy, że będzie musiał wziąć wolne.

– Chcę zobaczyć, jak posyłają tę sukę do więzienia – oznajmił z nietypową dla niego zajadłością.

Kiedy mam naprawdę zły dzień, myślę o Evie na wrzosowisku, samej, w ciemnościach, ubranej tylko w cieką niebieską sukienkę księżniczki. Według policji błąkała się po pustkowiu około pięciu godzin, zanim Hanna ją znalazła.

Pytania, które zadała Evie:

Gdzie leży Pakistan?

Dlaczego panna White chce, żebyśmy tam mieszkały?

Czy przyjechalibyście mnie odwiedzić?

Dlaczego panna White powiedziała, że jesteś fałszywą mamą?

Czy panna White to moja prawdziwa mama?

Czy kiedy dorosnę, będę mówiła do panny White „mamo”?

Niewiele jak na pięć miesięcy. Lista pytań, które Evie naprawdę chciałyby zadać, ale nie potrafi i może nigdy nie będzie potrafiła, jest jeszcze krótsza: Dlaczego mnie nie znaleźliście?

Dlaczego mnie tam zostawiliście?

Mogę więc zrozumieć, dlaczego trzyma się mnie kurczowo i równocześnie zachowuje się tak, jakby mnie nienawidziła. Ale fakt, że na poziomie racjonalnym rozumiem zachowanie swojego dziecka, nie powoduje, że jest mi lżej.

– Po prostu daj jej trochę czasu – powiedział Ollie, kiedy przyszedłam do niego się wyplakać. W jego głosie słychać było zniecierpliwienie; nie jest już tym delikatnym, opiekuńczym mężczyzną co kiedyś.

Jemu też muszę dać trochę czasu. Nie przebaczył mi. Czasem przygląda mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, jakby nie wiedział, kim jestem, jakbym nie była tą samą kobietą, w której zakochał się piętnaście lat temu, jakbym zawiodła jego zaufanie. Bo, oczywiście, zawiodłam je. Podchodzi Jenny, stukając szpilkami na szkarłatnych podeszwach.

– Kochanie, muszę zamienić z tobą słówko przed dzisiejszym wieczorem – mówi.

Uwalniam rękę z dłoni Evie.

– To potrwa tylko chwilkę, skarbie. Pooglądaj sobie obrazy. Nic ci tu nie grozi. – Posyłam jej ośmielający, mam nadzieję, uśmiech.

Evie obrzuca wzrokiem zamknięte drzwi za naszymi plecami, solidne sylwetki pracujących robotników. Gdy przechodzimy z Jenny przez zamaskowane drzwi w głębi galerii, nagle oblewam się rumieńcem. Przypomniało mi się, jak wymknęłam się wtedy z Harisem, żeby całować się z nim na tyłach parkingu. W biurze Jenny omawia ze mną listę zaproszonych gości; to ludzie, z którymi będę musiała rozmawiać, przedstawiciele mediów, handlarze sztuki, kolekcjonerzy. Przerywa w pół zdania i dotknąwszy mojego łokcia, mówi: – Nie zaprosiłam Harisa. Wiesz, że już go nie reprezentuję?

– To minimum tego, co mogłaś zrobić – odpowiadam.

Waha się przez ułamek sekundy, ale w końcu wraca do przerwane wywodu. To wszystko, co miała do powiedzenia na temat swojego udziału w zepchnięciu z torów pociągu mojego życia.

– Nie musisz zapamiętywać nazwisk, będę ci ich wszystkich przedstawiać. Co jeszcze mogę powiedzieć potencjalnym nabywcom? Zaczęłaś pracę nad nowym cyklem?

Kręcę głową. Jenny wygląda na zawiedzioną. Nie mam zbyt wiele czasu na malowanie. Nie przeszkadza mi to, naprawdę. Muszę się teraz skupić na Benie i na Evie. Nie chodzę już po Wrzosowisku Rombalda. Nie chcę wpaść na Harisa, ale to nie jest główny powód. Zaczęłam spacerować ścieżką nad rzeką Wharfe, za klubem

tenisowym i polem golfowym. Spędzam tam sporo czasu. Bella goni kaczkę, a ja niecierpliwie czekam na lato, kiedy brzegi ścieżki zazielenią się niecierpkim i trybulą. Tu się czuję bezpiecznie.

Zacząłam też wypuszczać się dalej. W weekendy zabieram na te wyprawy Olliego i dzieci. Zwykle jeździmy do Bolton Abbey i włączymy się po Strid Wood, podziwiając kipieli pędzącej po kamieniach rzeki, wirujące placki piany nad naturalnymi basenami z brązową jak guinness wodą. Zachowujemy się wtedy jak normalna czteroosobowa rodzina. Łazimy po błocie, a potem idziemy do kawiarni na gorącą czekoladę. Jesteśmy w miarę urodziwą parą z klasy średniej, ze śliczną córeczką, cudownym synkiem i wątrobiano-białym springer spanielem.

Ludzie, którzy nas widzą, nie wiedzą, co się kryje pod modnymi koszulkami w biało-granatowe paski i markowymi kaloszami. Nie domyślają się, że na psychice naszych dzieci są niewielkie, ale znaczące blizny.

– Namalowałam jeden obraz – mówię. – Jeszcze go nie skończyłam. Nie jestem pewna...

Jenny wyciąga rękę po mojego smartfona. Przesuwam zdjęcia, aż znajdę właściwe. Ten obraz bardzo się różni od moich dotychczasowych prac. Jest pełen ruchu: rzeka, cętki światła, wiatr w gałęziach drzew. A także kolorów: fiolety i róże, fuksja i jasna zieleń, cytryna i błękit kobaltowy. Jenny wsysa gwałtownie powietrze, jej pociągnięte czerwoną szminką usta rozciągają się w szerokim uśmiechu.

– Cudowny. Musisz namalować więcej takich obrazów. W przyszłym roku zorganizuję ci kolejną wystawę.

Kręcę głową.

– Dam ci znać. Nie mogę teraz... – Urywam w pół zdania.

Chce coś powiedzieć, ale się rozmyśla.

Rozglądam się za moją córką, czując wzbierającą falę znajomej palącej paniki. Muszę przez cały czas wiedzieć, gdzie ona jest. Przed tylnym wyjściem z galerii może czekać jakiś samochód. Wodzę wzrokiem po sali, oddycham coraz szybciej.

– Gdzie jest Evie? – pytam ostrym tonem.

Jenny rzuca mi zdziwione spojrzenie, ale po chwili jej twarz łagodnieje. My tu sobie gawędzimy, a Evie może już być w połowie drogi na lotnisko! Nigdy nie oddała się z własnej woli. Ktoś musiałby uprowadzić ją siłą... Przechodzę przez galerię do drugiej dużej sali, ale tam też jej nie ma. Odwracam się na pięcie, idę do mniejszej, bocznej salki i staję jak wryta w drzwiach.

Jest tutaj. Nie widzi mnie, całkowicie pochłonięta tym, co robi. Na środku podłogi skonstruowała rzeźbę z tego, co miała pod ręką: z kieliszków do wina. Ustawiła je w szachownicę, na której dobudowała kolejne warstwy, trzy, cztery, pięć. Nie jest to piramida, lecz chaotyczny, pozornie przypadkowy układ. Wypychając językiem policzek, ostrożnie nalewa do kieliszków czerwone wino. Musiała gdzieś znaleźć otwartą butelkę. W niektórych kieliszkach jest już woda. Zagryzam wargę, żeby nie krzyknąć i jej nie przestraszyć. Staram się rozluźnić.

Zachwyca mnie dziwaczne piękno jej dzieła. Światło kolorowych lampek nad wejściem ślizga się po krawędziach kieliszków, blask reflektorów, które podświetlają obrazy, podkreśla głębię barwy ciemnoczerwonego merlota i przezroczystość wody, płynne linie rzeźby rozlewającej się falami po podłodze. I zachwyca mnie moja córka, jej długie ciemne włosy, zielone szeroko rozstawione oczy, karmelowa skóra. Jest doskonała.

– Niedługo będzie miała własną wystawę – szepcze Jenny, zaglądając mi przez ramię.

Chwała Bogu, że się nie wściekła.

Evie podnosi na mnie wzrok i z jej twarzy znika wyraz intensywnego skupienia, ustępując kolejno zaskoczeniu, skruszce, a w końcu buntowi. Wstaje z podłogi. Instynktownie wiem, co się zaraz wydarzy. Jakbym oglądała odtwarzany w zwolnionym tempie film: Evie wykrzywi buzię i kopnie rzeźbę, kieliszki przewracają się, część się stłucze, czerwone wino opryska białe ściany i moje obrazy. Zaciskam powieki i przełykam ślinę.

– Pora na lody – mówię miękko.

Evie waha się przez chwilę, niemal chwieje się, jakby nie wiedziała, na co się zdecydować, nie była pewna, co czuje. A potem podchodzi

do mnie i bierze mnie za rękę.

Podziękowania

Dziękuję Sarze Hilary, która przedyskutowała ze mną pierwotny zamysł *Skradzionego dziecka*. Maddie West, moja pierwsza redaktorka z wydawnictwa Corvus, przeczytała synopsis i podzieliła się ze mną swoją fachową opinią. Na wszystkich etapach pracy nad książką zawsze mogłam liczyć na pomoc i słowa zachęty mojego agenta, Roberta Dinsdale'a z A.M. Heath.

Sharon Lewis przeczytała fragmenty wczesnego brudnopisu i opatrzyła je wnikliwymi komentarzami. Ogromnie pomogły mi koleżanki po piórze, Claire Snook i Emma Barton-Smith, podsuwając wiele trafnych sugestii, życzliwie, precyzyjnie wytykając niedociągnięcia i niestrudzenie zagrzewając do boju. Paul Whitehouse, Susie Painter, Sabina Bowler-Reed i David Cohen udzielili mi wielu cennych wskazówek w kwestiach technicznych, od policyjnych procedur, przez trucizny, po adopcję. Malarka Elaine Jones cierpliwie odpowiadała na pytania dotyczące jej twórczości oraz łączenia kariery artystycznej z wychowaniem dzieci.

Skradzione dziecko przygotowała do wydania wspaniała, pełna życzliwości i mądra redaktorka Louise Cullen, która jest też wspaniałym towarzystwem przy obiedzie! Nicky Lovick poprawiała moją kulawą gramatykę z humorem i niezachwianą pewnością siebie. Gorące podziękowania dla marketingowców oraz dla działu sprzedaży i promocji Atlantic Books, kierowanego przez Alison Davies.

Przez cały okres pracy nad tą książką mój mąż, Jasmine, wspierał mnie, dodając otuchy w chwilach zwątpienia, a córka, Jasmine, nieustannie dostarczała mi rozrywki i nie pozwalała zapomnieć, co jest w tym wszystkim najważniejsze. Na szczęście jest jeszcze trochę za młoda, żeby zrozumieć emocjonalny wydźwięk wiersza, który zainspirował mnie do napisania tej książki: bo na tym świecie, miła, płaczu jest znacznie więcej, niż zdoła pojąć twe małe ludzkie serce.

Przypisy

[1](#) Stąd angielska nazwa trzmieliny pospolitej, Spindle Tree [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2](#) Bombay Stores w Bradford – największy azjatycki bazar pod dachem w Wielkiej Brytanii.

[3](#) Wszystkie wymienione ulice noszą nazwy ptaków: *wheatear* to białorzytka, *plover* – siewka, *curlew* – kulik, *stonechat* – kłaskawka.

[4](#) E.B. White, *Pajęczyna Charlotty*, przeł. Ryszarda Jaworska, Warszawa 2007, s. 142.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska, Joanna Maciuk
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Hanna Pustuła-Lewicka
Redakcja: Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska
Korekta: Grzegorz Krzymianowski, Regina Gręda

Projekt okładki: Anna Tarłowska
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Alex Potemkin/E + /Getty Images; © Chris Hill/National Geographic/Getty Images; © R. Tsubin/Moment/Getty Images

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6198-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo